

Keith Ablow

Przymus

Przekład: Tomasz Hornowski

Dla Deborah Jean,
Devina Blake'a I Cole'a Abrahamama.

Biegnij, dziecko, tam gdzie czeka
Bór wysoki, rwąca rzeka,
Z czarodziejką w ręce ręka,
Bo nad twoje rozumienie
jest łez ogrom, co świat nęka.

William Butler Yeats

The Stolen Child

Przeł. Ewa Hornowska

Podziękowania

Szczególne podziękowania należą się mojemu wspaniałemu redaktorowi Charlesowi Spicerowi, mojej utalentowanej agentce Beth Vesel i moim wydawcom – Sally Richardson i Matthew Shearowi.

Wiele osób przeczytało szkic tej książki i udzieliło mi cennych rad. Byli to: Helena LeHane, Jeanette i Allan Ablów, doktor Karen Ablow, Christopher Burch, Charles „Red” Donovan, Holly Fitzgerald, Marshall Persinger, doktor Rock Positano, doktor John Schwartz i Emilie Stewart.

Na koniec dziękuję wspaniałemu artyście George’owi Rodrigue’owi za to, że wskazał mi drogę.

1

Sobota, 22 czerwca 2002

Lilly Cunningham podniosła wzrok. Serce zabiło mi żywiej. Miała dwadzieścia dziewięć lat, zachwycające jasnoniebieskie oczy i falujące blond włosy, których miałby ochotę dotknąć każdy mężczyzna. Z wypukłym czołem idealnie harmonizował łagodnie wyprofilowany nos. I jeszcze pełne usta, dołeczki w policzkach i długa, smukła szyja. Prosty złoty krzyżyk na delikatnym łańcuszku zwracał uwagę na krągłości piersi i brzucha, wznosząc się i opadając pod białą koszulą.

Chciałbym dłużej podziwiać urodę Lilly, ale poczucie obowiązku kazało mi myśleć o prawdzie, która niemal zawsze jest brzydka. Przeniosłem wzrok na odsłonięte udo Lilly.

Ciało było opuchnięte od krocza do kolana. Skóra, miejscami popękana, rozchodziła się jak namoczony pergamin. Z pęknięć sączył się różowy płyn. Dwie narysowane pisakiem długie na kilkanaście cali faliste czarne linie wskazywały miejsca, w których chirurg zdecydował się założyć dreny.

Bitwa została stoczona, linia frontu ustalona.

– Chyba się nie znamy – odezwała się Lilly. W jej głosie pobrzmiwało napięcie.

– Doktor Clevenger – przedstawiłem się, nie spuszczać wzroku z jej uda. Stałem dwa kroki od łóżka, jak to mam w zwyczaju, gdy po raz pierwszy odwiedzam pacjenta.

– Hmm. Ogolona głowa, dżinsy, kowbojskie buty. Nie wygląda pan jak lekarze, których znam. W każdym razie z tego szpitala.

Spojrzałem jej w oczy.

– A jak wyglądam? Zdobyła się na uśmiech.

– Bo ja wiem? Chyba jak artysta... albo barman. – Roześmiała się, ale niezbyt głośno. – Ma pan jakieś imię?

– Frank.

– A więc dobrze, doktorze Franku Clevenger. Jaka jest pańska specjalność? Chirurgia? Interna? Choroby zakaźne?

– Jestem psychiatrą.

Potrząsnęła głową i odwróciła się do ściany.

– To już, kurwa, przechodzi ludzkie pojęcie.

Przez długą chwilę stałem bez słowa, wpatrując się w wężyk kroplówki, którym w żyłę podobojczykową sączyła się amfoterycyna i wankomycyna. Tuż za wiszącymi butelkami było okno. Wychodziło na tonącą w mroku bostońską Charles River, której szare wody wydawały się gładkie jak szkło.

– Mogę ci zadać kilka pytań?

– Rób, co chcesz. Jest mi to obojętne.

Powiedziała to ze złością i zrezygnowaniem. Ale gdy na wpół wyszeptala, na wpół wycedziła: „obojętne”, wyczułem coś jeszcze. Jakaś uwodzicielską nutkę. Ton, jakim to powiedziała, sprawił, że wyobraziłem sobie, iż dosłownie mógłbym zrobić z nią, co tylko bym chciał. Zapiisałem sobie w pamięci to odczucie, zastanawiając się, czy innych też tak prowokuje i... dlaczego. Zbliżyłem się do łóżka.

– Wiesz, czemu mnie poproszono, żebym się z tobą zobaczył?

– Pewnie dlatego, że moi lekarze sknociłi robotę – rzuciła z rozdrażnieniem, kręcąc głową. – Nie wiedzą, co mi jest, więc orzekli, że jestem nienormalna.

Częściowo miała rację. Jej lekarze rzeczywiście uznali, że jest nienormalna, lecz dokładnie wiedzieli, co jej dolega. W każdym razie fizycznie.

Drake Slattery, ordynator interny, opowiedział mi ojej przypadku. Ten mężczyzna o posturze drwała podczas studiów w Duke uprawiał zapasy i teraz, kiedy mówił, widać było, jak pracują mu mięśnie ramion.

– Zgłosiła się do mnie jakieś cztery miesiące temu, prosto po miodowym miesiącu na St. Bart. Lekka gorączka, niewielkie zaczerwienienie na udzie. Myślałem, że ukąsił ją jakiś tropikalny owad i co najwyżej zostanie jej po tym małe cellulitis. Nic, o czym warto byłoby mówić. Ale jak idiota zmieniłem cały swój tryb postępowania i od razu zaaplikowałem jej antybiotyki.

– Taka ładna? – zapytałem. Wyglądał na lekko urażonego.

– Zawodowa uprzejmość. Jest pielęgniarzką w szpitalu Brigham & Women's.

– Jasne.

– Ale tak się składa, że rzeczywiście jest piękna.

Uśmiechnąłem się.

– Podałem jej więc ampicylinę, która, jak się zdawało, zadziałała – ciągnął. – Ale dwa tygodnie później była z powrotem w izbie przyjęć. Noga opuchnięta i dwa razy grubsza niż normalnie. Mówi mi, że czuje się, jakby ktoś wbił jej w udo rozgrzany do czerwoności nóż. Temperatura trzydzieści dziewięć stopni. – Mięśnie ramion Drake'a znów zadrgały. – Ampicylina przestała działać, więc

podalem jej koktajl z rocefina i opuchlizna szybko pięknie zesła. Wszystko dobre, co się dobrze kończy, prawda? Czasem trzeba przywalić z grubej rury.

Slattery jest zapalonym myśliwym, przez co trudno mi go polubić, mimo że cechuje się rzadką kombinacją geniuszu i ironii.

– Strzelanie to twoja działka – zgodziłem się.

Mrugnął do mnie.

– Pięć dni później znów pojawiła się w izbie przyjęć z nogą jeszcze bardziej opuchniętą i zaczerwienioną. Cała się trzęsła. Gorączka czterdzieści stopni. Tym razem się zaniepokoiłem. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Obrzęk limfatyczny spowodowany nowotworem? Sarkoidoza? Pomyślałem nawet o jakichś dziwnych objawach AIDS. Nie miałem pojęcia, co jest grane.

W ciągu kilku następnych miesięcy Slattery cztery razy przyjmował Lilly do Mass General, leczył ją kilkunastoma różnymi antybiotykami i środkami przeciwgrzybicznymi. Niektóre wydawały się skuteczne – pacjentce spadała liczba białych ciałek we krwi, przestawała się pocić i trząść. Ale nieodmiennie po kilku dniach wracała do izby przyjęć z infekcją i gorączką.

Tomografia nogi nie wykazała śladu guza. Prześwietlenie kości wykluczyło zakażenie szpiku. Powtarzane badania bakteriologiczne krwi nie doprowadziły do wyhodowania żadnych szkodliwych kultur. W końcu Slattery postanowił zrobić biopsję mięśnia półścięgnistego i dwugłowego uda Lilly. Wysłał próbki do laboratorium bakteriologicznego Narodowego Instytutu Chorób Zakaźnych w Bethesda w stanie Maryland. Wyniki przyszły po tygodniu: *Pseudomonas fluorescens* – zarazki zwykle występujące w glebie.

– Najpierw powiadomiliśmy męża – podjął Slattery. – Gdy go przycisnęliśmy, przyznał, że znalazł u niej w szufladzie pieprzoną strzykawkę pokrytą zaschniętym błotem. Zawiniętą w majtki.

Wyobraziłem to sobie i dostałem gęsiej skórki.

– My sobie flaki wypruwamy, żeby jej uratować nogę – ciągnął Slattery – a tu się okazuje, że ona sama wstrzykuje sobie zarazki.

– To daje wiele do myślenia na temat tego, jak ona się postrzega – zauważyłem.

– Może tobie. Mnie to mówi, że w tym szpitalu nie ma dla niej miejsca. Kradnie mój czas, nie mówiąc już o zasobach kliniki.

– Założę się, że w tym przypadku wszystko sprowadza się do kradzieży. Rzecz w tym, żeby się dowiedzieć, co jej ukradziono.

– Jesteś poetą – rzucił drwiąco Slattery. – Właśnie dlatego po ciebie

posłałem.

Popatrzyłem na Lilly, która wciąż leżała odwrócona do ściany. Fachowo jej stan nazywał się zespołem Münchhausena, czyli celowym wywoływaniem objawów chorobowych w celu zwrócenia na siebie uwagi lekarzy. Nazwa pochodzi od nazwiska barona Karla Friedricha von Münchhausena – błądźcy w stylu Paula Bunyana. Badania wykazały, że duży odsetek pacjentów cierpiących na tę chorobę pracuje, podobnie jak Lilly, w służbie zdrowia.

Wiele osób z zespołem Münchhausena w dzieciństwie leczyło się w szpitalu. Jedna z teorii głosi, że dzieci zaniedbywane przez rodziców, gdy stykają się z troskliwą opieką lekarzy, zaczynają utożsamiać chorobę z poczuciem bezpieczeństwa. Gdy dorosną, uzależniają się – jak od narkotyku – od grania roli chorego, co pomaga im uśmierzyć swoje lęki i tłumić przykre wspomnienia.

Psychiatra leczący pacjentów z zespołem Münchhausena musi namówić ich, by stawili czoło urazom psychicznym, które wyparli ze świadomości. Nie jest to takie proste, jak się wydaje. Ludzie ci zazwyczaj bronią się przed taką terapią, gdyż nie chcą dotrzeć do sedna swoich problemów.

Gdybym próbował nakłonić Lilly, by przyznała, że sama wywołała u siebie infekcję, mogłaby zamknąć się w sobie. Najważniejsze było dać jej do zrozumienia, że wierzę, iż została zakażona. Tylko jeden z zarazków żył w glebie. Drugi – groźniejszy, bo wręcz zabójczy – krył się w głębokich pokładach jej nieświadomości.

Przysunąłem krzesło do łóżka i usiadłem.

– Nikt nie wątpi, że jesteś chora. A już na pewno nie doktor Slattery. Sam mi powiedział, że ta infekcja to bardzo poważna sprawa.

Lilly się nie poruszyła.

Postanowiłem naruszyć nieco reguły zawodowe i dać jej trochę fizycznego ciepła, którego tak bardzo pragnęła. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem czarnej linii, którą chirurg narysował na jej udzie. – Stres wpływa na układ odpornościowy. To fakt naukowy. Przewróciła się na plecy. Gdybym nie cofnął ręki, znalazłaby się na podbrzuszu Lilly.

– Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam – rzuciła, wpatrując się w sufit.
– Jestem wykończona. Tym korowodem lekarzy. Faszzerowaniem lekarstwami. Nie wiem, czy między kolejnymi pobytami w szpitalu spędziłam pięć dni z rządu w domu. Inaczej sobie wyobrażałam ten przedłużony miesiąc miodowy.

– No tak, jesteś świeżo po ślubie. Wyczytałem to w twojej karcie.

– Przypuszczam, że całe moje życie jest dla ciebie otwartą książką.

– Nic bardziej mylnego.

Popatrzyła na mnie.

– Jak dawno jesteś po ślubie? – zapytałam.

– Cztery miesiące.

– Czy małżeństwo spełniło twoje oczekiwania?

Zesztywniała. Może dlatego, że mówiłem zbyt bezosobowo, zbyt analitycznie, za bardzo jak psychiatr, który przyszedł postawić diagnozę.

Postanowiłem jeszcze raz naruszyć granicę, która winna dzielić lekarza od pacjenta.

– Ja nie odważyłem się na małżeństwo – wyznałem.

– Dlaczego?

– Byłem raz zaręczony, ale nic z tego nie wyszło.

– Co się stało?

Przypomniałem sobie Kathy, gdy widziałem ją po raz ostatni: na oddziale zamkniętym szpitala psychiatrycznego Austin Grate.

– Moja narzeczona źle się czuła w tym związku. Próbowałem być i mężem, i lekarzem. W jednej i drugiej roli byłem do niczego.

– Przykro mi.

– Mnie też.

Lilly wyraźnie się odprężyła.

– Paul zachował się wspaniale. Był bardzo wyrozumiały mimo całej tej sytuacji. Mimo wszystkiego.

– Wszystkiego...

Zarumieniła się jak pensjonarka.

– Nie mieliśmy zbyt wiele okazji, żeby... no wiesz.

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową, udając, że nie wiem.

– No... okazji, żeby – zachichotała – żyć jak nowożeńcy.

– Czy w ogóle mieliście dla siebie czas?

– Moje kłopoty z nogą zaczęły się zaraz po przyjeździe na St. Bart. W efekcie musieliśmy skrócić pobyt.

– A mąż przyjął to ze zrozumieniem.

– Zachował się wspaniale. Jest bardzo cierpliwy. Przypomina mi pod tym względem mojego dziadka. Myślę, że między innymi dlatego zakochałam się w Paulu.

Czasem, gdy rozmawiam z pacjentami, słyszę w głowie głos. To mój głos, ale dochodzi z tej części mnie, nad którą nie mam pełnej władzy – części, która

czyta między wierszami, nawet moich własnych wypowiedzi, a potem odtwarza to, co nie zostało powiedziane. *Seks, ból, dziadek. Kiedy uprawianie miłości odbierasz tak, jakby ci wstrzykiwano zarazki, skracasz miesiąc miodowy i pędzisz do szpitala.*

– Opowiedz mi o nim. – Chciałem, żeby sama zdecydowała, o którym mężczyźnie ma mówić.

– O dziadku?

Uśmiechnąłem się jedynie.

– Jest spokojny i silny. Bardzo religijny. – Zawiesiła głos. – Mój ojciec umarł, kiedy miałam sześć lat. Przeprowadziłyśmy się z matką do dziadków.

– Czy oni jeszcze żyją?

– Tak, dzięki Bogu.

– Czy wiedzą o twoich kłopotach?

Potrząsnęła głową.

– Nie rozmawiałam o tym z rodziną.

– Nawet z matką?

– Nie.

Poczułem, że znalazłem klucz do psychiki Lilly. Wszystko wskazywało na to, że zakażenie nogi jest u niej metaforą urazu przeżytego w dzieciństwie.

– Ukrywanie takich spraw, zwłaszcza tak poważnych, może tylko pogłębić twój stres – oświadczyłem.

– Moi dziadkowie są już starzy, a matka ma własne problemy. Nie chcę ich tym obciążać.

– Przecież nie jest im obojętne, co się z tobą dzieje.

– Poradzę sobie.

Po tym, jak straciłaś ojca – odezwał się mój głos wewnętrzny – nie zaryzykujesz utraty dziadka, niezależnie od tego, ile cię będzie kosztować utrzymywanie z nim bliskiego kontaktu. Nawet jeśli będzie cię to kosztować utratę niewinności. Lub nogi.

Postanowiłem dalej mówić metaforami.

– Dotarcie do źródła tej infekcji może długo potrwać. Przydałby ci się ktoś, przed kim mogłabyś się otworzyć. Ktoś spoza rodziny. – Zerknąłem na błyszczącą skórę jej uda napiętą na opuchniętej tkance. – Kto by trochę rozładował napięcie, w jakim żyjesz.

– Jutro po południu robią mi nacięcie i zakładają dren.

– Muszą, bo inaczej zakażenie poszłoby w głąb ciała.

Popatrzyła na swoją nogę.

– Obawiam się, że to będzie okropny widok.

– Na razie to wszystko, co chciałem... zobaczyć... i usłyszeć – oznajmiłem.

Jeszcze przez chwilę przyglądała się swojej nodze, po czym spojrzała na mnie.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wpadnę jutro po zabiegu – dodałem.

Kiwnęła głową.

– W porządku. – Uścisnąłem jej dłoń, wstałem i skierowałem się do drzwi.

Oto jak wygląda małe zwycięstwo w psychiatrii. Wślizgujesz się w zakamarki umysłu i obchodzisz jego mechanizmy obronne zadowolony, że jesteś o pół kroku bliższy poznania prawdy. Za następnym słowem lub spojrzeniem może się czaić demon, którego szukasz, cały w płomieniach, rozpaczliwie pragnący, byś go złapał, ale zaprogramowany na ucieczkę.

Wychodząc z pokoju Lilly, usłyszałem końcówkę swojego nazwiska wywoływanego przez głośnik nad głową. Zatrzymałem się przy dyżurce pielęgniarskiej, podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer szpitalnej centrali.

– Frank Clevenger – rzuciłem do mikrofonu.

– Telefon z zewnątrz do pana, doktorze. Proszę chwilę poczekać.

Chwila głuchoj ciszy, a potem w słuchawce rozległ się niski głos:

– Halo?

Mimo że minęły dwa lata, odkąd się widzieliśmy po raz ostatni, bez trudu poznałem baryton Northa Andersona, czterdziestodwuletniego czarnego policjanta z Baltimore, któremu ciemne uliczki tego miasta są równie bliskie jak krew płynąca w żyłach jego umięśnionego ciała. Zaprzyjaźniliśmy się podczas pracy nad sprawą, która – jak sobie obiecywałem – miała być moją ostatnią. Zgłębianie umysłów morderców wykończyło mnie psychicznie.

– Długo się nie odzywałeś – powiedziałem.

– Zadzwoiłbym wcześniej, ale...

Ale prześladowało nas wspomnienie krwawej jatki. Jeden przypominał drugiemu sprawę Trevora Lucasa, szalonego chirurga plastycznego, który zamknął się na oddziale psychiatrycznym i zaczął przeprowadzać makabryczne zabiegi chirurgiczne, łącznie z amputacjami, na pacjentach i personelu. Zanim go przekonaliśmy, żeby się poddał, co zrobił dopiero wtedy, gdy poszedłem do niego na oddział, zdażył zgromadzić makabryczną kolekcję różnych części ciała, których widok wciąż prześladowuje mnie w snach. Andersona dręczyły podobne koszmary.

– Nie musisz się tłumaczyć – przerwałem mu.

Minęło kilka sekund.

– Nigdy nie zgadniesz, gdzie teraz pracuję.

Anderson był najtwardszym i najcwańszym gliną, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

– Rozpracowujesz gangi?

– Pudło.

– Obyczajówka?

– Nantucket – odparł.

– Nantucket?

– Wiesz, jak lubię ocean. Zamieścili ogłoszenie, że potrzebują szefa policji, więc wysłałem podanie. Siedzę tu już półtora roku. Popłynąłem na *North's Star*.

North's Star to trzydziestodwustopowy jacht Andersona. Ten siup jest jedną z miłości jego życia. Anderson bardziej kocha tylko swoją żonę, Tinę, i córkę, Kristie.

– Chyba dość czasu spędziłem na pierwszej linii, prawda? – zapytał.

Prawda. Wiedziałem to aż za dobrze. Anderson schronił się na swoją wyspę. Ja znalazłem schronienie na Harvardzie w salach wykładowych wydziału lekarskiego.

– Zrobiłeś więcej, niż do ciebie należało – potwierdziłem.

Odchrząknął.

– Mam do ciebie sprawę.

Powiedział to takim tonem, że zacząłem się zastanawiać, czy nie zмага się z depresją.

– Zrobię dla ciebie, co będę mógł. O co chodzi?

– O rodzinę Bishopa – rzucił, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Kogo?

– Darwina Bishopa.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Naprawdę? To mi Harder, właściciel Consolidated Minerals & Metal, CMM. Spółka jest notowana na giełdzie.

– Hej, może ty teraz obracasz się w tym światku, ale ja nie bywam na Nantucket – odparłem. – Nie gram też na giełdzie. Zawsze wolałem lekkoatletykę.

– Wczoraj mówili o tym w dzienniku wieczornym – odpowiedział.

– Staram się również trzymać z dala od wiadomości.

Anderson przeszedł do wyjaśnień.

– Jedną z jego córek, bliźniaczek, znaleziono wczoraj martwą w kołysce. Miała pięć miesięcy.

Zamknąłem oczy i oparłem się o ścianę. Pracowałem z rodzinami, które dotknęła tragedia SIDS, nieprzewidywany splot warunków, które powodowały zatrzymanie oddechu u śpiących niemowląt.

– Zespół nagłej śmierci niemowląt.

– Możliwe... Nie jesteśmy pewni. Jest tam też dwóch adoptowanych synów: szesnasto – i siedemnastolatek. Młodszy kilka razy popadł w konflikt z prawem. Naprawdę okropne sprawy. Zadusił koty paru sąsiadom.

Wiedziałem, do czego zmierza. Wiedziałem też, że po sprawie Trevora Lucasa nie mam na to najmniejszej ochoty.

– Nie zajmuję się już sprawami kryminalnymi – oświadczyłem.

– Słyszałem. Mój były szef z Baltimore powiedział mi, że raz czy dwa razy próbował cię namówić.

– Cztery razy.

– Trudno mu się dziwić. Masz do tego dryg.

– Zależy jak na to spojrzeć.

– Nie oczekuję od ciebie dochodzenia, tylko oceny faktów.

– Odpowiedź wciąż brzmi „nie”.

– Wystawię zlecenie na taką sumę, jakiej sobie zażyczysz.

– Jezu, North, tu nie chodzi o pieniądze.

– Posłuchaj. Prokurator okręgowy liczy na mnie. Chce aresztować młodszego brata i oskarżyć go o morderstwo. Będzie sądzony jak dorosły i grozi mu dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego.

Nic mnie tak nie wkurza jak wymiar sprawiedliwości, który nagina chronologię w imię zemsty, i Anderson wiedział o tym. Nie odpowiedziałem.

– Chłopak ma dopiero szesnaście lat – podjął. – Bishopowie zabrali go z rosyjskiego sierocińca, gdy miał sześć lat. Kto wie, przez jakie piekło przeszedł?

– Mam tu zaplanowaną robotę. – Powiedziałem tak po części dlatego, że chciałem przekonać sam siebie.

– Nie chcę na ciebie naciskać, ale coś w tej rodzinie nie daje mi spokoju. Zastanowiła mnie zwłaszcza skwapliwość, z jaką ojciec zgodził się, żebym przesłuchał jego syna. Jesteś najlepszy...

– Nie chcę się rozpraszać. – Próbuje też zachować równowagę psychiczną,

nie mówiąc już o zdrowych zmysłach. – Czemu nie zadzwonisz do Kena Sklara i Boba Caggiano z North Shore Medical Center? Obaj pracują z Judith David. Znasz jej zespół. Są najlepsi na świecie.

– Proszę cię tylko o jedną rozmowę z chłopcem – naciskał.

Nie chciałem sprawić zawodu Andersonowi. Nie wiedziałem jednak, jak daleko mogę się zapuścić w tę mroczną sprawę, gdzie się zatrzymać, by na zawsze nie zgubić drogi.

– Jeśli chcesz, żebym zadzwonił do Sklara i poprosił go, by ci pomógł, chętnie to zrobię.

– Chcę, żebyś ty mi pomógł.

– Nie. Chcesz, żeby pomogła ci ta część mnie, którą straciłem dwa lata temu. Część, którą zabrał mi Trevor Lucas. – Nie dałem sobie przerwać. – Słuchaj, muszę skończyć obchód.

– Frank...

– Zadzwonię do ciebie. – Odłożyłem słuchawkę.

2

Wyjechałem swoim czarnym pikapem, fordem F-150, z parkingu szpitala Mass General, skręciłem w prawo w Storrow Drive i ruszyłem przez Tobin Bridge ku Chelsea i wschodniemu Bostonowi. Chciałem zapomnieć o Andersonie oraz Bishopach i wygnać z głowy myśli o śmierci. Kiedyś oznaczało to pół butelki szkockiej i gram kokainy, ale wiedziałem, że dziś będę się musiał zadowolić kawą w Cafe Positano – knajpce o niezwykłym, mahoniowo-marmurowo-mosiężnym wystroju, wciśniętej między odrapane sklepy dyskontowe i wielobranżowe.

Zatrzymałem samochód przed wejściem do Positano, wszedłem do środka i usiadłem przy barze, gdzie barczysty, pięćdziesięcioparoletni Mario Graziani, opalony przez cały rok, z Koloseum wytatuowanym na przedramieniu, podawał espresso i gawędził po włosku z murarzami, bukmacherami i sędziami, którzy byli jego stałymi klientami. Bez pytania zamieszał łyżeczką pienne mleko w filiżance z atramentowoczną kawą i nasypał na wierzch cynamonu. Popchnął ku mnie filiżankę, mówiąc: „*Qualcuna ti vuole*”, i lekko skinął mi głową.

Nauczyłem się trochę włoskiego, gdy leczyłem osiemdziesięcioletniego Sycylijczyka chorego na Alzheimera. Nazywał się Maurizio Riccio i miał tak daleko posuniętą demencję, że mu się wydawało, iż znowu jest na Sycylii ze swoją młodą ukochaną. To oderwanie się od rzeczywistości bardzo denerwowało jego dzieci, które koniecznie chciały, by ich ojciec wiedział, że nie ma dziewiętnastu lat i nie baraszkuje nad brzegiem Morza Śródziemnego, ale znajduje się tu, w Chelsea, w domu opieki Cohen, Florence & Levine, i powoli umiera na raka prostaty. Nalegali, żebym mu zapisał leki przeciwpsychotyczne w rodzaju tiorydazyny. Odmówiłem, więc go ode mnie zabrali. Zapamiętałem jednak te kilka słów po włosku, które od niego usłyszałem, jak również jego nauki o wieczności duszy ludzkiej.

Qualcuna ti vuole – ktoś cię szuka. Zapaliłem papierosa, upiłem łyk kawy, a następnie rozejrzałem się po lokalu. Tyłem do baru, z policzkiem na dłoni siedziała Justine Franza. Była sama i czytała książkę. Jej długie złotoblond włosy opadły na jedną stronę i zwisały niczym kurtyna. Ta trzydziestodwuletnia wywodząca się z wyższych sfer Brazylijka była fotografem i od jakiegoś czasu podróżowała po Stanach Zjednoczonych. Poznałem ją tutaj wczoraj wieczorem,

gdy przyszła z kilkoma przyjaciółmi. Spędziliśmy razem około dwudziestu minut, rozmawiając o Amazonii, Rio de Janeiro i kurorcie Buzios, które to tematy dość dobrze maskowały to, co naprawdę chciałem jej powiedzieć: Gdybym był z tobą sam na sam na plaży w Rio, w domku na brzegu morza w Buzios lub u mnie na poddaszu...

– *Molto bella*, co? – zamruczał Mario.

Upiłem dość kawy, aby móc się przejść z filiżanką w dłoni, toteż wstałem i ruszyłem ku stolikowi Justine.

– Clevenger! – krzyknął ktoś.

Zatrzymałem się i odwróciłem w stronę drzwi.

Właśnie wszedł przez nie Carl Rossetti, miejscowy adwokat, który jednak bardziej wyglądał na handlarza narkotyków. Miał proste kruczoczarne włosy, złote bransoletki na obu przegubach i kolczyki w uszach, ale był najbystrzejszym prawnikiem w Bostonie i okolicach.

– Sądysz, że potrafiłbyś zanalizować mój umysł, doktorku? – zapytał. – Posłuchaj: czasu by ci nie starczyło.

Ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach spojrzeli na niego. Zaczął ich pozdrawiać i posyłać im uśmiechy.

W rzeczywistości już zanalizowałem jego umysł, tylko nie miałem zamiaru nikomu tego mówić.

Stanął przy mnie, przestępując z nogi na nogę, co wyglądało tak, jakby wciąż jeszcze siedł.

– Co sądzisz o tym adoptowanym świrze z Nantucket?

Serce mi zamarło.

– Chyba musiałbyś się z nim trochę namęczyć – ciągnął. – Jakies dwa lata temu udusił kilka kotów na wyspie. Omal nie spalił rezydencji Bishopów. I włamał się prawie do wszystkich domów w okolicy. – Uśmiechnął się krzywo. – Pozdrowienia z Rosji, co?

– Z tego, co słyszałem, nie wiadomo, czy jest zamieszany w śmierć niemowlaka – zauważyłem. – Nie wykluczono śmierci łóżeczkowej.

– Daj spokój. Dzieciak pasuje jak ulał. O co się załóżysz, że ma moczenia nocne?

Rossetti mówił o triadzie moczeniach nocnych, podpalaniu i znęcaniu się nad zwierzętami, czyli typowych objawach znamionujących przyszłego psychopate.

– Jest nieletni i na razie nie został o nic oskarżony. A w ogóle kto ci

powiedział o całej sprawie?

– Jak to kto? Harrigan. Prokurator okręgowy. On wie, że ta sprawa to rakietka, która może go wynieść na stanowisko prokuratora generalnego.

– Słyszałem, że ma na nie chrapkę.

Rossetti położył mi rękę na ramieniu, wbijając wzrok w podłogę.

– Posłuchaj – szepnął. – Gdybym potrzebował niewielkiej regulacji... No wiesz, żadnej większej naprawy. Ogólnie wszystko ze mną w porządku. Wystarczyłoby chyba kilka sesji. Coś w tym stylu.

– Nie ma sprawy – odparłem automatycznie, nie mogąc przestać myśleć o Nantucket.

Rossetti jeszcze bardziej ściszył głos.

– Nie proszę cię o specjalne traktowanie. Ale wiem, że bywałeś w życiu w podobnych miejscach co ja. Nie mam ochoty do nich wracać, rozumiesz.

– Zadzwoń do mnie. Coś ustalimy. – Kątem oka dostrzegłem, że Justine patrzy na nas. Zauważyła, że to dostrzegłem, i wróciła do lektury.

Rossetti klepnął mnie w ramię i cofnął się o krok.

– Wyglądasz, kurczę, fantastycznie – powiedział tak, żeby wszyscy słyszeli. – Jeździsz jeszcze na motorze?

Po naszej ostatniej sesji pojechaliśmy na swoich harleyach w stronę White Mountains. Kiwnąłem głową.

– Mojego wrzucą mi do trumny, bo pruję, dopóki czerwone światło nie zapali się na dobre, doktorku. – Wyciągnął palec w moją stronę i mrugnął do mnie. – Kto wie? Kiedyś mogę się nie wyrobić. – Ruszył do baru, gdzie Mario już lał mu spienione mleko do filiżanki.

Pokonałem resztę drogi dzielącą mnie od Justine. Czytała *Popiół i żar*.

– Przyjemna lektura? – zapytałem.

Odłożyła książkę.

– Bardzo smutna, Frank. Przez co ci ludzie musieli przejść. – Podsunęła mi krzesło.

Usiadłem. Oliwkowa skóra, pełne usta i ciemnobrązowe oczy przyglądające mi się badawczo. To, co we mnie złe, zawsze się wycofuje na widok pięknej kobiety.

– Wyglądasz na przygnębionego. Co się stało? – zapytała.

– Ciężki dzień – odparłem, nie rozwijając tematu.

– Co cię tak przygnębiło?

Zwykle to ja zadaję pytania. Odpowiadanie było zarazem niepokojącą

i kuszącą odmianą. Wskazałem na książkę, którą czytała.

– Ludzie. Ich problemy. Świadomość, co możesz, a czego nie możesz dla nich zrobić.

– Tak – przyznała. W jej oczach błysnęła iskra zrozumienia. – To musi być bardzo trudne. – Wypiła resztkę kawy. – Dla mnie byłoby zbyt trudne.

Kiwnąłem na Maria, żeby przyszedł z dolewką, i strzepnąłem papierosa.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie umiałabym... jak to powiedzieć... zdystansować się.

– Mam ten sam problem.

Justine koniuszkiem palca zebrała trochę spienionego mleka z mojej kawy i oblizwała palec.

– Ale mimo to spotykasz się z pacjentami. Nie boisz się o siebie?

– Codziennie.

Zapadło milczenie.

– Prawie cały dzień myślałam o tobie – wyznała.

Resztką zmęczenia przeszła mi jak ręką odjął. Wziąłem ją za rękę i poczułem, że mi zwalnia tętno.

Zabrałem Justine do siebie, do domu. Mieszkam na stusiedemdziesięciometrowym strychu z oknami od podłogi do sufitu wychodzącymi na stalowy szkielet Tobin Bridge, który łukiem spina Chelsea z Bostonem. Budynek wzniesiono z przeznaczeniem na fabrykę w czasach, gdy rewolucja przemysłowa przekształciła Chelsea ze skupiska farm i letnich domów w ciąg składów węgla i fabryk włókienniczych. Dom przetrwał dwa pożary, w 1908 i 1973 roku, które zrównały z ziemią większość miasta. Stał, gdy do miasta napływały fale imigrantów: mówiących po gaelicku Irlandczyków, rosyjskich Żydów uciekających przed pogromami, Włochów, Polaków, Portorykańczyków, Wietnamczyków, Kambodżan, Salwadorczyków, Gwatemalczyków i Serbów.

Widok, jaki miałem z okna, nie należał do zbyt wyrafinowanych. Właściwie był równie piękny co walka w wadze ciężkiej. Na pierwszym planie trzypiętrowe kamienice, kominy fabryczne i holowniki ciągnące pełną parą ciężkie tankowce po Mystic River. W oddali połyskujące w słońcu biurowce bostońskiej dzielnicy finansowej.

Justine, szczupła i elegancka w obcisłych, czarnych jak smoła spodniach i równie czarnej bluzce bez rękawów, stanęła przed jednym z okien, gdy nalewałem jej kieliszek merlota, a sobie szklanke wody Perrier.

– Twoje zdrowie – wzniosłem toast, podając jej kieliszek.

Zauważyła, że nie dołączyłem do niej.

– A ty nie pijesz?

– Nie mogę pić alkoholu – odparłem i urwałem. – A właściwie to mogę wypić więcej niż ktokolwiek. Po prostu jak zacznę, nie mogę przestać.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego nie możesz przestać?

Przez chwilę wydawało mi się, że dzieli nas bariera językowa. Że nie zrozumiała, iż jestem na odwyku. Ale później spojrzała na mnie ze zrozumieniem, tak jak w Cafe Positano, i dotarło do mnie, że celowo zadała to pytanie i chce, żebym na nie odpowiedział. Skinąłem głową.

– Nie mogę przestać, bo zatracam się w alkoholu i kończy się na tym, że nie chcę wyjść z tego stanu.

– Racja.

– Wielkie dzięki. Ładnie by było, gdybym się mylił co do własnej choroby. Musiałbym się zastanowić, czy zasługuję na stawkę, jaką sobie liczę.

Roześmiała się. Gdy się przy tym poruszyła, odchylił się kołnierzyk jej bluzki, tak że mignął mi rowek między piersiami i rąbek czarnego koronkowego stanika.

– Nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć „rozumiem”. – Upiła łyk wina.

Wciąż jednak uważałem, że należą się jej wyjaśnienia.

– To tak jak ból głowy, który przechodzi w końcu, gdy weźmiesz tabletkę. Wcześniej walczyłaś z bólem, ale teraz wiesz, że aby poczuć ulgę, wystarczy połknąć pigułkę. I polykasz. A tymczasem wśród tych fal ciszy przemija ci życie.

– Wiem. Moja matka na to umarła.

Poczułem się jak idiota.

– Z powodu alkoholizmu...?

– Tak. Wiesz, w Brazylii ludzie również mają tego rodzaju problemy.

– Przepraszam. Nie...

Zostawiła mnie przy oknie i podeszła do największego z pięciu obrazów wiszących na ceglanej ścianie ciągnącej się przez całe mieszkanie. Był to olej sześć na dziesięć stóp pędzla Bradforda Johnsona przedstawiający scenę ratowania załogi jednego statku przez załogę drugiego. Do masztów przywiązana jest lina, po której przesuwa się ponad wzburzonym morzem, wisząc na rękach,

jeden z rozbitków.

– Bardzo mi się podoba ten obraz.

Stanąłem obok niej.

– Co takiego ci się w nim podoba?

– To, że ci ludzie zaryzykowali życie, aby pomóc innym. – Wskazała palcem nie zniszczony statek. – Mogli przepłynąć obok.

Jej uwaga przypomniała mi o szesnastoletnim chłopaku Bishopów, któremu groziło, że będzie sądzony jak dorosły i może dostać dożywocie. Czy machina sprawiedliwości zatrzyma się na chwilę, żeby go wysłuchać? A potem pomyślałem, jak by to było usłyszeć o jego torturowaniu zwierząt, o tym, co sam przeszedł w Rosji, o Darwinie Bishopie znajdującym córeczkę martwą w kołysce. Pomyślałem, że musiałbym poczuć zazdrość, strach, złość i wszystkie te emocje kłębiące się w tej rodzinie, aby zrozumieć, czy mogły doprowadzić do morderstwa.

– A gdyby oba statki zatonięły? – rzuciłem na w pół żartem.

– To ofiarność tych ludzi byłaby jeszcze piękniejsza.

W duszy się z nią zgadzałem. Ale to, że omal nie utonałem porwany przez falę strachu, którą wywołał Trevor Lucas, spowodowało, że nabrałem głębokiego szacunku dla stałego ładu. Wyrzuciłem Bishopów z myśli i wyciągnąłem rękę do Justine, czepiając się przez chwilę jej urody jak kotwicy. Moja dłoń trafiła na miękką kragłość jej ramienia tuż nad łokciem, po czym powędrowała w dół wzdłuż klatki piersiowej i zatrzymała się, gdy palce wsunęły się pod spodnie.

Dotknęła ustami moich warg, ale zaraz się odsunęła.

– Nie wiem, czy w ogóle powinniśmy zaczynać – szepnęła. – Zostanę tu jeszcze tylko dzień.

Widziałem ludzi ocalonych i zniszczonych w krótszym czasie. Objąłem ją mocniej i przyciągnąłem do siebie.

Zaprowadziłem ją do dwuosobowego łóżka w stylu włoskiego postmodernizmu – chromowane nogi, popielate obicie, tapicerowane wezgłowie – zasłanego perłowszara pościelą. Przysiadła na skraju i podniosła ręce, żebym pomógł jej zdjąć bluzkę, lecz delikatnie pchnąłem ją na plecy. Położyłem jej ręce na biodrach i ściągnąłem spodnie. Miała na sobie skąpe czarne koronkowe figi. Na widok pionowej fałdki w materiale zakręciło mi się w głowie.

Jakieś pięć lat temu mój psychiatra, doktor James, który wówczas miał już osiemdziesiąt jeden lat, ale wciąż cieszył się przenikliwym umysłem, skłonił

mnie do zastanowienia się, czy moje życie seksualne nie jest w istocie rodzajem uzależnienia. Jestem dozgonnie wdzięczny temu freudyście i nauczycielowi talmudycznemu za częściowe wypełnienie luk w mojej osobowości spowodowane brakiem prawdziwego ojca.

– Skąd mam wiedzieć, czy jestem uzależniony? – zapytałem go.

– Poszukujesz kobiety czy stosunku seksualnego? Pragniesz jej duszy czy ciała?

– Jednego i drugiego – odparłem natychmiast.

– W jakim celu? Co chcesz osiągnąć?

– Przeżyć miłość.

– Potrafisz się zakochać w jeden dzień?

Zastanowiłem się.

– W godzinę.

– Wiele razy?

– Dziesiątki. Setki.

– Wierzysz, że te kobiety również tego szukają? Takiego zjednoczenia? Tego, co nazywasz miłością?

– Wierzę.

– I sądzisz, że takie jest prawo natury?

– Tak.

Zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Potem tylko siedział, patrząc na mnie i nic nie mówiąc. Ta cisza zaczęła mi ciążyć.

– Co o tym sądzisz? – Podałem się. – Mam dodać uzależnienie seksualne do listy swoich przypadłości?

– Obawiam się, że nie. Twój przypadek jest o wiele gorszy.

– Jak to?

– Jesteś dotknięty prawdą. – Uśmiechnął się, ale tylko na chwilę. – Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Dziś wieczór moją prawdą była Justine. W świecie sztucznej inteligencji, przeszczepianych organów i sklonowanych owiec wiedziałem, że gdy na nią spoglądam, to moje serce łomocze mi w piersiach, to moje płuca pracują jak miechy i to moja krew podsyca moje podniecenie. Podciągnąłem do góry trójkątny skrawek materiału i zobaczyłem, jak wilgotnieje, usłyszałem jej jęk, gdy moje palce wsunęły się pod majtki, a potem weszły w nią. Ukląknę i zacząłem wodzić językiem po gładkim wzgórk, a potem poruszać materiałem w jedną i drugą stronę. Kiedy poczułem, że jej mięśnie zaczynają się naprężać,

przestałem i wyprostowałem się. Zsunąłem jej figi. Nie spuszczać z niej wzroku, uniosłem jej kolana i szeroko rozłożyłem nogi. Wszedłem w nią, upajając się tym, jak jej ciało stawia opór, a potem poddaje się moim pchnięciom, po każdym opierając się coraz słabiej. A potem sam się poddałem, straciłem nad sobą kontrolę, poruszając się razem z Justine jak nakazuje natura, nie bardziej myśląc, co robię, niż fale omywające plażę i wsiąkające w miękkie, mokry piasek.

Niedziela, 23 czerwca 2002

Gwałtownie otworzyłem oczy i zerknąłem na budzik przy łóżku. Była siódma dwadzieścia. Wydawało mi się, że nie jesteśmy sami. Sięgnąłem pod materac po swojego kieszonkowego browninga – pozostałość po czasach, w których tropiłem zabójców. Leżałem nieruchomo. Niemal przekonałem siebie, że słyszę kroki intruza, gdy z przedpokoju dobiegły dwa natarczywe dzwonki. Miałem niejasne wrażenie, że taki sam odgłos słyszałem we śnie. Uświadomiłem sobie, że obudził mnie raczej doręczyciel z Federal Express niż zamachowiec dybiący na moje życie.

– Pozbądź się ich – odezwała się Justine zaspanym głosem.

Wstałem i poszedłem do drzwi. Nacisnąłem guzik domofonu.

– Jeśli to paczka i nic w niej nie tyka, proszę ją zostawić pod drzwiami – rzuciłem do mikrofonu.

– To ja, North.

Spojrzałem zezem na domofon. Myślałem, że udało mi się zerwać z przeszłością. Powinienem był to wiedzieć. To, przed czym uciekasz, pojawi się w końcu przed tobą, zwykle prędzej niż później.

– Frank?

– Zaraz zejść.

– Kto to? – zapytała Justine.

– Stary przyjaciel – odparłem, wkładając džinsy i czarny sweter.

Usiadła owinięta kołdrą.

– Tak wcześnie?

Wsunąłem buty.

– Potrzebuje rady.

Przesunęła nogi na skraj łóżka i wstała. Była naga. Sięgnęła po ubranie leżące na skórzanym fotelu, na który je rzuciłem. Stałem i patrzyłem na nią.

– No co? – zapytała, gdy zauważyła, jak na nią patrzę. Wciągnęła spodnie na gołe ciało.

– Jesteś cudowna.

– Twój przyjaciel czeka – przypomniała mi, niby to zrzędlowie. Włożyła bluzkę i spojrzała na mnie. – Masz jakieś jedzenie? Jajka? Bekon? Mogłabym zrobić śniadanie.

– Trochę tarty, jeśli jeszcze coś zostało. – Nie chciałem, żeby wyszła. – Niedaleko jest 7-Eleven. Pójdę i zrobię zakupy. Uwinę się w pół godziny.

– Nie, ja pójdę. W ten sposób wszystko będzie gotowe, gdy załatwisz sprawę z przyjacielem.

– Świetnie.

Zjechaliśmy windą do holu i wyszliśmy na ulicę.

North Anderson stał na chodniku ubrany w czarne dżinsy i czarną koszulę. Wyglądał zupełnie jak dwa lata temu. Ramiona, tors i ręce wciąż miał silne. Starym zwyczajem stał w rozkroku i trzymał ręce za plecami, jakby były skute. Nic się nie zmienił, przybyła mu tylko trzycalowa różowa blizna nad prawym okiem. U białego byłaby prawie niewidoczna. Na czarnej skórze Andersona wyraźnie się odznaczała.

– Zazdrosny mąż? – zażartowałem, przesuwając palcem nad swoją brwią.

Pozdrowił Justine skinieniem głowy, a potem spojrzał na mnie.

– Nie prowadzę aż tak interesującego życia. Zwykły złodziej samochodów. Tuż przed moim wyjazdem z Baltimore.

– Będziesz miał pamiątkę. – Uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym chwyciliśmy się za ramiona i chwilę tak staliśmy, składając hołd temu, co razem przeszliśmy. – To Justine – dokonałem prezentacji, gdy się puściliśmy.

– Miło mi – rzekł.

– Mnie też – odparła Justine. Bez trudu poradziła sobie z całą sytuacją. – Idę teraz do sklepu. Zobaczymy się później? – zapytała Northa.

– Chyba nie tym razem – odpowiedział.

– To do następnego. – Uśmiechnęła się i poszła.

North odprowadził ją wzrokiem.

– Powiniennem być przewidzieć, że nie będziesz sam. Niektóre sprawy się nie zmieniają.

– Może skoczmy na kawę? – zaproponowałem. – Tu niedaleko możemy się napić.

– Lepiej się przejdźmy.

Poszliśmy w dół Winnisimmet w stronę stoczni Fitzgeralda: połaci asfaltu i suchych doków, w których Peter Fitzgerald dokonywał cudów, remontując uszkodzone promy i kutry Straży Przybrzeżnej. Anderson utykał na prawą nogę z powodu dwóch kul zainkasowanych kilka lat temu od bandytów, którym przeszkodził w napadzie na bank. Utykał na nią mocniej niż kiedyś – przenosił ją teraz łukiem. Widząc to i tę nową bliznę, ucieszyłem się, że wyjechał z Baltimore, nim kompletnie stracił zdrowie na jego ulicach.

Usiedliśmy na stercie desek przy nabrzeżu. Długa barka zmierzała do Zatoki Bostońskiej z górą mułu wydobytą przy pogłębianiu koryta rzeki.

– Jak się miewają Tina i Kristie? – zapytałem.

– Doskonale – odparł bez przekonania. – Ta wyspa dobrze służy życiu rodzinnemu, wiesz? Zupełnie tam inaczej niż w Baltimore.

– Za dnia i w nocy – zauważyłem.

– Mieszkamy w mieścinie o nazwie Siasconset, tuż przy plaży. Słońce. Czyste powietrze.

– Istny raj.

Uśmiechnął się, ale z lekkim przymusem.

– Tina jest znowu w ciąży.

Nie spuszczałem wzroku z jego twarzy.

– Gratulacje. Który miesiąc?

– Szósty.

– Chłopiec czy dziewczynka? A może nie wiesz?

– Chłopiec. – Oczy mu się zwięzły, jakby próbował zobaczyć przyszłość przez mgłę.

Anderson był odważny i wrażliwy i cieszyłem się, że będzie ojcem. Nie wiedziałem jednak, jak bardzo jemu podoba się ta myśl.

– Jak się z tym czujesz? – zapytałem.

Skupił na mnie wzrok.

– Z czym? O co ci chodzi?

– O dziecko. Cieszysz się?

– Oczywiście. – Wzruszył ramionami i znów uśmiechnął się z przymusem. – Jak mógłbym się nie cieszyć?

Z wielu powodów – zaszeptał głos w mojej głowie.

– Ludzie różnie reagują na wiadomość, że mają mieć dziecko – zauważyłem.

Potrząsnął głową, spojrzał w dal ponad wodą.

– Nie przyjechałem tu po to, żeby leżeć na twojej kozetce, Frank. Czy ty

nigdy nie przestajesz być psychiatrą?

Nigdy, co kosztowało mnie utratę więcej niż jednego przyjaciela i niezliczonych zaproszeń na obiad. Nie umiałem już poprzestać na ślizganiu się po powierzchni spraw. Stałem się nieustępliwym kopaczem – takim, że nawet prośba Andersona, bym odczepił się od jego nieświadomości, nie mogła mnie powstrzymać od dociekań. Zastanawiałem się, czy mieszane uczucia związane z bliskimi narodzinami syna nie są przyczyną jego zainteresowania śmiercią dziecka Bishopa.

– Przepraszam. – To jedyne, co mogłem powiedzieć.

Obrócił się i spojrzał mi w oczy.

– Nie chciałem, żeby to tak wyszło. Jestem skonany. Byłem na nogach przez całą noc.

– Nie ma sprawy.

– A co u ciebie? Słyszałem, że Mass General należy do najlepszych. Doskonali lekarze.

– Z pewnością nie przyleciałeś tu, żeby komplementować moją pracę.

Nachylił się do mnie.

– Posłuchaj, pamiętam, co powiedziałeś mi wczoraj przez telefon. Wierz mi, od tamtej sprawy mnie również męczą po nocach koszmary. Wciąż widzę...

– A zatem wciąż jesteś człowiekiem – przerwałem mu, bo nie chciałem, żeby mi przypominał tę jatkę.

– Nie mogę mieć do ciebie pretensji, że tym razem nie chcesz się w to łądować.

– To dobrze, bo nie mam zamiaru.

– Mogę ci powiedzieć, co mnie gnębi? – zapytał.

– Przecież sam oświadczyłeś przed chwilą, że nie chcesz mieć nic wspólnego z moją kozetką?

Anderson nie dał się zbić z tropu.

– Tak jak ci powiedziałem przez telefon, mimo swoich milionów Darwin Bishop niemal mnie poprosił, żebym przesłuchał jego syna. Od razu w domu. Bez adwokata. Bez żadnego sprzeciwu. Mógł na miesiące związać nam ręce, dopóki byśmy nie przedstawili mocnych dowodów. – Potrząsnął głową. – Dzieciak nic nie powiedział, ale mimo to...

– Może nie miał powodów, by ci przeszkadzać. Może mimo wszystko dziewczynka zmarła z powodu SIDS.

– Nie.

– Jesteś pewny?

– Dostaliśmy wczoraj wyniki autopsji. Brooke Bishop zmarła z powodu uduszenia na skutek niedrożności dróg oddechowych. Jej przewód nosowy i tchawica były zatkane środkiem do uszczelniania okien.

Zrobiło mi się niedobrze. Staralem się nie myśleć o ostatnich minutach życia małej Brooke Bishop, ale niechciane obrazy i emocje pokonały mój opór. Wyobraziłem sobie, jak patrzy wyczekująco na podchodzącego do niej mordercę, może się nawet do niego uśmiecha, gaworzy, a potem, z ciekawości, otwiera szeroko oczy na widok białej tubki ze środkiem uszczelniającym. Wyobraziłem sobie, jak się śmieje, gdy plastikowy koniec tubki łaskocze ją w nos, a potem milknie i zaczyna się wiercić, gdy zagłębia się w nozdrze. Wyobraziłem sobie, jak się krztusi i zamiera z otwartymi ustami i zatkanymi płucami. Koniec. Zastanawiałem się, czy miała ostatnie niemowlęce pragnienie, aby wzięto ją na ręce. Czy pobiegła myślami do matki: do jej twarzy, jej zapachu, jej dotyku?

– Frank? – odezwał się Anderson.

Znów skupiłem na nim uwagę.

– Słucham cię – powiedziałem.

– Jak mówiłem – podjął – gdybym był tak nadziany jak Darwin Bishop, załatwiłbym Billy’emu najlepszego adwokata...

– Billy’emu? – wtrąciłem.

– Najwyraźniej zmienili dzieciakowi imię, gdy przywieźli go z Rosji. Na stu procentowo amerykańskie, nie uważasz?

Podczas mojej siedemnastoletniej praktyki psychiatrycznej miałem tylko jednego pacjenta, który popełnił samobójstwo. Nazywał się Billy Fisk. Nigdy nie przestałem się obwiniać o jego śmierć.

– Otóż to – westchnąłem.

– Co?

Zamknąłem oczy, próbując sobie przypomnieć Fiska. *Nie ma zbiegów okoliczności* – odpowiedział mi wewnętrzny głos. – *Uznaj to za znak.*

– Jesteś tutaj? – zapytał Anderson.

Spojrzałem na niego.

– Co jeszcze wiesz o tej rodzinie?

Anderson wyraźnie się odprężył i odetchnął z ulgą.

– Tak tylko pytam – zastrzegłem się. – Nie znaczy to, że podejmuję się tej sprawy.

Uniósł otwartą dłoń.

– Oczywiście – powiedział, ale ton jego głosu świadczył, że tak nie uważa. – Darwin Bishop wychował się na Brooklynie, choć nigdy byś się tego nie domyślił, słysząc jego akcent lub widząc, jak się nosi. Dziś całkowicie wpasował się w Park Avenue i Nantucket. Ma pięćdziesiąt jeden lat. Jego żona, Julia, pracowała kiedyś jako modelka. Jest jego drugą żoną.

– Dużo młodsza od niego? – zapytałem.

– Ma około trzydziestu pięciu lat.

– Jak to znosi?

– A czego byś oczekiwał?

– Bo ja wiem? Wszystkiego – odparłem. – Dzięki temu nigdy nie jestem zaskoczony.

– Jest kłębkim nerwów. Prawie w ogóle nie opuszcza pokoju bliźniaczek.

– A starszy adoptowany syn? Ten siedemnastolatek? Jaki on jest?

Anderson wzruszył ramionami.

– Rozmawiałem z nim tylko dziesięć minut. Ma na imię Garret. Bishop zaadoptował go na rok przed rozwodem. To jedno z tych cudownych dzieci. Przystojny chłopak. W Andover Academy jedzie na najwyższych ocenach. Jest w reprezentacji uczelni w tenisie i hokeju na trawie. Jesienią zaczyna studia w Yale. No wiesz, szlachectwo zobowiązuje.

– Dowiedziałeś się czegoś od niego?

– Chyba był w szoku. Chował twarz w dłoniach, powtarzając, że nie może uwierzyć w to, co się stało. Głównie martwił się o matkę, jak ona to zniesie. Od dawna cierpi na depresję.

– Dlaczego Bishop w ogóle zaadoptował tych dwóch chłopców?

– Nie wiem. Interesowałem się dziećmi, nie ojcem.

Kiwnąłem głową.

– Czyli mamy Garreta, potem Billy'ego, następnie Brooke i... jak ma na imię ta druga bliźniaczka?

– Tess.

– Garret, Billy, Brooke i Tess.

– Zgadza się.

– Czy ktoś jeszcze był w domu w noc śmierci Brooke?

– Niania. Claire Buckley. Spędza z Bishopami lato na wyspie. Opiekuje się dziećmi, ma dach nad głową, wolne wieczory i weekendy... takie tam.

– Młoda i ładna – zauważyłem. – Jest blisko związana z żoną Bishopa.

– Zgadłeś.

– Byli tego wieczoru w domu jacyś goście?

– Nie.

Popatrzyłem na wodę: na jej tafli połyskiwały białe igielki światła elektrycznego.

– A więc dlaczego twoim zdaniem Bishop dał ci wolną rękę?

– Nie wiem. Tak jak ci powiedziałem, to mnie właśnie niepokoi.

– Ale to się stało, zanim przyszły wyniki sekcji zwłok – zauważyłem.

– A jednak... – zaczął Anderson.

– Może miał już dość. Stawał po jego stronie, gdy wychodziły na jaw te sprawy z pożarami, znęcaniem się nad zwierzętami... a teraz to. Może w końcu dotarło do niego, że Billy jest niebezpiecznym dzieciakiem.

– Możliwe.

– A może chodzi o coś innego.

– Jak...

– Jak na przykład o to, że wolał, by podejrzenie padło na Billy'ego niż na kogoś innego. Na cudowne dziecko w rodzinie. Na żonę. Lub na niego samego.

– Też możliwe – zgodził się Anderson. Umilkł na chwilę. – Gdybym miał do pomocy psychiatrę, może udałoby mi się dowiedzieć, która z tych możliwości wchodzi w grę.

Westchnąłem głęboko.

– Naprawdę cię potrzebuję – powiedział Anderson. – Czuję, że Billy Bishop jest niewinny. A jeśli mam rację, pojawia się nowy kłopot. Muszę się dowiedzieć, kim jest morderca, bo w domu jest jeszcze druga bliźniaczka.

Anderson słusznie niepokoił się o Tess. Na kilkanaście zarejestrowanych przypadków śmierci jednego z dwóch bliźniaczych niemowląt w ponad siedemdziesięciu procentach drugi bliźniak także umierał w tajemniczych okolicznościach, zwykle z powodu nagłej niewydolności serca lub układu oddechowego. Niektórzy uczeni snują teorie, że nagła utrata brata lub siostry wywołuje u drugiego bliźniaka zabójczy żal, który w nie wyjaśniony sposób prowadzi do zatrzymania krążenia lub oddechu. Tajemnicza więź dusz zostaje nagle przerwana, co podcina wolę życia. Najbardziej przekonującym wyjaśnieniem jest to, że zabójca miał czas i okazję, aby dokończyć dzieła i zgładzić drugą ofiarę – przypuszczalnie przez uduszenie – dlatego, że aresztowano niewłaściwą osobę albo brak dowodów uniemożliwił zatrzymanie właściwej.

Spojrzałem na niebo. Z niewiadomych powodów oczami wyobraźni

zobaczyłem, jak ojciec w pijackim szale zabiera się do bicia: codzienność mojego dzieciństwa. Przyszło mi do głowy, że byłoby miło, gdybym dla odmiany chronił przede wszystkim siebie. Nikt nie powinien mieć mi tego za złe. Moja psychika jest bowiem naznaczona ranami jak mapa piekła. A niektóre z nich nigdy nie przestały krwawić.

Nikt nie może mieć o to do ciebie pretensji – zaszeptał mój Wewnętrzny głos. – Poza tobą.

Gdy wróciłem do domu, śniadanie było już prawie gotowe. Na patelni skwierczały jajka na bekonie. Na talerzu leżały pokrojone i posmarowane topionym serem jeszcze ciepłe bajgle od Katza – ten sklep z sześćdziesięcioletnią tradycją mieścił się tuż za 7-Eleven. W dzbanku od miksera zobaczyłem jakiś ciemnoczerwony napój z bąbelkami.

– Truskawki, lód i cukier – bez pytania wyjaśniła Justine.

– Wygląda smakowicie – stwierdziłem.

– Od razu wychodzisz czy jeszcze trochę zostaniesz? – Przewróciła jajka na drugą stronę.

Nie spodziewałem się tego pytania, toteż nie odpowiedziałem.

Spojrzała na mnie.

– Wiem, że musisz wyjść – Wyczytałam to z twarzy twojego przyjaciela.

– Obiecałem mu, że za cztery godziny spotkamy się na lotnisku. Ma trudną sprawę w Nantucket. Zamordowano małą dziewczynkę.

– O Boże. Ile miała lat?

– Pięć miesięcy.

Popatrzyła na mnie tak, jak patrzą czasem ludzie, gdy stają wobec bezmiaru ludzkiego okrucieństwa.

– Podejrzany jest jej przybrany brat. – Nie przyszło mi do głowy nic innego, co mógłbym powiedzieć. – Chłopak nie jest całkiem normalny.

Potrząsnęła głową. Bez słowa odwróciła się do kuchenki, wyłożyła jedzenie na talerze i naląła do szklanek truskawkowej mikstury. Usiedliśmy na taboretach przy granitowym blacie na środku pokoju. Jedliśmy w milczeniu.

– Odwiedź mnie w Rio albo w Buzios – odezwała się w końcu.

– Buzios – powtórzyłem. – Zjawię się, gdy tylko będę mógł. – I mówiłem to serio.

Zjadła jeszcze jeden kęs, po czym odsunęła talerz.

– Strata czasu – mruknęła.

Pomyślałem, że jest zła z powodu mojego nagłego wyjazdu. Przygotowałem się na scenę. Wzruszyła ramionami.

– Nie lubię jajek. – Ściągnęła koszulę, rzuciła ją na podłogę i poszła w stronę łóżka.

Ruszyłem za nią. Nie mogłem przewidzieć, jak wiele mnie będzie kosztowała sprawa Bishopa, ale musiałem to wyczuć siódmym zmysłem. Gdy bowiem moje dłonie i usta wędrowały po ciele Justine, czułem coś więcej niż namiętność. Pragnąłem wejść w jej duszę, wykorzystać w jakiś sposób jej żywotność, żeby znaleźć w niej pancerz, który obroniłby mnie przed śmiercią.

3

Polecieliśmy z Andersonem liniami Cape Air. Lot miał trwać czterdzieści pięć minut. Wystartowaliśmy z lotniska Logana o trzynastej piętnaście, Dziewięciomiejscowa cessna z jednym pilotem za sterami trochę trzęsła na wietrze, ale nie przeszkodziło to nam podziwiać szafirowoniebieskiego Atlantyku podczas podchodzenia do lądowania. Leciliśmy tak nisko, że mogliśmy dostrzec surfingowców na Cisco Beach i szare dachy rezydencji rozrzuconych po wyspie.

Nantucket, nazywana Szarą Damą, to w gruncie rzeczy grupa trzech wysepek w kształcie grubego bumerangu z oderwanymi dwoma kawałeczkami przy jednym z końców. Legenda przypisuje jej powstanie popiołowi, który wypadł z fajki indiańskiego olbrzyma Moshupa, mitycznego opiekuna tubylców mieszkających na Cape Cod. Ale Moshup zawiódł stworzoną przez siebie krainę i swój lud. W osiemnastym wieku osadnicy z Massachusetts, kwakrowie, nakłonili dobrotliwych Indian Algonkinów, aby ich nauczyli łowić w wodach Nantucket, polować na ptactwo, uprawiać ziemię. W zamian nauczyli ich czytać, pisać i rachować na tyle, by Indianie mogli sprzedawać swoją wyspę kawałek po kawałku. Algonkinowie byli bardzo pojętnymi uczniami i pozbyli się tyłu pól i pastwisk, że wkrótce nie mieli gdzie wypasać bydła. Strata ziemi, importowana z kontynentu whiskey oraz przywleczona przez osadników gruźlica sprawiły, że wraz ze śmiercią w 1824 roku ostatniego męskiego przedstawiciela Indian z Nantucket, Abrahama Quarry'ego, Algonkinowie zniknęli z powierzchni ziemi.

W dziewiętnastym wieku wyspa żyła z polowania na wieloryby. Herman Melville napisał *Moby Dicka* zainspirowany tragiczną podróżą kapitana George'a Pollarda z Nantucket, który w 1920 roku utonął na statku staranowanym przez wieloryba. Choć niebezpieczne, polowanie na wieloryby było zgodne z kwakerskim etosem pracy – i przynosiło duże dochody. Pieniądze płynęły na wyspę szerokim strumieniem, wywołując boom budowlany, który co prawda doprowadził do wykarczowania niemal wszystkich lasów, ale spowodował, że przy Main Street wyrosły okazałe rezydencje. Jedną z nich był dwupiętrowy dom Jareda Coffina wybudowany z angielskiej cegły i pokryty łupkiem.

W każdym rozdziale historii najnowszej Nantucket motorem rozwoju wyspy był handel, który jednak stopniowo odbierał jej duszę. Nic więc dziwnego, że wraz z upadkiem przemysłu wielorybniczego, który przyspieszyły ciężkie straty

poniesione przez flotę wielorybniczą podczas wojny secesyjnej, Nantucket stało przed diabelską koniecznością: rozwojem turystyki. Wyspa powoli zamieniała się w targowisko próżności, bogactwa i osobliwości, którego widok wstrząsnąłby każdym kwakrem. W domu kapitana Pollarda ulokował się sklep Pamiątki z Siedmiu Mórz. Rezydencja Jareda Coffina została zamieniona na hotel w stylu kolonialnym.

Prawdziwa dusza Nantucket, związana z indiańską przeszłością i rybacką odwagą, została pogrzebana pod taką warstwą blichtru, że na dobrą sprawę była równie martwa jak ostatni Algonkin.

Podczas lotu North Anderson poinformował mnie, że Darwin Bishop nabył swoją posiadłość na wyspie w 1999 roku, w którym jego holding Consolidated Minerals and Metals zarobił 1,2 miliarda dolarów. Przy takiej masie pieniędzy 9,6 miliona dolarów, które Bishop wydał na pięć akrów ziemi przy Wauwinet Road oraz osiemnastopokojową rezydencję z widokiem na zatokę i ocean, wydaje się drobną sumą.

CMM eksploatowała bogate złoża żelaza i miedzi w Rosji i na Ukrainie. Mimo niestabilności politycznej tego regionu holding przynosił ogromne zyski dzięki eksportowi rudy do krajów Europy, Azji i Stanów Zjednoczonych. Krążyły pogłoski, że firma przymierza się do wejścia na rynek ropy naftowej i gazu, co niebotycznie zwiększyłoby jej dochody.

– Czy Bishop wie, że przyjeżdżamy? – zapytałem Andersona, gdy skręcaliśmy w Wauwinet Road.

– Gdyby nie wiedział, nie mielibyśmy szans podjechać pod bramę – odparł Anderson. Wskazał na stojący przy drodze nieskazitelnie utrzymany domek kryty łupkiem, z białymi okiennicami i oknami w kwiatkach i winorośli – Nazywa go swoją budką strażniczą.

Przed domkiem zauważyłem dwa białe range rovery z przyciemnianymi szybami.

– Po co mu straż? – zapytałem.

– Myślę, że ma miliony powodów, by potrzebować ochrony – stwierdził Anderson.

Kilkadziesiąt zadaszonych okien na fasadzie z wysuniętą półkoliście środkową częścią nadawało rezydencji wygląd siedziby klubu wiejskiego. Pod wpływem warunków atmosferycznych elewacja przybrała szarobrazowy kolor dobrze natłuszczonej skóry. Na prawo od drogi dojazdowej znajdował się basen o wymiarach olimpijskich otoczony mahoniowym deskowaniem. Lasek zielonych

parasoli osłaniał kilka białych stolików stojących przy basenie. Dostrzegłem mężczyznę i chłopca grających w tenisa na ziemnym korcie. Startując do piłki, wzbijali tumany kurzu.

Wskazałem na kort.

– Kim oni są? – zapytałem.

Anderson zerknął na grających.

– Jeden to Garret, starszy syn. Drugiego nie znam.

– Wygląda na to, że Garret wyszedł już z szoku – zauważyłem.

– Gra musi się toczyć – zażartował Anderson.

Zaparkowaliśmy samochód i ruszyliśmy w stronę domu.

Gdy mieliśmy do przejścia jeszcze kilka kroków, otworzyły się drzwi. Stała w nich atrakcyjna kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat. Miała gładką cerę i długie brązowe włosy związane w koński ogon. Krótka lniana sukienka była obcisła tam gdzie trzeba, zdradzając, że jej właścicielka ma figurę modelki. Orzechowe oczy były podkrążone, jakby kobieta miała za sobą nie przespaną noc.

– Dzień dobry, kapitanie – powitała Andersona. Jej głos był zaskakująco ciepły.

– Dzień dobry, Claire – odparł North. – Jak się masz?

Wzruszyła ramionami.

– To jest doktor Frank Clevenger z Bostonu. Rano przez telefon powiedziałem panu Bishopowi, że go przywiozę.

– Tak, oczywiście. – Wyciągnęła dłoń. – Witam, panie doktorze – powiedziała, zdobywając się na serdeczny ton. – Jestem Claire Buckley.

Uścisnąłem wyciągniętą dłoń. Claire miała skórę delikatną jak dziecko. Zauważyłem, że na małym palcu nosi pierścionek z diamentem, a jej nadgarstek ciasno opina zamykana na śrubki złota bransoletka od Cartiera, warta prawie cztery tysiące dolarów. Wiedziałem to, ponieważ taką samą kupiłem Cathy, zanim zachorowała i nasze życie legło w gruzach. Claire Buckley bardzo dobrze zarabiała jak na opiekunkę do dzieci.

– Wyrazy współczucia – powiedziałem.

Wnętrze sprawiało imponujące wrażenie i był to zamierzony efekt. Sufit z gładkich białych desek znajdował się cztery metry nad głową. Doskonale dobrane meble obito tkaninami, które nie przetrwałyby roku niedbałego obchodzenia. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające plaże, statki i sceny z polowań na wieloryby. Większość z nich wyszła spod pędzla malarzy

amerykańskich, nieliczna – francuskich, a wszystkie były bardzo cenne. Przechodząc przez wielki salon, zauważyłem płótno Roberta Salmona, a dalej Maurice'a Prendergasta, oba warte miliony dolarów i oba na wieki utrwalające nieskończone piękno natury. Efekt psuły, moim zdaniem, przymocowane do ram pretensjonalne mosiężne tabliczki z nazwiskami artystów.

– Zupełnie jak w muzeum – mruknął pod nosem North.

Claire Buckley zaprowadziła nas pod gabinet Darwina Bishopa i otworzyła drzwi. Siedział na miękko wyściełanym krześle z wysokim oparciem stojącym za biurkiem w stylu kolonialnym. Patrzył na przeszklone drzwi wychodzące na basen, kort i ocean. Miał na sobie przewiewną bluzę i spodnie koloru khaki.

– Wszystko mi jedno, czy zawieziecie je do Palm Beach, czy do Myopii – mówił władczy głosem, w którym nie było śladu akcentu z Brooklynu. – Trzymajcie je w stajni w Greenwich, jeśli chcecie. Packer może na nich zagrać w White Birch. Ja od dziś się wycofuję.

Zauważył nas i pokazał ręką, żebyśmy weszli.

Zawahaliśmy się.

– Proszę, wejdźcie – zachęciła nas Claire. – Pan Bishop zaraz się wami zajmie. – Odwróciła się i odeszła.

Usiedliśmy na sofie stojącej w kącie pokoju naprzeciwko dwóch foteli.

Bishop kiwał się na krześle i patrząc na nas, kończył rozmowę.

Wyglądał imponująco. Miał siwe proste włosy, które zaczesywał do tyłu tak, że odsłaniały krzaczaste brwi i szaroniebieskie, rzucające stalowe spojrzenie oczy. Był opalony na idealny brąz. Szerokie bary, muskularne ramiona i grube nadgarstki świadczyły, że pomimo pięćdziesięciu jeden lat jest w znakomitej kondycji.

Rozejrzałem się po gabinecie. Na podłodze leżał orientalny dywan w pastelowych zieleniach, różach i beżach. Wzdłuż dwóch ścian ciągnęły się we wnękach lakierowane na biało półki z oprawionymi w skórę książkami, które wyglądały na nigdy nie otwierane. Na okrągłym orzechowym stoliku na jednej nodze z podstawą rzeźbioną w lwie łapy stało kilkanaście fotografii w ramkach. Jedna przedstawiała Bishopa i dwóch chłopców płynących eleganckim jachtem. Na innej widać go było w czarnym krawacie, stojącego obok przepięknej, młodszej od niego czarnowłosej kobiety, jak przypuszczałem, jego żony Julii. Na trzecim zdjęciu Bishop miał na sobie bryczesy i buty do jazdy konnej i stał obok żyłastego konia, wskazując na horyzont kijem do gry w polo.

Jak się domyśliłem, Bishop ustalał przez telefon los koni, na których grał

w polo. Palm Beach Polo Club i Myopia Hunt Club należały do najważniejszych ośrodków tego sportu w kraju. Gary Packer, partner legendarnego magnata medialnego Ruperta Murdocha, był jednym z jego sponsorów.

Zwróciłem uwagę, że na żadnym zdjęciu nie ma dziewczynek Bishopa.

– Dziękuję, Pedro. Jakoś się z tym uporamy – rzucił na zakończenie Bishop. Odłożył słuchawkę, wstał i podszedł do nas. Wyglądał jeszcze bardziej imponująco niż za biurkiem. Musiał mieć między sto osiemdziesiąt pięć a sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. – Przepraszam, że musieli panowie czekać – powiedział. – Win Bishop – przedstawił się, wyciągając dłoń. – Pan musi być doktorem Clevengerem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, jeśli tak to można nazwać. W jego uścisku kompletnie nie było siły, jak u lorda, który niechętnie pozwalała się dotknąć poddanemu.

– Wyrazy współczucia z powodu tej tragedii – powiedziałem.

Ustawił naprzeciwko nas jeden z foteli.

– Jakoś się z tym uporamy – powtórzył.

Zapadła krępująca cisza. Bishop patrzył na mnie i Northa, w żaden sposób nie okazując, że ma zamiar coś jeszcze powiedzieć. Zachowywał się jak pałkarz czekający na piłkę do odbicia. Przyszło mi do głowy, że posiadanie władzy nad ludźmi ułatwia życie.

– Najlepiej będzie, jak zostawię doktora Clevengera, żeby porozmawiał... – zaczął Anderson.

Bishop uniósł dłoń.

– Proszę mi wybaczyć. W tym nawale spraw zapomniałem panów poinformować, że Billy'ego nie ma w domu.

– Nie ma? – zapytał Anderson. – A gdzie jest?

– Załatwiłem mu przyjęcie na oddział psychiatryczny Payne Whitney na Manhattanie – odparł Bishop. Spojrzał na mnie. – Powiedziano mi, że to bardzo dobry szpital. Należy do Uniwersytetu Cornelia.

– Owszem – przyznałem. – Na co pan liczył, posyłając go tam?

Zanim Bishop zdążył odpowiedzieć, z głębi domu dobiegł płacz dziecka – przypuszczalnie drugiej bliźniaczki, Tess.

Twarz Bishopa wykrzywił grymas.

– Już idę, kochanie! – rozległo się nieopodal wołanie Claire Buckley, po czym usłyszałem jej kroki, gdy wchodziła po schodach na górę.

Bishop wstał, podszedł do drzwi i zamknął je. Potem znów usiadł

naprzeciwko nas, zakładając nogę na nogę. Był bez skarpetek i nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zerkać na prymitywnie wytatuowaną na kostce zielonoczną pacyfę.

– Wietnam – rzucił, widząc, że na mojej twarzy maluje się pytanie. Nie dając mi czasu na odpowiedź, kontynuował: – Żeby było wszystko jasne. Razem z żoną uważamy, że zrobiliśmy wszystko, by uratować Billy’ego. Gdy jednak pan Anderson poinformował mnie o wynikach sekcji zwłok, musiałem spojrzeć prawdzie w oczy. Billy nie może dłużej z nami mieszkać. Muszę dbać o bezpieczeństwo rodziny. Mam jeszcze jedną córeczkę.

– Rozumiem – odrzekłem.

Anderson pochylił się w fotelu.

– Prokurator okręgowy może uznać, że wysłał pan syna do Payne Whitney, aby go uchronić przed aresztowaniem.

– Zawsze może się zwrócić o nakaz sprowadzenia Billy’ego do Massachusetts, by stanął przed sądem – zauważył Bishop.

– O ile się nie mylę, tak właśnie zrobi – stwierdził Anderson. – Sąd powinien wydać nakaz w ciągu kilku najbliższych godzin.

Bishop kiwnął głową.

– Nic na to nie mogę poradzić, zresztą byłaby to strata czasu i pieniędzy – oświadczył. – Prokurator okręgowy nigdy nie udowodni, że Billy jest winny śmierci siostry. Kiedy moja córka została zamordowana, w domu znajdowało się pięć osób. Każda z nich mogła być mordercą. – Zawiesił głos. – A nikt z nas nie będzie zeznawał.

To byłoby na tyle, jeśli chodzi o chęć współpracy ze strony Bishopa. Zerknąłem na Andersona.

– Mam nadzieję, że nie będzie pan stawiał przeszkód moim ludziom podczas przeszukania domu. Może znajdziemy coś, co wiąże się ze śmiercią pańskiej córki.

– Ma pan wolną rękę, ale zapewniam, że nic pan nie znajdzie. A czego właściwie pan szuka? – zapytał Bishop.

– Na przykład tubki z środkiem uszczelniającym okna – odparował Anderson.

– Nawet jeśli ją pan znajdzie, to moim zdaniem pańskie laboratorium stwierdzi, że dotykał jej każdy domownik.

– Przypadkiem czy specjalnie?

Bishop nie odpowiedział.

Nie chciałem, żeby spotkanie przekształciło się w konfrontację.

– Co pan zamierza w związku z Billym? – zapytałem Bishopa.

– Nie tyle zamierzam, ile jako ojciec dopilnuję, żeby pozostał w Payne Whitney lub w jakiejś innej podobnej placówce, przynajmniej do ukończenia osiemnastu lat. Potem zapewnię mu bardzo zorganizowane i bezpieczne warunki do życia w społeczeństwie.

Myślami wróciłem do „budki strażniczej” przy drodze do posiadłości Bishopa.

– Areszt domowy? – zapytałem, łagodząc słowa uśmiechem.

– Jeśli będzie trzeba – zgodził się Bishop. – Ale nie w tym domu.

Nagle dotarło do mnie, że przecież siedzę naprzeciwko mężczyzny, któremu zamordowano córeczkę. Mimo to trudno mi było dostrzec u niego oznaki wściekłości lub żalu.

– Nadal chce się pan opiekować Billym?

– Oczywiście.

– Pomimo wyników sekcji zwłok?

Bishop odpowiedział bez wahania:

– Billy nie jest zły, ale chory. I nic dziwnego. Sam jest ofiarą.

Ten obraz pasował do wszystkiego, co wiedziałem na temat gwałtownych ludzi. Jednak bezstronność Bishopa, której nie zmieniła śmierć córki, niepokoiła mnie. Był raczej obojętny niż przejęty.

– Zgodzi się pan odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących Billy’ego?

– Oczywiście.

– Wspomniał pan, że Billy miał zwichniętą osobowość już wtedy, kiedy go pan adoptował. Na czym to zwichnięcie polegało?

– Nie wiem, ile panu powiedział kapitan Anderson... – Bishop zawahał się.

– Wolałbym dowiedzieć się wszystkiego z pierwszej ręki – stwierdziłem.

– Dobrze. Wzięliśmy Billy’ego z sierocińca w Moskwie, kiedy miał sześć lat.

Wcześniej przeżył straszną rzecz.

– Co się stało?

– Jego rodzice zostali zamordowani – rzucił beznamiętnie Bishop.

– Jak? – spytał North.

– Strzał w głowę. Oboje. Wyglądało to na egzekucję. Billy’ego znaleziono w mieszkaniu przy zwłokach.

– Złapano winnych? – zapytał North.

– Nie wiem, czy w ogóle przeprowadzono jakieś dochodzenie – odparł Bishop.

– Mówimy o kraju, w którym panuje nieopisany zamęt: skorumpowany rząd, zorganizowana przestępczość. Policję bardziej pochłania wymuszanie od biznesmenów haraczy za ochronę niż dbanie o bezpieczeństwo obywateli. – Odchrząknął. – Jestem pewien, że sierociniec też swoje dołożył. Billy przyjechał do Stanów posiniaczony i niedożywiony. Ważył zaledwie piętnaście kilogramów.

– W jakim był stanie psychicznym? – zapytałem.

– Sprawiał wrażenie bardzo łagodnego, wrażliwego dziecka. Bał się hałasów, nowych miejsc, nowych ludzi. Nawet mnie. Prześladowały go nocne koszmary. Budził się z krzykiem, cały roztrzęsiony. Nigdy się z tego do końca nie wyleczył. – Bishop splótł palce. – Być może pewną rolę grały w tym moczenia nocne.

Przypomniał mi się Carl Rossetti, który w Cafe Positano gotów był się założyć, że u Billy’ego występuje klasyczna triada czynników zagrożenia psychopatią: znęcanie się nad zwierzętami, podpalenia i moczenie nocne.

– Czy coś się zmieniło z upływem lat?

– Jego lęki ustąpiły – odrzekł Bishop. – Niestety ich miejsce zajęła agresja. Bez powodu potrafił nagle rzucić się na mnie lub żonę z pięściami. Czasem się zastanawialiśmy, czy nie ma do nas pretensji o to, że go wywieźliśmy z jego ojczyzny albo że próbujemy mu zastąpić naturalnych rodziców. Jednak jego pęd do destrukcji nigdy nie dotyczył wyłącznie mnie i Julii, lecz niemal wszystkiego: cudzej własności, zwierząt, a nawet siebie samego.

– Kaleczył się?

– Owszem. A także gryzł. Miał również okropny zwyczaj wrywania sobie włosów. To samookaleczanie w końcu się skończyło, agresja wobec innych – nigdy.

– Billy był u psychiatry?

– Wielokrotnie. Przebywał w kilku szpitalach psychiatrycznych, odkąd ukończył dziewięć lat, gdy po raz pierwszy został oskarżony o znęcanie się nad zwierzętami sąsiadów.

– Czy był pod stałą opieką psychiatryczną także poza szpitalem?

Bishop potrząsnął głową.

– Sąd dla nieletnich parokrotnie stawiał taki warunek, gdy decydował o jego wypuszczeniu z domu poprawczego. Billy godził się na wszystko, aby wyjść na wolność: dziesięć, piętnaście sesji terapeutycznych, ile tylko od niego zażądano. A potem kategorycznie odmawiał pójścia do szpitala. Gdy go zmuszaliśmy, godzinami siedział, nie odzywając się do nikogo. Po tym, jak próbował spalić dom, przez krótki czas brał prozac. Ale leki tylko zwiększały jego impulsywność.

Przez chwilę przyglądałem się Bishopowi. Jego zachowanie było równie wyreżyserowane jak otoczenie, w którym przebywał. Nieskazitelnymi manierami, opanowaniem. Pomyślałem, że może warto go trochę sprowokować. Zmusić do okazania emocji. Poczucia winy. Złości. Czegokolwiek.

– Dlaczego w ogóle popełnił państwo ten błąd i zaadoptowaliście Bili'ego? Zagraniczne adopcje zwykle kończą się kłopotami, nawet gdy nie dotyczą dzieci po tak ciężkich przejściach.

Nie zgodził się z określeniem „błąd”.

– Miałem bardzo dobre doświadczenia z pierwszym zaadoptowanym synem, Garretem. Rozwijałem firmę w Rosji. Szło mi bardzo dobrze. Chciałem się jakoś odwdziżyć. Cóż, nie zdawałem sobie sprawy, że emocjonalne zaburzenia Billy'ego są takie poważne.

Zwróciłem uwagę, że Bishop mówi tak, jakby sam podjął decyzję o obu adopcjach.

– Czy to pan wyszedł z pomysłem zaadoptowania dzieci? – zaatakowałem.

– Tak. Chciałem dać szansę ludziom ciężko pokrzywdzonym przez los. Zwłaszcza młodym. A szczególnie dzieciom.

– A jak pańska żona, Julia, przyjęła Billy'ego?

– Okazała mu wiele serca.

– To dalekie od entuzjazmu – naciskałem.

Bishop nie poruszył się.

– Wiele od niej żądałem – odparł spokojnie. – Wychodząc za mnie, musiała zaakceptować obecność Garreta, ale przyjęła go bardzo ciepło. Wzięcie po siedmiu latach kolejnego dziecka pod swój dach było dla niej nie mniejszym wyzwaniem, zwłaszcza że Billy miał taką przeszłość.

– Czemu sąd nie przyznał pańskiej byłej żonie opieki nad Garretem?

– Nie wystąpiła o nią.

– Dlaczego?

– To skomplikowana historia. Nie warto teraz do tego wracać.

Ton jego głosu powiedział mi, że Bishop uważa temat za wyczerpany. Zakarbowałem sobie w pamięci, że ta sprawa go niepokoi, i zmieniłem kierunek rozmowy.

– Kto odkrył, że pańska córka... została zamordowana?

– Ja – odparł bez wahania, nie okazując emocji.

– Kiedy?

– W czwartek, parę minut przed czwartą rano.

– Był pan na nogach o czwartej nad ranem? – wtrącił się Anderson.

– Sprawdzalem notowania przed otwarciem giełd na Dalekim Wschodzie – odparł Bishop.

– Czy wczoraj też pan obserwował, co się dzieje na giełdach? – zapytałem.

– Tak.

Zdecydowałem się na bezpośrednie pchnięcie, aby przebić jego pancerz.

– Jak pan może się zajmować interesami po tym, co się stało z pańską córką?

Bishop wbił we mnie wzrok, ale nie odpowiedział. Anderson posłał mi spojrzenie, które zdawało się mówić, że posunąłem się za daleko.

Obawiałem się, że ma rację. Chyba rzeczywiście wkłułem się w duszę Bishopa i przebiłem coś, co mogło zacząć niepohamowanie krwawić. Kiedy jednak w końcu przerwał milczenie, przemówił z takim samym zimnym opanowaniem, z jakim mówił podczas całego naszego spotkania.

– Gdybym mógł zapłacić okup, aby odzyskać córkę, z radością wydałbym ostatniego dolara. Ale to niemożliwe. Ciężko pracowałem na swój majątek. Mam zamiar go zachować. – Uśmiechnął się sztucznie i spojrzał na zegarek. – Panowie, czas na mnie, obiecałem Julii, że zjemy wcześniej obiad.

– Czy zgodzi się pan, aby doktor Clevenger porozmawiał z Billym w Nowym Jorku? – zapytał Anderson.

Twarz Bishopa pozostała maską uprzejmości.

– Po co? – zapytał.

– Mógłbym pomóc pańskiemu synowi, gdyby mimo wszystko oskarżono go o morderstwo. W grę może wchodzić kwestia ograniczonej poczytalności – odparłem.

Ograniczona poczytalność jest terminem prawniczym, który stanowi wskazówkę dla sędziów, że mogą łagodniej traktować oskarżonych, jeśli w chwili popełnienia czynu ich zdolność zrozumienia jego konsekwencji była w znacznej mierze ograniczona. Mogą wtedy ich sądzić za lżejsze przestępstwo, jak na przykład nieumyślne spowodowanie śmierci lub zabójstwo drugiego stopnia.

– Rzeczywiście, mogłoby to być korzystne i poczynię stosowne kroki. – Wstał.

– Czy jeszcze jakoś mógłbym panom pomóc?

– Na razie nie – odparł Anderson.

Wstaliśmy i ruszyliśmy ku drzwiom. Mój wzrok przyciągnęły trzy obrazy olejne wiszące na ich wewnętrznej stronie. Przedstawiały trzy konie do gry w polo z wymyślnymi siodłami i uprzężą oraz purpurowymi wstążkami wokół

kostek. Zatrzymałem się przed obrazami. Chciałem stwierdzić, czy Bishopowi sprawi trudność przejście od rozmowy o morderstwie córki do wymiany zdań na nieskończenie lżejszy temat.

– Pańskie? – zwróciłem się do niego.

Nie było widać, żeby to przejście sprawiło mu jakąkolwiek trudność.

– Tak – odparł z nie ukrywaną dumą. – Wszystkie należą do mnie. – Po raz pierwszy okazał jakąś emocję. – Mam dwanaście koni.

– Piękne zwierzęta – zauważył Anderson.

– Owszem – przyznał Bishop.

– Niestety, nigdy nie grałem w polo – powiedziałem – ale zawsze chciałem się nauczyć.

– Może przyjedzie pan kiedyś do mnie na mecz? Zapraszam – zaproponował Bishop. – Najlepiej do Myopii. To blisko Bostonu. – Ton jego głosu zapewniał, że nie powinienem się spodziewać żadnego zaproszenia.

– Wspaniale. – Spojrzałem jeszcze raz na obrazy. – Czy to pańskie ulubione konie? To znaczy z tej dwunastki.

– Niezupełnie. Akurat te mogły pozować malarzowi.

– Ma pan jakiegoś ulubionego?

Bishop uśmiechnął się z wyższością.

– Wszystkie traktuję jednakowo.

– Czy miłość do koni przypomina miłość do psa lub kota?

– Nie. To tak, jak kochać rakietę tenisową lub klub golfowy.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Kocha się je, dopóki pozwalają wygrywać.

Claire Buckley odprowadziła nas do drzwi. Kiedy szliśmy do samochodu, na podjeździe pojawił się wracający akurat z kortu Garret Bishop i jego matka. Zwolniliśmy, żeby się z nimi przywitać.

Starszy syn Bishopa skończył siedemnaście lat, miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i podobnie jak ojciec, był mocno zbudowany. Lecz podczas gdy ojciec chodził pewnie i zdecydowanie, wymachując rękami jak biegacz, syn stąpał ostrożnie, lekko uginając kolana i trochę powłócząc stopami.

Julia Bishop, ubrana w czarną spódnicę pareo i białą koszulkę, była nieco niższa i chudsza, niż wydawała się na zdjęciu w gabinecie Bishopa. Szła z pochyloną głową.

Z dwudziestu jardów matka i syn wyglądali jak para studentów wracających z turnieju tenisowego. Ale gdy się zbliżyli, okazało się, że Julia wygląda na swoje trzydzieści pięć lat i że ciężko musiała przeżyć śmierć córki. Miała lekko opuchnięte policzki i zaczerwienioną szyję. Widać było, że długo płakała. Ale nie można jej było odmówić urody, która przebijała się jak światło reflektora przez mgłę. Najpierw zobaczyłem szmaragdowe oczy, których kolor podkreślały jedwabiste czarne włosy sięgające ramion – włosy gejszy. Następnie moje spojrzenie objęło wysoko osadzone kości policzkowe i pełne usta, a przede wszystkim smukłą szyję, w której wdzięk mieszał się z czystą seksualnością w coś potężniejszego niż suma części – w jakiś nieodparty magnetyczny urok.

Nie mogłem oderwać od niej oczu. Ukradkiem opuściłem wzrok na białą koszulkę z krótkimi rękawami, podobną do tych, jakie nosiłem, gdy byłem chłopcem. Była na tyle obcisła, że pozwalała dojrzeć zarys koronkowego wyciętego stanika z fiszbinami, oraz na tyle krótka, że odsłaniała pępek i skrawek opalonego brzucha Julii Bishop. Jeszcze niżej widać było rąbek czarnego dołu od bikini wyzierający spod zawiązanej na biodrze spódnicy pareo z czarnego lnu, która całkowicie odsłaniała idealnie gładką nogę.

Gdy Anderson przedstawiał nas sobie, podałem Julii rękę.

– Przykro mi, doktorze, że przejechał pan taki kawał drogi na darmo – powiedziała łamiącym się głosem, jakby lada chwila miała poprosić, żebym ją podtrzymał.

Ona chciałaby poprosić czy ty byś chciał jej ofiarować pomoc? – wtrącił się mój wewnętrzny głos.

Przyznałem mu rację. Impuls, żeby ją podtrzymać, wyszedł ode mnie. Zdawało mi się, że spowija mnie bijący od niej blask – lazuruwa mgielka. Gdy puściła moją dłoń, odczułem to, jakbym coś utracił.

– Rozmawiałem z pani mężem – odparłem. – Cieszę się, że przyjechałem.

Julia spojrzała na Claire.

– Jak tam Tess? – zapytała z troską.

– W porządku – uspokoiła ją Claire. – Wcześniej miała mały napad płaczu...

Julia westchnęła i spojrzała na okno na piętrze.

– Nie powinnam była jej zostawiać. Czy na pewno nic jej...?

– Wszystko z nią w porządku – powtórzyła uspokajająco Claire. – Gdy dostała butelkę, zaraz jej przeszło. Teraz śpi.

Garret sprawiał wrażenie jeszcze bardziej niespokojnego niż Julia. Co jakiś czas kopał kamienie leżące na ziemi. Nie był przystojny, ale miał rzymski nos

i lincolnowskie kości policzkowe, które nadawały mu wygląd silnego i poważnego chłopaka.

– Chcę iść do domu – oświadczył i pociągnął za skórzaną opaskę z frędzlami, którą nosił na nadgarstku.

Julia zmusiła się do uśmiechu, ale jej oczy pozostały smutne.

– Garret niemal znokautował dziś swojego trenera od tenisa.

– Guzik mnie to obchodzi – rzucił chłopak, kierując te słowa do Claire. – W ogóle nie chciałem dzisiaj grać. Wolałbym być sam.

– Mąż chce, żeby się trzymał zwykłego rozkładu zajęć – wyjaśniła Julia. Najwyraźniej chciała wytłumaczyć, dlaczego Garret bierze lekcje tenisa dwa dni po śmierci siostry i kilka godzin po tym, jak jego brat wyładował w szpitalu psychiatrycznym. To nie była błahostka.

– Nie chodzi o wynik – dodała Julia. – Nasz lekarz rodzinny zalecił, żebyśmy na tyle, na ile to możliwe, zachowywali się jak zwykle.

– Pewnie. – Garret potrząsnął głową.

Nie chciałem się zachowywać jak słoń w składzie porcelany, ale zależało mi na jak najlepszym poznaniu stosunków panujących w tej rodzinie.

– Garret – zwróciłem się do chłopaka – jak znosisz całą tę sytuację?

Przestał się wiercić i przelotnie spojrzał mi w oczy. Przez chwilę wyglądało na to, że się rozplacze, ale zaraz twarz mu stężała.

– Dobrze – rzucił buntowniczo. – Poradzę sobie.

Julia skrzywiła się.

Wyciągnąłem rękę i delikatnie dotknąłem jej ramienia.

– Jeśli pani lub ktoś z rodziny chciałby ze mną porozmawiać o tym, co się stało, jestem do dyspozycji – zaproponowałem. Zauważyłem, że Anderson patrzy na moją dłoń spoczywającą na ramieniu Julii, i szybko zabrałem rękę.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Dziękuję – powiedziała. – Nie sądzę, byśmy zdołali przez to wszystko przebrnąć bez pomocy.

– Co o tym myślisz? – zapytał mnie Anderson, gdy ruszyliśmy z powrotem ku Wauwinet Road.

– Powiem ci, czego nie myślę – odparłem. – Nie sądzę, by Darwin Bishop zapomniał cię poinformować, że Billy został wysłany do szpitala w Nowym Jorku.

– Wniosek?

– Ktoś, kto handluje akcjami na Nikkei dwadzieścia cztery godziny po tym, jak znalazł swoją córkę martwą w kołysce, nie zapomina, że przyjeżdża do niego szef policji z konowalem z Bostonu. On chciał, byśmy się zjawili u niego w domu.

– Po co? Po co nas tutaj ściągał, skoro Billy’ego nie było?

– Może po to, żeby mnie sprawdzić, a może po to, by przekazać jakąś wiadomość. Na pewno po to, by mnie przekonać do punktu widzenia: jaki to bardzo chory jest Billy, jak on, Julia i pół tuzina psychiatrów starało się mu pomóc, a nawet jak bardzo Billy pasuje do wzorca psychopaty. Niczego nie pominął: podpalen, znęcania się nad zwierzętami i moczenia nocnego. Dorzucił nawet samookaleczanie, gryzienie i wrywanie włosów.

– Odpowiadał na twoje pytania – zaproponował Anderson. – Z niczym nie wyszedł dobrowolnie.

– Człowiek pokroju Darwina Bishopa rozmawia tak, jak walczy dżudoka. Wykorzystuje twoją siłę, aby osiągnąć swój cel. Gdyby chciał ci coś powiedzieć o swojej firmie, nie wypaplałby tego ot tak sobie. Tak by pokierował rozmową, byś myślał, że to z niego wyciągnąłeś. – Pokiwałem głową. – Podszedł do tego jak do interesów. Strategicznie.

– No to nie wybrał najlepszej strategii. Przypiera prokuratora okręgowego do muru. Gdy media się dowiedzą, że Billy opuścił stan, Tom Harrigan będzie musiał oskarżyć go o morderstwo. Inaczej będzie to wyglądało podejrzanie.

– Może Bishop na to właśnie liczy.

– Że zmusi Harrigana do oskarżenia Billy’ego, zanim będzie do tego gotowy?

– Albo że Harrigan oskarży Billy’ego, zamiast szukać dowodów przeciwko komuś innemu.

4

Dostałem bilet na ostatni samolot do Bostonu i dotarłem na miejsce dopiero o ósmej wieczorem. Postanowiliśmy z Andersonem, że jeśli załatwi mi pozwolenie na odwiedzenie Billy'ego Bishopa w Payne Whitney, polecę do Nowego Jorku rano następnego dnia.

Po drodze do domu zatrzymałem się w Mass General. Chciałem dotrzymać obietnicy złożonej Lilly, że odwiedzę ją po zabiegu.

Spała, kiedy stanąłem w drzwiach jej pokoju, lecz na stoliku nocnym paliła się lampka. Już z daleka widać było, że zabieg okazał się rozleglejszy, niż planowano. Noga, zgięta w kolanie, wisiała na wyciągu dobre kilka cali nad łóżkiem. Udo przykrywał mokry opatrunek z gazy. Do kości udowej przykręcone były z obu stron cienkie stalowe pręty.

Zapukałem w futrynę, ale Lilly się nie obudziła. Wszedłem do pokoju. Przez pół minuty stałem nieruchomo, przysłuchując się pikaniu aparatury elektronicznej i obserwując oddech Lilly. Próbowałem sobie wyobrazić, co czuła, wstrzykując sobie zarazki. Nie sądziłem, aby to była złość, panika czy smutek. Raczej ulga, a może nawet euforia. Na chwilę zrzucała z siebie pozory normalności. Udawane poczucie własnej wartości i wiara w siebie zniknęły, torując drogę nieświadomemu obrazowi własnego ja, w którym jawiła się sobie kobietą brudną i zbrukaną. Śmieciem. Jak ktoś, kto po wielu godzinach opuścił w końcu trzymane w górze ręce, mogła przestać walczyć ze swoimi demonami i pozwolić im wziąć się w posiadanie.

– Lilly – powiedziałem półgłosem.

Nie poruszyła się.

– Lilly – powtórzyłem głośnie.

Powoli otworzyła oczy, ale nie odpowiedziała.

– To ja, doktor Clevenger. Przyszedłem zobaczyć, jak się czujesz.

Westchnęła sennie i zamknęła oczy.

– Dostałam jakiś środek przeciwbólowy.

– Chcesz spać? Mogę wpaść jutro.

Spojrzała na mnie, mrużąc oczy, aby mnie ostrzej widzieć.

– Nie, zostań, proszę.

Podszedłem do łóżka, przystawiłem sobie krzesło i usiadłem.

– Jak udał się zabieg? – zapytałem.

– Doktor Slattery powiedział, że zakażenie dotarło do kości i musieli część jej wyciąć.

Pokiwałem głową, patrząc na stalowe pręty łączące dwie części kości.

– Usunięcie zakażonej tkanki zapobiegnie powtórnej infekcji... prawda?

– Prawda – szepnęła wyraźnie nie przekonana.

Przypomniało mi się, jak jej powiedziałem, że nie boję się poznać nawet najgorszej prawdy. Musiałem ją przekonać, by mi uwierzyła, jeśli chciałem nakłonić ją do zwierzeń. Pochyliłem się i dotknąłem opatrunku z gazy.

– Mogę zerknąć? – zapytałem.

Kiwnęła głową, nie spuszczając wzroku z mojej ręki.

Odchyliłem opatrunek na tyle, aby zobaczyć ranę. Lilly momentalnie odwróciła głowę do ściany. Przyjrzałem się przeciętym warstwom skóry, tłuszczu i mięśni. Przesiaknięta krwią gaza zakrywała środek głębokiej do kości rany.

– W porządku – rzuciłem.

– W porządku? – powtórzyła z goryczą.

– Nie widać śladu zakażenia.

Przewróciła oczami.

– Masz szczęście, że trafiłaś na chirurga, który stara się zwalczyć infekcję u źródła – dodałem. Zauważyłem łzę na jej twarzy. Wziąłem chusteczkę ze stoliczka nocnego i osuszyłem jej policzek.

Odwróciła do mnie głowę, ale nic nie powiedziała.

– Ja też tak robię – podjąłem. – Pomagam swoim pacjentom sięgnąć do korzeni ich kłopotów.

Minęło kilka sekund.

– A co, jeśli twój pacjent nie wie, co jest przyczyną jego bólu?

Zadanie pytania jest połową odpowiedzi – odezwał się mój Wewnętrzny głos.

– *Lilly chce wyruszyć w tę podróż. W głębi duszy każdy pragnie poznać prawdę.*

Wstrzymałem oddech. Zamknąłem oczy i po chwili je otworzyłem.

– Jeśli tego nie wiesz, musimy się razem zdobyć na odwagę, by dojść do prawdy.

Lilly zarumieniła się.

– Nie umiem rozmawiać o swoich kłopotach.

– Dlaczego?

– Myślę, że bezpieczniej jest tłumić w sobie uczucia.

– Bezpieczniej?

Nie odpowiedziała.

– Co niebezpiecznego jest w otworzeniu się?

– Ludzie, którzy za wiele opowiadają o sobie, stają się w końcu... – Urwała w pół zdania.

– Jacy?

– Bo ja wiem? – Zmarszczyła brwi. – Chyba samotni.

To wyznanie wiele mi o niej powiedziało. Wywołała u siebie chorobę i wszystkich okłamała co do jej przyczyny, żeby skupić na sobie uwagę tłumu lekarzy. Dojście do źródła cierpienia, zwłaszcza gdyby się okazało, że było nim molestowanie przez dziadka, mogło doprowadzić do zerwania z nim, a pewnie także z innymi członkami rodziny, wszelkich kontaktów. Lęk przed porzuceniem miał realne podstawy i towarzyszył Lilly od dzieciństwa. Nie było co owijać sprawy w bawełnę.

– Wiem, że się tego boisz, ale musisz chcieć chociaż przez chwilę być sama. A przynajmniej sama ze swoimi myślami.

Dotknęła dolnej wargi jak mała nieśmiała dziewczynka.

– Nie potrafię znieść samotności.

Był to zupełnie jasny przekaz. Potrzebowała czegoś – kogoś – na kogo mogłaby liczyć bez względu na to, co powie. Dotknąłem jej uda tuż powyżej rany.

– Obiecuję, że będę przy tobie przez całą tę drogę.

– Skąd wiesz? – zapytała. – Nawet mnie nie znasz. Jak ci mogę zaufać?

Mogłem zbyć jej pytanie jakimś frazesem, ale dla osoby, której całe życie stało się kłamstwem, liczyła się tylko szczerą odpowiedź.

– Oczywiście nie możesz być pewna, że okażę się godny zaufania. Nigdy nie będziesz miała takiej pewności – wobec nikogo. Tak czy owak będziesz musiała zdać się na wiarę. Zaufać swojemu instynktowi.

– Nie wiem – westchnęła. – Jestem skołowana.

Jeszcze jedno małe zwycięstwo. Taki zamęt w głowie często oznacza słabnięcie mechanizmów obronnych umysłu. Nie chciałem, by wyglądało na to, że pilno mi zrobić w nich wyłom.

– Mogę więc wpaść do ciebie za kilka dni?

Patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę.

– Tak – odparła. – Zgoda.

Dotarłem do domu tuż przed jedenastą wieczorem. Na automatycznej

sekretarce znalazłem wiadomość od Northa Andersona, który zawiadamiał mnie, że na jutro mam umówione spotkanie z Billym Bishopem. Z doświadczenia wiedziałem, że jeśli chcę punktualnie znaleźć się na Manhattanie, muszę wybrać samolot o siódmej trzydzieści, który zwykle ma dwugodzinne opóźnienie.

Postanowiłem poszukać w Internecie informacji na temat Darwina Bishopa. Yahoo! wyrzuciło 2948 odsyłaczy do takich źródeł, jak „Wall Street Journal”, „Business Week” czy „CNN Financial News”. Dowiedziałem się z nich, że Bishop założył CMM z kapitałem czterdzieści milionów dolarów, że zatrudnił inżynierów i metalurgów po MIT, CalTechu i uniwersytecie w Sankt Petersburgu i że po osiemnastu miesiącach działalności w firmie pracowało tysiąc ludzi. W „New York Timesie” znalazłem wzmiankę o aukcji u Sotheby’ego, na której Bishop wylicytował olej Marka Rothki za 4,2 miliona dolarów, czyli grubo powyżej sumy wywoławczej, która wynosiła osiemset tysięcy. Wystawny tryb życia Bishopa przyciągnął uwagę reporterów „Vanity Fair”, które opublikowało zdjęcia jego zabytkowych samochodów oraz liczącego ponad tysiąc pięćset metrów kwadratowych apartamentu na ostatnim piętrze River House stojącego przy 52 Ulicy między Pierwszą Aleją a East River. Mieszkania mieli w nim również Henry Kissinger i lord Rothschild. Apartament wcześniej należał do Astorów, od których Bishop odkupił go za 13 milionów dolarów. A było to, zanim ceny nieruchomości na Manhattanie skoczyły pod niebiosa.

Na dłużej zatrzymałem się przy artykule z magazynu „New York” zatytułowanym *Bishop i jego narzeczona rozpoczynają podróż życia*, w którym opisywano małżeństwo Bishopa z „należącą do elity towarzyskiej modelką Julią Oakley”. Zdjęcie przedstawiało pana młodego w smokingu i pannę młodą w sukni ślubnej jadących Piątą Aleją w czerwonym ferrari testarossa. Julia wyglądała olśniewająco.

W artykule zacytowano także wypowiedź Bishopa na temat jego pierwszego małżeństwa. „Przeżyliśmy z Lauren dwa cudowne lata” – powiedział reporterowi. – „Na nic bym ich nie zamienił, ale któregoś dnia obudziliśmy się i powiedzieliśmy sobie: «Lepiej bądźmy przyjaciółmi niż mężem i żoną». I niech pan posłucha: Nigdy nie miałem lepszego przyjaciela”.

Parsknąłem śmiechem. Było tam więcej takich kwiatków.

Pobieżnie przejrzałem kilkadziesiąt innych artykułów, opuściłem kilkaset innych, aż wreszcie moją uwagę przyciągnął tekst, który różnił się od pozostałych. Był to artykuł zamieszczony w „New York Daily News” z 1995 roku

opatrzoney nagłówkiem *Kłopoty w wyższych sferach*. Przeczytałem w nim, że Bishop został przyłapany na jeździe po pijanemu.

STUART TABOR
SPECJALNIE DLA „DAILY NEWS”
MANHATTAN

Na Manhattanie aresztowano wczoraj o drugiej w nocy mężczyznę, który na moście Triboro uderzył swoim porsche carrera w dwa inne samochody i odjechał z miejsca wypadku.

Kierowcą samochodu okazał się Darwin Bishop, lat 45, zamieszkały przy Wschodniej 49 Ulicy pod numerem 32. Mężczyzna został oskarżony o prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym, niebezpieczną jazdę, ucieczkę z miejsca wypadku i stawianie oporu władzy. Policja zatrzymała go po długim pościgu w dzielnicy Astoria w Queens.

Mimo że w 1981 roku Bishop został skazany za pobicie, zwolniono go dziś z aresztu za osobistym poręczeniem i kaucją w wysokości 250 000 dolarów.

Ofiara wypadku, Estelle Marshfeld, lat 39, z obrażeniami brzucha i klatki piersiowej została przewieziona do Columbia Presbyterian Hospital, gdzie przyjęto ją na oddział. Nikt inny nie odniósł obrażeń.

Zdjęcie pokazywało zupełnie innego Darwina Bishopa niż ten niewzruszony mężczyzna, którego poznałem w Nantucket. Ze zwieszoną głową, skuty kajdankami wchodził w eskorcie dwóch policjantów na 23 komisariat. Prządki koszuli w białoniebieskie prądki miał zakrwawiony.

Patrzyłem na zdjęcie pijanego Bishopa i zastanawiałem się. Na swoim terenie w Nantucket miał nieskazitelne maniery. Wydawał się niezniszczalny. Dzięki temu zdjęciu stał się dla mnie prawdziwy, gdyż potwierdzało ono to, w co zawsze wierzyłem: każdy człowiek – biedny czy bogaty, biały czy kolorowy, wykształcony czy półanalfabeta – znajduje się w stanie emocjonalnego wrzenia, coś go gryzie, cierpi. Ja przez lata uśmierzałem swój ból gorzałą i kokainą. Bishop widać też miał kiedyś problemy z alkoholem. Teraz szprycował się pieniędzmi – równie silnie uzależniającymi.

Ale być może owa zaduma nad człowiekiem była tylko jednym z powodów, dla których przyglądałem się temu zdjęciu. Być może podobał mi się widok poniżonego Bishopa, gdyż drażniła mnie myśl o nim i jego młodej narzeczonej.

Zastanawiałem się, dlaczego Julia Bishop zrobiła na mnie takie ogromne

wrażenie. Prawda, była niesamowicie piękna, ale czułem, że to nie jedyny powód, że nie jest to nawet połowa powodu. Powróciłem myślami do naszej rozmowy przed domem Bishopa i uzmysłowiłem sobie, że w ciągu tych kilku minut nabrałem przekonania, iż mam do czynienia z cierpiącą kobietą, która potrzebuje mojej pomocy. A dla mnie kobieta pogrążona w rozpacz jest najlepszym bodźcem do działania.

Pomyślałem o swojej matce, kobiecie uległej i słabej, która miała niemiły zwyczaj zamykania się w łazience, gdy ojciec w pijackim szale szukał kogoś, kogo mógłby skrzywdzić, żeby zagłuszyć własny ból. Ponieważ oprócz matki byłem jedyną osobą w naszym mieszkaniu na ostatnim piętrze obskurnej kamienicy w Lynn w stanie Massachusetts, ojciec nieodmiennie na mnie wyładowywał swoją wściekłość, dopóki nie opadł z sił i nie zwałił się na podłogę lub nie zapadł w pijacki sen. Choć matka nie miała siły, odwagi i odpowiedzialności, by wyrwać nas z tego zakłętego koła przemocy, była moją matką i kochałem ją. Poza tym czułem się trochę jak bohater, gdy ojciec okładał pięściami mnie zamiast niej. Pomimo że tyle czasu spędziłem na kozetce doktora Jamesa, który próbował rozsypać moją poplątaną psychikę, nigdy nie uwolniłem się od tego dylematu: duma czy ból? Wciąż wolę sam cierpieć, niż patrzeć na cierpiące kobiety.

Potrząsałem głową i skupiłem uwagę na monitorze komputera i zdjęciu prowadzonego w kajdankach Bishopa. Chciałem znaleźć coś na temat dalszego ciągu tamtej sprawy. Zauważyłem odsyłacz zatytułowany *Bishop staje przed sądem*, kuknąłem i przekonałem się, ile w sądzie mogą zdziałać pieniądze – lub zakulisowe machinacje. Była to krótka notatka z „New York Post” zamieszczona w dziale miejskim jako druga od końca, sześć miesięcy po aresztowaniu Bishopa. Można było w niej przeczytać, że zarzuty przeciwko niemu zostały oddalone. Sędzia nie skazał go ani na jeden dzień więzienia, nawet w zawieszeniu.

BISHOP STAJE PRZED SĄDEM

Sąd na Manhattanie oddalił oskarżenia przeciwko Darwinowi Bishopowi, lat 45, zamieszkałemu przy Wschodniej 49 Ulicy pod numerem 32, o prowadzenie samochodu po pijanemu, niebezpieczną jazdę i stawianie oporu władzy, kwestionując ważność badania trzeźwości przeprowadzonego na miejscu zdarzenia, brak wiarygodnych naocznych świadków i niemożność uzyskania

zeznań policjantów. Obrońca oskarżonego, F. Lee Bailey, stwierdził: „Nikt się nie zgłosił na świadka, bo wszyscy widzieli, że mój klient uczestniczył w zwykłym wypadku. Potem sprawy wymknęły się spod kontroli tylko i wyłącznie wskutek przesadnej reakcji sił policyjnych”. Bailey powiedział, że nie zdecydował jeszcze, czy wystąpi z oskarżeniem przeciwko miastu lub funkcjonariuszom policji uczestniczącym w tym zdarzeniu.

Próbowałem wyszukać jakieś informacje o pobiciu, za które Bishop został skazany w 1981 roku, ale niczego nie znalazłem.

Spojrzałem na zegarek: dochodziła pierwsza. Nie zostało mi wiele czasu na sen. Wyłączyłem komputer i powlokłem się do łóżka. Jednak mimo zmęczenia nie mogłem zatrzymać gonitwy myśli. Narastały we mnie podejrzenia, że Bishop chce się mną posłużyć. Nie wiedziałem tylko jak, a właściwie dlaczego. Przyznaję, że stawanie w obronie kobiet napawa mnie pewną dumą, ale to nic w porównaniu z energią, jakiej nabieram, gdy jakiś facet próbuje mnie wykorzystać, zmusić do czegoś lub zrobić ze mnie głupka. Może ten przypływ determinacji jest związany z adrenaliną, której poziom rósł mi we krwi, ilekroć ojciec z jakiegoś wydumanego powodu zabierał się do bicia. Może to, że nie umiem się trzymać z dala od kłopotów czy ustępować przed przemocą, jest czymś irracjonalnym – u podstaw czego leży wstyd chłopca, który zachowywał się ulegle wobec brutalnego ojca. Ale nawet doktorowi Jamesowi nie udało się rozsypać tego węzła w mojej poplątanej psychice.

Poniedziałek, 24 czerwca 2002

Samolot wylądował na LaGuardii spóźniony jedynie o godzinę i dwadzieścia minut, toteż już przed dziesiątą pojawiłem się w Payne Whitney, jakimś budynkiem na rogu 68 Ulicy i York należącym do Centrum Medycznego Uniwersytetu Cornelia – Nowojorskiego Szpitala Prezbiteriańskiego. Billy Bishop przebywał na trzecim piętrze na oddziale zamkniętym przeznaczonym dla dzieci i nastolatków. Pojechałem windą na górę i ruszyłem długim białym korytarzem, kierując się strzałkami, aż dotarłem do stalowych drzwi z napisem „3 East”. Nacisnąłem dzwonek. Przez szybę pancerną w drzwiach zobaczyłem grupkę chłopców i dziewczynek w różnym wieku, wśród których uwijali się członkowie personelu.

– Słucham – dobiegł z głośnika obok drzwi kobiecy głos.

– Jestem doktor Clevenger – przedstawiłem się. – Przyjechałem się zobaczyć z Billym Bishopem.

– Oczekiwaliśmy pana o dziesiątej trzydzieści.

– Przyjechałem wcześniej.

– Czy mógłby pan pójść coś przegryźć w bufecie?

Na oddziałach psychiatrycznych lubią mieć wszystko pod ścisłą kontrolą. Pacjentom z zaburzeniami psychicznymi odpowiada taki rygor. Problem polega na tym, że personel uzależnia się od niego i nie chce od niego odstąpić ani na milimetr – z żadnego powodu ani dla nikogo.

– Nie – oświadczyłem twardo. – Już jadłem.

– Naprzeciwko jest miła kawiarnia.

– Wolałbym wcześniej przeprowadzić wywiad.

– Zobaczę, czy to będzie możliwe – odezwał się chłodno żeński cerber. – Proszę poczekać.

Minęło pięć minut, zanim korpulentna rozmamlana kobieta mniej więcej w moim wieku, z okularami do czytania na nosie, ubrana w workowatą hinduską sukienkę, podeszła do drzwi, otworzyła je i wpuściła mnie do środka. Włosy miała szare i nie uczesane. Nosila kilka sznurów pereł.

– Nazywam się Laura Mossberg – przedstawiła się z wyraźnym nowojorskim akcentem. – Jestem psychiatrą, opiekuję się Billym.

Potrząsnąłem wyciągniętą ręką.

– Frank Clevenger.

– Przepraszam, że siostra oddziałowa kazała panu czekać.

– Nic nie szkodzi. Przyjechałem czterdzieści minut za wcześnie. Wiem, że na oddziale psychiatrycznym coś takiego wywraca do góry nogami cały porządek dnia.

Kobieta roześmiała się.

– Przejdźmy do mojego biura. Porozmawiamy chwilę, a potem zawołam Billy'ego.

Idąc korytarzem, mijaliśmy pacjentów w wieku od czterech lat aż po wyglądających na siedemnaście lub osiemnaście. Wszystkie dzieci sprawiały wrażenie zupełnie normalnych. Biegały, grały w gry planszowe lub oglądały telewizję w holu. Lecz na podstawie doświadczenia, którego nabyłem, pracując z dziećmi i nastolatkami w New England Medical Center w Bostonie, wiedziałem, że na oddziały zamknięte trafiają najcięższe przypadki – pacjenci, którzy mogą popełnić zabójstwo lub samobójstwo. Pozostałych firmy

ubezpieczeniowe hurtem kwalifikują do leczenia ambulatoryjnego. Pacjenci przebywający na tym oddziale byli na lekach psychotropowych. Każdy z nich mógł bez ostrzeżenia wpaść we wściekłość lub dostać halucynacji. W ich umysłach panował kompletny chaos, czy to z powodu traumatycznych przeżyć, maltretowania, czy uzależnienia od narkotyków lub alkoholu. Być może dzieci te nigdy nie będą mogły normalnie żyć niezależnie od tego, jak dużą pomoc otrzymają. Dzieci są mniej odporne, niż sądzą dorośli.

Pomyślałem o morderstwie, którego Billy był świadkiem w Rosji, i jego niewątpliwych traumatycznych przeżyciach z sierocińca. Nie ma się co dziwić, że chłopiec, którego świat legł w gruzach, ma skłonność do destrukcji. Czyż to nie oczywiste, że szalejący pożar mógł mu się wydać czymś równie miłym jak powrót do domu po długiej podróży? Czy nie mógł czuć pokusy, by ponownie przeżyć paniczny strach, patrząc w oczy maltretowanego zwierzęcia? A potem przyszła mi do głowy jeszcze bardziej niepokojąca myśl: Czy przyglądanie się przybranej siostrzyczce spazmatycznie łapiącej oddech nie było dla niego odbiciem dławiących jego samego emocji?

Weszliśmy do gabinetu doktor Mossberg: pomieszczenia osiem na dziesięć stóp zastawionego stosami książek i czasopism medycznych.

– Proszę – powiedziała, wskazując na krzesło obok biurka.

Podszedłem do niego, uważając, żeby się nie potknąć o któryś ze stosów. Zdjąłem z siedziska dwutomowe wydanie poezji Tennysona oraz *A Childhood* Harry'ego Crewsa i usiadłem. Niemal na wprost mnie znajdował się jedyny przedmiot wiszący na ścianie w tym gabinecie: mierzący trzy na cztery stopy obraz przedstawiający niebieskiego psa o białym pysku i wielkich spiczastych uszach. Pies siedział wśród zielonych pagórków oraz niebieskoczarnych dębów i pytająco spoglądał wielkimi złotymi oczami na pokój, jakby kogoś wypatrywał.

– Interesujący obraz – zauważyłem.

– Niebieski Pies? Pomaga mi skłonić dzieci do rozmowy. Czasem mówią mu rzeczy, których mnie nie powiedziałyby za żadne skarby, a ja tylko podsłuchuję.

– Wygląda, jakby nasłuchiwał się wielu opowieści.

– To przez te duże uszy – zażartowała Mossberg i uśmiechnęła się.

Dobrze się czułem w pokoju doktor Mossberg i w jej towarzystwie. Umiejętność wzbudzania takich uczuć jest niezwykle ważna dla psychiatrów, ale bardzo u nich rzadka. Tylko jeden na pięćdziesięciu ma ten dar.

– Widzę, że lubi pani perły – powiedziałem, wskazując na jej naszyjniki.

– Podoba mi się nauka, jaka z nich płynie – odparła. Sięgnęła do szyi i przez

chwile obracała jedną z pereł między palcami. – Ziarenko piasku potrafi być dokuczliwe, lecz małe przemienia je w coś przepięknego. Bez ziarenka piasku małe nie zademonstruje pełni swoich możliwości. Tak samo jest z ludźmi.

– Zgadza się. Wyczuwam w pani bratnią duszę.

Uśmiechnęła się.

– Możliwe. Znam pańskie prace. Miał pan do czynienia z fascynującymi przypadkami.

Od czasu do czasu trafiam na kogoś, kto przeczytał o mnie w „Annals of Psychiatry”, magazynie „People” lub innym czasopiśmie, które zamieściło mój portret. Działo się to w czasach, gdy brałem jedną sprawę kryminalną za drugą, a każda była bardziej przerażająca od poprzedniej. Ale od tej pory wiele się zmieniło. Stałem się innym człowiekiem i nie miałem ochoty rozmawiać o tym wszystkim z doktor Mossberg.

– Kilka lat temu zrezygnowałem ze spraw kryminalnych. Normalnie nie zająłbym się takim przypadkiem jak Billy. Zgodziłem się przeprowadzić z nim wywiad na prośbę przyjaciela z policji.

Nie podchwyciła aluzji.

– Nieczęsto trafia się taki psychopata jak ten chirurg plastyczny. Gdzie to się wydarzyło? W Lynn w Massachusetts? W szpitalu stanowym, zgadza się?

– Zgadza – przyznałem.

– Doktor Trevor Levitt.

Wolałbym, żeby przestała.

– Nie, Lucas – poprawiła się. – Trevor Lucas. Wziął zakładników. Pielęgniarki, pacjentów i innych.

– Owszem.

– A pan go przekonał, żeby ich uwolnił. Czulem pulsowanie w skroniach.

– Nie wszystkich. Lucas zdążył paru zaszlachtować, zanim mogłem ogłosić swoje zwycięstwo i pozować do zdjęć w gazetach. Ludzie zwykle zapominają o tym drobnym szczególe.

– Przepraszam. Przypominam sobie, że oszpecił jedną starszą kobietę – nożem.

Nie odpowiedziałem.

– I jeśli mnie pamięć nie myli, na innym zakładniku przeprowadził jakiś brutalny zabieg neurochirurgiczny, prawda? – Pokręciła głową. – Podziwiam, że w ogóle odważył się pan pójść do niego...

Czoło miałem złane potem. Wytarłem je rękawem koszuli.

– To dla mnie bardzo bolesne wspomnienia. Nie lubię o nich mówić.

Mossberg poprawiła się na krześle i przyjrzała mi się uważnie.

– Rozumiem – powiedziała z nutką terapeutycznej łagodności.

Wiedziałem, o czym myśli. Na jej miejscu myślałbym to samo: Jeśli nie potrafisz mówić o jakichś swoich wspomnieniach, znaczy to, że twój umysł jest nimi owładnięty. Nie byłem jednak gotów podjąć wysiłku uwolnienia się od tłumionych emocji, zresztą nie po to tu przyszedłem. Przyszedłem, by zdobyć jakieś wskazówki, które pomogłyby mi rozwiązać tajemnicę morderstwa kilkumiesięcznej dziewczynki i zapobiec zamordowaniu jej siostry bliźniaczki. Wyprostowałem się na krześle.

– Co może mi pani powiedzieć na temat Billy’ego Bishopa? – rzuciłem wyzywająco.

Zmrużyła oczy i zacisnęła usta, jakby wydała ostateczną diagnozę. Jeśli doktor Mossberg była taka bystra, za jaką ją brałem, odgadła właściwie: coś na kształt pełnoobjawowego zespołu stresu pourazowego. Minęło kilka chwil.

– W porządku – odezwała się wreszcie. – Przepraszam, że się wtrącam. Weszło mi w nawyk, że pcham się tam, gdzie mnie nie chcą.

– Nic nie szkodzi. Rozumiem.

Kiwnęła głową – Jeśli chodzi o Billy’ego... – zaczęła, przechodząc do poruszonego przeze mnie tematu – uważam, że jest on bardzo niebezpieczny. Sprawia wrażenie młodego człowieka bez sumienia. Nie dziwi mnie, że odebrał życie siostrze.

– Na jakiej podstawie pani tak twierdzi?

– Oczywiście nie na podstawie tego, co mi sam powiedział. Z ochotą mówi o Nantucket, Manhattanie, sporcie, telewizji i wszystkim, co nie dotyczy śmierci córki Bishopa czy jego przeżyć z Rosji. Unika tych tematów jak ognia.

– Mogę go zrozumieć.

– W to nie wątpię – rzuciła i zawiesiła głos, by podkreślić swoją myśl.

– Rozmawiamy o Billym – przypomniałem jej delikatnie. – Obiecuję, że nad sprawami, których sam unikam, popracuję innym razem.

– Ma pan rację. Zgubiłam wątek. – Mrugnęła do mnie. – Wracając do Billy’ego, najbardziej mnie martwią wyniki testów psychologicznych, które przeprowadziliśmy wczoraj tuż po przyjęciu go na oddział.

Na podstawie testów psychologicznych, takich jak kwestionariusz osobowości MMPI, test pamięci wzrokowej Bender Gestalt czy test Rorschacha, dokonuje się wielostronnej oceny pacjenta. Mają one określić, czy badany cierpi

na chorobę psychiczną, oraz rozpoznać jego podstawowe cechy charakteru, a także to, co myśli o sobie i jak reaguje na otaczający go świat.

– Czy współpracował z badającym?

– Niezupełnie. Wynik na skali kłamstwa wskazuje, że na wiele pytań dawał nieprawdziwe odpowiedzi. Tak bardzo się starał wypaść na całkowicie zdrowego psychicznie, że nie podpisywał się pod żadną oznaką lub symptomem zaburzeń psychicznych. Swój nastrój w skali od jednego do dziesięciu oceniał na dziesięć. Twierdził, że w plamach z testu Rorschacha widzi tylko wesołe obrazy. Żadnej krwi. Żadnych potworów. Żadnej przemocy. Mówił, że „zawsze” znajduje dobry kontakt z ludźmi i nic go nie drażni w ich postępowaniu.

– Czy badanie dostarczyło jakichś użytecznych danych?

– Owszem. – Doktor Mossberg wzięła z biurka skoroszyt i otworzyła go na pierwszej stronie. – Na początek najważniejsze: Billy jest bardzo inteligentny. Jego IQ wynosi 152. W tym wypadku to dobrze i źle.

– Dlaczego źle?

– Dlatego, że jego inteligencji towarzyszy moralna pustka. Pozwala mu to być jedynie bardziej przebiegłym drapieżnikiem. W częściach projekcyjnych testu jego odpowiedzi były bardzo egocentryczne. Patrzył na ludzi niemal wyłącznie przez pryzmat ich przydatności dla niego. – Przewróciła kilka kartek. – Poproszono go na przykład, żeby skomentował rysunek przedstawiający policjanta ścigającego przestępcę. Mężczyzna trzymał w garści plik banknotów. Jedyne, co Billy miał do powiedzenia, to: „Gdybym ja miał tę forszę, nigdy by mnie nie dogonił”. Na namowy badającego, żeby jeszcze coś dodał, rzucił: „Też kiedyś załatwię sobie spluwę”.

– Nie napomknął, że ten człowiek zrobił coś złego? – zapytałam. – Nie zastanawiał się, co by się z nim stało, gdyby go złapali?

Pokręciła głową.

– Nic, co wiązało by się z prawem, moralnością czy karą. – Jeszcze raz zerknęła do raportu. – Na widok rysunku przedstawiającego baseballistę leżącego między bazami i trzymającego się za kolana powiedział: „Nie chciałem latem grać w baseball, ale ojciec mnie zmusił. Głupia gra”.

– Nie wykazał żadnego zainteresowania, dlaczego gracz odniósł kontuzję?

– Najmniejszego – odparła Mossberg, nie podnosząc wzroku. – Trzeci przykład: gdy go poproszono, żeby opisał sytuację na rysunku przedstawiającym zapłakaną kobietę i wyraźnie wściekłego mężczyznę wychodzącego z pokoju, powiedział: „Czy ona musi się tak drzeć? Trudno

wytrzymać w takim hałasie. Facet powinien wrócić i ją uciszyć”.

Wzdrygnąłem się. Przypomniałem sobie, jak Tess, druga bliźniaczka, rozpląkała się, gdy byliśmy z Andersonem w gabinecie Bishopa. Czy płacz małej Brooke mógł tak zdenerwować Billy’ego, że zatkał jej tchawicę?

– Czy zapytała pani Billy’ego wprost o śmierć siostry?

– Tylko ogólnie. Spytałam go, co się stało z Brooke.

– I co?

– Powiedział, że przestała oddychać.

– Czy okazał jakieś emocje?

– Żadnych.

– Wyczuła pani u niego poczucie winy?

– Twierdzi, że nie ma z tym nic wspólnego.

– Ale pani mu nie wierzy.

– No cóż... Nie. Oczywiście, że nie.

– Dlaczego?

Mossberg spojrzała na mnie z ukosa.

– Nie słyszałam, żeby ktoś miał jakieś wątpliwości co do winy Billy’ego. Pan Bishop życzył sobie, by syn do czasu rozprawy pozostał w bezpiecznym miejscu, z dala od mediów. Domyślam się, że ma pan pomóc przygotować linię obrony tak, by można się było powołać na działanie w stanie niepoczytalności.

– Bishop tak powiedział? Spodziewa się, że Billy zostanie oskarżony o zamordowanie Brooke?

– Bez wątplenia. Czyżbym o czymś nie wiedziała? Czy ktoś w Nantucket wątpi, że to Billy zamordował siostrę?

Wziąłem głęboki wdech i wypuściłem powietrze.

– Mniej osób, niż pani sądzi.

5

Laura Mossberg zaprowadziła mnie do pokoju Billy'ego. Pomieszczenie było mniej więcej wielkości jej gabinetu, stało w nim nieduże drewniane biurko, krzesło i tapczan. Billy leżał na brzuchu i spał. Miał na sobie dżinsy i białą bawełnianą koszulkę. Przed drzwiami pokoju siedział z książką młody człowiek wyglądający na studenta.

– Billy znajduje się pod dwudziestoczworgodziną obserwacją – wyjaśniła Mossberg. – Na naszym oddziale zazwyczaj nie trzymamy osób, które dopuściły się przemocy, ale przyjęliśmy go na prośbę dyrektora. Pan Bishop jest najważniejszą darczyńcą naszego centrum medycznego.

Nie zdziwiłem się. Wpływy Bishopa najwyraźniej były bardzo rozległe.

– Rozmowa z Billym nie powinna mi zająć więcej niż pół godziny – oświadczyłem.

– Proszę mnie zawołać, gdy pan skończy – rzekła Mossberg i poszła.

Wszedłem do pokoju. Billy przewrócił się na plecy, odgarnął z czoła niezbyt czyste blond włosy i wlepił we mnie wzrok. A więc jednak nie spał.

– Kim pan jest? – zapytał rozkazująco.

– Frank Clevenger – odparłem, odwzajemniając jego spojrzenie. – Jestem psychiatrą.

W niebieskich oczach Billy'ego zabłyśły iskierki. Chłopak miał szesnaście lat i wyglądał jak typowy nastolatek w okresie przejściowym między dzieciństwem a dorosłością. Miał ładne rysy, które zapowiadały, że wyrośnie na przystojnego mężczyznę. Nos i szczękę miał niemal kobiecą, lecz za rok lub dwa, gdy nabierze ciała i rozrośnie się w barach, ów ślad kobiecości w jego fizjonomii sprawi, że ten amerykańsko-rosyjski syn miliardera będzie wzbudzał zaufanie u kobiet. Jeśli oczywiście nie wyląduje w więzieniu na resztę życia.

– Ojciec pana przysłał – stwierdził.

– Niezupełnie. Twój ojciec zgodził się, żebym się z tobą zobaczył. Pracuję dla policji z Nantucket.

Billy usiadł na tapczanie i uśmiechnął się.

– Podał mi pańskie nazwisko, jeszcze przed wyjazdem z domu. Proszę mi wierzyć: on pana przysłał.

Jego pewnością siebie przypomniała mi Billa Fiska, nastolatka, który popełnił samobójstwo. Oczami wyobraźni ujrzałem, jak chodzi po moim gabinecie

podczas pierwszej wizyty i opowiada głupstwa, jakim to szacunkiem cieszy się na ulicach. Dopiero po kilku miesiącach i pięćdziesięciu spotkaniach zdołałem go przekonać, żeby przestał zgrywać twardziela i opowiedział mi prawdę o sobie. Powinniśmy byli robić jeszcze mniejsze kroczki. Gdzieś bowiem podczas tej wędrówki ścieżkami jego cierpienia straciłem z nim kontakt. Zamknąłem oczy i wróciłem myślami do dnia, gdy odebrałem telefon z wiadomością, że chłopak się powiesił.

– Jesteś jeszcze na antenie, doktorku? – zapytał Billy.

Otworzyłem oczy.

– Jestem – odparłem. Zauważyłem na rękach chłopaka liczne stare blizny, ślady po samookaleczeniach. – Może masz rację. Może naprawdę przysłał mnie twój ojciec. – Przysunąłem sobie krzesło stojące przy biurku, odwróciłem je do łóżka i usiadłem.

– Zapowiada się niezła zabawa – zakpił.

– Tak? Dlaczego?

– Nigdy dotąd nie miałem do czynienia z policyjnymi psychiatrami. Tylko ze zwykłymi.

– I jacy oni byli?

– Mossbergopodobni. Wszyscy – rzucił z uśmiechem pogardy. Uśmiechem swojego ojca. – Mili, łagodni ludzie, którzy czują się bardzo ważni, bo mają klucze do swoich małych księstewek. Mam tu pełno ich nazwisk. – Wskazał na swoją głowę, a potem wycelował we mnie palcem jak pistoletem. Udał, że ściąga język spustowy, mrugnął do mnie i opuścił rękę.

Zapomniałem, że Billy jest drapieżnikiem bez względu na to, czy zabił Brooke, czy nie. Podpalenia i znęcanie się nad zwierzętami świadczyły, że upajał się własną mocą – mocą niszczenia. Chciałem, by wiedział, że nie dam się przestraszyć.

– Nie traćmy czasu na pogróżki – oświadczyłem. Wstałem i podszedłem do drzwi, czując na sobie jego wzrok. Zatrzasnąłem je i odwróciłem się do niego. – Wiem o tobie wszystko. Przewrócił oczami.

– A więc jest pan przemądrzałym jasnowidzem.

– Wiem o pustce, którą czujesz.

– Pustce? Wszamałem niezłe śniadanko na koszt szpitala. Brzuch mam pełny.

– Możesz sobie żartować, ale ona w tobie jest. Przez cały czas i mocno ci dokucza.

Popatrzył przed siebie, przekrzywiając głowę.

– Zobaczmy... dwa jajka sadzone, podsmażane ziemniaki z cebulką...

– Raz jest gorzej, raz lepiej, ale nigdy dobrze – nie ustępowałem. – Czasami czujesz się taki pusty, że aż cię skręca.

Znów uśmiechnął się jak Darwin Bishop, ale nic nie powiedział.

– Może wypalasz skręta i zyskujesz dwie albo trzy godziny ulgi. Ale ta pustka powraca. Kaleczyłeś sobie ręce, gryzłeś się, wyrwalesz sobie włosy, pewnie też czasem zmuszałeś się do wymiotów, aby coś poczuć. Bezskutecznie. Nic nie pomagało.

Z twarzy Billy'ego zniknęła kpina. Odmalowała się na niej niepewność.

Ja jednak nie przestawałem drażnić.

– Są chwile, gdy czujesz w środku taką śmiertelną pustkę, taką wielką zimną czarną dziurę, że zastanawiasz się, czy w ogóle żyjesz. Patrzysz na ludzi dookoła i zachodzisz w głowę, czy są prawdziwi. Może też tylko udają, że żyją.

Potrząsnął głową i spojrzał na mnie spod oka.

– Ile mój ojciec panu płaci za opowiadanie takich głodnych kawałków?

– Nic.

– To jest pan idiota.

– Dlaczego?

– Bo robi pan dokładnie to, czego od pana chce. Mógłby pan na tym zarobić.

Masz do czynienia z projekcją – wtrącił się mój wewnętrzny głos. – To on się czuje, jakby został kupiony.

Posłuchałem wewnętrznego głosu i postanowiłem sprawdzić, czy Billy rzeczywiście jest przewrażliwiony na tym punkcie.

– To ty, frajerze, jesteś własnością swego ojca, a nie ja.

Cała jego odwaga prysła.

– Nie jestem niczyją własnością – rzucił z nienawiścią.

Oho, trafiłem w czuły punkt. Zamierzałem drażnić go aż do korzeni.

– Z tego, co wiem, zostałeś kupiony, chłopcze.

– Pomyłka, Zyguncie. – Na twarz wystąpiły mu rumieńce.

– Darmowa dostawa z Moskwy.

Dolna warga zaczęła mu drżeć.

– A teraz – ciągnąłem – tatuś przekonał się w końcu, że jesteś wybrakowanym towarem, i chce ograniczyć straty.

Billy wzruszył ramionami, ale wyglądało to żałośnie i sztucznie. Wiedział, że tego, co mówię, nie może zbyć wzruszeniem ramion.

– Jazda stąd! – krzyknął. Jego głos przeszedł w pisk. – Wynocha! – Wstał z łóżka. Mierzył prawie metr osiemdziesiąt. Mięśnie ramion miał twarde i napięte. Dłonie zacisnął w pięści.

Nie miałem zamiaru ustąpić. Za bardzo zbliżyliśmy się do prawdy.

– Jeszcze nie skończyłem – oświadczyłem.

Zrobił krok w moją stronę.

Instynktownie spojrzałem na miejsce, w które miałem zamiar trafić go piętą, gdyby się na mnie rzucił. Znajdowało się ono w miejscu zejścia żeber, tuż pod mostkiem.

– Czemu nie przyznasz mi racji? – prowokowałem go. – Kosztowałeś Wina Bishopa cenę biletu w jedną stronę.

Zrobił jeszcze jeden krok.

– Kosztowałem go dużo więcej... – parsknął i urwał.

Zapadła cisza. Cisza zwiastująca poznanie prawdy.

– Przyznaj się – podjąłem. – Nienawidzisz ojca, prawda?

Popatrzył na mnie, jakby chciał odpowiedzieć, ale po chwili wziął głęboki oddech, rozluźnił dłonie i wrócił do łóżka.

– Z tego, co słyszałem, byłeś tak wściekły, że odgrywałeś się na kotach. – Potrząsnąłem głową. – Swoją drogą, ja bardzo lubię koty.

– Co pan tam wie.

– Byłeś tak wściekły, że próbowałeś spalić dom.

– Gdybym chciał go spalić, już by go nie było.

– Ale to ci nie wystarczyło – ciągnąłem. – Więc dobrałeś się do swojej siostrzyczki, Brooke. Chciałeś w niego uderzyć za pośrednictwem dziecka. Jego prawdziwego dziecka.

Odwrócił ode mnie wzrok i spojrzał na jedyne, zakratowane okno w pokoju. Z twarzą w słońcu nagle zaczął bardziej wyglądać na zagubionego chłopca niż młodego agresywnego mężczyznę.

– Chyba wszystko rozumiem – ciągnąłem nieustępliwie. – Stara wyświechtana prawda: „Dobrze mieć towarzysza niedoli”. Czujesz się tak martwy w środku, że jest ci raźniej, gdy widzisz, jak z kogoś innego uchodzi życie. A ponieważ nie masz odwagi dobrać się do ojca – bo tak naprawdę to jego chcesz zabić – wybierasz stworzenia, które nie mogą ci odplacić pięknym za nadobne. Koty, małe dzieci. Bardzo jesteś odważny. – Wstałem. – Dowiedziałem się wszystkiego, co chciałem. – Podeszedłem do drzwi i otworzyłem je.

– Nie wie pan o mnie tego, co najważniejsze – warknął. – Ani o moim ojcu.

Pozwól, żeby ci zdradził to, co najważniejsze – odezwał się mój wewnętrzny głos.

Dostałem gęziej skórki. Poczułem, że drży mi skóra na czaszce. Billy wciągał mnie w swoje cierpienie. Nigdy nic nie dawało mi większego poczucia boskiej mocy niż podróż w głąb czyjejś zranionej duszy. Zamknąłem drzwi i powoli odwróciłem się do Billy'ego.

– Zdradzę panu mały sekret – powiedział. Był śmiertelnie poważny. Zdjął koszulę, rzucił ją na łóżko i stanął z drżącymi, napiętymi mięśniami brzucha i klatki piersiowej.

Zastanawiałem się, czy nie jest to przynęta, która mnie tu zatrzyma do czasu, aż on zbierze się na odwagę i rzuci na mnie. Przeniosłem ciężar ciała na lewą nogę, by w razie potrzeby móc uderzyć prawą stopą w upatrzone miejsce. Ale Billy tylko się odwrócił. Wystarczyło to jednak, żebym niemal stracił równowagę. Całe plecy od łopatek po talię miał poranione, jakby ktoś bił go pasem. Niektóre rany były świeże i otwarte, inne zdążyły się już zagoić i pozostały po nich grube blizny.

– Jeśli chce się pan dowiedzieć, co się stało z małą Brooke – rzekł głucho Billy – może powinien się pan zastanowić, dlaczego staruszek Win zrobił to mnie.

W głowie mi się zakręciło. Próbowałem sobie wyobrazić rezydencję w Nantucket i Darwina Bishopa zamierzającego się pasem na skulonego w kącie Billy'ego, ale umysł podsuwał mi obraz własnego ojca i kamienicy, w której się wychowałem. Jego pas był czarny, miał dwa cale szerokości, około czterdziestu długości i srebrną kwadratową klamrę. Wzbudzał we mnie przerażenie nawet wtedy, gdy ojciec na trzeźwo brał mnie w niedźwiedzi uścisk i mówił, jak bardzo mnie kocha. Teraz w obecności Billy'ego znów poczułem woń alkoholu, którą wydzielalo ciało ojca. Powróciły mdłości i strach, które towarzyszyły mi przez całe dzieciństwo, dopóki nie wyprowadziłem się z domu.

– Ojciec ci to zrobił? – spytałem cicho Billy'ego.

Nie odpowiedział. Ale zgiął się pod ciężarem swojego wyznania.

Podszedłem do niego i wyciągnawszy rękę, niemal dotknąłem jego pleców. Po chwili ją opuściłem.

– Kiedy?

Odwrócił się. Na jego twarzy znów się pojawił sztuczny uśmiech.

– Kiedy tylko przychodziła mu ochota – odparł. – Gdy tu przyjechałem,

staralem się być grzeczny, bo się bałem, że zostanę odesłany do sierocińca, ale on i tak mnie karał, bo to chyba sprawiało mu przyjemność, zwłaszcza gdy sobie wypił. Pomyślałem więc: Po co mam się starać? Po co, kurwa, mam się kimkolwiek przejmować? – Wzruszył ramionami. – Ale potem wydarzyło się coś dziwnego.

– Co takiego?

– Przestało mnie boleć – odparł krótko. – Mógł mnie bić ile wlezie, ale ja i tak nic nie czułem.

– To wtedy zacząłeś się okaleczać? Gryźć?

Wykręcił ramiona, odsłaniając łukowate blizny na wewnętrznej stronie przedramion.

– Trochę to pomogło, ale na krótko.

– Pomogło?

– Cóż, przynajmniej coś czułem. Było mi wtedy dobrze, wie pan. Wiedziałem.

– A koty? Dom? Opowiedz mi o tym.

Usiadł na brzegu tapczanu, patrzył przed siebie.

– Nie wiem, dlaczego to robiłem. Może było tak, jak pan wcześniej powiedział: tak bardzo chciałem kogoś zranić lub coś zniszczyć, bo sam czułem się niszczony. Może chciałem zobaczyć, jak te koty cierpią. Może dlatego, że ja już nie potrafiłem cierpieć. Nie wiem. Wszystko mi się pomieszało. – Spojrzał na mnie. Jego oczy wypełniał smutek. – Mam coś z głową. Nie jestem... normalny. I nigdy nie będę.

Nie mogłem pozwolić, żeby zdekoncentrowało mnie współczucie dla Billy'ego. Potrzebowałem więcej informacji.

– A co się stało z Brooke? Bądź ze mną szczerzy. Obojętnie co się stało, będę próbował ci pomóc. Czy to ty ją zabiłeś?

– Nie – zaprzeczył żarliwie. – Nigdy bym tego nie zrobił. Musi mi pan uwierzyć.

– Ale znalazłeś się tu z tego powodu. Twój ojciec jest przekonany o twojej winie.

– Wiem, że jestem tu przez niego – odparł, odgarniając włosy z czoła – ale on dobrze wie, że to nie ja zabiłem Brooke.

– To dlaczego cię tu wysłał?

– Dlaczego? Bo pewnie sam ją zabił, ale nie ma zamiaru się przyznać. Jak zwykle.

– Czemu twój ojciec miałby zabić własną córkę?

– On nigdy nie chciał córki, nie mówiąc o dwóch. Chciał, żeby matka przerwała ciążę.

– Skąd wiesz?

– Wrzeszczał na nią, żeby to zrobiła. – Billy spojrzał na mnie z ukosa, jakby starał się sobie coś przypomnieć. – Kiedyś obudziłem się w środku nocy i usłyszałem, jak krzyczy: „Pozbądź się jej! Przestań wciąż myśleć tylko o sobie! Przerwij ją albo się wynoś!” Mama płakała i w końcu przyrzekała mu, że to zrobi. Myślę, że nawet poszła do któregoś z tych ośrodków planowania rodziny. Nie zdobyła się jednak na aborcję.

Przypomniałem sobie uwagę Mossberg, że dzięki swej inteligencji Billy potrafi być bardzo przebiegłym kłamcą.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? Dlaczego nie powiedziałeś tego doktor Mossberg lub policji?

– Tylko pan mnie o to zapytał – odparł. Głośno przełknął ślinę. – Muszę wreszcie zaryzykować i komuś zaufać. – Zatrzymał wzrok na moich oczach. – Poza tym myślę, że i tak nie mam nic do stracenia.

Znalazłem Laurę Mossberg w jej gabinecie. Poprosiła, żebym wszedł. Usiałem obok jej biurka. – I co? – zapytała. – Jakiś przełom?

– Tylko jedno, jeśli w ogóle można to nazwać przełomem. Twierdzi, że nie zabił siostry.

– Zapytał pan go o to wprost?

– Owszem.

– Czy wskazał innego winnego?

Nie wiedziałem, czy to, co powiem, Mossberg zachowa dla siebie, czy przekaże Bishopowi. W końcu Billy był nieletni. Jego kartoteka lekarska formalnie należała do jego rodziców. Poza tym Darwin Bishop miał i tak dostęp do wszystkiego, co dzieje się w Payne Whitney, przez swojego przyjaciela, dyrektora centrum.

– Nie – zaprzeczyłem. – Nie ma pojęcia, kto zamordował Brooke.

Kiwnęła głową.

– Pozwoli więc pan, że zadam mu to samo pytanie, które pan zadał mnie: Wierzy mu pan? Czy pana zdaniem ktoś inny mógł zamordować małą? – Bawiła się perłami.

– Na razie nie mam powodów, by mu wierzyć. Jego profil osobowości, przejawy agresywnego zachowania w przeszłości, kłamstwa w standardowych

testach, którym go poddaliście – wszystko to każe mieć poważne wątpliwości, czy mówi prawdę. Byłbym zdumiony, gdyby się przyznał do popełnienia morderstwa.

– Zgadzam się z panem. Ale wygląda pan na zmartwionego. Co pana gnębi?

Wiedziałem, że siedzę z osobą, która ma wprawę w wyławianiu informacji między wierszami.

– Współczuję mu – stwierdziłem, mając nadzieję, że zadowoli się tym wyjaśnieniem. – Jak mówi jego ojciec: Billy nie jest złym chłopcem, ale chorym.

– Czy w takim razie będzie mu pan mógł jakoś pomóc w sądzie? Czy spełnia kryteria, by można było wnosić o uznanie go za niepoczytalnego?

– Ma niezwykle bolesne doświadczenie z dzieciństwa. W Rosji widział, jak mordowano jego rodziców. Można argumentować, że doszło u niego do utraty więzi emocjonalnych, które łączą nas w społeczeństwo. Brak empatii, sumienia może powodować, że nie potrafi panować nad swoimi uczuciami pierwotnymi, takimi jak na przykład patologiczna zazdrość w stosunku do nowych dzieci w rodzinie. Jego agresja może być odruchem obronnym, a nie działaniem z premedytacją. Przekładając to na język prawniczy, mielibyśmy do czynienia z „poważną niezdolnością dostosowania swojego zachowania do wymagań prawa”.

– Brzmi wiarygodnie. Wyniki jego testów psychologicznych potwierdzałyby taką diagnozę.

Spojrzałem w złote oczy Niebieskiego Psa.

– Tak z ciekawości: czy Billy przeszedł standardowe badanie lekarskie po przyjęciu na oddział?

– Nie zgodził się, a my nie widzieliśmy powodu, żeby go zmuszać. Zdaniem swojego ojca fizycznie jest zupełnie zdrowy. – Zawiesiła głos. – Czy ma pan coś konkretnego na myśli?

– Billy ma kilka ran na plecach – wyjaśniłem, obserwując doktor Mossberg. – Niektóre są zabliznione, a inne jeszcze świeże.

Kiwnęła głową.

– To by się zgadzało z tym, co powiedział mi pan Bishop. Podobno Billy bije się paskiem, a także kaleczy, gryzie i wrywa sobie włosy. Moim zdaniem wynika to z jego nienawiści do siebie. Próbuje skierować swoją agresję na siebie, ale nieuchronnie rozlewa się ona na innych.

– Pan Bishop nie powiedział mi o pasku, jedynie o pozostałych zachowaniach.

Mossberg wzruszyła ramionami.

– Może umknęło mu to z pamięci. Może pomyślał, że nie musi panu mówić o wszystkich szczegółach, skoro nie będzie go pan badał.

– Pewnie ma pani rację – zgodziłem się. Równie dobrze ów szczegół mógł „umknąć” Darwinowi z pamięci dlatego, że nie sądził, iż się o nim dowiem.

– A w ogóle, to czemu Billy pokazał panu plecy?

– Przez przypadek – skłamałem. – Zdjął koszulę, żeby mnie zastraszyć. Jest bardzo silny i to widać. Przez chwilę myślałem, że się na mnie rzuci.

– Muszę to zapamiętać. Łatwo mi się robią siniaki. – Mrugnęła do mnie. – Mogę panu jeszcze w czymś pomóc?

– Czy będzie pani próbowała zebrać całą dokumentację lekarską dotyczącą Billy’ego? O ile wiem, leczył się także u innych psychiatrów.

– Wysłaliśmy już prośby w odpowiednie miejsca. Zadzwońię do pana, gdy coś otrzymamy.

– Dziękuję. Będę bardzo wdzięczny.

Zjadłem szybki lunch w podrzędnym barze i zwołałem taksówkę. Zależało mi, by jak najszybciej dostać do ręki informacje na temat oskarżenia o pobicie, wysuniętego w 1981 roku przeciwko Bishopowi. Wcześniej udawało mi się znajdować informacje o różnych sprawach w Biurze Administracji Sądowej, które mieściło się niedaleko Battery Park przy Beaver Street tuż obok Wall Street.

– Pojedźmy Drugą Aleją – poleciłem taksówkarzowi. Uchyliłem trochę okno, by wypuścić zatechłe i przesiąknięte smrodem papierosów powietrze, którym niespecjalnie miałem ochotę oddychać.

– Dlaczego Drugą? – zaproponował taksjarsz, odwracając się do mnie. – Trasą Roosevelta jedzie się szybciej. – Miał europejski akcent, którego nie umiałem zidentyfikować. Może był Rosjaninem.

Zerknąłem na licencję przymocowaną do tablicy rozdzielczej obok plastikowego Jezusa. Kierowca nazywał się Alex Puzick. Wyglądał na sześćdziesięciolatka. Miał zmęczone oczy i był nie ogolony. Nosił białą koszulę, pożółkłą przy kołnierzyku i pogniecioną na rękawach.

– Chcę na chwilę wysiąść przy River House. Nie zajmie mi to więcej niż minutę.

W odpowiedzi dodał gazu i ruszył 67 Ulicą, po czym skręcił w Drugą Aleję.

Patrzyłem tępo na nie kończący się ciąg butików, drogerii i sklepów ze

sprzętem elektronicznym, gdyż myślami byłem przy Tess Bishop – drugiej bliźniaczce. Nawet w połowie nie byłem przekonany o winie Billy’ego. Coś mi mówiło, że morderca wciąż czai się w domu Bishopów.

Zastanawiałem się, czy udałoby mi się przekonać wydział spraw społecznych na Nantucket, żeby przejął opiekę nad dzieckiem do czasu wyjaśnienia sprawy. Jednak szansę na to były niewielkie, gdyż prokurator okręgowy ograniczył dochodzenie do Billy’ego.

Jedynym wyjściem byłoby nakłonić Julię Bishop do umieszczenia córki w bezpieczniejszym miejscu. Wiązało się z tym pewne ryzyko: gdyby powiedziała o moich podejrzeniach mężowi, niemal na pewno zamknąłby przede mną – i przed Andersonem – drzwi swojego domu.

Wciąż się zastanawiałem, czy porozmawiać otwarcie z Julią, kiedy taksiarz odwrócił się do mnie i zapytał:

– Pan stąd?

– Nie. Mieszkam w Bostonie.

– Co pana tu sprowadza?

– Jestem psychiatrą. Przyjechałem do pacjenta.

Przez chwilę przyglądał mi się we wstecznym lusterku, po czym znów przeniósł wzrok na ulicę.

– Musi pan być dobry, skoro sprowadzili pana aż z Bostonu.

– Siedzę w tym już trochę czasu.

Kiwnął do siebie głową.

– Leczy pan schizofreników? – zapytał po dłuższej chwili. – Miał pan takich pacjentów?

– Wielu.

Znowu pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

– Dlaczego pan pyta? – zagadnałem go.

– Mam córkę – odparł. – Dwudziestosześcioletnią.

– Choruje na schizofrenię?

– Od siedemnastego roku życia. – Ostro skręcił w 52 Ulicę. – To moje jedyne dziecko.

Nie odezwałem się. Nie chciałem słuchać kolejnej historii, jakbym się obawiał, że moje własne życie się rozpadnie i zagubi wśród przepływających mi przez pamięć tysiące epizodów z życia innych. Znowu wyjrzałem przez okno.

– Ma na imię Dorota – odezwał się Puzick. – Mieszka w Polsce razem z matką. W Warszawie.

Teraz historia miała nazwę i miejsce oraz matkę i ojca. Te drobne szczegóły wystarczyły, by rozwiać moją niechęć do wysłuchania jej dalszego ciągu. Gdybym miał być skałą, najpewniej byłby ze mnie pumeks – twardy z zewnątrz, ale wchłaniający wszystko jak gąbka.

– Jak to się stało, że pan mieszka tutaj, a one tam? – zapytałem.

– Zostawiłem je – odparł krótko Puzick. – Uważaj, starucho! – Gwałtownie skręcił kierownicą, aby nie potrącić starszej kobiety, która wtargnęła na jezdnię.

– Zostawiłem je – powtórzył.

– Dlaczego?

– Zakochałem się w Amerykance. Nie chciałem się znowu żenić. – Wzruszył ramionami – Wyjechałem, kiedy Dorota miała dziewięć lat. – Nagle zjechał do krawężnika i oznajmił: – River House.

Otworzyłem drzwi, ale nie wysiadłem.

– Dziewięć lat – powtórzyłem.

Zmarszczył brwi.

– Niech pan idzie. Załatwi, co ma pan załatwić. Ja poczekam.

Wzdłuż chodnika stał sznur czarnych limuzyn z szoferami.

Wysiadłem i spojrzałem na River House. Odmowną, otwartą teraz bramę z kutego żelaza osadzono na wapiennych słupach z napisem „Teren prywatny”, zwieńczonych figurami orłów z głowami obróconymi do siebie. Za bramą był wyłożony granitową kostką podjazd, który oddzielał wspaniałą, tonącą w zieleni dziedziniec od wejścia do budynku pilnowanego przez dwóch odźwiernych stojących pod rozłożystą zieloną markizą.

Miejsce to emanowało beczasowością, bezpieczeństwem i elitarnym spokojem.

Zadarłem głowę, by przypatrzeć się budynkowi, który zajmował cały kwartał. Miał piętnaście pięter, z których trzy pierwsze wzniesiono z wapienia, a pozostałe z cegły. Mur miejscami porastał bluszczem. Narożny penthouse, który Darwin Bishop nazywał swoim domem, zajmował dwie kondygnacje. Wyróżniał się ciągiem kolumn wysokich na dwa piętra i ogromnym tarasem, który miał bez mała sto metrów kwadratowych.

Zszedłem nad brzeg East River i spojrzałem na panoramę rozciągającą się pomiędzy Queensboro Bridge po lewej stronie a Williamsburg Bridge po prawej. Miałem przed sobą słynne symbole amerykańskiego przemysłu: gigantyczne kominy, budynek Citibanku i słynny neon Pepsi-Coli. Mój wzrok prześlizgnął się ponad nimi i zatrzymał na urokliwych ruinach na Roosevelt Island.

Miałem to, po co tu przyszedłem: namiastkę uczucia wielkości, którego Darwin Bishop musiał doznać, gdy kupił tu mieszkanie. Obejmował w posiadanie nieruchomość znajdującą się w centrum cywilizowanego świata – bezpieczną przystań oddaloną o niecałą milę od hotelu Waldorf-Astoria, katedry św. Patryka, Radio City Music Hall i Central Parku. Tu nikt nie mógł powiązać go z facetem z Brooklynu figurującym w kartotece policyjnej. Ruszyłem z powrotem do taksówki.

– Już? – zdziwił się Puzick. – Tak szybko się pan uwinął?

– Sprężyłem się.

– Tam podobno kiedyś mieszkała Garbo – poinformował mnie, pokazując na budynek stojący po przeciwnej stronie River House.

– Garbo? – powtórzyłem. – Naprawdę?

– Tak mówią. – Ruszył z powrotem w stronę Pierwszej Alei, zmierzając do Trasy Roosevelta, by nią pokonać resztę drogi do centrum. Dwa razy spojrzał na mnie we wstecznym lusterku, ale nic nie powiedział.

– Odwiedza pan córkę w Polsce? – zachęciłem go.

– Co roku, przysięgam na Boga. Ale widocznie za rzadko... – Głos mu zamarł.

Wiedziałem, czego Alex Puzick poszukuje. Przebaczenia. Spojrzałem na plastikowego Jezusa przyklejonego do deski rozdzielczej.

– To, że pan odszedł od żony, nie wywołało choroby córki.

Nie odwrócił się, nawet nie spojrzał w lusterko.

– Tak pan sądzi? – powiedział to tak, jakby się modlił, żeby to była prawda.

– Widzę, że się pan tym zadrecza. Martwi się pan o córkę.

Westchnął.

– Powinienem był z nimi zostać – mruknął bardziej do siebie niż do mnie.

Może tak, a może pogorszyłoby to tylko sprawę. Mogłem jedynie być pewien tego, że człowiek, którego znałem zaledwie od piętnastu minut, cierpiał tak bardzo, że udzielał mi się jego ból.

– Opuścił pan żonę i córkę, bo się pan zakochał. To znaczy, że działał pan z porwy serca. Zachował się pan uczciwie wobec siebie. Nie wiem, co sprawiło, że Dorota utraciła władzę nad swoimi emocjami, ale na pewno nie to.

– Mówi to pan z taką pewnością...

– Wykonuję tę pracę od bardzo dawna. – Nachyliłem się do niego. – Wiem, co mówię.

Wyraźnie się odpreżył.

– Zobaczą się z nimi w następnym miesiącu. Za pięć tygodni.

Opadłem z powrotem na siedzenie.

– W porządku.

Żaden z nas już się nie odezwał, póki nie zatrzymaliśmy się na Beaver przed numerem 25. Wsiadłem z taksówki i podszedłem do okna z przodu, żeby zapłacić Puzickowi.

– Na koszt firmy – oświadczył.

Taksometr wybił jedenaście dolarów i trzydzieści centów. W ręku trzymałem dwudziestkę.

– Nie musi pan tego robić.

– Nie muszę. Pan też nie musiał. Jesteśmy kwita.

Pojechałem windą na siódme piętro do Archiwum Akt Sądowych, gdzie dwóch urzędników usiłowało się uporać z kilkunastoosobową kolejką. Musiałem czekać niemal godzinę, nim przyszła moja kolej. Kiedy stanąłem przy ladzie, bardzo młoda Azjatka z poważnym wyrazem twarzy i wielkimi okrągłymi srebrnymi kolczykami w uszach poinformowała mnie, że za sprawdzenie w bazie danych kryminalnej przeszłości Darwina Bishopa muszę zapłacić szesnaście dolarów. Wydruk będzie zawierał numer sprawy i postanowienie, jakie zapadło w każdej ze spraw, które wytoczono Bishopowi od połowy lat siedemdziesiątych. Nie miałem nic przeciwko płaceniu, ale mina mi zrzedła, gdy urzędniczka poinformowała mnie, że po wydruk mam przyjść następnego dnia.

– Współpracuję z policją nad pewną sprawą – oświadczyłem. – Te dane są mi potrzebne na dzisiaj. Naprawdę.

– Jest pan policjantem? – zapytała z niedowierzaniem.

– Psychiatrą – odparłem. – Ale pracuję dla policji nad sprawą dotyczącą rodziny Darwina Bishopa.

– Psychiatrą. Nie może być. – Niemal się uśmiechnęła. – Nie wygląda pan na psychiatrę.

– Już mi to mówiono – odparłem zgodnie. – Wiele razy. – Wyciągnąłem portfel i pokazałem swoją licencję lekarską.

– Tu jest napisane Massachusetts – oświadczyła, wskazując na dokument.

– Bo tam mam gabinet, ale biorę też sprawy z innych stanów.

Tę jedną sprawę – upomniał mnie mój głos wewnętrzny. – *Ta jedna sprawa i na tym koniec.*

W duchu przyznałem mu rację. Psychiatria sądowa kosztowała mnie niemal

ustratę zmysłów. Nie chciałem już więcej ryzykować.

Urzędniczka spojrzała na mnie, jakby chciała sprawdzić, czy jestem z nią szczerzy, po czym potrząsnęła głową.

– Jeśli pan kłamie, to jest pan bardzo dobrym kłamcą. – Odwróciła się i zniknęła za przepierzeniem. Dziesięć minut później wróciła z wydrukiem komputerowym. Złożyła go i wsunęła do koperty. Podała mi ją, ale zanim zdążyłem ją od niej odebrać, cofnęła rękę.

– Robimy to niezwykle rzadko – oznajmiła. – Niezależnie od tego, kto nas prosi.

– Doceniam pani uprzejmość.

Oddała mi kopertę.

Wyszedłem z biura, usiadłem na pobliskiej ławce, wyciągnąłem wydruk i zacząłem czytać.

Wyciąg z archiwum sądowego wg stanu na 24/06/2002

Strona 1 / 1

Nazwisko, imię: Bishop, Darwin G. Data ur.: 11/05/1948

Miejsce ur.: Brooklyn Nr akt: 507950C0

Płeć: M Nr ub. społ: 013-42-1057 Matka: Norma Erickson Ojciec: Thomas

Miejsce zamieszkania: Park Avenue 240

Przynależność etniczna: Biały

Inne używane nazwiska: Brak

Data: 22/05/95 Manhattan Nr sprawy: 6656 CR952387

Wydział Kryminalny

Przestępstwo: Spowodowanie zagrożenia życia i bezpieczeństwa

Decyzja sądu: Oskarżenie oddalone

Data: 22/05/95 Manhattan Nr sprawy: 6656 CR952388

Wydział Kryminalny

Przestępstwo: Prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu

Decyzja sądu: Oskarżenie oddalone

Data: 06/09/81 Manhattan Nr sprawy: 7513 CR811116

Wydział Kryminalny

Przestępstwo: Przemoc w rodzinie

Decyzja sądu: Skazany (zwolniony warunkowo)

Data: 23/07/80 Manhattan Nr sprawy: 4912 CR800034

Wydział Kryminalny

Przestępstwo: Złamanie zakazu zbliżania się do żony (Ustawa o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie)

Decyzja sądu: Skazany (zwolniony warunkowo)

To, co przeczytałem, nie nastroiło mnie optymistycznie. Sprawa z 1981 roku najprawdopodobniej dotyczyła pobicia przez Bishopa pierwszej żony, Lauren. Co nastąpiło po innym niepokojącym zdarzeniu, z 1980 roku, które musiało być na tyle poważne, że sąd zakazał Bishopowi zbliżać się do żony – który to zakaz w tym samym roku Bishop złamał. To by było na tyle, jeśli chodzi o wypowiedź „Nigdy nie miałem lepszej przyjaciółki”, której udzielił dziennikarzowi magazynu „New York” zapytany, dlaczego rozwiódł się z Lauren.

Mimo poważania, jakim się cieszył na Manhattanie i w Nantucket, Bishop zaczynał mi wyglądać na zwykłego alkoholika i gościa maltretującego rodzinę – kombinacja, którą aż za dobrze poznałem na własnej skórze. Myśl, że bił Billy’ego lub zamordował małą Brooke, stawała się coraz mniej nieprawdopodobna.

Zadzwoiłem z holu na komórkę Andersona. Odezwał się natychmiast.

– Właśnie przejrzałem w archiwum sądowym Nowego Jorku wyciąg z akt Bishopa.

– Jaki wyciąg?

– Znalazłem artykuł, którego autor wspomina, że na początku lat osiemdziesiątych Bishop miał sprawę o pobicie. Poprosiłem więc o wszystkie dane dotyczące jego karalności.

– I co?

– Niedobrze. W 1981 roku został skazany za znęcanie się nad żoną. Rok wcześniej naruszył zakaz sądowy zbliżania się do niej. Do tego w połowie lat dziewięćdziesiątych oskarżono go o niebezpieczną jazdę i prowadzenie po pijanemu. Z pomocą F. Lee Baileya załatwił sobie oddalenie zarzutów.

– To stawia Bishopa w zupełnie nowym świetle – zauważył Anderson. – A co z Billym? Wyciągnąłeś coś od niego?

– Twierdzi, że jest niewinny.

– A co ty o tym myślisz?

– Nie wiem. Billy utrzymuje, że był bity przez ojca. Potwierdzają to rany, w których ma całe plecy. Poza tym uważa, że to Bishop zabił dziewczynkę. Podsunął nawet motyw. Według niego Bishop nigdy nie chciał bliźniaczek. Namawiał Julię do aborcji. Kłócili się o to całymi nocami. Ale ona nie ustąpiła.

– A Bishop przywykł do tego, że zawsze stawia na swoim.

– Właśnie. – Wzięłam głęboki oddech. – Nie zapominajmy jednak, że Billy nie jest świętoszkiem. Jest socjopatą niezależnie od tego, czy zamordował Brooke, czy nie. Może kłamać, oskarżając ojca o niechęć do dziewczynek. A rany, które mi pokazał, mógł zadać sobie sam.

– Sprawa się coraz bardziej komplikuje. Jest jeszcze jedno.

– Co takiego?

– Mój przyjaciel Sal Ferraro, prywatny detektyw z Brooklynu, powęszył trochę dla mnie. Okazało się, że praca Claire Buckley wykracza poza tradycyjnie rozumiane obowiązki niani. Tylko w tym roku jeździła z Darwinem Bishopem do San Francisco, Chicago, Palm Beach, Londynu i Buenos Aires. Żaden inny członek rodziny nie miał w tym czasie zarezerwowanego miejsca na lot którąś z dużych linii lotniczych.

– Może być asystentką albo kimś w tym rodzaju – podsunąłem, sam w to nie wierząc.

– Zdaniem Sala, w każdym hotelu mieli zarezerwowany tylko jeden pokój. Jak na dwa posiłki, obsługa hotelowa wystawiła im nazbyt długie rachunki. Wina i szampana też zamawiali od cholery.

– Mężczyzna ma swoje potrzeby.

– Gdybym był Darwinem Bishopem i starał się poderwać nianię swoich dzieci, a może zrobić ją panią Bishop numer trzy, nie podobałoby mi się, że moja obecna żona obarcza mnie dwójką dzieciaków. Uważałbym to za bezpośrednie zagrożenie dla swoich przyszłych planów.

Skrzywiłem się, próbując ocenić, w jakiej mierze sprzeczne uczucia Andersona związane z tym, że ma zostać ojcem, wpływają na jego ogląd sprawy. Ale pasował mi scenariusz, który zarysowałem, gdyż był logiczny. Z mojego punktu widzenia Darwin Bishop zaczynał wyprzedzać Billy'ego jako główny podejrzany w sprawie o zamordowanie małej Brooke.

– Bishop to facet, który od nowa zbudował swój wizerunek. Jak Jay Gatsby. Wychował się w biedzie, ale zamaskował swoje brooklyńskie pochodzenie

i akcent i zatknął flagę na Upper East Side i Nantucket. Zaszedł na sam szczyt. Wątpię, by łagodnie potraktował kogoś, kto mu przeszkadza w realizacji planów. Może wręcz uważać, że ludzie, którzy stają mu na drodze, chcą go wykończyć, gdyż próbują zniszczyć jego obraz samego siebie. Będzie się bronił, może nawet uciec się do ostateczności, jeśli uzna, że tak trzeba. – Zawiesiłem głos. – Co można zrobić, żeby ochronić drugie dziecko? – zapytałem.

– Chyba niewiele – odparł Anderson. – Biuro prokuratora postanowiło oskarżyć Billy’ego o morderstwo. Tom Harrigan idzie dzisiaj do sądu, żeby uzyskać nakaz aresztowania i sprowadzić chłopaka do Massachusetts. Nie wygląda na to, by w Nowym Jorku robili mu trudności. Argument, że Tess Bishop może zagrażać inny członek rodziny, nie przejdzie.

– Nawet jeśli to prawda?

– No cóż, chciałbym, żeby zawsze chodziło o prawdę, Frank. Witaj w moim świecie.

Poleciałem z powrotem do Bostonu i wróciłem do domu o dwudziestej pierwszej trzydzieści. Odsłuchałem automatyczną sekretarkę i znalazłem wiadomość od Julii Bishop. Serce zabiło mi mocniej. Po części z tego powodu, że mnie tym zaskoczyła, a po części dlatego, że jej głos wzbudził we mnie uczucia, jakich nie doświadczyłem od rozstania z Kathy. Był to głos osoby inteligentnej, ale niepewnej. Julia chciała się ze mną zobaczyć sam na sam, ale nie powiedziała dlaczego. A ja uświadomiłem sobie, że nie tylko mam ochotę się z nią zobaczyć, ale wręcz pragnę tego, a to pragnienie, jak powinienem był się od razu domyślić, zwiastowało kłopoty.

Julia podała inny numer telefonu niż do rezydencji Bishopów w Nantucket, który uzyskałem w informacji. Wystukałem go, mając nadzieję, że będzie mogła swobodnie rozmawiać.

– Słucham? – odezwała się.

– Mówi Frank Clevenger.

– Cieszę się, że pan zadzwonił.

– Gdzie pani jest?

– U przyjaciół. Tu, na wyspie. Ale wkrótce muszę wracać do domu.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Czy możemy się spotkać? – W jej głosie pobrzmiewało zaniepokojenie, a nawet coś jakby strach. – Mogę jutro przyjechać do Bostonu. Win przez cały dzień ma w domu spotkania w interesach.

– Oczywiście. Myśli pani o jakimś konkretnym miejscu?

– Niech pan sam wybierze. Będę w mieście o pierwszej.

– Może restauracja Bomboa? – zaproponowałem. Lokal krył się w małej uliczce i w godzinach popołudniowych było w nim niewielu ludzi. – To w samym centrum, przy Stanhope, tuż za skrzyżowaniem z Mistral. Wie pani, gdzie to jest? Będę czekał przy barze.

Przy barze... to zwiastuje nowe kłopoty – odezwał się mój wewnętrzny głos.

– A zatem do zobaczenia – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Nie wiedziałem, dlaczego właściwie Julia chce się ze mną spotkać, ale zorientowałem się, że otrzymałem zaproszenie, by wnikać w stosunki panujące u Bishopów. Ucieszyło mnie to, bo oznaczało, że zbliżam się do poznania prawdy, ale i zmartwiło, gdyż czułem, że podróż ta może się zakończyć w bardzo

ciemnym miejscu.

Byłem zmęczony i postanowiłem się przespać. Rozebrałem się i położyłem do łóżka, ale mój umysł nie chciał się wyłączyć. Wciąż zastanawiałem się nad tym, co mi powiedział Billy o biciu przez ojca, nad tym, czego się dowiedziałem o Bishopie z wykazu jego spraw kryminalnych, i nad tym, co mi mówił North Anderson o romansie Darwina Bishopa z Claire Buckley. Jeśli Bishop krył swoje prawdziwe oblicze pod maską dżentelmena i chciał za wszelką cenę wymazać z pamięci pewne fragmenty swojego życia, nie miałby wielkich oporów przed zlikwidowaniem drugiego człowieka. W głęboko wypartym bólu tli się ogień, który ma ten niemiły zwyczaj, że niepostrzeżenie rozprzestrzenia się i trawi wszystko dookoła.

Być może przez podkładanie ognia i znęcanie się nad zwierzętami Billy wyrażał skłonności niszczycielskie, jakie przejawiał jego ojciec. Billy byłby więc, jak to określają psychiatrzy, wyznaczony na pacjenta, czyli kimś, kogo rodzina uważa za osobę nienormalną lub czarną owcę, gdy w rzeczywistości jest to po prostu człowiek mniej odporny na rodzinne patologie.

Pozostawała jeszcze Claire Buckley. Wielka niewiadoma. Wiedziałem o niej tylko tyle, że gra rolę powierniczki Julii i osoby służącej jej radą, a zarazem sypia z jej mężem. I to właśnie jej Julia powierzyła opiekę nad drugą bliźniaczką, Tess. Cieszyłem się na jutrzejsze spotkanie z Julią. Miałem nadzieję, że może uda mi się ją przekonać, by wywiozła dziecko z domu – do dziadków lub kogoś innego.

Po półgodzinie przewracania się z boku na bok doszedłem do wniosku, że tej nocy mocny sen nie jest mi pisany. Wstałem, włożyłem dżinsy, czarną koszulę i buty, zszedłem na dół i wsiadłem do samochodu. Miałem ochotę się czegoś napić i po namyśle zdecydowałem się na kawę w Cafe Positano.

Gdy wszedłem do środka, przy barze zobaczyłem swojego niepokornego przyjaciela adwokata (i byłego pacjenta) Carla Rossetiego. Długie czarne włosy miał splecione w warkocz. Usiadłem obok niego i skinałem na Maria.

– Co słychać, szefie? – zapytał mnie na powitanie Rossetti. Zanim zdażyłem mu odpowiedzieć, wyciągnął mały palec, żeby się pochwalić pierścieniem z diamentem, lekko licząc dwukaratowym. – Podoba ci się? – Zaciągnął się papierosem.

– Niezły – przyznałem. – To znaczy, jeśli masz zamiar się zaręczyć i dać go swojej dziewczynie.

Uśmiechnął się i wydmuchnął cienką strużkę dymu w stronę srebrzystego

blaszanego sufitu. Pewnie pomyślał, że żartuję.

– Dał mi go Scotty Deegan jako zapłatę za moje usługi – oświadczył. – Miał sprawę o narkotyki przed sędzią McClure'em z Sądu Federalnego. Posiadanie i zamiar puszczenia w obieg pięciuset funtów trawki. Załatwiłem mu trzydzieści sześć miesięcy w Allenwood. Łatwa odsiadka. Po dwóch latach może już być na wolności. Udało mu się.

– Zwrócił się do właściwej osoby – zauważyłem. Mówiłem serio: gdybym sam miał kłopoty, w pierwszej kolejności zadzwoniłbym do Rossettiego.

Wyciągnął rękę, aby przyjrzeć się kamieniowi pod światło.

– Nigdy nie wydałbym kasy na coś takiego, ale jak samo wpadło, to co mi tam. – Wzruszył ramionami.

– Nie tylko na mój, ale i na twój gust jest nieco zbyt krzykliwy. A to daje wiele do myślenia.

– Cóż, czasem trzeba trochę nagiąć swoje zasady. – Klepnął mnie w ramię. – No, ale gadaj, co słyhać w twoim świątku. Wciąż kręcisz z tą piękną Brazylijką?

Miałem wrażenie, jakby od tamtego czasu upłynęło kilka nocy. Przed oczami stanął mi widok Justine ubierającej się tego ranka, gdy wpadł do mnie North Anderson.

– Nie, wróciła już do Brazylii. Ja też bym tam był, gdybym nie dał się namówić na sprawę Bishopa. Pamiętasz, zabójstwo dziecka w Nantucket.

– Oczywiście. Chłopak z Rosji. Będzie się starał o uznanie za niepoczytalnego?

– Nie sądzę. Twierdzi, że tego nie zrobił.

Uśmiechnął się.

– A co miałby powiedzieć? Ma adwokata?

– Nic o tym nie wiem.

– Szepnij za mną słówko, jeśli będziesz miał okazję.

– Dwa dni temu byłeś pewny, że chłopak jest winny.

– Co z tego? I tak będzie potrzebował adwokata. Przydałoby mi się trochę kasy. Moi klienci nie są miliarderami.

Mario przyniósł mi kawę. Upiłem łyk, a następnie wycygałem od Rossettiego papierosa, zapaliłem go i mocno się zaciągnąłem.

– Możesz mi powiedzieć, co wiesz o tej sprawie? – zapytał.

Rossetti wygląda osobliwie, ale jest niezwykle bystry. Ucieszyłem się, że mam okazję porozmawiać z nim o informacjach, które zebrałem w sprawie Bishopa.

– Dogrzebałem się, że Darwin Bishop, ojciec chłopaka, był oskarżony o przemoc w rodzinie. Pobił swoją pierwszą żonę. Naruszył również wydany przez sąd zakaz zbliżania się do niej.

– Żartujesz?

Pokazałem mu wydruk.

– Masz, to wszystko publicznie dostępne dane.

– W takim razie pokornie wycofuję swoją poprzednią opinię.

– Na temat?

– Tego chłopaka z Rosji. Niniejszym uchylam wyrok skazujący.

– Dlaczego?

– Bo aż do odwołania winnym obwołuję ojca, doktorku. Nie obchodzi mnie, ile kotów udusił ten chłopak albo ile razy zsikał się do łóżka.

– Ale na jakiej podstawie tak twierdzisz?

Rossetti uniósł ręce jak dyrygent.

– Jakbyś tego nie wiedział. Mężczyźni, którzy biją kobiety, są inni niż my, prawda? Są stuknięci. Nie mają uczuć. Poza tym każdy, kto jest tak bezczelny, by lekceważyć sobie zakaz sądu, za co może na rok lub więcej trafić do więzienia, także jest inny. Ktoś taki nie rozumie, że wszystko ma granice, że gdzieś się kończy jego życie, a zaczyna życie innych. – Wziął do ręki filiżankę kawy. – Gdyby to któryś z nas miał zakaz zbliżania się, trzymałby się dobre dwanaście mil od strefy zagrożenia. Nie igra się z wymiarem sprawiedliwości, kiedy ucapił cię za kark. – Umilkł i łyknął kawy. – Dodaj jedno do drugiego i mamy okrutną zbrodnię w domu, w którym ojciec znęca się nad rodziną i lekceważy prawo. Stawiam dziesięć do jednego, że to on ją popełnił.

– Nie każdy ojciec znęcający się nad rodziną posuwa się do morderstwa.

– Dlatego mówię dziesięć do jednego, a nie milion do jednego. Gdyby to było takie oczywiste, policja nie potrzebowałaby twojej pomocy. Ta pieprzona komenda kupiłaby sobie nowy radiowóz, zamiast tracić forszę na twoje honorarium.

– W noc zabójstwa dziecka w domu było pięć osób: Darwin Bishop, jego żona Julia, ich dwóch synów, Billy i Garret, oraz niania Claire Buckley. Prokurator okręgowy chce aresztować Billy'ego i oskarżyć go o morderstwo. Jak myślisz, ma duże szanse na wyrok skazujący?

– Spore, jeśli będzie miał zeznanie ojca.

– Ale stary odmawia zeznań. Twierdzi, że zrobi wszystko, by wybronić Billy'ego od więzienia.

– Jakie to szlachetne z jego strony. A co zrobi, gdy zostanie wezwany na świadka? Chcesz wiedzieć, co myślę? Nagle przypomni sobie o jakimś ważnym wydarzeniu z tamtej nocy, które bardzo obciąża Billy’ego. Może nawet odegra całą scenę, że niby nie chciał, lecz musiał to powiedzieć. – Rossetti pokiwał głową. – Ale przypatruj mu się. Nie uroni jednej łzy. Chyba że facet jest lepszy, niż myślę.

– Będę miał oczy szeroko otwarte.

– Radzę ci postarać się o jeszcze jedną parę z tyłu głowy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Grasz teraz w ekstraklasie. Bishop jest miliarderem. Nie wiem, czy w pełni zdajesz sobie sprawę, co to znaczy. Facet ma tysiąc milionów dolarów. To mu daje takie możliwości, o jakich ci się nie śniło. Ma na zawołanie policjantów, polityków i sędziów. Ma potężnych przyjaciół wśród inwestorów, którzy liczą, że nadal będzie dla nich zarabiał pieniądze. Grożąc jemu, grozisz im. Mogą się do ciebie dobrać na tysiąc różnych sposobów. Jesteś spisany na straty.

– Byłem już przyparty do muru – oświadczyłem. O dziwo wcale nie miałem na myśli sprawy, po której rzuciłem pracę z przestępcami, i tej strasznej nocy, kiedy poszedłem na piąte piętro Lynn State Hospital do Trevora Lucasa i zakładników, których ten szaleniec okaleczał. Myślałem o własnym dzieciństwie na trzecim piętrze kamienicy w Lynn, gdy sam byłem zakładnikiem, nad którym znęcał się ojciec alkoholik. To skojarzenie wzbudziło we mnie niepokój. Musiałem się zastanowić, czy moje podejrzenia wobec Darwina Bishopa nie wynikają z urazy, którą czułem do ojca.

Rossetti wydmuchnął następną długą strugę dymu.

– Nie zrozum mnie źle. Wiem, że potrafisz się o siebie zatroszczyć, Franko. Tyle że dotąd nigdy nie miałeś takiego przeciwnika jak Darwin Bishop. Jeśli tak nie uważasz, to ma on nad tobą jeszcze jeden punkt przewagi.

Wzięłem głęboki oddech.

– Będę się oglądał za siebie. – Po roku spędzonym z dala od spraw kryminalnych wystarczyło czterdzieści osiem godzin w tym biznesie, żebym znowu poczuł się zagrożony. Ale nie miałem zamiaru wywieszać białej flagi. – Jeśli ten chłopak nie jest winny, nie pójdzie na resztę życia do pudła. Nie dopuszczę do tego.

– Widzę, że traktujesz tę sprawę bardzo osobiście – zauważył Rossetti.

– Owszem.

– Chcesz posłuchać, gdzie powinieneś poszukać prawdziwego Darwina

Bishopa?

– Wal.

– W Rosji. Tam jest teraz Dzik Zachód. Jeśli Bishopowi udało się legalnie zaadoptować tego chłopaka, to znaczy, że zadaje się tam z bardzo mocnymi facetami.

– Wybudował i sprzedał dwie firmy w Rosji.

– No to musiał się tam paprać w wielu brudach. Mogę zadzwonić do swojego kumpla Wiktora Gołowa, który kieruje rafinerią pod Sankt Petersburgiem. Wiktor zna na wylot tamtejszy świat biznesu.

– Jestem ci winny kawę. – Dopilem swoją i położyłem na barze dziesięć dolarów, żeby zapłacić również za Rossettiego. – Dziś ja stawiam. – Odwróciłem się, żeby odejść.

Rossetti złapał mnie za ramię.

– Dzięki, ale obiecaj mi, że będziesz na siebie uważał, Frank. – Na jego twarzy malowała się głęboka powaga.

Kiwnąłem głową.

– Wkrótce się odezwę. Zadzwoni, jak się czegoś dowiesz od swojego przyjaciela Wiktora.

Ruszyłem z powrotem przez most na Meridian Street i zjechałem na lewo w Spruce. Miałem zamiar skręcić w Winnisimmet i wrócić do domu, ale wiedziałem, że tam czeka mnie przewracanie się w łóżku z boku na bok. Przejechałem na wprost przez targ w Chelsea i skierowałem się w stronę motelu Sir Galahad.

W tym zbudowanym z pustaków budynku, który otaczały hurtownie warzywnicze, mieścił się lokal ze striptizem. Tamtejsze dziewczyny nie nosiły wymyślnych strojów i nawet nie próbowały kłamać, że są studentkami. Nikt zresztą nie udawał, że jest to klub dla dżentelmenów.

Kiedy zajmowałem się sprawami kryminalnymi, byłem namiętym bywalcem Sir Galahada. Mogłem tam poznać nagą prawdę o życiu, żeby móc się wczuć w zazdrość, nienawiść i inne emocje, które wyzwalają w ludziach agresję.

Wpadałem tam również na drinka. I to o nim właśnie myślałem, gdy parkowałem swojego pikapa przed budynkiem. Przez chwilę siedziałem nieruchomo, wpatrując się w błyskający w ciemności różowy neon przedstawiający tancerkę. Wspominałem, jak życie na granicy człowieczeństwa zmuszało mnie do sięgania po szkocką, kokainę, a częściej i jedno, i drugie.

Teraz widziałem, jaka to była porażająca strategia – pozwalać, żeby codziennie rosły odsetki od mojego bólu.

Nie wiem, dlaczego wysiadłem z samochodu. Może sprawiło to wspomnienie ran na plecach Billy’ego albo próba wyobrażenia sobie cierpień niemowlęcia bezskutecznie walczącego o łyk powietrza, lub nawrót uczuć, które niegdyś żywiłem do Kathy. A może żadna z tych rzeczy. Może odezwała się moja dawna skłonność do kroczenia prostą drogą przez świat usłany emocjonalnymi minami.

Niezależnie od przyczyny wszedłem do Sir Galahada. W środku grzmiała muzyka wydobywająca się z kolumn, które wystarczyłyby pewnie do nagłośnienia koncertu rockowego na stadionie. Na ścianach i suficie odbijały się czerwone, niebieskie i purpurowe światła. Usiadłem z przodu naprzeciwko wybiegu, na którym dawała występ blondwłosa striptizerka. Dziewczyna, na oko pod dwudziestkę, była już rozebrana do majtek. Właśnie opuściła je o parę cali ku uciechu kilkunastu kierowców ciężarówek i motocyklistów. Mężczyźni kiwali, mrugali i uśmiechali się do niej. Potem striptizerka szybko podciągnęła majtki, aż napięły się w kroczu. Zerwała się burza oklasków.

– Co pan pije? – zagadnęła mnie pięćdziesięcioparoletnia kelnerka w obcisłych dżinsach i bluzce opinającej chude ciało.

Myślałem, żeby zamówić dietetyczną colę, ale tylko przez sekundę.

– Szkocką – odparłem. – Z lodem.

– Już się robi – rzuciła i ruszyła w stronę baru.

Striptizerka opuściła majtki do kostek, po czym zrobiła krok i strząsnęła je z siebie. Podeszła do mężczyzny siedzącego dwa miejsca ode mnie, który położył na mosiężnej barierce pięć banknotów jednodolarowych. Dziewczyna przegięła się do tyłu i szeroko rozwierając nogi, oparła na wyprostowanych rękach.

Kelnerka przyniosła mi szkocką. Zapłaciłem i uniosłem szklaneczkę, by obejrzeć bursztynową ciecz pod kolorowe światła. Jarzyła się rdzawoniebieskim, rdzawoczerwonym i rdzawo-purpurowym blaskiem. Magiczna tęcza zsyłająca spokój. Podniosłem szklaneczkę do ust i poczułem zapach ojca oraz jego gorący alkoholowy oddech. Następnie, wykręcając głowę, spojrzałem na striptizerkę i zauważyłem na jej brzuchu bliznę po cesarskim cięciu.

Część mnie gorąco pragnęła odrętwienia, chciała tak zaszyfrować przekazy niesione przez chemicznych posłańców w moim mózgu, by zamazać okrutne obrazy, które się w nim pojawiały. Były one zbyt wyraźne. Tak bardzo, że mogły wyrządzić poważną szkodę. Ale inna część mnie zaczynała się zastanawiać,

gdzie teraz może być dziecko striptizerki. Z dziadkiem? Chłopakiem? Samo w domu? A może nie żyje? Gdy na nią spojrzałem, miała przekrzywioną głowę i zamknięte oczy. Chwyciła się za kolana i jeszcze szerzej rozwarła nogi.

Odstawiłem drinka, nie wypiwszy ani kropli.

– Zajebista dupa, co?! – zawołał do mnie ten facet od pięciu dolarów. Miał około czterdziestki i ciało ciężarowca. Ubrany był w bluzę z logo drużyny footballowej New England Patriots i czarną nylonową myckę.

– Bez dwóch zdań – przyznałem.

– Ma tylek pierwsza klasa.

– Pierwsza klasa – zgodziłem się.

– Pracujesz jako spawacz?

W pewnym sensie tak, ale nie sądziłem, by chciał użyć tej eleganckiej metafory na określenie naprawiania pękniętej ludzkiej psychiki.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– To nie ty spawałeś w liceum w Chelsea?

– Nie – odrzekłem. – Jestem psychiatrą.

Wybuchnął śmiechem.

– Akurat. Ja też. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kolejne pięć dolarów, żeby je położyć na barierce.

Ująłem szklaneczkę w dłonie i spojrzałem na jej dno. Wciąż czułem zapach ojca i słyszałem metaliczny klik odpinanej klamry od pasa. Przypomniało mi się, jak tysiące razy chciałem go zabić. I zastanawiałem się, co mnie powstrzymywało. Dlaczego nie potrafiłem się do tego zmusić? Co powoduje, że człowiek przekracza w końcu tę linię? Czy właśnie pragnienie znalezienia odpowiedzi na to pytanie pchnęło mnie ku psychiatrii sądowej? Czy to nie ono – a nie prośby Northa Andersona – wciągnęło mnie z powrotem w świat zbrodni?

Odsunąłem szklaneczkę szkockiej, przywołałem kelnerkę i zamówiłem kawę oraz dietetyczną colę. Czekala mnie długa noc.

Wreszcie o trzeciej rano położyłem się do łóżka. Czułem się niebezpiecznie samotny na wielkim dwuosobowym materacu.

Oczywiście zawsze byłem samotny. Wyobcowany. Zagrożony. Ale teraz to niebezpieczeństwo wydawało się szczególnie realne. Nie potrafiłem bowiem zapomnieć o tym, co powiedział Carl Rossetti: Darwin Bishop mógł mi narobić wielkich kłopotów – większych niż jakiegokolwiek, z którymi wcześniej miałem do czynienia. Ktoś, kto ma apetyt na miliard dolarów i potrafi zgromadzić tyle

forsy, jest zdolny do wszystkiego. Przesunąłem się na skraj materaca i sięgnąłem po swojego browninga przymocowanego do ramy łóżka. Uspokojony dotykiem zimnej stali zapadłem w niespokojny sen.

Nie trwał on długo. Po dwóch godzinach obudził mnie dzwonek telefonu. Zmacąłem słuchawkę, ale wypadła mi z ręki, w końcu jednak zdołałem ją dowlec do ucha i wykrztusić:

– Clevenger, słucham.

– Frank, mówi North.

Zerknąłem na budzik przy łóżku.

– Jest za dziesięć piąta – wymamrotałem.

– Wiem. Nie dzwoniłbym, gdyby sprawa nie była pilna.

Usiadłem na łóżku.

– Co się stało? – zapytałem.

– Dwie i pół godziny temu Billy uciekł z Payne Whitney.

Wyprostowałem się.

– Uciekł? Jak?

– Nie uwierzysz, ale po prostu wyszedł z izby przyjęć. Przez wiele godzin skarżył się na kaszel. Wysłali go z pielęgniarem na dół na prześwietlenie. O ile wiem, facet stracił go z oczu.

Nietrudno mi było w to uwierzyć. Oddziały psychiatryczne w szpitalach nie są budowane z myślą o pacjentach podejrzanych o popełnienie przestępstwa i nie ma tam ustalonych reguł postępowania z nimi. Słyszałem o takich, co uciekli z „przerwy na papierosa”, gdy pozwolono im zapalić na dworze, i takich, co wyszli ze spotkania anonimowych alkoholików, które odbywało się w innym budynku, lub ze „strzeżonego” przejścia do sklepów z pamiątkami.

– Pewnie wszyscy policjanci z Manhattanu są już na nogach i mają rysopis Billy’ego. Mogą go zatrzymać na podstawie paragrafu dwunastego i skierować na przymusowy pobyt w szpitalu.

– Nie potrzebują paragrafu dwunastego. Billy idealnie wybrał czas ucieczki. Wczoraj o siódmej został wystawiony nakaz jego aresztowania. Tom Harrigan wszystko załatwił, łącznie z nakazem ekstradycji Billy’ego do Massachusetts. Billy miał być aresztowany o szóstej rano, a o siódmej trzydzieści w eskorcie dwóch funkcjonariuszy policji nowojorskiej odlecieć do Bostonu.

– Jestem dziś umówiony na lunch z Julią Bishop. Spróbuję się dowiedzieć, czy nie podejrzewa, dokąd Billy mógł uciec.

– Ty zadzwoniłeś do niej czy ona do ciebie?

– Ona do mnie.

– Powiedziała dlaczego?

– Nie, ale sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Nie będzie mogła być na turnieju tenisowym z udziałem Garreta – zadrwił Anderson.

– Turnieju?

– Bishopowie sponsorują turniej tenisowy w klubie Brant Point Racket, z którego dochód idzie na cele charytatywne. Garret Bishop jest wśród dwudziestu najwyższej rozstawionych graczy w swojej grupie wiekowej. Według tego, co piszą w gazetach, ma bronić tytułu mistrza w singlu, który zdobył przed rokiem.

– Praca jak zwykle. Oto motto świata Darwina Bishopa – zauważyłem.

– Takich jak on nic nie powstrzyma – zgodził się Anderson i umilkł na chwilę. – Posłuchaj, nie wierzyłem, że Billy jest mordercą. Ale muszę ci powiedzieć, że bardzo martwię się tym, że jest na wolności. Bo jeśli to on zabił małą Brooke, nie ma nic do stracenia.

Przeszedł mnie dreszcz, gdyż pamiętałem, że Billy powiedział mi na pożegnanie dokładnie to samo.

– Gdybym był na twoim miejscu, ściągnąłbym jeszcze kilka radiowozów do pomocy tym range roverom, które stoją przed „budką strażniczą” Bishopa. Billy nie był zadowolony, że ojciec wysłał go do szpitala.

– Próbowałem, ale Bishop podziękował mi za troskę i odrzucił ofertę.

– Mogłem się tego spodziewać.

– Zadzwoń do ciebie, kiedy pojawi się coś nowego.

– Ja też – odparłem i odłożyłem słuchawkę.

Opadłem na plecy. Leżąc w ciemności i czując, jak mi serce wali, zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem, że zrezygnowałem ze szkockiej w Sir Galahadzie. Zastanawiałem się, gdzie w tej chwili może być Billy Bishop. Czy szuka schronienia w przytułku dla bezdomnych? A może zamelinował się na Manhattanie w domu kumpla, którego rodzice wyjechali? Czy był na tyle odważny, by schować się w apartamencie Bishopa, czy też wmieszał się w tłum podróżnych na dworcu Port Authority przy Ósmej Alei i czeka na autobus, który zawiezie go do Hyannis, gdzie mógłby złapać prom na Nantucket?

A co najważniejsze, o czym myślał: o ucieczce czy zemście?

Sobota, 25 czerwca 2002

Zanim wyszedłem z domu, zadzwoniłem do Andersona, który powiedział mi, że Billy wciąż jest na wolności. Do spotkania z Julią miałem jeszcze dwie godziny, toteż postanowiłem pójść do Mass General i złożyć trzecią wizytę Lilly Cunnigham.

Myślałem, że zastanę ją w lepszym stanie, tymczasem wyglądała dużo gorzej. Była blada i nieregularnie oddychała. Wodziła za mną wzrokiem, mrużąc oczy, żeby mnie ostrzej widzieć.

Przysunąłem sobie krzesło do łóżka i usiadłem. Umieszczony przy oknie stojak do kroplówek wzbogacił się o nowe kosze. Wężykiem wprowadzonym do żyły podobojczykowej sączyła się zawartość aż pięciu butelek i plastikowych torebek. Spojrzałem na nogę Lilly, wciąż wiszącą na wyciągu, i zauważyłem, że z rany sterczy kolejny dren.

– Doszło do serca – szepnęła.

Domyśliłem się, że chodzi jej o to, iż zakażenie dotarło do serca, przypuszczalnie do worka osierdziowego lub zastawek. Ale zrozumiałem jej słowa także w inny sposób. Nie ulegało wątpliwości, że uraz psychiczny, który spowodował, iż wywołała u siebie zakażenie, zawładnął jej ciałem, umożliwiając emocjonalnym toksynom swobodne dotarcie z krwią do wszystkich tkanek. Linie konfliktu zostały przynajmniej jasno nakreślone: cokolwiek przydarzyło się Lilly w dzieciństwie, wyruszyło na podbój jej ciała i został mu do pokonania już tylko ostatni szaniec obrony, czyli dusza – mój największy sprzymierzeniec dysponujący cudowną mocą uzdrawiania.

Zauważyłem, że podczas moich poprzednich wizyt Lilly nigdy nie miała gości. Od pacjentów z zespołem Münchhausena często w końcu odwracają się wszyscy bliscy: rodzina i przyjaciele zwykle nie kryją oburzenia, gdy się dowiadują, że troszczyli się o kogoś, kto sam wywołał u siebie chorobę. Ogarnął mnie smutek – a nawet wstyd. Świadomość, że Lilly cierpi i nie ma przy sobie nikogo bliskiego, spowodowała, że tym bardziej chciałem jej pomóc.

To ona powinna odczuwać ten smutek i wstyd, nie ty – szepnął mój wewnętrzny głos. – Pomóż jej w tym.

– Lilly, ostatnio powiedziałaś mi, że boisz się samotności. Jak myślisz, skąd

bierze się u ciebie ten strach?

Odchrząknęła.

– Pewnie to się wiąże z utratą ojca – odparła. Zamknęła oczy i powoli je otworzyła. – Nigdy się z tym nie pogodziłam. Odkąd skończyłam sześć lat, bez przerwy o nim myślę.

– Masz teraz kogoś, kogo kochasz?

– Oczywiście. Męża. Mamę i dziadków. I kilku dobrych przyjaciół.

Nachyliłem się nad nią. Postawiłem na to, że strach Lilly przed samotnością można przekształcić w jeszcze silniejszy – przed śmiercią.

– Lilly, to bardzo ważny moment – powiedziałem cicho. – Infekcja pokonuje mechanizmy obronne twojego organizmu. Możesz umrzeć. A to oznacza rozstanie z mężem, matką i przyjaciółmi. Całkowitą samotność. – Wyglądało na to, że mnie słucha. – Jeśli chcesz pozostać z ludźmi, których kochasz, musisz się przed nimi otworzyć i powiedzieć prawdę. Jeśli to zrobisz, myślę, że napięcie, w jakim żyjesz, wkrótce się zmniejszy, a twoje ciało samo się wyleczy.

Spojrzała przed siebie i potrząsnęła głową. Upłynęło kilkanaście sekund. Siedziałem nieruchomo. Minęła prawie minuta. Byłem gotowy jeszcze raz zaryzykować i powiedzieć Lilly, że wiem, iż sama wstrzyknęła sobie zarazki. Ale raptem odwróciła się do mnie. Oczy miała pełne łez.

– Ja to zrobiłam – szepnęła.

– Co? – zapytałem.

– Wzięłam strzykawkę... Sama zakaziłam sobie nogę. Kiwnąłem głową.

– Rozumiem.

Rozplakała się.

– Rozumiem cię – powtórzyłem. Poczekalem, aż wytrze oczy. – Możesz mi powiedzieć, dlaczego to zrobiłaś?

– Nie wiem. Tak mi wstyd.

Wie. Zapytaj, dlaczego się wstydzisz – odezwał się mój wewnętrzny głos.

– Co się z tobą dzieje, gdy czujesz, że musisz sobie wstrzyknąć zarazki? Czy prześladowają cię jakieś wspomnienia?

Tym razem nie wahała się ani chwili.

– Robię to, gdy czuję do siebie wstręt. Gdy chcę się ukarać.

– Dlaczego czujesz do siebie wstręt?

– Nie wiem – odparła niemal niedosłyszalnie.

– Nikomu nie powiem – obiecałem.

Spojrzała mi prosto w oczy, najwyraźniej zastanawiając się, czy naprawdę

może mi zaufać.

– Mam okropne myśli – wydusiła w końcu. – Plugawe myśli.

– Opowiedz mi o nich.

Zamknęła oczy i nic nie powiedziała.

– Lilly, musisz to z siebie wyrzucić. Nie możesz dłużej blokować swojego układu odpornościowego. Jest ci potrzebny, byś mogła pozostać z ludźmi, na których ci zależy.

– Myślę... – zaczęła i urwała.

– Oni także nie chcą cię stracić. Nie chcą się z tobą rozstawać.

– Myślę o dziadku.

– Co o nim myślisz? Jakże dokładnie są to myśli?

– Wyobrażam sobie... że ja i on... – Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. – Że ja i on dotykamy się.

– Czy kiedykolwiek miałaś tego rodzaju kontakt fizyczny z dziadkiem?

– Nigdy. – Otworzyła oczy i wlepiła wzrok w sufit. – I to jest w tym wszystkim najdziwniejsze. – Spojrzała na mnie. – Jestem pewna, że on nigdy niczego takiego nie zrobił. – Na jej twarzy malowało się zmieszanie. – Czuję się okropnie, gdy mam takie myśli.

– I to one sprawiają, że chcesz sobie wstrzyknąć zarazki, czy tak?

– Teraz też bym to zrobiła, gdybym mogła. Od razu bym się lepiej poczuła.

– Ukaralabyś siebie – stwierdziłem.

– Tak. Te wstrętne myśli by się skończyły.

A więc tak wyglądał ów zarazek, który atakował serce Lilly. Przybrał postać bakterii, ale zrodził się w psychice dziewczyny. Jej poczucie winy – i zakażenie – wzięło się z pociągu seksualnego, jaki odczuwała do mężczyzny, który zaopiekował się nią po śmierci ojca. Pytanie tylko, co podtrzymywało to pożądanie. Czy padła ofiarą molestowania, którego wspomnienie później wyparła? A może istniało inne wyjaśnienie?

– Musisz chcieć poczuć ten ból, nie uśmierzaj go za pomocą strzykawki. Jeśli się na to odważysz, zaczniesz się uwalniać od napięć psychicznych. Infekcja straci szansę na zwycięstwo nad twoim organizmem, nie obroni się przed twoim układem odpornościowym.

– Spróbuję. Naprawdę obiecuję.

– To dobrze.

– Pomożesz mi?

– Przecież powiedziałem, że pomogę ci przez to przebrnąć. Mówiłem serio.

Zjawilem się w Bomboi na spotkanie z Julią Bishop dwadzieścia minut przed czasem. W restauracji było niespodziewanie dużo ludzi jak na porę lunchu, ale ponieważ należałem do stałych bywalców, K. C. Hidalgo, jeden z właścicieli lokalu, zaproponował mi miejsce tam gdzie zwykle, czyli przy oknie. Powiedziałem mu jednak, że dziś wolałbym stolik w głębi sali, a na osobę, z którą się umówiłem, poczekam przy barze.

Przyjrzał mi się z troską w oczach.

– Przy barze? To coś nowego.

Tyle razy jadłem tu obiad sam, że w dwuminutowych odcinkach zdążyłem opowiedzieć K. Cemu całe swoje życie. Hidalgo był szczupłym Salwadorczykiem pod czterdziestkę, miał rzeźbione rysy twarzy i uśmiech, który zapewniłby jego restauracji klientelę, nawet gdyby podawano w niej przeciętne jedzenie. Lecz Bomboa szczyciła się najlepszą kuchnią w Bostonie i K. C. dorobił się majątku. Przyglądał teraz ręką czarne włosy i powiedział:

– Myślałem, że bar to dla ciebie teren zakazany. Mam powiedzieć: „Lekarzu, lecz się sam”?

– Wypiję to co zwykle – odparłem. – Kawę.

– A zatem czuj się jak u siebie w domu. – Podprowadził mnie do baru i skinął na barmana. – Kawa dla doktora – zadysponował.

– Dzięki za troskę.

– Ktoś inny powinien się o ciebie zatroszczyć, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu, chłopie. Ktoś dużo ładniejszy niż ja. – Klepnął mnie w plecy. – Bo nie oszukujmy się, jak dotąd zbyt mało o siebie dbałeś. – Posłał mi ten swój uśmiech i wrócił na stanowisko przy drzwiach.

Bar miał około dwudziestu pięciu stóp długości i był zastawiony wszelkimi możliwymi trunkami. W lustrze widziałem swoje odbicie obramowane butelkami dżinu, szkockiej i wódki. Nie podobał mi się ten widok. Mimo to, gdy barman podawał mi kawę, poprosiłem go po cichu o kieliszek sambuki.

Nie doczekałem się jednak. Barman najpierw zniknął w kuchni na kilka minut, a gdy wrócił, zaczął czyścić zlew. Zastanawiałem się, czy mnie w ogóle usłyszał. Nie chciałem jednak przywoływać go otwarcie, toteż siedziałem cicho.

Dopijałem kawę, kiedy zobaczyłem w lustrze Julię Bishop. Serce zaczęło mi walić jak uczniakowi. Była w cienkim kaszmirowym swetrze opadającym z jednego ramienia i obcisłych czarnych biodrówkach z lekko rozszerzonymi nogawkami. Czarne sandały na trzycalowych obcasach sprawiały, że wydawała

się wyższa niż wtedy, gdy widziałem ją poprzednio. Wyglądała, jakby zesłała wprost z okładki „Vogue’a”. Rozejrzałem się po sali i zauważyłem, że wszyscy się za nią oglądają, łącznie z K. C.

Podeszła do mnie.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną zobaczyć.

– Nie ma sprawy i proszę, mów mi po imieniu – odparłem. Znów, jak podczas naszego pierwszego spotkania, doświadczyłem wpływu tej lazuruwej mgiełki. W ogóle obecność Julii była tak absorbująca, że czułem się, jakbym stracił kontakt z własnym ciałem, a moje słowa docierały do mnie jak echo.

– Nie wiem, czy przespałam dziesięć godzin od śmierci Brooke... A teraz to zniknięcie Billy’ego. – Zaciśnęła usta, jakby się powstrzymywała od płaczu.

Zapach jej perfum zakręcił mi w głowie bardziej niż sambuka.

– Usiądźmy przy stoliku i porozmawiajmy.

Julia zamówiła tylko gazowaną wodę mineralną. Powiedziała, że nie ma apetytu, co było zrozumiałe w jej sytuacji. Mimo to zaniepokoiłem się, gdyż brak apetytu i bezsensowność mogły świadczyć, że znowu popada w depresję. Zamówiłem kilka przystawek ze względu na kelnera.

– Gdy zjawisz się u nas w domu, nie mogłam swobodnie rozmawiać – zaczęła – a powinnam ci była powiedzieć dużo więcej na temat Billy’ego. Myślę, że część z tego może mieć zasadnicze znaczenie dla przebiegu procesu. Ktoś powinien uświadomić sędziemu, przez co ten chłopak przeszedł.

– Będę ci wdzięczny za wszelkie informacje.

– Zapewne mój mąż opowiedział ci, co Billy przeżył w Rosji.

Nie podobało mi się to, jak wymówiła słowa „mój mąż”.

– Owszem. Wspomniał w rozmowie ze mną i kapitanem Andersonem, że Billy był świadkiem morderstwa swoich rodziców, a potem dostał w kość w sierocińcu.

Miałem wrażenie, że trudno jej mówić o tym, z czym tu przyszła.

– Wątpię jednak, by powiedział, ile Billy wycierpiał już po przybyciu do Stanów.

– O tym nie napomknął.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Darwin jest inny, niż się wydaje. Bardzo inteligentny i jeśli chce, niezwykle czarujący. Ale jest również bardzo powściągliwy i potrafi być okrutny.

Postanowiłem nie mówić Julii, że wiem o ranach na plecach Billy’ego. Chciałem usłyszeć z jej ust, czy uważa, że Bishop jest zdolny do rękoczynów.

– Okrutny? W jakim sensie?

– Jest niezwykle wymagający dla chłopców. Chce, żeby byli perfekcyjni – w szkole, sporcie i domu. Oczekuje od nich dumy i pewności siebie, wszystko inne uważa za oznakę słabości. – Potrząsnęła głową. – Mój syn, Garret, bierze dziś udział w turnieju tenisowym, chociaż wcale tego nie chce. Prosił ojca, żeby pozwolił mu się wycofać. Nie może dojść do siebie po śmierci Brooke i martwi się, że Billy uciekł ze szpitala. Ale Win nie chciał o tym słyszeć.

– Garret nie mógłby mu się przeciwstawić?

– Wykluczone. Tym się różni od Billy'ego. Bałby się narazić na gniew Darwina.

– Powiedz mi, proszę, jak się objawia jego gniew.

Julia spuściła wzrok.

– Zadzwoiłam do ciebie, bo wyczułam, że jesteś kimś niezwykłym, Frank. Mimo to niełatwo mi mówić o tych sprawach.

– Nic nie może mną wstrząsnąć.

Spojrzała mi głęboko w oczy – we mnie.

– Jak to?

– Widziałem w życiu ludzi z ich najpodlejszej strony, robiących naprawdę okropne rzeczy. – Opowiadając jej o swoim bólu, czułem, jakbym go jej oddawał, a sam się od niego uwalniał.

Kiwnęła głową i nie spuszczając ze mnie wzroku, postawą i wyrazem twarzy zdawała się mnie zachęcać, żebym otworzył się przed nią.

– Kilka lat temu zrezygnowałem z psychiatrii sądowej. Nie mogłem już tego wytrzymać. – Na tym poprzestałem, ale Julia sprawiała wrażenie, że mnie rozumie.

Wzięła głęboki oddech.

– Zawsze wierzyłam, że niektórzy ludzie pojawiają się w naszym życiu, bo ich potrzebujemy.

– Też w to wierzę – odparłem. Nasze spojrzenia się spotkały i wtedy zrozumiałem, dlaczego modelki tyle zarabiają. Jej świetliste oczy dawały nadzieję, że widzą w nas to, co najlepsze, i pomogą nam też to zobaczyć. Pod wpływem tego spojrzenia zapragnąłem być silny.

– Rzecz w tym, że chłopcy i ja od lat żyjemy w strachu przed Darwinem. Ni z tego, ni z owego zaczyna się awanturować i uciekać do przemocy. Kiedyś zdarzało się to wtedy, gdy był pijany, więc uważałam, że przyczyną jest alkohol. Ale kiedy przestał pić, zaczęło być jeszcze gorzej.

– Uderzył cię? – zapytałem. Czulem, że zaciskam szczęki i że przyspiesza mi tętno. Wiedziałem, że pewne moje reakcje wynikają z tego, że musiałem patrzeć, jak ojciec bije matkę, jednak nie byłem pewien które. I nie potrafiłem nad nimi zapanować.

Na twarzy Julii odbiło się zażenowanie.

– Powiedzmy, że często robiłam użytek z ciemnych okularów. Miałam co zakrywać przez te wszystkie lata.

– Czy bił również chłopców?

Jej twarz wyrażała teraz zatroskanie.

– To moja wina. Dawno powinnam była od niego odejść i zabrać dzieci.

– Czyli potwierdzasz, że bił chłopców?

Kiwnęła głową.

– Najwięcej obrywał Billy.

Spostrzegłem, że opieram się na stole, i usiadłem prosto.

– Dlaczego?

– Myślę, że z dwóch powodów. Po pierwsze, Billy odnosił mniej sukcesów, a Win uważał to za wyzwanie dla swojej władzy rodzicielskiej. Nie rozumiał, że po tym, co Billy przeszedł w dzieciństwie, wszystko przychodzi mu z trudem. Uważał, że na złość jemu przynosi ze szkoły złe stopnie czy przegrywa w zawodach sportowych.

A więc tak postępował człowiek gorąco zapewniający, że Billy nie jest zły, tylko chory, i dlatego potrzebuje pomocy. Dzięki temu mogłem się jednak przekonać, że Darwin Bishop ma przynajmniej dwa oblicza.

– A jaki jest ten drugi powód, że twój mąż bił właśnie Billy’ego? – zapytałem. Twój mąż. Także wtedy, gdy ja wypowiadałem te słowa, brzmiały one dla mnie równie źle jak w jej ustach.

– Billy nie należy do pokornych. Żadnego poddawania się. Żadnych przeprosin. Żadnych obietnic poprawy – nawet po tym, jak podpalił dom. Ten upór najwyraźniej jeszcze bardziej złościł Darwina. Nikt nigdy nie śmiał mu się przeciwstawić. – Spuściła wzrok. – Łącznie ze mną.

Postanowiłem opowiedzieć jej, czego się dowiedziałem od Billy’ego.

– Kiedy odwiedziłem Billy’ego w Payne Whitney, pokazał mi swoje plecy.

– Mnie nie pozwala na nie spojrzeć. Ukrywa je przede mną.

– Całe są pokryte ranami. Powiedział mi, że ojciec bił go pasem.

Wzdrygnęła się.

– Było tak, prawda? – zapytałem. – Billy nie kłamał?

Kiwnęła głową.

– Czy chłopcy kryli się nawzajem? – spytałem.

– Nie – odparła. – Nie potrafili się porozumieć. Każdy chodził własnymi drogami. Zawsze myślałam, że to dlatego, że Garret został zaadoptowany jeszcze podczas pierwszego małżeństwa Darwina. Chłopcy spotkali się, gdy Garret miał siedem, a Billy sześć lat. Poza tym sądzę, że Garret wolał trzymać się z dala od Billy'ego i jego wybryków. Nie chciał się narazić na kłopoty.

– Albo na lanie pasem – dodałem.

– Tak.

– Darwin powiedział Northowi Andersonowi, że Billy sam się poranił.

– To absurd – zaprzeczyła. Znów spojrzała mi prosto w oczy. – Posłuchaj. W jakiejś mierze chciałabym, żeby Billy trafił na resztę życia do więzienia za to, co zrobił. – Widać było, że stara się zapanować nad głosem. – Chciałabym, żeby w tym stanie obowiązywała kara śmierci. – Gwałtownie oddychała i falowały jej piersi. – Zabito mi dziecko.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz.

Miała rację. Nic nie powiedziałem.

– Przyszłam na to spotkanie, ponieważ czuję, że nie tylko Billy jest winny temu, co się stało, nawet jeśli to on zabił moją córkę. Część winy ponosi mój mąż. I ja także, dlatego, że nic nie zrobiłam w sprawie agresji Wina. – Odczekała kilka sekund, żeby się uspokoić. – Mój mąż i Billy wdali się w okropną walkę, z której żaden nie chciał się wycofać. Źle, że tak się stało. Zwłaszcza gdy chodzi o chłopca z taką przeszłością jak Billy. Myślę, że dlatego zabił Brooke. Tak naprawdę chciał skrzywdzić Wina.

To, co powiedziała, niesamowicie pasowało do teorii, którą przedstawiłem Billy'emu w szpitalu. Dawało również odpowiedź na inne moje pytanie: Julia Bishop nie uważała, że jej mąż jest odpowiedzialny za śmierć dziecka. Nie byłem wcale pewny, czy będzie skłonna rozważyć propozycję wywiezienia Tess z domu. Postanowiłem powoli wysondować, co o tym sądzi.

– Widziałem artykuł w magazynie „New York” opublikowany po waszym ślubie. Na zdjęciu jechaliście ferrari Piątą Aleją. Wyglądaliście na bardzo szczęśliwych.

– Też mi się tak wtedy wydawało – stwierdziła Julia.

– Czy przed ślubem wiedziałaś coś o nim?

– O wiele więcej dowiedziałam się po ślubie. Dlaczego pytasz?

– Wspomniał ci o swojej przeszłości kryminalnej?

– Tak. Ale nie przywiązywałam do tego większej wagi. Wiedziałam, że ma problemy z alkoholem.

Wychodzić za mężczyznę, który bił swoją pierwszą żonę po pijanemu i na trzeźwo, i nie przywiązywać wagi do jego przeszłości kryminalnej – to wydawało się dość osobliwe.

– Co właściwie ci powiedział?

– Podobno wdał się w jakąś bójkę podczas zabawy. Było to, o ile się nie mylę, na początku lat osiemdziesiątych. Prasa wywlókła tę sprawę, gdy Wina aresztowano za jazdę po pijanemu.

Potrząsnąłem głową.

– Chodziło o coś innego. Dotarłem do jego danych na temat karalności. Sąd uznał, że twój mąż znęcał się nad swoją poprzednią żoną, Lauren, jak również naruszył zakaz zbliżania się do niej. Dostał rok więzienia. Tak to wygląda.

Popatrzyła na mnie, jakbym żartował. A potem widząc, że nie żartuję, nachyliła się do mnie i zapytała z niedowierzaniem:

– Naprawdę? Nie miałam o tym pojęcia. – Ukryła twarz w dłoniach. – Ależ byłam głupia.

Pomyślałem, że to dobry moment, aby jej podsunąć pomysł wywiezienia Tess do dziadków.

– Julio, wciąż sobie zadaję pytanie, czy to na pewno Billy zabił Brooke.

Podniosła wzrok.

– Co masz na myśli?

– Billy twierdzi, że nie skrzywdził siostry.

– Oczywiście. Do innych okropnych rzeczy, które zrobił, także się nie przyznawał.

– Czyli nie masz żadnych wątpliwości, że jest winny.

– No, nie.

Postanowiłem skoczyć na głęboką wodę.

– Czy to możliwe, że twój mąż ma z tym coś wspólnego?

Spojrzała na mnie z ukosa.

– Twierdzisz, że Win mógł to zrobić?

– Mówię jedynie, że nie wszystko jest dla mnie jasne. Darwin od dawna znęcał się nad rodziną – nad tobą, Billym i Garretem. A także nad swoją pierwszą żoną.

Julia wydawała się nad czymś głęboko zastanawiać.

– Tylko on spośród osób będących wtedy w domu znęcał się nad rodziną – naciskałem.

– Nigdy nie chciał bliźniaczek – przyznała z osłupieniem. Odrobineę się rozluźniłem, gdyż pomyślałem, że teraz zastanowi się nad wywiezieniem Tess w bezpieczne miejsce.

– Opowiedz mi o tym.

– Win nigdy nie chciał mieć dzieci. To znaczy biologicznych. Kiedy zaszłam w ciążę, naciskał na mnie, żebym ją przerwała. Omal go nie posłuchałam. – Spojrzała na stół, przywołując wspomnienia. – Zastanawiam się, czy nie spotyka mnie za to kara.

– Okazałaś wielki hart ducha. Nie wiem, za co miałabyś być karana.

– Tak bardzo pragnęłam mieć dziecko. – Zagryzła wargi.

Odczekałem kilka sekund.

– Dlaczego Darwin nie chciał mieć dzieci? – zapytałem.

– Podobno ma to coś wspólnego z wojną w Wietnamie – odparła, unosząc głowę. – Nie chce mówić, co go tam spotkało. Twierdzi jedynie, że po tych strasznych rzeczach, jakich się tam napatrzył, nabrał przekonania, że to nie w porządku wobec dzieci sprowadzać je na ten świat. – Przewróciła oczami. – Trochę to trąci frazesem.

– Nie wierzysz mu?

– Nie.

– A jaki, twoim zdaniem, jest prawdziwy powód?

– Chodzi o to, że Win chce być panem siebie. Nie potrafi się zaangażować uczuciowo w związek. Jak myślę, boi się, że gdyby urodził mu się syn lub córka – nie mówiąc już o bliźniaczkach – za bardzo zbliżyłby się do mnie lub dzieci. Z dziećmi adoptowanymi, nawet gdy je bardzo kochamy, nie łączą nas więzy krwi. To nie to samo. – Umilkła na chwilę. – Jestem dla niego kimś w rodzaju konkubiny i guwernantki, a nie żoną i matką. W tych rolach zyskałabym zbyt dużo władzy.

– Czy sprzeciwiałaś się adopcji Billy’ego?

– Miałam wątpliwości co do motywów Wina.

– Dlaczego?

– Win doprowadził do ruiny ojca Billy’ego. Obaj byli właścicielami konkurujących ze sobą firm wydobywczych. W tamtych czasach ludzie się nie patyczkowali. Win niemal wszystko stracił, ale w końcu jak zwykle wygrał. Jakies pięć miesięcy później ktoś zamordował rodziców Billy’ego. Myślę, że Win

chciał odegrać Gandhiego, adoptując syna rywala.

Byłem zdumiony tym wyjaśnieniem, zwłaszcza że Bishop nic o tym nie wspomniał. Czyżby milczał ze skromności?

– Postawa godna podziwu – zaryzykowałem.

– Może się taka wydawać, ale jestem niemal pewna, że zrobił to na użytek swoich rosyjskich partnerów w interesach. Udawał troskę, żeby im zaimponować. Nigdy nie okazał Billy’emu ani trochę miłości.

Mogłem jej opowiedzieć jeszcze więcej na temat prawdziwej natury Darwina Bishopa, łącznie z tym, co wiedziałem o jego romansie z Claire Buckley. Ale to nie był właściwy moment. Poza tym nie byłem do końca pewny, czy w ogóle powinienem o tym wspominać.

– Mówię o tym, bo zastanawiam się, czy dla bezpieczeństwa Tess nie powinnaś wywieźć jej z domu. Do swoich rodziców albo jakichś przyjaciół.

– Wątpię, czy mogłabym to zrobić – oświadczyła śmiertelnie poważnie.

– Dlaczego?

– Darwin nigdy by się na to nie zgodził.

Słowa te świadczyły wymownie o tym, jaką psychiczną władzę Bishop ma nad żoną.

– Możesz to zrobić bez jego zgody. Masz prawo...

– Prawo niewiele znaczy, gdy się ma do czynienia z kimś takim jak on.

– Jak to?

– Gdy kilka razy poruszyłam kwestię separacji, dał mi jasno do zrozumienia, że nigdy się na to nie zgodzi.

– Nie miałby nic do gadania.

Julia uśmiechnęła się pobłaźliwie, jakbym był dzieckiem, które nie zna świata. Potem znowu spochmurniała.

– Ktoś taki jak Darwin Bishop ma większe możliwości niż inni ludzie. Tłum prawników składałby niezliczone wnioski o przyznanie mu opieki nad dziećmi, w mediach rozpoczęłaby się kampania mającą na celu zrujnowanie mi reputacji i wpłynięcie na decyzje sędziów, Garret i Tess byłiby wożeni po krajach, w których Darwin prowadzi interesy. Byłby nawet gotów zapłacić Claire, żeby z nim pojechała. W ostateczności mógłby nie wrócić do kraju.

– A Claire zgodziłaby się z nim zostać? – zapytałem, zastanawiając się, czy Julia dobrowolnie wspomni, że podejrzewa męża o romans z nianią.

– Każdy ma swoją cenę, Frank. Claire nie gardzi pieniędzmi. Wręcz przeciwnie, bardzo jej imponują.

Julia najwyraźniej nie miała co do niej złudzeń. Ale po jej reakcji trudno się było zorientować, jak dużo wie na temat zachowania Claire Buckley. Nie chciałem jednak na nią naciskać.

– Czyli sądzisz, że Darwin zrobi wszystko, co w jego mocy, by nie dać ci rozwodu.

– Albo postara się, żebym zniknęła.

– Twierdzisz...

– Twierdzę, że nie mam odwagi, by się o tym przekonać, Frank. Przynajmniej dotąd nie miałam. Przez tyle lat nie zdobyłam się na to, żeby od niego odejść.

– Może teraz nadszedł na to czas.

– Kto wie? Niewykluczone, że właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłam. Przy tobie czuję, że mogłabym się na to zdobyć.

Myśl, że jestem dla kobiety kołem ratunkowym, podziałała na mnie jak narkotyk.

– Możesz to zrobić. Musisz tylko w to uwierzyć.

Pokiwała głową i spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

– Naprawdę myślisz, że Tess może grozić niebezpieczeństwo? Że Darwin byłby zdolny zabić? Własną córkę? Krew z krwi, kość z kości?

Nigdy wcześniej nikt nie zadał mi tak bezpośredniego pytania. Przez kilka sekund namyślałem się nad odpowiedzią. Zastanawiałem się nad tym, co mi powiedziała o Bishopie – że chce być panem siebie i nie toleruje związków uczuciowych. Myślałem o tych zakamarkach jego duszy, do których nie chciał zaglądać.

– Tak – odparłem. – Myślę, że tak.

Julia nie odrywała ode mnie wzroku. Chyba niewiele brakowało, żeby zgodziła się wywieźć Tess w bezpieczniejsze miejsce. Ale po chwili opuściła oczy – może poczuła ciężar świadomości, że przez tyle lat naginała się do woli Darwina Bishopa.

– Muszę to przemyśleć.

– Ale nie zwlekaj za długo – powiedziałem. Żeby nie było zbyt późno, pomyślałem.

Spojrzała na mnie z nadzieją.

– Przyjedziesz na... – zaczęła, ale zakrztusiła się i umilkła. Odczekała kilka sekund, wzięła głęboki oddech. – Przyjedziesz jutro na pogrzeb Brooke? Odbędzie się na wyspie w kościele Najświętszej Marii Panny przy Federal Street. O piątej po południu. – Ponownie zrobiła przerwę. – Darwin chce, żeby msza

zakończyła się wraz z zachodem słońca.

Przyszedł mi do głowy inny powód, dla którego Bishop chciał, żeby pogrzeb odbył się po południu: o wpół do piątej zamykają giełdę.

– Przyjechałbym, ale nie wiem, jak zareaguje na to Darwin, wzięwszy pod uwagę toczące się dochodzenie.

– Chcę, żebyś przyjechał, potrzebuję cię, niezależnie od tego, czy się to spodoba Winowi, czy nie.

– W takim razie przyjadę.

– Dziękuję – szepnęła.

Powiedziałem, że odprowadzę ją do samochodu. Przepuściłem Julię przodem i ruszyliśmy do wyjścia. Gdy mijałem Hidalgo, złapał mnie za ramię. Zatrzymałem się.

– Cudowna babka – rzucił. – Wyglądacie razem wspaniale. – Mrugnął do Julii, która zatrzymała się przy drzwiach.

– Nie należy mieszać interesów z przyjemnością. – Powiedziałem tak częściowo dlatego, żeby przypomnieć o tym sobie. – To najlepsza droga do katastrofy.

– Ale ile sprawia frajdy – zauważył Hidalgo.

K. C. mieszkał z kierowniczką nocnej zmiany swojego lokalu, oszałamiającą dziewczyną o imieniu Yvette.

– Przekonam się, gdy do tego dojdzie. Pozdrów ode mnie Yvette.

– Dzięki. – Zawiesił głos. – A, jeszcze jedno, mistrzu. – Nachylił mi się do ucha. – W sprawie tej sambuki. Uprzedziłem wcześniej Stevie’ego, żeby nie podawał ci żadnego alkoholu. Spróbuj jeszcze raz ukradkiem przymawiać się o drinka w moim lokalu, a zamknę cię, kurwa, w piwnicy i nie wypuszczę, dopóki nie otrzeźwiejesz.

Zmusiłem się do uśmiechu.

– Mówię serio – dodał.

– Fajny z ciebie kumpel, K. C.

– Weź się w garść, dobra?

– Jasne. Wezmę. Zaufaj mi.

– Akurat – odrzekł. Ton jego głosu świadczył, że nie uwierzył mi ani na jotę.

– Ale jak będziesz potrzebował pomocy, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Dogoniłem Julię i wyszliśmy razem.

– Zaparkowałam na parkingu przy Dartmouth Street – oznajmiła, gdy znaleźliśmy się na ulicy. Ruszyliśmy Stanhope, kierując się w stronę

Dartmouth, ale po kilku krokach Julia się zatrzymała. – Pójdę sama – powiedziała.

– Z przyjemnością się przespaceruję.

Spojrzała na drugą stronę ulicy.

– To nie najlepszy pomysł.

Popatrzyłem tam gdzie ona i zobaczyłem białego range rovera z przyciemnionymi szybami. Domyśliłem się, że to jeden z wozów Darwina Bishopa. Poczulem przyływ adrenaliny.

– Kazał cię śledzić? – zapytałem.

– Mało prawdopodobne. Raczej ciebie. – Wyciągnęła rękę. – Pożegnajmy się i niech to wygląda oficjalnie, dobrze?

Przytrzymałem wyciągniętą dłoń. W oczach Julii zobaczyłem mieszaninę łagodności i strachu.

– Do jutra – powiedziałem i puściłem jej rękę.

Kiwnęła niepewnie głową, odwróciła się i ruszyła w kierunku parkingu.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i zbliżyłem się do range rovera. Nic nie mogłem zobaczyć przez szybę, toteż zapukałem w okno od strony kierowcy. Szybę opuszczono. Za kierownicą siedział nie ogolony mężczyzna po trzydziestce. Miał grubą szyję i choć był w luźnej jedwabnej koszuli, widać było, że ma potężny tors.

– O co chodzi? – zapytał głosem pozbawionym emocji.

– Mam wiadomość dla pańskiego chlebodawcy.

Nie odpowiedział, ale nie zamknął okna.

– Proszę przekazać panu Bishopowi, że nie mam mu za złe, że kazał mnie śledzić. Nie mam też nic przeciwko temu, by mi złożył wizytę. Mieszkam w Chelsea przy Winnisimmet Street pod trzydziestym dziewiątym. Ostatnie piętro. Mieszkanie 5B. Zwykle wracam do domu późnym wieczorem.

– Powtórzę mu – odparł mężczyzna.

Zacząłem już iść, ale odwróciłem się.

– Jeszcze jedno: nie jestem ani dzieckiem, ani kobietą, więc proszę mu powtórzyć, że ze mną nie pójdzie mu tak łatwo. Może potrzebować kogoś do pomocy, kogoś takiego jak pan.

Kiedy otwierałem drzwi mieszkania, usłyszałem dzwonek telefonu, ale nie zdażyłem podnieść słuchawki. Spojrzałem na wyświetlacz automatycznej sekretarki. Nagrało się trzydzieści jeden rozmów, które trwały w sumie poniżej jednej minuty. Oznaczało to, że ktoś odkładał słuchawkę zaraz po włączeniu się sekretarki. Miałem właśnie sprawdzić, kto chciał ze mną rozmawiać, gdy telefon ponownie zadzwonił. Złapałem za słuchawkę.

– Clevenger – przedstawiłem się.

– Ilu psychiatrów potrzeba do zmiany żarówki?

Rozpoznałem głos Billy’ego Bishopa.

– Gdzie jesteś? – zapytałem.

– No niech pan zgadnie. Ilu?

– Trzech – odpowiedziałem, żeby sprawić mu przyjemność.

– Jeden. Tylko żarówka musi się chcieć zmienić.

– W porządku. Bardzo śmieszne. A teraz powiedz, gdzie jesteś.

– W każdym razie nie u czubków.

Zerknąłem na wyświetlacz, by sprawdzić numer osoby dzwoniącej. Niestety widniał tam napis „Rozmówca nieznany”. Domyśliłem się, że Billy dzwoni z budki.

– Wszystko z tobą w porządku?

– Owszem, pominąwszy to, że ojciec chciał mnie wpakować do więzienia na resztę życia. Potrzebna byłaby chyba bardzo długa terapia, żeby uwolnić mój umysł od takiego wspomnienia, nieprawdaż?

Mimo powagi sytuacji uśmiechnąłem się.

– Chyba masz rację. – Umilkłem na chwilę. – Powiedz mi, gdzie jesteś. Przyjadę po ciebie.

– Nie. Nie mogę długo rozmawiać. Potrzebuję pieniędzy. Oddam panu, obiecuję. Dotrzymuję słowa.

Musiałem go jakoś uspokoić i namówić, żeby wrócił do szpitala, pomimo że z pewnością zostałby aresztowany. Choć oddając się w ręce wymiaru sprawiedliwości, wiele ryzykował, było to dla niego dużo bezpieczniejsze wyjście niż błąkanie się po ulicach. A nie tylko on znajdował się w niebezpieczeństwie. Wiedziałem, że przy swoich agresywnych skłonnościach Billy może być niebezpieczny dla otoczenia.

– Myślę, że źle zrobiłeś, uciekając ze szpitala. Byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś wrócił dobrowolnie i pozwolił działać prawnikom.

– Dzięki za radę. Posiedzi pan za mnie do końca życia?

– Najpierw muszą ci udowodnić winę.

– Potrzebuję pieniędzy i niczego więcej.

– Gdzie mogę się z tobą spotkać?

– Już powiedziałem: nie może pan. Znam bezpieczne miejsce, gdzie zostawi pan pieniądze. Ktoś się po nie zgłosi.

– Gdzie jesteś? – naciskałem.

– Dostanę te pieniądze? Przecież pan wie, że to nie ja zabiłem Brooke. Pan to wie.

W jego głosie slychać był desperację. Postanowiłem zaryzykować i założyć, że jest dostatecznie zdesperowany, by mi zaufać.

– Nie, chyba że się spotkamy.

– Nie ma mowy.

– Jak chcesz. Twoja wola. Milczał przez kilka sekund.

– Mam nóż na gardle – odezwał się w końcu. – Musi mi pan pomóc, doktorze. Liczę na pana.

Zamknąłem oczy, wyobrażając sobie, jak strasznie musi się czuć szesnastolatek, któremu grozi dożywocie, a nie ma nikogo, kto mógłby mu pomóc.

– Chcę tylko, żebyś się ze mną spotkał. Dostaniesz pieniądze, gdy się zobaczymy.

– Ach tak. To pańska ostateczna odpowiedź?

– Tak.

– Więc bierze pan na siebie odpowiedzialność za to, co się stanie – rzucił gorzko.

– A co ma się stać?

– Przeczyta pan w gazetach – odrzekł i odłożył słuchawkę.

– Billy! – krzyknąłem do aparatu. Wykręciłem numer automatycznego oddzwonienia, ale usłyszałem nagrany informację, że połączenie nie może być zrealizowane. Rzuciłem słuchawką o podłogę.

Mam nóż na gardle. Spojrzałem na sznur telefonu owinięty wokół nogi od stołu. Wydało mi się, że słyszę rozmowę sprzed lat, w której Annę Sacon z sądu dla nieletnich poinformowała mnie, że Billy Fisk powiesił się w garażu w domu rodziców. Kilka dni wcześniej Billy w rozmowie ze mną, która jak się później

okazało, była jego ostatnią rozmową, powiedział mi, jak bardzo czuje się nieszczęśliwy w domu, i poprosił, żebym pozwolił mu zamieszkać u siebie. Wtedy wydawało mi się to rozwiązaniem nie do przyjęcia. Pacjenci nie przeprowadzają się do swoich psychiatrów. Ale gdybym wiedział, jak bardzo jest zdesperowany, zgodziłbym się.

Czyżby miało się to powtórzyć? Czyżby Bóg chciał sprawdzić, czy nauczyłem się, że trzeba być gotowym do poświęceń dla kogoś, kto stoi na krawędzi?

Przejrzałem numery telefonów, spod których do mnie dzwoniło. Wszystkie miały kierunkowy 508, który obejmował także Cape Cod i Nantucket. Rozpoznałem jedynie numer Andersona. Domyśliłem się, że spod innych dzwonił Billy. Znaczyło to, że zmierzał ku rodzinnym stronom.

Przesłuchałem wiadomość od Andersona. Nic pilnego, ale prosił, żebym do niego zadzwonił. Wykręciłem numer do niego do pracy i poprosiłem sekretarkę, żeby mnie połączyła z komendantem.

– Billy się odezwał – poinformowałem Andersona.

– Jak to?

– Zadzwonił do mnie z prośbą o pożyczkę.

– Mam nadzieję, że potrzebuje pieniędzy na bilet w jedną stronę do Rosji, a nie na przykład na pistolet. Ja nie dałbym mu ani centa.

– Chciał, żeby mu zostawić pieniądze w umówionym miejscu, skąd zabrałby je jego kumpel. Powiedziałem mu, że nie idę na żadne układy.

– Bardzo dobrze. Jeszcze mi tego brakowało, żebym musiał gonić gówniarza po całych Stanach, a nie daj Boże i świecie. Znów się do ciebie zwróci.

– Na koniec powiedział coś, co zabrzmiało jak groźba, i poradził, żebym przeglądał gazety.

– Tym bardziej nie należy dawać mu forsy. Bez pieniędzy szybciej się do nas zgłosi.

Dzięki Andersonowi miałem mniejsze wyrzuty sumienia, że nie dałem Billy'emu pieniędzy, co nie znaczy, że w ogóle przestałem je mieć.

– Odsłuchałem twoją wiadomość na sekretarce. Co się stało?

– Nic pilnego. Chciałem cię tylko poinformować, że zaczynają się naciski polityczne w sprawie Bishopa.

– Jakie naciski?

– Ja spełniam widzimisię burmistrza, a on spełnia widzimisię różnych innych panów, włączając w to Darwina Bishopa. Burmistrz zadzwonił, by mi powiedzieć, że niepotrzebnie cię zaangażowałem do tej sprawy. Nie rozumiał, po

co nam psychiatra sądowy, skoro mamy podejrzanego. Wystarczy go tylko złapać i postawić w stan oskarżenia.

– Czytaj: zostaw miliardera w spokoju i zamknij sprawę.

– Bardzo dobrze rozumiesz język Nantucket.

– Co to dla nas oznacza na krótką metę?

– Nic, ani na krótką, ani na długą, chyba że mnie wywalą z roboty, przegonią z wyspy i postawią blokadę, żebym nie mógł wrócić.

W przeszłości mogłem liczyć na lojalność Andersona, ale chciałem się co do tego upewnić.

– Możesz mnie zwolnić, a ja będę dalej pracował nad tą sprawą w wolnym czasie – zaproponowałem.

– Oho, ależ ci się odmieniło. Najpierw nie chciałeś się zgodzić za żadne skarby, a teraz mówisz o pracy *pro bono*.

– Każdy się zmienia.

– Nie każdy. Jeśli będą mieli zakusy, by cię odstawić od tej sprawy, mnie również będą musieli od niej odsunąć. A na to się nie zgodzę.

– Rozumiem. – Przez jakiś czas napawałem się przyjemnym uczuciem, jakie wzbudziła we mnie lojalność Andersona. – Ja też otrzymałem dziś wiadomość od Bishopa. Kazał mnie śledzić, gdy byłem na lunchu z Julią. Jeden z jego goryli siedział w range roverze zaparkowanym naprzeciwko restauracji.

Anderson przez chwilę milczał.

– Myślę, że powinienes tu przyjechać na parę dni – stwierdził.

– Chcesz mnie popilnować.

– Czemu nie? Ty pilnowałeś mnie wiele razy.

Sam zacząłem myśleć, żeby się przenieść na wyspę, zwłaszcza że Billy kręcił się w pobliżu, na co wskazywały jego telefony.

– Czy są jakieś szanse, żebym mógł jeszcze raz porozmawiać z Bishopem? – zapytałem.

– Zobaczę, co się da zrobić – odparł Anderson. – Kazał cię śledzić, to może zechce osobiście sprawdzić, co kombinujesz.

– Przyplnę wieczornym promem, o ile jeszcze będą wolne miejsca. Jeśli załatwisz mi to spotkanie, będę miał zapełniony karnecik. Jutro wybieram się na pogrzeb Brooke Bishop.

– Na zaproszenie Julii?

– Tak.

Tym razem cisza trwała trochę dłużej.

– Słuchaj, znamy się bardzo długo... – odezwał się w końcu.

Wiedziałem, do czego zmierza.

– Nie musisz mówić.

– Powiem ci tylko, jak sprawy stoją: nie wolno ci tknąć Julii Bishop.

– Nie tknąłem jej.

– Nie tknąłeś i nie tkniesz.

Zawahałem się.

– Posłuchaj mnie – podjął Anderson. – To, że kręcisz z zamężną kobietą, jest twoją sprawą. Nie mam zamiaru ci prawić morałów.

– To dobrze.

– Ale nie możesz tknąć Julii Bishop, bo to zmaćliby twój pogład na sprawę. Jeśli chcesz mieć jasne spojrzenie, musisz zachować dystans, rozumiemy się?

Dobrze wiedziałem, o co mu chodzi. Przenoszenie stosunków zawodowych na grunt osobisty jest zawsze nierozsądne. A w wypadku relacji psychiatra-pacjent także nieetyczne. Julia jednak pociągała mnie tak bardzo, że przestałem widzieć, gdzie przebiega ta granica. Czulem, że nie mogę składać żadnych obietnic co do rozwoju mojej znajomości z Julią.

– Rozumiemy – zdołałem wykrztusić.

– I...

– I postaram się przyplnąć promem tak, jak ci mówiłem.

– Igrasz z ogniem, Frank.

– Słyszę.

Anderson ciężko westchnął.

– Zadzwoni do mnie, gdy przybijesz do brzegu.

– Obiecuję.

Spakowałem kilka rzeczy, ale zorientowałem się, że o czymś zapomniałem, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę zainteresowanie, jakim darzył mnie Darwin Bishop. Podeszedłem do łóżka i wyjąłem spod materaca kieszonkowego browninga. Wepchnąłem go do kieszeni spodni. Sporo czasu upłynęło, odkąd ostatni raz nosiłem go przy sobie, ale widać znowu było trzeba.

Następnie poszedłem do kuchni i zajrzałem do szafki nad lodówką. Nie otwierałem jej od ponad dwóch lat, ale też nie wyrzuciłem jej zawartości. W środku znajdowała się kolekcja słodowych whisky czekająca na taką chwilę jak ta, gdy pewien rodzaj kłopotów znów stanie się moim. W szafce była też podniszczona srebrna piersiówka z wyrytym z przodu monogramem „FGC”. Frank Galvin Clevenger. Nigdy nie przepadałem za monogramami, ale ponieważ

mój ojciec miał na imię Galvin, doszedłem do wniosku, że litera „G” jak najbardziej pasuje do pojemnika zawierającego zarazki choroby, na którą obaj zapadliśmy.

Otworzyłem szafkę i wyjąłem piersiówkę oraz butelkę dwudziestoletniej glenlivet. Odkręciłem obie. Następnie w rytualnym akcie, który przypominał mi trochę transfuzję, a trochę upuszczanie krwi, przelałem cienką strużką zawartość butelki do piersiówki, wsłuchując się w znajomą pieśń alkoholu rozpryskującego się na dnie pustej metalowej flaszki. Z początku niską i gardłową i lekko piskliwą pod koniec. Wsłuchiwałem się w nią z przerażeniem i, co gorsza, z nostalgią.

Odłożyłem butelkę z powrotem do szafki, a piersiówkę włożyłem do tylnej kieszeni spodni. I tak wyszedłem z mieszkania, wyruszając w drogę zarówno ku swojej przyszłości, jak i przeszłości.

Zarezerwowałem miejsce na promie odpływającym z Hyannis o dziewiętnastej. Miałem zamiar zostawić pikapa na tamtejszym parkingu, ale gdy urzędnik z kompanii promowej powiedział, że pojawiła się możliwość przewiezienia samochodu (cudownym zrządzeniem losu od czerwca), bez ociągania zapłaciłem dwieście dwa dolary i wjechałem na pokład.

North Anderson zadzwonił do mnie na komórkę i zaproponował, żebym zamieszkał u nich w domu, ale mu podziękowałem, gdyż nie chciałem nadużywać ich gościnności. Granie roli pani domu, gdy się jest w szóstym miesiącu ciąży, z pewnością byłoby dla Tiny średnią przyjemnością. Poza tym wolałem mieć własną bazę wypadową. Podałem Andersonowi czas przybycia i zarezerwowałem sobie miejsce w Breakers przy Easton Street, części kompleksu hotelowego White Elephant ciągnącego się wzdłuż północnego brzegu zatoki Nantucket.

Uciałem sobie godziną drzemkę w samochodzie, po czym wyszedłem na pokład, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Było około dziesięciu stopni, czyli dość chłodno jak na późny czerwiec. Stałem na rufie, wdychając wilgotne powietrze i patrząc na spienione fale. Zastanawiałem się, czy Billy też odbył taką samą podróż. Wyobraziłem sobie, jak przekrada się na ląd, starając się, żeby nikt go nie rozpoznał, co wydawało mi się wyjątkową okrutną ironią losu wobec chłopaka, który już raz został pozbawiony tożsamości – a także biologicznych rodziców, ojczyzny, nazwiska i ojczystego języka. Teraz musiał jeszcze ukrywać, jak wygląda, przynajmniej jakiś czas. Nie zdziwiłbym się,

gdyby zdecydował się zamienić tę pozorną śmierć na rzeczywistą. Ludzie czasem uważają, że samobójstwo to sposób na zapanowanie nad swoim życiem – ostatnia desperacka próba, jaką podejmuje dusza, by się uwolnić od ziemskich wpływów.

Pomyślałem o swojej pierwszej sesji psychoterapeutycznej z doktorem Jamesem. Przez kilka minut opowiadałem mu o pielęgniarce, z którą romansowałem. Ona pragnęła poważniejszego związku, ja jednak nie byłem na niego gotowy i wyglądało na to, że będziemy musieli się rozstać. Z perspektywy czasu widzę, że ów romans nie miał przyszłości; nigdy zresztą nie czułem się gotowy na prawdziwy związek.

James przerwał mi w pół zdania.

– Nie mam czasu wysłuchiwać opowieści o twoich podbojach – stwierdził. – Pozwól, że zadam ci konkretne pytanie, abyśmy mogli zacząć rozmawiać poważnie.

Przestałem mleć ozorem i kiwnąłem głową.

– Kiedy po raz pierwszy przyszło ci do głowy, żeby się zabić? – zapytał.

Spojrzałem ze zdziwieniem na tego przypominającego gnoma osiemdziesięciolatka w garniturze z marszczonego lnu, noszącego na nadgarstkach dwie srebrne bransoletki z turkusami.

– Zabić? – powtórzyłem jak echo.

Spojrzał na zegarek, po czym mrugnął do mnie i uśmiechnął się ciepło, niemal uwodzicielsko.

– Daj spokój, Frank. Wyrzuć to z siebie. Co masz do stracenia?

I wyrzuciłem. Tak po prostu. Taki talent miał ten człowiek. Powiedziałem mu, że po raz pierwszy pomyślałem, by ze sobą skończyć, gdy miałem dziewięć lat. Ojciec spuścił mi lanie i poszedłem na górę do swojego pokoju. Wrzuciłem do worka parę dżinsów, rękawicę bejsbolową i ulubiony model samolotu. Potem zszedłem na dół i zatrzymałem się w małym korytarzyku przed kuchnią, skąd schody prowadziły do drzwi wyjściowych.

Ojciec zobaczył mnie i wyszedł z kuchni.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał.

Zebrałem się na odwagę i spojrzałem mu w oczy.

– Żegnam – odparłem.

– Co ci do głowy strzeliło?

– Nie szukaj mnie – wyrzuciłem z siebie, trzęsąc się ze strachu. – Nie wróćę.

Czytaj: Powiedz, że jest ci przykro, chcesz, żebym został, i że odtąd wszystko

się zmieni. Zaśmiał mi się w twarz.

– No to idź. Taki z ciebie waźniak? Nie chcesz z nami mieszkać? Droga wolna – powiedział i wrócił do kuchni.

Spojrzałem na matkę, która gotowała obiad. Wybaczyłbym jej te wszystkie lata, gdy stała beczynnienie i patrzyła, jak ojciec wyładowuje na mnie złość, gdyby zebrała się wtedy na odwagę i podeszła do mnie. Ale nie ruszyła się i nie powiedziała ani słowa.

Nie miałem dokąd pójść. Byłem dziewięciolatkiem. Nigdy nie czułem się tak bezradny jak wtedy. Rzuciłem worek, pobiegłem do pokoju i się rozplakałem. Potem postanowiłem, że gdy rodzice zasną, wezmę pasek ojca, pójde do łazienki i powieszę się na haku wbitym w drzwi.

To, że zostałem wśród żywych, zawdzięczam swojemu najlepszemu przyjacielowi, Anthony'emu, który siedział za mną w świetlicy i miał niesamowity talent do kończenia za mnie zdań, oraz dwuletniemu żółtowi, Seymourowi, który z pewnością by zdechł, gdyby został sam z rodzicami.

Starłem wilgoć z twarzy i głęboko odetchnąłem atlantyckim powietrzem. Zrobiło się jeszcze zimniej. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem piersiówkę. Odkręciłem korek i pociągnąłem długi łyk.

Do czasu, gdy prom wpłynął w cieśninę Nantucket, minawszy po prawej wyspę Martha's Vineyard i latarnię morską na przylądku Pogue na wyspie Chappaquiddick, zdążyłem osuszyć około jednej trzeciej piersiówki. Jeszcze więcej szkockiej ubyło, gdy prom wślizgiwał się między pirsy chroniące kanał żeglugowy prowadzący do zatoki Nantucket. A kiedy przepływaliśmy obok światła Brant Point, kierując się w stronę nabrzeża, piersiówka była pusta. Przyjrzałem się jej w świetle księżyca, skupiając wzrok na monogramie wrytym na srebrzystej powierzchni z wymowną literą „G” w środku – inicjałem ojca. Potarłem ją kilka razy kciukiem, wyobrażając sobie, jak ojciec stoi w drzwiach do kuchni i mówi, że mogę sobie pójść. A potem cisnąłem piersiówkę do morza.

Zameldowałem się w recepcji Breakers i poszedłem do apartamentu. Na stoliku czekały na mnie świeże kwiaty i butelka merlota – podarunek od kierownictwa hotelu. Na szczęście, dręczony poczuciem winy, że znów sięgnąłem po alkohol, wystawiłem wino na korytarz.

Nie minął kwadrans, gdy zadzwonił Anderson. Powiedział, że czeka w holu i chce porozmawiać. Odparłem, że zaraz schodzę.

Poszliśmy na późną kolację do hotelowej restauracji, w której podają dania

z rusztu. Dostaliśmy stolik przy oknie, skąd mieliśmy widok zarówno na zatokę, jak i resztę sali. Jedno i drugie było trochę zbyt piękne jak dla mnie. Patrząc na opalonych, elegancko ubranych, obwieszonych drogocenną biżuterią gości, zastanawiałem się, jak miejscowa społeczność przyjęła wiadomość, że na wyspie grasuje morderca.

– Czy lokalna prasa pisała coś na temat sprawy Bishopa? – spytałem Andersona.

– Słyszałem, że w „Boston Globe” był długi artykuł na ten temat, lecz dziennikarz potraktował sprawę jak kradzież samochodu. Poza tym kilkudzianową notkę zamieścił „Inquirer”.

– Lepiej mówić jak najmniej i słyszeć jak najmniej. Zabawne, jak bardzo okazuje się to skuteczne.

Anderson kiwnął głową.

– Ludzie na różny sposób szukają ucieczki. Dobrze o tym wiesz. Wyspa, ich tutejszy styl życia, też jest swojego rodzaju ucieczką. Szczerze mówiąc, ja również z tego powodu przyjąłem tu posadę szefa policji. Nie sądziłem, że trafi mi się jeszcze sprawa o zabójstwo. I przyznam się, że wcale do tego nie tęskniłem. – Nachylił się do mnie. – A dla ciebie ucieczka oznacza gorzałę, co?

Musiał wyczuć w moim oddechu woń szkockiej.

– Malutki łyk. Wiesz, jak to jest.

– Nie, nie wiem. Nie mogę zrozumieć, jak możesz wystawiać na szwank wszystko, co z takim mozołem zbudowałeś przez ostatnie dwa lata. Przecież pamiętam, w jakim byłeś stanie po zakończeniu sprawy Lucasa. Nie sądziłem, że dojdiesz jeszcze do siebie. – Uciekł spojrzeniem w bok. – Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, wciągając cię w towarzystwo.

Zerknąłem na niego spod oka.

– Mogę prosić? – skinałem na kelnerkę, która podeszła do naszego stolika.

Z trudem skupiłem uwagę na menu i złożyłem zamówienie. Anderson zrobił to samo.

– Posłuchaj – rzekł, kiedy kelnerka odeszła. – Potrzebowałem pomocy, więc cię namówiłem. Ale może miałaś rację, opierając się. – Popatrzył na mnie jak lekarz, który ma poinformować pacjenta, że cierpi na nieuleczalną chorobę. – Wygląda, że nie nadajesz się już do tej roboty. Za bardzo cię ona wykańcza.

– Czy nie powiedziałaś mi wczoraj przez telefon, że wprawdzie musieliby cię odsunąć od tej sprawy, żeby się mnie pozbyć?

– Pozwalam ci się wycofać. Przemyśl to.

– Nie mam nad czym myśleć. Za bardzo się w to zaangażowałem, żeby teraz zrezygnować.

Kiwnął głową niezbyt przekonany.

– Nie narobię ci gnoju, zobaczysz – zapewniłem go.

– Akurat.

Poczułem się przyparty do muru, toteż postanowiłem się nieco od niego odepchnąć.

– Może tu wcale nie chodzi o to, że piję.

– Co masz na myśli?

– Burmistrz na ciebie naciska. Masz miłą pracę. Chcesz ją zachować. No to czekasz na moje potknięcie, po czym mówisz, że padłem na deski i zostałem wyliczony. I wszyscy są szczęśliwi.

– Na przykład kto? – obruszył się Anderson.

Wzruszyłem ramionami.

– Na przykład burmistrz i Darwin Bishop. – Pożałowałem, że nie mogę cofnąć tych słów. Wiedziałem, że Anderson po prostu stara się mi pomóc. – Nie chciałem... – zacząłem.

Ale on zerwał się już na nogi.

– Wiesz co? Pieprz się – rzucił, z trudem powstrzymując się od krzyku.

– Źle mnie zrozumiałeś. A poza tym to nie ja zacząłem.

Anderson zacisnął szczęki i po jego minie widać było, że z trudem nad sobą panuje. Zmusił się jednak, by usiąść.

– Jedyne, czego chcę, to rozwiązać tę sprawę, nie rujnując przy okazji ani swojego, ani twojego życia. Toteż kiedy widzę, że zaczynasz się przystawiać do żony podejrzanego...

– A więc o to ci chodzi?

– Daj mi skończyć. – Zniżył głos. – Kiedy widzę, że zaczynasz się przystawiać do Julii i znowu sięgasz po butelkę, martwię się, czy wciąż zachowujesz jasność widzenia. Bo na tym mi właśnie zależy. Czy to takie dziwne? Albo może zapomniałeś, że syn i mąż tej kobiety są głównymi podejrzanyymi w sprawie?

– Nie ma w tym nic dziwnego – zgodziłem się. – Wszystko rozumiem.

– To dobrze. – Anderson wypił duszkiem szklanekę wody z lodem. Odstawił ją ze stanowczością godną sędziego ogłaszającego wyrok, po czym podejrzliwie rozejrzał się po sali. – Masz na jutro umówione spotkanie z Bishopem – oświadczył.

Trochę się zdziwiłem, że Bishop wyraził na to zgodę.

– Co dokładnie powiedział? – zapytałem.

– Jeśli coś powiedział, to nie do mnie, tylko do Claire Buckley. To ona załatwia dla niego takie sprawy.

– Domyślam się, że nie tylko takie.

– Bez dwóch zdań – zgodził się Anderson i mrugnął do mnie. – Sal Ferraro, ten mój kumpel, prywatny detektyw, który przeszedł podróże i pobyty Bishopa w hotelach, powiedział mi, że na przyszły miesiąc nasz miliarder zaplanował następną wyprawę. Lipiec w Paryżu. Zarezerwował na tydzień bardzo drogi apartament w hotelu George V, tuż przy Champs-Elysees.

– Czemu dla zachowania pozorów nie zarezerwował dwóch pokoiów?

Anderson uśmiechnął się.

– A czemu Gay Hart pozował do zdjęcia w „Monkey Business”? A czemu Clinton wykorzystywał Gabinet Ovalny do swoich romansów?

– Dobre pytania. Pewnie myśleli, że warto zaryzykować. Albo był to pęd ku samozniszczeniu.

– Właśnie. To miałem na myśli w związku z tobą i Julią.

– Przyjąłem do wiadomości – odparłem, mając nadzieję, że skieruję jego uwagę na inny temat.

Wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– Powiesz Bishopowi, że Billy się z tobą skontaktował?

Myślałem o tym. Ściśle rzecz biorąc, Bishop miał prawo wiedzieć – nie tylko dlatego, że informacja dotyczyła jego syna, ale również dlatego, iż ton głosu Billy’ego pod koniec rozmowy świadczył, że Darwin Bishop i jego rodzina mogą się znaleźć w niebezpieczeństwie.

– Muszę – odparłem. – Dopóki nie będziemy absolutnie pewni, kto jest mordercą, nie chcę być powiernikiem niczyich sekretów.

– Masz rację – zgodził się Anderson. Zaciśnął usta i pokiwał głową. – Czy to postanowienie obejmuje również Julię? – zapytał.

– Ale jesteś uparty.

– Obejmuje czy nie? – nie ustępował.

Spojrzałem mu w oczy.

– Już odpowiedziałem – stwierdziłem stanowczo.

– Niezupełnie. Ale dobrze, zadam ci inne pytanie. – Zrobił pauzę. – Dlaczego wykluczamy ją z grona podejrzanych?

– Julię?

– Nie byłaby pierwszą kobietą, która zamordowała własne dziecko. Też była

w domu w noc zabójstwa Brooke.

– Nie braliśmy jej pod uwagę, gdyż obaj instynktownie czujemy, że nie ma z tym nic wspólnego. Nie rozmawialiśmy również o bracie Billa, Garrecie.

– Zatrzymajmy się na chwilę przy Julii, dobrze?

– Dobrze.

Próbował zebrać myśli.

– Niektóre kobiety wpadają w depresję po urodzeniu dziecka. Depresja poporodowa, tak to się nazywa, prawda?

Depresja poporodowa jest chorobą, która pojawia się do sześciu miesięcy po porodzie i w samych Stanach Zjednoczonych dotyka tysięcy kobiet rocznie. Jej przyczyna jest nieznana. Podejrzewa się, że mogą wywoływać ją czynniki hormonalne, neurochemiczne, psychologiczne lub ich kombinacja.

– Oczywiście – przyznałem.

– A czy kobiety, które zabiły swoje dzieci, powoływały się na depresję poporodową, by argumentować, że działały w stanie niepoczytalności?

Wiedziałem, do czego zmierza, ale nie byłem w nastroju, by się z nim zgodzić.

– Przemawiasz jak prokurator. Jestem w sądzie?

– Odpowiedz.

– W niektórych sprawach kobiety cierpiące na depresję poporodową nie przyznawały się do winy, powołując się na niepoczytalność po narodzinach dziecka – potwierdziłem.

– W paru sprawach nawet skutecznie – ciągnął. – Argumentowały, że znajdowały się w tak silnej depresji, iż straciły kontakt z rzeczywistością.

– Występowałem jako biegły w jednej z tych spraw. Kobiety z Georgii, która zastrzeliła swoją córkę i zabiła dziecko sąsiada. Sąd ją uniewinnił.

– Julia Bishop też leczyła się u psychiatry. Z powodu depresji.

Powędrowałem myślami do swojego lunchu z Julią, a zwłaszcza do obaw, jakie wówczas miałem, że kłopoty ze spaniem i brak apetytu są u niej objawem nawrotu depresji.

– To, co mówisz, ma pewien sens, ale...

– Ale pani Julia ma ładne oczka i śliczną pupcię, a Frank Clevenger kocha się w pięknych damach, zwłaszcza tych, które są w dołku psychicznym. – Zreflektował się. Przypomniał sobie, że wciąż nie mogę przeboleć choroby psychicznej Kathy, która mi ją odebrała. – Przepraszam – bąknął. – Teraz moja kolej prosić o wybaczenie.

Z jednej strony chciałem skoczyć Andersonowi do gardła, ale z drugiej wiedziałem, że ma rację. Nie mogłem wykluczać Julii Bishop z kręgu podejrzanych o zamordowanie małej Brooke.

– Nie szkodzi – odparłem.

Jednak wciąż nie miał zamiaru odpuścić.

– No więc co ty na to?

– Dobrze, wpisuję ją na listę. Nie sędzę, żeby udusiła Brooke uszczelniającem do okien, ale nie mogę na razie tego udowodnić. Zadowolony?

– Tak. – Anderson wyraźnie się odprężył. Usiadł wygodniej na krześle. – Nie zrozum mnie źle. – Dałbym się zastrzelić, że to nie ona, Frank, ale już parę razy do mnie strzelano.

Kelnerka przyniosła dania. Filet z miecznika dla mnie i befsztyk z polędwicy dla Andersona. Pomyślałem, że z wielką chęcią wypiłbym do ryby kieliszek merlota. Zastanowiłem się nad tymi słowami. Z wielką chęcią wypiłbym kieliszek merlota. Może Anderson ma trochę racji. Może moja miłość do kobiet, łącznie z Kathy i Julią, jest rodzajem uzależnienia. Może tak naprawdę pociąga mnie krzyk ich rozdartych dusz, gdyż przemawia do mojej pękniętej psychiki.

Zjedliśmy i umówiliśmy się, że spotkamy się jutro w hotelu o dziesiątej rano. Anderson miał mnie zawieźć na spotkanie z Bishopem. Chciałem jechać sam, ale zwrócił mi uwagę, że w sytuacji, gdy śledzą mnie białe range rovery, oficjalne wsparcie nie jest złym pomysłem.

Wróciłem do apartamentu. Butelka wina wciąż stała na korytarzu tam, gdzie ją zostawiłem. Zmusiłem się, żeby na nią spojrzeć, bo w pierwszym odruchu chciałem odwrócić od niej wzrok. Wszedłem do pokoju, szybko zamknąłem za sobą drzwi i zablokowałem zamek.

Środa, 26 czerwca 2002

Gdy tylko skręciliśmy w Wauwinet Road, zauważyliśmy, że ciągniemy za sobą ogon – jednego z range roverow Bishopa. Jechał za radiowozem Andersona przez całą drogę i stanął za nami, gdy zaparkowaliśmy na półkolistym podjeździe przed rezydencją miliardera.

– Nie musisz się spieszyć – mruknął Anderson. Skrzywił twarz w uśmiechu.
– Wygląda na to, że będę miał towarzystwo.

– Nie zajmie mi to wiele czasu – odparłem. Podszedłem do drzwi i zadzwoniłem. Spojrzałem w stronę kortu tenisowego i zobaczyłem dwóch mężczyzn z karabinami patrolujących teren na wózkach elektrycznych. Najwyraźniej zaostrzono środki bezpieczeństwa.

Pół minuty później w drzwiach pojawiła się Claire Buckley z Tess na rękach. Niemowlę spało zawinięte w jasnożółty kocyk.

– Mała trochę kaprysiła i nie dała się położyć do łóżeczka – usprawiedliwiła się niania nieco sennym głosem. Ustąpiła mi z drogi. – Proszę, wejdźcie.

Wszedłem do holu. Widok Tess śpiącej w ramionach Claire zaniepokoił mnie, ale nie dałem tego po sobie poznać. Popatrzyłem na delikatne paluszki niemowlęcia ściskające kocyk. Miało małe różowe paznokcie i skórę połyskującą niczym jedwab.

– Jest śliczna – zauważyłem.

Claire spojrzała na małą, uśmiechnęła się i pokiwała głową.

Proces kształtowania naszego życia zaczyna się bardzo wcześnie i nie mamy wtedy na niego żadnego wpływu. W wieku pięciu miesięcy Tess straciła siostrę bliźniaczkę i znajdowała się częściowo pod opieką kochanki ojca. Wcześnie zetknęła się z przemocą, obłądą i niebezpieczeństwem. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek zdoła przezwyciężyć wpływ dwudziestu pierwszych tygodni swego życia na ziemi.

– Żał mi jej – powiedziałem automatycznie.

– Dobrze, że przynajmniej tak naprawdę nie znała Brooke – szepnęła Claire.

Pomyślałem, że to prawda, ale akurat ona nie powinna tego mówić. Chciałem jej przypomnieć, że Tess nie jest jej córką.

– Chcesz mieć własne dzieci? – zapytałem.

Spojrzała nam mnie wyraźnie zaskoczona pytaniem. Może rzeczywiście wyobrażała sobie, że Tess jest jej dzieckiem, a może poczuła się dotknięta zbyt osobistym pytaniem.

– Nie zastanawiałam się nad tym. Jestem jeszcze młoda, prawda?

Zauważyłem. I nie tylko ja, także Darwin Bishop. Trudno było nie zauważyć młodości Claire Buckley. Proste kasztanowe włosy, które podczas mojej poprzedniej wizyty miała splecione w warkocz, tym razem były rozpuszczone i sięgały jej do połowy pleców. Miała ciało gimnastyczki, teraz lepiej widoczne w szortach i prostej bluzce bez rękawów. Zatrzymałem wzrok na jej twarzy i uświadomiłem sobie, że jest nie tyle ładna, ile piękna z tymi ciemnobrązowymi oczami, pełnymi wargami i wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi dodającymi jej elegancji i zmysłowości. Wyglądała jak świeżo upieczona nauczycielka angielskiego, do której wzdycha męska połowa klasy.

– Racja. Masz jeszcze na to czas. Poza tym państwo Bishop cię potrzebują.

– Cieszę się, że mogę im pomóc. Są dla mnie cudowni. – Tess poruszyła się w kocyku i wyciągnęła rączki, zmuszając Claire, żeby chwyciła ją inaczej. – Zbliża się czas karmienia. Zaprowadzę cię do Wina.

Ruszyliśmy w stronę gabinetu.

– Czy pani Julia jest w domu? – zapytałem.

– Dałam jej wychodne – zażartowała Claire.

– Och, jak to miło z twojej strony – zauważyłem z przekąsem.

Spoważniała.

– Pojechała odwiedzić matkę na Vineyard. Przyjadą razem po południu. – Zrobiła pauzę. – O piątej jest pogrzeb Brooke. – Też się na niego wybieram.

– Jestem pewna, że państwo Bishop to docenią. Ja zostaję z Tess. Nastrój w kościele mógłby nie najlepiej na nią wpłynąć.

– To chyba dobry pomysł – odparłem, choć myślałem coś wręcz przeciwnego. Wolałbym widzieć Tess z Julią lub jej matką.

Kiedy stanęliśmy w drzwiach gabinetu, Darwin Bishop siedział pochylony nad laptopem. Na widok tego człowieka poczułem przypływ nienawiści. Zdziwiła mnie intensywność tego doznania.

Bishop spojrzał na mnie znad okularów do czytania.

– Proszę, niech pan wejdzie – rzucił na powitanie.

– Przyjdę po ciebie, gdy będziesz wychodził – zapewniła mnie Claire.

Odprowadziłem ją wzrokiem, po czym wszedłem do gabinetu Bishopa. Przez chwilę przyglądałem się obrazom przedstawiającym jego konie, by dać sobie czas na uspokojenie nerwów.

– Witam, doktorze – powiedział Bishop, wskazując mi miejsce naprzeciwko biurka. Usiadłem, ale on dalej wpatrywał się w ekran komputera.

– Potrzebuje pan jeszcze trochę czasu? – zapytałem.

– Potrzebuję całego roku – odparł, odrywając wzrok od ekranu. – Akcje Acribat Software spadły o czterdzieści pięć procent od marca ubiegłego roku. Sporo w nie zainwestowałem.

Nie spodobało mi się, że Bishop sprawdza notowania giełdowe w dzień pogrzebu córki, ale nie mogłem powiedzieć, by mnie to zdziwiło.

– Bardzo mi przykro – odparłem, starając się, żeby w moim głosie nie było słychać sarkazmu.

– Nie tak bardzo jak mnie. – Znów zerknął na ekran. – Gra pan na giełdzie?

– Raczej nie.

– Dobrze pan robi. – Zdjął okulary i po raz pierwszy skupił na mnie uwagę. – To twarda gra. Jak do większości spraw na ziemi, lepiej do niej nie przystępować, jeśli nie można sobie pozwolić na przegraną. Bywa że człowiek mocno się sparzy.

Wątpiłem, by Bishop mówił o grze na giełdzie. Ostrzegał mnie, żebym się trzymał z dala od dochodzenia w sprawie morderstwa Brooke – albo od Julii.

– Dziękuję za radę. Zapamiętam ją sobie.

– Proszę bardzo. – Na jego twarzy pojawił się obłudny uśmiezek. – Co pana do mnie sprowadza?

Postanowiłem na początek powiedzieć mu o telefonie Billy'ego.

– Pański syn zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem.

Nie okazał najmniejszego zdziwienia.

– Udało się panu ustalić, skąd dzwonił?

Bishop nie spytał, jak się czuje Billy, gdzie mieszka, w jakim jest stanie psychicznym. Jego pytanie miało ściśle strategiczny cel: chciał wiedzieć, czy można go namierzyć.

– Zbyt krótko rozmawiał, a poza tym nie byłem przygotowany na śledzenie połączenia.

– Czego chciał?

– Pożyczyć pieniędzy, ale mu odmówiłem.
– Dobrze pan zrobił. Może jak zgłodnieje lub się wystraszy, wróci do szpitala.
– Potrząsnął głową. – Po co on uciekł? Umieszczając go tam, chcieliśmy dla niego jak najlepiej.

– Widać miał co do tego wątpliwości.

– Taki już jest. Trudno komuś zaufać, jeśli się straciło rodziców w takich okolicznościach jak on.

– Jasna sprawa.

Trudno komuś zaufać – odezwał się mój wewnętrzny głos – *jeśli ma się przybranego ojca, który leje cię pasem.*

– Powinien pan wiedzieć, że Billy jest wściekły – powiedziałem do Bishopa. – Obawiam się, że może zrobić coś złego panu lub komuś z rodziny.

– Od dawna musieliśmy sobie radzić z agresją Billy’ego. Po śmierci Brooke przedsięwzięliśmy wszelkie środki bezpieczeństwa. Ten dom jest strzeżony jak Fort Knox. Nic się nam nie stanie.

– Czy pan wie, z czego wynika ta jego agresja?

– Myślę, że z tragicznych przeżyć. Ale pan rozumie to lepiej niż ja.

– Czy wiedział pan, że policja miała go dziś rano aresztować?

– Wiedziałem. To posunięcie policji pomogło mi skryształizować plany. – Skrzyżował grube ręce na piersiach.

– To znaczy?

– Skoro postanowili go aresztować i postawić przed sądem, to największe szansę na uniewinnienie daje mu po prostu nieprzyznawanie się do winy. Jego stan psychiczny i traumatyczne przeżycia nie mają w takim razie żadnego znaczenia, gdyż nikt nie będzie się powoływał na niepoczytalność, czy to całkowitą, czy ograniczoną. Jak powiedziałem, w noc zabójstwa Brooke w domu było kilka osób. Nie wiem, jakim cudem policja czy prokurator okręgowy mogliby udowodnić, że Billy jest mordercą.

Plan był prosty: Billy stanąłby przed sądem pod zarzutem morderstwa i albo zostałby uniewinniony, albo skazany na dożywocie. W obu wypadkach szansę, że podejrzenia padłyby na kogoś innego z rodziny, praktycznie równałyby się zeru. Sądząc z tego, co powiedziała mi Laura Mossberg z Payne Whitney, Bishop od początku miał taki plan. Przez cały czas tak naprawdę chciał doprowadzić do postawienia Billy’ego przed sądem. Zdecydowałem się zagrać ostrzej.

– Skoro uważa pan, że prokurator okręgowy nie zdoła dowieść winy Billy’ego, dlaczego pan tak bardzo w nią wierzy?

Bishop spojrział na mnie tak, jakby nie zrozumiał pytania.

– Dlaczego pan myśli, że on to zrobił? – zapytałem wprost. – Widział pan, jak zabijał Brooke?

Bishop wstał i bez słowa poszedł zamknąć drzwi gabinetu. Następnie wrócił do biurka, usiadł i popatrzył na mnie.

– Ma pan inną teorię? – zapytał poważnie.

– Powiedział pan, że w noc zabójstwa w domu było pięć osób: Billy, pańska żona, Claire, Garret... i pan.

Pokiwał głową, spojrział przez okno na trawnik za domem, po czym znów popatrzył na mnie.

– Nauczyłem się stawiać sprawy jasno, jeśli to tylko jest możliwe. Powiem panu, co myślę. Pojechał pan do Payne Whitney odwiedzić mojego syna, a on zawrócił panu w głowie tak wydumanymi historiami, że stracił pan kontakt z rzeczywistością.

– Jestem łatwowiernym naiwniakiem.

– Tego nie powiedziałem, ale długo trwało, zanim przekonałem się, jak sprytnie Billy potrafi kłamać i manipulować ludźmi.

– Nie przeczę.

– Nie wiem, co takiego panu nakłamał – mówił Bishop – w każdym razie spowodował, że poprosił pan o spotkanie moją żonę, żeby wziąć ją na spytki.

Prawda wyglądała nieco inaczej. To Julia do mnie zadzwoniła, a nie ja do niej. Nie miałem jednak zamiaru mówić o tym Bishopowi.

– To prawda, że chciałem się czegoś więcej dowiedzieć o Billym i pańskiej rodzinie. Umówiłem się z pańską żoną na lunch w Bostonie. Ale pan to wie. – Zrobiłem pauzę. – A tak z ciekawości, jeśli już kazał mi pan śledzić, nie lepiej było wysłać coś mniej rzucającego się w oczy niż range rover a z przyciemnianymi szybami? Na przykład jakiegoś chevroleta lub terenówkę?

– Nie mam się czego wstydzić.

– Ani ja. Czy zawsze każe pan śledzić ludzi? Bishop zachowywał twarz pokerzysty.

– Dość często. Lepiej mieć więcej informacji niż mniej. – Przyglądał się posiwiałe włosy. – Przejdźmy do rzeczy, doktorze Clevenger. Jaką to historyjkę sfabrykował dla pana Billy, że uwierzył pan, iż ktoś inny mógł zabić Brooke?

Wyglądało to na zaproszenie do poznania wersji Bishopa, toteż nie mogłem się powstrzymać, by z niego nie skorzystać.

– Trudno sfabrykować blizny na plecach – rzuciłem.

Bishop uśmiechnął się i pokiwał głową.

– A więc o to chodzi. Twierdzi, że go biłem. Stara śpiewka.

– Podczas gdy pan twierdzi, że on sam się poranił.

– Z tego, że biłem go pasem, jest taka sama prawda jak z tego, że go gryzłem, kaleczyłem czy wyrwałem mu włosy z głowy. Wszystko to robił sobie sam.

– Być może. Ale jego wersja doskonale pasuje do pańskiej przeszłości.

Bishop nie musiał pytać, co znaczy ta moja uwaga. Nie owijałem sprawy w bawełnę, przekazując mu przez kierowcę, że woli bić dzieci i kobiety. Jednak chciał chyba dowiedzieć się z pierwszej ręki, co mam na myśli.

– O jakiej przeszłości pan mówi?

Nie miałem nic przeciwko temu, by zburzyć ten jego spokój.

– Chodzi mi o to, co zrobił pan swojej pierwszej żonie, Lauren. No wie pan, taki drobiazg jak złamanie zakazu zbliżania się do niej. I jeszcze oskarżenie o pobicie.

Powieka mu nie drgnęła.

– Byłem wtedy innym człowiekiem – stwierdził.

– Doprawdy?

– Po pierwsze, piłem.

Nie przypuszczałem, że się do tego przyzna, a w każdym razie nie tak otwarcie.

– Pił pan? To znaczy był pan alkoholikiem?

– Nie, po prostu piłem. „Alkoholik” brzmi, jakbym padł ofiarą jakiejś wymyślnej choroby i nie mógł się opanować. Jedzie się do kliniki Betty Ford i wszystko jest w porządku. Prawda była taka, że codziennie świadomie podejmowałem decyzję, że się upiję. Żaden program odwykowy, nieważne jak kosztowny, nic by mi nie pomógł. Musiałem przejrzeć na oczy.

Rzekoma szczerość Bishopa kłóciła się z kłamstwami, których naopowiadał Julii na temat swojej kryminalnej przeszłości.

– Czego to niby miało dotyczyć? – zapytałem sceptycznie.

– Musiałem zrozumieć, kim jestem i co złego zrobiłem.

Kiwnąłem głową, by mu pokazać, że słucham.

– Dorastałem, mając niewiele dóbr materialnych – wyznał.

– Czyli był pan biedny – uściśliłem.

Nie wykręcił się od odpowiedzi.

– Tak. Nie miałem co jeść, jeśli koniecznie chce pan wiedzieć. Nosilem używane ubrania. Marzłem w nocy z braku ogrzewania. To doświadczenie

prześladowało mnie bardzo długo. Może zabrzmiało to żałosnie, ale wstydziłem się tego, kim jestem. Wzbudzało to we mnie wściekłość. Nienawiść. Jako dzieciak tłumilem te uczucia. A potem pojechałem do Wietnamu i otrzymałem *carte blanche* na okazywanie tych wszystkich kłębiących się we mnie negatywnych emocji. – Zacisnął wargi, wziął głęboki oddech i znów spojrzął za okno. – Robiłem rzeczy, z których nie jestem dumny. – Z powrotem popatrzył na mnie. – Długo próbowałem zatrzeć te wspomnienia gorzałą. Straciłem nad sobą kontrolę. A moja żona, Lauren, znalazła się na linii ognia. Dzięki Bogu, że dziś jesteśmy przyjaciółmi. Nie wiem dlaczego. Nie zasłużyłem na to.

Nie potrafiłem odgadnąć, czy Bishop jest ze mną szczery, czy też bawi się w kotka i myszkę. To, co powiedział, zabrzmiało szczerze, ale nie widziałem powodu, dlaczego Julia miałaby kłamać, że on bije Billy'ego.

– Dziękuję – powiedziałem. – Dało mi to lepszy wgląd w całą sprawę. Mało kto potrafi tak mówić o sobie.

– Przez długi czas ja też nie potrafiłem. Trzeba się przemóc, żeby się otworzyć.

Ostatnie zdanie chybiło celu, zabrzmiało pusto i fałszywie. Myślę, że Bishop o tym wiedział. Instynktownie czułem, że chce mi się przedstawić w sposób, jaki jego zdaniem spodobałby się psychiatrze.

– Skoro mówimy ze sobą szczerze, pozwól pan, że opowiem panu coś o sobie.

Przechylił lekko głowę, dając mi znać, że jest gotowy słuchać. Nawet ten ruch sprawił na mnie wrażenie wyreżyserowanego.

– Mam jeden prawdziwy talent. To właśnie za niego ludzie, mi płacą.

– Co to takiego? – zapytał.

– Jestem kopaczem.

– Kopaczem?

– Owszem. Tak długo ryję, aż dokopię się do prawdy. – Musiałem mu to powiedzieć głośno i wyraźnie: nie mam zamiaru przerywać swojego dochodzenia.

– W takim razie, choć w innej sytuacji bardzo bym sobie cenił pańską nieustępliwość, to w świetle decyzji, że Billy nie przyzna się do winy, zamiast występować o uznanie go za niepoczytalnego, uważam pańskie dalsze usługi za zbędne.

– Dla kogo? – zapytałem.

– Dla naszej rodziny.

To stanowisko można było zakwestionować, zważywszy na to, że Billy, a także Tess, również należeli do rodziny, ale miałem w zanadrzu prostszy argument.

– W tym wypadku to nie rodzina jest moim klientem, ale policja Nantucket.

– Przykro mi zatem, jeśli przedstawili panu tę sprawę tak, że mógł pan odnieść wrażenie, iż będzie to długa i absorbująca praca. Zrekompensuję panu zawiedzione oczekiwania. Z przyjemnością zapłacę za miesiąc pańskiej pracy. Albo za dwa – tyle, ile uzna pan za godziwe wynagrodzenie.

Bishop najwyraźniej uważał, że on i tutejsza policja to jedno i to samo. Wyraźnie też chciał się mnie pozbyć. Pragnął tego tak bardzo, że gotów był mi zapłacić. Zaciekawilo mnie ile.

– Dwa miesiące pracy w pełnym wymiarze godzin to daje pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– To duża suma – zauważył Bishop.

– Za duża dla pana?

– Tego nie powiedziałem. Jeśli spodziewał się pan dwóch miesięcy pracy, to powinien pan otrzymać stosowną rekompensatę. Wydam odpowiednie dyspozycje. – Podniósł rękę. – Jeden warunek: nie będzie się pan więcej kontaktował z Julią.

Czyżbym się pomylił? Może dawał mi łapówkę, bym się trzymał z dala od jego żony, a nie po to, bym się przestał zajmować sprawą Billy'ego. Tak czy owak, należało przerwać tę farsę. Wstałem.

– Nic z tego – oświadczyłem.

Twarz Bishopa stężała.

– Przecież przystałem na pańską cenę.

– Rzecz w tym, że gdy raz zacznę drażyć, nie mogę przestać. Za żadną cenę. To coś takiego jak pańskie picie.

Albo twoje – wtracił się mój wewnętrzny głos.

– Radzę panu to przemyśleć.

Kiwnąłem głową.

– Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. Sam trafię do wyjścia.

Ruszyłem ku drzwiom.

– Daję panu ostatnią szansę! – zawołał do mnie. Jego głos zmienił się dramatycznie. Stał się jakiś mechaniczny. Nie znać po nim było, że Bishop chce dotrzeć do rozmówcy i przekonać go.

Ponownie zatrzymałem się przed obrazami przedstawiającymi konie

Bishopa.

– Jakim cudem ktoś tak wrażliwy i szczerzy jak pan mógł nie pokochać tych zwierząt? – rzuciłem. – To wydaje się nieludzkie.

– Gdyby był pan notowany na giełdzie, już bym sprzedawał pańskie akcje. Wyszedłem z biura.

Claire Buckely dogoniła mnie, zanim doszedłem do drzwi frontowych.

– Mam nadzieję, że otrzymałeś odpowiedzi na swoje pytania – stwierdziła.

– Na niektóre – odrzekłem.

– Może ja mogłabym ci w czymś pomóc?

Zwolniłem kroku. Postanowiłem zasiać jeszcze większy niepokój u domowników, informując Claire, że nie wierzę w winę Billy'ego.

– Czy myślisz, że to Billy zabił Brooke? – spytałem.

Przyglądałem się jej twarzy, oczekując, że zobaczę na niej ten sam wyraz niedowierzania, jaki ujrzałem na przykład u Laury Mossberg czy Julii Bishop, którym zadałem to samo pytanie – zdający się mówić, że w ogóle nie brały pod uwagę innej możliwości.

– Myślisz, że to był Billy? – zapytałem jeszcze raz.

Wzięła głęboki oddech.

– Czy to, co powiem, zostanie między nami?

– Tak. Nikomu tego nie zdradzę.

– Nawet Winowi?

– Masz na to moje słowo.

– Muszę ci najpierw wyjaśnić, dlaczego w ogóle spadła na mnie opieka nad Tess i Brooke.

– Proszę, mów.

– Wiesz, nie planowałam, że będę pracowała jako niania na pełen etat. To się tak jakoś samo stało. Głównie pomagałam przy ozdabianiu domu, organizowaniu przyjęć i ustalaniu terminów spotkań w interesach, które Win odbywał w domu.

– I co się stało?

– Julia się zmieniła.

– Co przez to rozumiesz?

– Wcześniej zawsze była optymistyczna i pełna życia. To wspaniała kobieta.

Bardzo ją szanuję.

Tym bardziej musiałaś się cieszyć, że śpisz z jej mężem, pomyślałem.

– Szanujesz ją, ale... – podpowiedziałem Claire.

– Ale po urodzeniu bliźniaczek zmieniła się na gorsze. Nie interesowała się dziećmi. Nie chciała z nimi przebywać.

– I wtedy ty wskoczyłaś w jej buty. – Staralem się to powiedzieć beznamyślnie, ale mimo to w mój głos wkradła się nutka ironii.

– Bo pan Bishop mnie o to poprosił.

Nagle „pan Bishop”. Przypieranie jej do muru mogło spowodować tylko to, że zamilknie. Wycofałem się.

– Szczerze mówiąc, dobrze się złożyło, że mieli ciebie i że zgodziłaś się zająć dziećmi. Wielu ludzi powiedziałoby, że to nie należy do ich obowiązków.

– Nigdy bym tak nie postąpiła. Win bardzo się martwił.

– Jasne. A właściwie, jak dokładnie Julia się zachowywała? Była smutna, z byle powodu wybuchała płaczem czy...?

– Raczej poirytowana. Win mówił, że wpadała w „czarny nastrój”. Zatrudnili niańkę, Kristen Collier, ale Julia pokłóciła się z nią i zwolniła ją tydzień po urodzeniu się bliźniaczek.

– Pamiętasz, skąd była ta niania?

– Owszem, z Duxbury. Sama pomogłam ją znaleźć.

Duxbury leży na przedmieściach Bostonu około dwunastu mil na południe od centrum miasta. Zapamiętałem sobie nazwisko i miejsce zamieszkania Kristen.

– Czy Julia mówiła, że zrobi sobie coś złego? Albo komuś innemu?

Claire potrząsnęła głową.

– Nie chciałabym niczego wyolbrzymiać. To znaczy myślę, że takie zachowanie nie jest niczym nadzwyczajnym. Prawda? Wiele kobiet czuje to samo co Julia, tylko o tym nie mówi. A poza tym jej nastrój w ostatnim miesiącu się poprawił.

Wiele kobiet nic o tym nie mówi? O czym? Zapytaj ją, co takiego powiedziała Julia – podpowiedział mi wewnętrzny głos.

– Rozumiem. A czy Julia powiedziała coś konkretnego na temat tego, co czuje, zwłaszcza coś, co cię zaniepokoiło?

Claire rozejrzała się dookoła i nic nie powiedziała.

– Claire?

– No cóż, kiedyś jej się wypsnęło... – Znowu zamilkła.

– Co takiego?

– Powiedziała... że wcale nie chciała tych dzieci. – Zniżyła głos do szeptu. –

Powiedziała, że szkoda, że nie umarły.

Serce mi zamarło. To prawda, że wiele kobiet bezpośrednio po porodzie jest przytłoczonych nowymi obowiązkami wobec niemowlęcia i żałuje, że nie może wrócić do dawnego życia. Często nawet modlą się w duchu, żeby ich dziecko umarło. Niektóre są nawet tak odważne i uczciwe, że zwierają się z tego lekarzom lub bliskim przyjaciołom. Śmierć Brooke – zamordowanie jej – rodziła pytanie, czy Julię też nawiedzały takie myśli. Wszystko mi mówiło, że nie, ale ponieważ to chodziło o nią, nie mogłem całkowicie zaufać swojemu instynktowi.

– Nie chciałam o tym mówić – podjęła Claire – ale kiedy Billy’ego zabierano do szpitala psychiatrycznego, naprawdę wyglądał na zaszokowanego.

– Co przez to rozumiesz?

– Wielokrotnie słyszałam, jak kłamie. Potrafi być bardzo przekonujący. Może mieć w kieszeni pański portfel i kategorycznie twierdzić, że go nie widział na oczy. Kiedyś mnie tak okłamał. Ukradł mi portfel, a potem pomagał mi go nawet szukać. Pamiętam też, jak przysięgał, że nie tknął zwierząt sąsiadów, mimo że miał rękę podrapaną przez kota. – Bawiła się swoją błyszczącą bransoletką od Cartiera. – Ale kiedy zabierano go do Payne Whitney, sprawiał wrażenie zwyczajnie przestraszonego. Jakby nie wiedział, za co go to spotkało.

– A więc twoim zdaniem Billy tego nie zrobił, tak?

Lekko przygryzła dolną wargę – Nie wiem, co mam myśleć. Chciałam tylko zrzucić z siebie ten ciężar.

– Doceniam to. Naprawdę.

– Czy mam się z tobą skontaktować, jeśli jeszcze coś mi się przypomni?

– Będę bardzo wdzięczny. Mieszkam w Breakers. A poza tym zawsze możesz dzwonić do mnie na komórkę. – Podaliśmy jej numer. Odprowadziła mnie do drzwi – Przy okazji, gdzie jest Garret?

– W swoim pokoju. Ciężko to wszystko przeżywa. Stracił siostrę i brata. Z trudem daje się wyciągnąć stamtąd na posiłki. – Ale zagrał w turnieju tenisowym – zauważyłem.

– Niechętnie, delikatnie mówiąc. – Spojrzała na zegarek. – O pierwszej ma właśnie bronić swojego tytułu mistrzowskiego w singlu.

– W dzień pogrzebu siostry?

Przewróciła oczami.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego. To sprawa między Garretem a jego ojcem.

Popatrzyłem na schody, a potem na gabinet Bishopa.

– Jak myślisz, czy Garret zgodziłby się chwilę ze mną porozmawiać?
– On z nikim nie rozmawia. Wątpię, żeby teraz udało ci się coś z niego wyciągnąć.

– Chętnie bym spróbował.

Zawahała się.

– Musiałabym zapytać Wina o zgodę.

Wiedziałem, jaki byłby tego rezultat.

– Nie rób sobie kłopotu. Porozmawiam z nim innym razem.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytał Anderson, gdy ruszyliśmy sprzed rezydencji Bishopa.

– Co do jednego miałeś rację. Bishop chce, by dochodzenie się zakończyło.

– Co powiedział?

– Dawał mi pięćdziesiąt patyków, żebym puścił przynętę.

– Mam nadzieję, że wzięłeś.

Spojrzałem na niego. Żartował.

– Nie był zadowolony, gdy odmówiłem. Już nie udaje, że gramy w tej samej drużynie.

– Wnioskuje, że wciąż jest na początku twojej listy, tak? Myślisz, że on to zrobił?

– Myślę, że dowiemy się tego, jeśli nie przestaniemy wywierać na niego nacisku.

– Kupuję pomysł.

Nie chciałem niczego ukrywać.

– Gdy wychodziłem, zatrzymała mnie Claire. Chciała mi coś powiedzieć na temat Julii.

– Co takiego?

– Julia wpadła w depresję po urodzeniu bliźniaczek. – Starłem się zatrzeć ślad niepokoju w swoim głosie. – Nawet wtrąciła kiedyś mimochodem, że żałuje, iż je urodziła.

Anderson uniósł brew.

– Ciekawe – mruknął. – Cieszę się, że złożyłeś tę wizytę.

– Ja też.

– Sprawdziłem dane, które mi przesłałeś e-mailem, na temat ryzyka śmierci drugiego bliźniaka w sytuacji, gdy pierwszy został zamordowany. Siedemdziesiąt procent. Mam zamiar nacisnąć Wydział Spraw Społecznych, żeby wydał nakaz

zabrania Tess z domu.

Nie podobał mi się pomysł wywierania presji na Julię, ale ryzyko było zbyt duże, aby się martwić czyimiś zranionymi uczuciami.

– Słuszna decyzja – przytaknąłem.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok „budki strażniczej” Bishopa, ruszył za nami następny range rover.

Anderson zerknął we wsteczne lusterko, a potem na mnie.

– Powinieneś się wyprowadzić z hotelu i przenocować u mnie. Instynktownie dotknąłem spoczywającego w kieszeni browninga.

– Niezły pomysł. Może po pogrzebie.

– Dlaczego może?

– Ponieważ hotel nie zwraca wpłaty za pokój – zażartowałem.

Anderson pokręcił głową.

– Jeśli coś kombinujesz w związku z Julią, to masz niedobrze w głowie.

– No dobrze, przyjadę – odparłem, czując, że muszę jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– To było ostrzeżenie – zwrócił mi uwagę Anderson.

Klub tenisowy Brant Point przy North Beech Street wyglądał tak, jak powinno wyglądać miejsce, w którym bogaci próżniacy spędzają wolny czas. Na płocie otaczającym korty wisały płachty zielonego nylonu nie tylko po to, by zapewnić graczom osłonę przed słońcem, ale także, by ukryć ich przed obiektywami paparazzich. Budynek klubowy charakteryzował się skromną elegancją, a jego umeblowanie ograniczało się do głębokich foteli, w których można było godzinami przesiadywać i sączać dzin z tonikiem, rozprawiać o tym czy tamtym zagranium, tej czy tamtej rakiecie lub za pomocą palmtopa sprawdzać notowania giełdowe.

Ruszyłem do Brant Point sprzed hotelu, pod który podwiózł mnie Anderson. Miałem nadzieję, że uda mi się porozmawiać sam na sam z Garretem Bishopem. Instynkt mi podpowiadał, że chłopiec stronił od ludzi nie tylko z powodu żaloby.

Gdy tuż przed drugą przyjechałem do klubu, finałowy pojedynek w singlu dobiegał końca. Na prowizorycznych trybunach zasiadł komplet widzów. Garret wygrał pierwszego seta sześć do dwóch, w drugim prowadził cztery do jednego. Serwował i miał szansę na kolejnego gema. Odchylił się do tyłu. Z brwi ściekały mu kropelki potu. Podrzucił piłkę, śledząc ją niczym myśliwy zwierzynę. Następnie zamachnął się, wkładając w to wszystkie siły swojego umięśnionego ciała. Ciszę przerwał głuchy odgłos, przeciwnik nie zdążył dobiec do piłki i było pięć do jednego.

Co to za człowiek – zastanawiałem się – który potrafi tak znakomicie grać, gdy za cztery godziny ma jechać na pogrzeb siostry? Ile kosztowało Garreta sprostanie wymaganiom Darwina Bishopa, który żądał od syna perfekcji niezależnie od tego, pod jaką był presją? Gdzie się podział jego niepokój, smutek i strach?

Mecz skończył się pięć minut później wynikiem sześć do dwóch, sześć do jednego. Garret wygrał meczbola, udając, że chce ściąć zbyt krótki lob. Przeciwnik cofnął się do linii autowej, a tymczasem Garret ledwie musnął rakieta piłkę, tak że spadła tuż za siatką.

Wybuchły owacje, lecz Garret odwrócił się i zszedł z kortu, nie wznosząc triumfalnie rąk, nie kłaniając się widzom i nie wymieniając z przeciwnikiem uścisku dłoni nad siatką.

Dogoniłem go w połowie drogi do budynku klubu.

– Garret! – zawołałem za nim. Nie zatrzymał się. Przyspieszyłem kroku, by się z nim zrównać. Szedł, patrząc przed siebie. – Garret! – krzyknąłem trochę głośniej.

Obrócił się do mnie z obojętnym wyrazem twarzy.

– O co chodzi? – zapytał, niczym nie zdradzając, że mnie poznaje.

– Jestem Frank Clevenger. Spotkaliśmy się już. Byłeś z matką, a ja z kapitanem Andersonem.

Szedł dalej.

– Jestem psychiatrą – odpowiedziałem mu.

– Wiem, kim pan jest – odparł, nie zwalniając.

– Chciałbym chwilę z tobą porozmawiać.

– Nie widzę potrzeby. – Przyspieszył kroku. – Sam sobie poradzę.

Zaświtało mi w głowie, że myśli, iż przysłała mnie Julia, bym mu pomógł dojść do siebie po morderstwie Brooke.

– Nikt nie wie, że tu jestem. Przyjechałem z własnej woli. Potrzebuje informacji.

– Jakich?

Postanowiłem nie silić się na subtelności.

– Chcę, żebyś opowiedział mi jak najwięcej o swoim ojcu.

Zatrzymał się i odwrócił do mnie.

– O ojcu? – zapytał z wyraźnym napięciem w głosie.

– Tak.

– Co pan chce o nim wiedzieć?

Miałem wrażenie, że zdołam więcej od niego wyciągnąć, jeśli dam mu do zrozumienia, że podejrzewam Darwina o udział w zabójstwie Brooke. Może uczepli się tej szansy, by się wyrwać spod jego wpływu.

– Mam wątpliwości co do oficjalnej wersji, że Billy jest zabójcą twojej siostry. Rozglądam się za innymi możliwościami.

Popatrzył na mnie niepewnie.

– Przecież pracuje pan dla Wina, prawda?

Przypomniałem sobie, że Billy zadał mi to samo pytanie.

Zwróciłem też uwagę, że Garret mówi o ojcu, używając jego imienia. Żadnych czułości.

– Nie – zaprzeczyłem. – Pracuję dla policji.

– Zwykle policja też dla niego pracuje.

Słowa Garreta sprawiły, że jeszcze raz się zastanowiłem, czy na pewno North

Anderson zawsze trzymał się z dala od rodziny Bishopa. Ale wahałem się tylko chwilę. Przeszliśmy z Andersonem przez piekło i razem z niego wróciliśmy.

– Nikogo z prowadzących dochodzenie nie ma na liście płac twojego ojca – zapewniłem go. – Może to właśnie go niepokoi.

Garret popatrzył pod nogi, a potem znowu na mnie.

– W porządku – rzucił, mierząc mnie spojrzeniem. – Porozmawiajmy.

– Czy twoim zdaniem Billy zabił waszą siostrę?

– Nie.

– A co się wydarzyło?

– Myślę, że urodziła się martwa.

– Co proszę?

– Poronienie.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie rozumiem.

– Nie tylko Brooke, ale one obie. Tess również.

– O co ci chodzi?

– Chodzi mi o to, że w tym domu wszyscy jesteśmy martwi. Liczy się tylko jedna osoba. Darwin Harris Bishop.

– Podobno zmusił cię dzisiaj do gry w turnieju. Wiem to od Claire.

– Claire – powtórzył z pogardą. Pokręcił głową. – Nic pan nie rozumie.

– Czego nie rozumiem?

– Tu nie chodzi o turniej, o tenis, ale o wszystko. O to, w co się ubieram, jakich mam przyjaciół, co studiuje, co myślę, co czuję.

Pod pewnym względem słowa Garreta przypominały typowe pretensje siedemnastolatka do rodziców. I chyba dlatego odpowiedziałem niezbyt zręcznym frazesem.

– Nie zostawia ci miejsca na własne życie.

– Zgadł pan. Przechodzę trudny okres.

– Przepraszam. Nie to miałem na myśli – poprawiłem się natychmiast.

Garret znów spojrzał pod nogi, kopnął kamyk i zaśmiał się pod nosem.

– Naprawdę chciałbym się czegoś dowiedzieć o stosunkach panujących w waszym domu – powiedziałem.

Znów spojrzał na mnie. Wydał wargi.

– Człowiek czuje się tam, jakby coś go zżerało od środka, aż zostaje z niego pusta skorupa. Tata jest kimś w rodzaju Jeffreya Dahmera. Tylko nie musi cię oblewać kwasem, żeby zrobić z ciebie zombie. Ma na to inne sposoby.

Garret najwyraźniej uważał ojca za despotę, ale ja chciałem się dowiedzieć, czy ma jakieś dowody świadczące o tym, że Darwin Bishop miał coś wspólnego z morderstwem Brooke.

– Czy w tę noc, kiedy zabito Brooke, widziałeś coś niezwykłego? Czy sądzisz, że twój ojciec...

Garret spojrzał przed siebie.

– Pan wciąż nie rozumie istoty sprawy.

– Ale chciałbym. Daj mi jeszcze jakąś podpowiedź.

– W naszej rodzinie powietrza starcza jedynie dla Wina. Reszta musi walczyć o każdy jego haust. Tak więc jakie to ma znaczenie, kto udusił Brooke? – Zaczął się we mnie wpatrywać jeszcze intensywniej. – Żadne. W pewnym sensie nawet dobrze się stało. Mniej cierpiała. Krócej.

Garret mówił jak ktoś, kto stracił wszelką nadzieję. Jak więzień, który nie widząc szans na ucieczkę, przestaje walczyć o wolność.

– Wciąż możesz pomóc Billy’emu – przypomniałem mu. – Wiem, że wy dwaj nie jesteście ze sobą życzliwi, ale jemu grozi, że resztę życia spędzi za kratkami.

– Tam będzie miał więcej wolności niż tutaj. Poza tym wątpię, by strażnicy bili go tak mocno.

Powiedział to głośno i wyraźnie. Julia, Billy i Garret, wszyscy oni, wbrew temu, co twierdził Darwin Bishop, zaprzeczali, by rany na plecach Billy’ego były wynikiem samookaleczenia.

– Jeśli Billy jest niewinny, a ty możesz to udowodnić, to znaczy, że musiałeś coś widzieć w noc śmierci Brooke.

– A co zrobię, jeśli zaryzykuję i zdecyduję się zeznawać przeciwko Winowi, a jego w końcu uniewinnią?

Nie znalazłem dobrej odpowiedzi na to pytanie. Kiedy się głowiłem, co mu powiedzieć, odszedł.

– Dokąd idziesz?! – zawołałem za nim.

Obrócił głowę, ale się nie zatrzymał.

– Niech pan to przemyśli. Nikt z nas nie ucieknie przed Winem. Billy wciąż tego nie może zrozumieć, w przeciwnym razie już dawno wróciłby do szpitala.

Odwrócił się i przyspieszył kroku, zmierzając w stronę budynku klubu.

Wsiadłem do pikapa i wystukałem numer do domu, by sprawdzić, czy w poczcie głosowej nie ma nowych wiadomości od Billy’ego, ale nic nie było.

Pozostało mi trochę czasu do pogrzebu Brooke. Czulem, że muszę na chwilę

zapomnieć o rodzinie Bishopów. Zjadłem sandwicha i wypilem dwie filiżanki kawy w 'Sconset Cafe, a potem pojechałem do latarni morskiej na przylądku Sankaty Head, naprzeciwko której znajdował się klub golfowy o tej samej nazwie. Zbudowana na klifie latarnia rzucała światło widoczne z dwudziestu mil. Wzniesiono ją w 1850 roku, aby ułatwić żeglugę po pięknych, lecz zdradliwych wodach zatoki Nantucket – cmentarzyska wielu statków i okrętów.

Zatrzymałem samochód i przeszedłem ćwierć mili w kierunku bujnej trawy, która porastała teren wokół latarni. Świeciło słońce i było ciepło, a przede mną rozciągał się niezmierny ocean. Niektórzy utrzymują, że spacer z Siasconset do latarni morskiej wzdłuż urwistego brzegu jest najlepszym sposobem na pozbycie się złych myśli. Może też powinienem pójść tamtędy, gdyż w moim umyśle kłębił się cały ich rój.

Moja lista podejrzanych o zamordowanie Brooke wciąż się wydłużała. Obecnie znajdowali na niej wszyscy, którzy byli w domu Bishopa w noc zabójstwa.

Oczywiście na czele znajdował się Darwin Bishop. Tylko on został skazany za przemoc w rodzinie, a teraz znęcał się nad Billym, o czym świadczyły rany na plecach przybranego syna. Tylko on próbował mnie odsunąć od tej sprawy. I to on, o ile mogłem się zorientować, był niezadowolony, że urodziły mu się bliźniaczki. Być może dlatego, że pokrzyżowało mu to plany rozpoczęcia nowego życia z Claire Buckley.

Ale na mojej liście był też Billy. Chłopak, który w przeszłości bawił się w podpalacza, znęcał się nad zwierzętami, niszczył i kradł cudzą własność, no i owszem, jak każdy rasowy psychopata, miał również moczenia nocne. Jeśli dodać do tego tłumioną nienawiść, której odzwierciedleniem było znęcanie się nad samym sobą – gryzienie się, samookaleczanie, wrywanie sobie włosów – mamy wybuchową mieszankę.

A Claire Buckley? Czy frustrowało ją to, że pracuje tylko jako niania, gdy mogłaby zostać panią domu? Czy zasmakowawszy w wożach po świecie z Darwinem Bishopem, w luksusowych hotelach i drogich winach, mogła ze spokojem przyjąć wiadomość, że Julia jest w ciąży i spodziewa się bliźniąt? Czy Darwin oświadczył jej, że w tej sytuacji nie może odejść od żony? Czy Claire, na pozór troskliwa i oddana dzieciom niania, nie patrzyła na nie jak na ucieleśnienie więzów, które znów połączą jej bogatego kochanka i jego piękną, podobno będącą z nim w separacji żonę?

Wróciłem myślami do rewelacji Claire, że Julia niezbyt się cieszyła

z urodzenia bliźniaczek i że podobno kiedyś nawet jej się wyrwało: „Szkoda, że nie umarły”. Czy Claire powiedziała o tym niechętnie, czy też celowo zdradziła mi tę informację, aby odsunąć podejrzenia od siebie? A przede wszystkim, jaką miałem pewność, że Julia w ogóle coś takiego powiedziała?

To kazało mi się skupić na żonie Bishopa. Czy uznałbym ją za bardziej prawdopodobną podejrzaną, gdybym nie znalazł się pod jej urokiem? Musiałem przyznać, że depresja poporodowa Julii i rzekoma niechęć, jaką czuła do Brooke i Tess, zwiększały prawdopodobieństwo, że mogła im zrobić krzywdę. Ale znowu nie aż tak bardzo. W końcu ogromna większość kobiet cierpiących na depresję poporodową nie robi nic złego swoim dzieciom.

No i zaniepokoił mnie również Garret. Dorastając pod opieką Darwina Bishopa, chłopiec najwyraźniej stracił nadzieję, że kiedyś będzie mógł normalnie żyć. Zastanawiałem się, czy ta mentalność więźnia mogła go skłonić do „skrócenia męczarni” innemu członkowi rodziny? Czy Garret zabił Brooke, żeby ją uwolnić?

Potrząsałem głową. Darwin Bishop zarzekał się, że ani policja, ani prokurator okręgowy nie zdołają udowodnić Billy’emu winy, ponieważ mordercą mógł być każdy, kto w noc zabójstwa przebywał w domu. Miałem wrażenie, jakby wszyscy w tej rodzinie się umówili i tak pokretnie zaaranżowali wydarzenia, żeby mnie zbić z tropu.

Można też było inaczej spojrzeć na ten gąszcz możliwości. Nie ulega wątpliwości, że każde z Bishopów mogło zabić Brooke i miało ku temu jakiś powód. Rodzina mogła całkowicie nieświadomie zachęcić jednego ze swoich członków, aby dokonał tego w imieniu wszystkich. To dlatego miałem takie kłopoty z wytypowaniem głównego podejrzanego.

Na przykład część osób badających sprawę zabójstwa Kennedy’ego odrzuca teorię o istnieniu spisku na życie prezydenta. Twierdzą, że to zbieżność interesów różnych grup – związanych na przykład, choć nie jedynie, ze sferami militarno-przemysłowymi, CIA czy mafią – po cichu, w niemal magiczny sposób doprowadziła do zamachu na Kennedy’ego. Ich zdaniem Lee Harvey Oswald działał sam, ale jego czyn wieńczył dzieło podjęte przez miriady ciemnych sił, podobnie jak popularny przywódca, który potrafi wyrażać i realizować cele będące kulminacją naszej zbiorowej nadziei i odwagi.

Taka wizja śmierci Brooke wyglądała na jeszcze straszniejszą, gdyż siły, które zachęciły do działania jej zabójcę, wciąż by istniały. A ich najbardziej prawdopodobnym następnym celem byłaby Tess Bishop.

Wyciągnąłem telefon komórkowy i zadzwoniłem do Andersona. Sekretarka przełączyła rozmowę na telefon w jego radiowozie. Zapytałem, czy udało mu się coś załatwić w sprawie zabrania Tess z domu Bishopa.

– Na razie nie – odparł. – Rozmawiałem z Samem Middletonem, zastępcą dyrektora Wydziału Spraw Społecznych. Jak się spodziewałem, powiedział, że niezależnie od tego, co mówią statystyki, nie odbiera się dzieci rodzicom tylko dlatego, że w rodzinie doszło do morderstwa, zwłaszcza gdy policja ma podejrzanego. Gdy została zamordowana Jon Benet, jej brat nie wylądował w sierocińcu.

– Middleton po prostu powtarza jak papuga oficjalne stanowisko WSS. Nie można go jakoś twórczo obejść?

– Próbowałem przekonać Leslie Grove, dyrektorkę do spraw medycznych z Pomocy Rodzinie na Nantucket. Powiedziała, że może wysłać do WSS zawiadomienie o zagrożeniu życia dziecka, ale jej zdaniem niewiele to da, jeśli nie ma dowodów, że Tess rzeczywiście coś grozi.

– Czyli tylko oświadczenie Julii może zmienić sytuację. Spróbuję z nią porozmawiać na pogrzebie. Będzie tam też jej matka, która mieszka na Vineyard. Może mogłaby zabrać małą do siebie.

– Czyli uważasz, że dziecko będzie z nimi bezpieczne.

W duszy mogłem za to ręczyć głową. Wiedziałem jednak, że Anderson martwi się, czy zachowuję obiektywizm, gdy chodzi o Julię.

– Nie damy rady odizolować Tess od całej rodziny. Możemy jedynie trzymać ją z dala od jak największej liczby jej członków. Na mój gust przede wszystkim od Darwina Bishopa.

– Zgoda. Do diabła, gdyby to miało coś pomóc, moglibyśmy z Tiną wziąć dzieciaka do siebie.

– Dzięki. Zaproponuję to Julii, ale nie liczyłbym na to, że się zgodzi.

– Udało ci się porozmawiać z Garretem?

– Przez pięć minut. Dopisuję go do listy. Jego zdaniem lepiej, że Brooke umarła, niżby miała żyć pod opieką Bishopa. Nie spodobało mi się to.

– Masz więcej takich dobrych wiadomości?

– Pewnie – odrzekłem. Chciałem mu powiedzieć, że powinniśmy przynajmniej nawiązać kontakt z opiekunką, którą Julia wylała z pracy. – Gdy rozmawiałem z Claire, wspomniała, że Julia zatrudniła opiekunkę do dzieci. Niejaką Kristen Collier z Duxbury. Julia posprzeczała się z nią tydzień po urodzeniu bliźniaków i wyrzuciła z pracy. Myślę, że warto z nią porozmawiać.

Być może wciąż ma klucz do domu. Chciałbym się dowiedzieć, gdzie była, kiedy zabito Brooke.

– Zrobi się.

– To na razie tyle. Porozmawiamy po pogrzebie.

– U mnie? – zapytał znacząco. – Poświęcisz wpłatę za pokój?

– No jasne – zgodziłem się, głównie po to, by uniknąć kłótni. – U ciebie – powiedziałem i rozłączyłem się.

Spojrzałem przed siebie na ocean, a potem obróciłem głowę, by objąć wzrokiem całą panoramę widoczną z Sankty Head. Klify zdawały się wręcz rozpuszczać w piasku plaży, a plaża w morzu. Co chwila nurkował jakiś ptak, by przysiąść na grzbiecie fali. Piękno tego widoku zapierało dech w piersiach. Przypomniało mi się, że sam kiedyś byłem związany z takim miejscem, gdy zamieszkaliśmy z Kathy w Marblehead, innym żeglarskim miasteczku opisywanym w przewodnikach dla turystów. Przekonałem się, że w takim bogatym i pięknym otoczeniu tkwiący w człowieku ból przestaje się uzewnętrzniać, a zaczyna płynąć ciemnymi podziemnymi wodami wśród wypartych wspomnień. Można więc łatwo nabrać przekonania, że wszystko jest w porządku, że budujemy życie na solidnej podstawie, która w rzeczywistości jest grząska i bliska załamania.

Zawróciłem do pikapa. Gdy do niego podchodziłem, zauważyłem, że jakieś pięćdziesiąt jardów dalej w stronę drogi stoi jeden z białych range roverów Bishopa. Wsiadłem do samochodu i ruszyłem do miasta, aby zobaczyć, jak bogacze z Nantucket żegnają swoich bliskich.

Znajomi Darwina Bishopa stawili się tłumnie, by oddać cześć zmarłej. Ludzie stali w ćwierćmilowym ogonku, który ciągnął się od drzwi kościoła Najświętszej Marii Panny Dobrej Nadziei wzdłuż Federal Street aż po skrzyżowanie z brukowaną Main Street. Spędziłem w tej kolejce ponad godzinę, stercząc między dwoma grupami mężczyzn, z których w jednej rozprawiano o konkurencyjności w biznesie naftowym, a w drugiej planowano wyjazd do Indii w celu zwerbowania informatyków. Zgoda, Brooke nie była ich córką, a ludzie robią, co mogą, żeby zapomnieć o tragedii, lecz te rozmowy wydawały mi się szczególnie nie na miejscu, bo sprawiały wrażenie, jakbyśmy stali w kolejce na wiec wyborczy lub do kina. Po jakiejś półgodzinie ta paplanina zaczęła mi mocno działać na nerwy. Dokładnie po trzech kwadransach nie mogłem się powstrzymać, by nie przerwać szczególnie podochoconemu

czterdziestolatkowi w muszce i z tłustymi blond włosami, który narzekał na „pieprzoną Komisję Papierów Wartościowych”. Delikatnie dotknąłem jego ramienia, wyczuwając palcami, że jego prążkowaną koszulę uszyto z bawełny najwyższej jakości. Bawełny z wysp, jak ją nazywają.

– Przepraszam – powiedziałem.

Spojrzał na mnie, lekko zdziwiony, że ktoś mu przerywa.

– Tak? – zapytał. Jego głos był sztucznie przyjacielski.

– Czy to prawda, że morderca zatkał małej drogi oddechowe?

– Co takiego?

Zauważyłem, że jego przyjaciele wciąż rozmawiają na temat giełdy.

– Tak słyszałem, ale nie jestem pewien. Nie pochodzę stąd. Jestem dawnym przyjacielem Julii. Podobno dziecko zostało uduszone.

– To prawda – wycedził.

– Pomyślałem, że to straszne nie móc zaczerpnąć powietrza. Dusić się.

– To proszę przestać o tym myśleć. – Poczekał, aż dotrze do mnie, co powiedział, po czym się odwrócił.

Chciałem zobaczyć, czy moja interwencja znajdzie jakiś oddźwięk i pan Muszka z kolegami choć przez chwilę pobędą cicho. Ale nic z tego. Dyskusja na temat giełdy rozgorzała na nowo, przy czym pan Muszka był w niej szczególnie aktywny, przekonując, że Komisja Papierów Wartościowych opiera się na niejasnych przepisach i dowolnie je stosuje.

W pobliżu schodów do kościoła stały dziesiątki limuzyn. Szeptano, że przyjechali nimi najznamienitsi goście, w tym senator Drew Anscombe i sławny finansista Christopher Burch z Links Securities. Asystent sekretarza stanu William Rust i rosyjski ambasador Nikołaj Tartokowski podobno przylecieli odrzutowym gulfstreamem Darwina Bishopa.

W kościele panowała znacznie poważniejsza atmosfera. Przy drzwiach z drewna tekowego stała marmurowa figura Marii Panny z opuszczonymi rękami. Za ołtarzem jaśniał witraż ze złotych, rubinowych, szmaragdowych i szafirowych szybek przedstawiający Najświętszą Marię Pannę w takiej samej pozie. Przed ołtarzem stała maleńka trumna przykryta białym całunem z ciemnoczerwonym krzyżem.

Mała trumna jest błędem logicznym, bolesną pomyłką we wspaniałym dziele Bożym.

Julia jutro rano będzie musiała pochować swoje dziecko, pomyślałem. Będzie musiała zakopać córkę w ziemi i zostawić. Wzruszenie chwyciło mnie za

gardło, gdy wyobraziłem sobie, jak Julia opuszcza miejsce pochówku, jak Brooke drży zwinięta w kłębek. Chciałem wyrzucić te obrazy z umysłu, ale utknęły w nim na dobre.

W kościele nie było wolnych ławek. Stałem pod ścianą. Rozejrzałem się dookoła i spostrzegłem nie tylko Anscombe'a i Burcha, ale też całą plejadę znakomitości, od prezenterów wiadomości telewizyjnych po gwiazdy rocka.

Ksiądz, zaskakująco młody opalony człowiek z falującymi czarnymi włosami, zaintonował:

*Tobie, Panie, pokornie powierzamy to dziecko,
tak ci drogie.*

*Weź je w swoje ramiona i przyjmij do Raju,
gdzie nie ma smutku, tez i bólu,
a tylko pokój i radość z Twoim
Synem i Duchem Świętym
na wieki wieków.*

Mój wzrok spoczął na Marii, innej matce, której dziecko zostało zamordowane. Zastanowiłem się, czy w tej zbieżności sytuacji lub słowach, które zostaną wypowiedziane w tych murach, Julia zdoła znaleźć pociechę.

Darwin Bishop podjął modły. Chwycił się obiema rękami pulpitu i powoli rozejrzał po kościele, jakby przewodniczył jakiemuś zebraniu. Oczy miał suche.

– Księga Mądrości, rozdział trzeci, wersety od 1 do 7 – powiedział pewnym siebie głosem i zaczął czytać:

A dusze sprawiedliwych są w ręku Boga i nie dosięgnie ich męka.

*Zdało się oczom głupich, że pomarli, zejście ich poczytano za nieszczęście
i odejście od nas za unicestwienie.*

A oni trwają w pokoju.

Brooke zmarła okropną śmiercią, Bishop zaś zdawał się trwać w pokoju. Gdy zaczął mówić, poczułem, jak rośnie mi ciśnienie.

Po nieznacznym skarceniu dostąpią dóbr wielkich, Bóg ich bowiem

doświadczył i znalazł ich godnymi siebie.

Doświadczył ich jak złoto w tyglu i przyjął ich jak całopalną ofiarę.

W dzień nawiedzenia swego zajaśnieją i rozbiegną się jak iskry po ściernisku.

Odwróciłem się i po cichu wyszedłem do przedsionka. Nie mogłem dłużej patrzeć na Bishopa i słuchać go, a tym bardziej ryzykować, że nie daj Boże zobaczę, jak Julia go całuje, gdy będzie z powrotem siadał.

Chciałem jej złożyć kondolencje. Poczekałem, aż skończy się msza i przed rodziną utworzy się kolejka innych chętnych.

Bishopowie stali z boku ołtarza, wysłuchując nie kończących się wyrazów współczucia. Julia ubrana w prostą, obcisłą suknię, która – wstyd przyznać, zważywszy na okoliczności – wywołała u mnie przyspieszone bicie serca, obok księdza, a Darwin po jego drugiej stronie.

Najpierw podałem dłoń Garretowi. Jego uścisk był silny, a kiedy spojrzałem mu w szaroniebieskie oczy, zauważyłem w nich opanowanie, jeśli nie chłód. Następnie stanąłem przed matką Julii – elegancką, szczupłą kobietą w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat z trudem powstrzymującą się od płaczu. Wyciągnąłem do niej rękę.

– Wyrazy współczucia z powodu śmierci wnuczki – powiedziałem, zdając sobie sprawę, jak niewspółmierne są te słowa wobec ogromu jej tragedii.

– Dziękuję panu – odparła, przytrzymując moją dłoń. – Pan jest...?

– Frank Clevenger – przedstawiłem się, nie oczekując, że moje nazwisko coś jej powie.

– Tak myślałam – rzekła, zerkając na Julię, która stała dwa kroki dalej.

Ruszyłem ku niej. Nie mogłem się powstrzymać, by nie pomyśleć, że dobrze się stało, iż poznałem jej matkę, skoro istniała szansa, że po zakończeniu dochodzenia mogę odegrać ważną rolę w życiu obu tych kobiet. Było to miłe uczucie, ale zdusiłem je w sobie. Musiałem zachować równowagę umysłu do czasu rozwiązania tajemnicy morderstwa Brooke. Ale w chwili, gdy ująłem dłoń Julii, moje postanowienie, że zachowam obojętność, przyszło. Darwin Bishop odsunął się o kilka kroków, najwyraźniej nie chcąc, żebym mu składał kondolencje. Dzięki temu mogłem chwilę pomówić na osobności z Julią. Popatrzyliśmy sobie w oczy.

– Tak mi przykro... – Urwałem, nie chcąc wypowiadać stosownych frazesów.

Kciukiem głaskała mnie po wewnętrznej stronie nadgarstka.

– Cieszę się, że przyszedłeś, chociaż wiem, ile cię to kosztowało.

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko – szepnąłem, upojony jej bliskością. Jej czarne włosy, zielone oczy i skóra tak gładka i błyszcząca, jakiej w życiu nigdy nie spodziewałem się dotknąć czy zobaczyć, sprawiły, że obskurny dom, w którym się wychowałem, stał się dla mnie odległy jak nigdy dotąd. Jeśli do tego wszystkiego dodać onieśmielenie jej bogactwem i zachwyty, że kobieta o tylu przymiotach uśmiecha się do mnie, nic dziwnego, że byłem wytracony z równowagi.

– Zostajesz na wyspie? – zapytała.

– Tak.

– Gdzie się zatrzymałeś?

Poczułem, jak nogi się pode mną uginają.

– W Breakers. – Zmusiłem się, by puścić jej rękę, bo czułem, że gdybym ją trzymał jeszcze trochę dłużej, ściągnąłbym na nas zdumione spojrzenia. Instynktownie zerknąłem na Garreta i zobaczyłem, że dostrzegł tę wymianę emocji między mną a jego matką. Rzucił mi spojrzenie pełne zdumienia i złości.

– Mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy – powiedziałem do Julii i ruszyłem w stronę wyjścia z kościoła.

Nim zdążyłem dojść do drzwi, ktoś złapał mnie za ramię. Odwróciłem się na pięcie i stanąłem oko w oko z Bishopem. Na jego twarzy malowało się wyreżyserowane pobłażanie.

– Do pewnego stopnia podoba mi się pańska bezczelność – rzucił, nie puszczając mojego ramienia.

Miałem mieszane uczucia. Po części mu współczułem, a po części chciałem mu złamać rękę.

– Nie sądzę, by to było odpowiednie miejsce do takiej rozmowy – oświadczyłem.

– Ani do romansów z moją żoną.

– Ja nie... – zacząłem mówić.

Puścił moje ramię.

– Pomieszalo się panu w głowie – powiedział niemal ojcowskim tonem. – Instynkt pana zawiódł.

– Dziękuję za radę – uciałem. Odwróciłem się, żeby odejść, ale on znowu złapał mnie za ramię. Ponownie się odwróciłem.

– Powiedział mi pan, że ma jeden talent. Jest pan kopaczem. Nic dodać, nic ująć.

– Owszem, tak powiedziałem.

– Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że tak naprawdę ja też mam tylko jeden talent.

– Jaki?

– Odróżniam zwycięzców od przegranych. We wszystkim. Nieważne, czy chodzi o akcje, ludzi, interesy czy pomysły. To coś w rodzaju siódmego zmysłu.

Przypomniało mi się, jak powiedział, że postawił na akcje Acibat Software, których cena spadła o czterdzieści pięć procent. Ale to był nieistotny szczegół – to, że zdobył miliardową fortunę, oznaczało, że dostrzega rzeczy, które uchodzą uwagi innych ludzi – na giełdzie i gdzie indziej.

– To cenna umiejętność – zauważyłem.

– Polegam na niej. I teraz mój siódmy zmysł podpowiada mi, że w najbliższym czasie wszystko pan straci. – Uśmiechnął się. – Czuję, że tak będzie. – Odwrócił się i odszedł.

Patrzyłem, jak wraca, by dalej przyjmować kondolencje. Tętno mi podskoczyło, a biceps zdrętwiał od powstrzymywania ręki, którą miałem ochotę wyprowadzić prawy sierpowy na jego podbródek. Ale gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że najbardziej zdenerwowało mnie to, iż przynajmniej w jednej sprawie miał rację: każdego na moim miejscu przestrzegłbym, żeby trzymał się z daleka od granicy, którą miałem zamiar przekroczyć.

Do hotelu wróciłem za dwadzieścia dziesiąta. Kupiłem sobie na obiad pizzę z krewetkami i arugulą – na Nantucket nawet byle co jest czymś – i zjadłem ją po drodze. Zerwał się wiatr, zaczął padać deszcz i pogoda łącznie z późną godziną dała mi pretekst, by się na razie wykręcić od przeprowadzki do domu Andersona. Zadzwoiłem do niego i otrzymałem porcję wskazówek na temat bezpieczeństwa, jakich mogłem oczekiwać od przyjaciela. Zamknąć drzwi na cztery spusty, nie wpuszczać żadnych „hydraulików” czy „elektryków” i tym podobne. Oczywiście je zlekceważyłem, powiedziałem, że nic mi nie będzie i że rano opuszczam wyspę przynajmniej na jeden dzień. Miałem do załatwienia parę spraw w Bostonie, w tym kolejne spotkanie z Lilly w Mass General.

Pokojówka z powrotem wniosła butelkę wina do pokoju i postawiła na stoliku nocnym. Rozbawił mnie upór, z jakim ta butelka wracała do mnie. Już miałem znieść ją do holu i pozbyć się jej na dobre, gdy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

– Clevanger – powiedziałem.

– To ja, Julia.

– Gdzie jesteś?

– Na dole.

Nie wiedziałem, jak zareagować.

– W holu... – zacząłem, by przerwać ciszę. Myśl, że jest zaledwie trzy piętra niżej – sama – spowodowała, że zacząłem sobie wyobrażać, że trzymam ją w ramionach, nie martwiąc się, czy ktoś nas widzi, czy nie.

– Chciałabym pobyć z kimś, komu ufam – powiedziała. – Choćby przez kilka minut. Ja... – Chwila ciszy. – Chcę ci powiedzieć, czym była dla mnie ta dzisiejsza uroczystość w kościele. Co naprawdę wtedy czułam.

Wiedziałem, że najsmardziej bym zrobił, gdybym porozmawiał z nią w holu lub poszedł na kawę do Brant Point Grill. Ale wiedzieć a zrobić to dwie różne sprawy.

– Mieszkam w pokoju 307.

Kiedy usłyszałem pukanie, obiecałem sobie solennie, że nie dopuszczę, by sprawy zabrnęły za daleko: wciąż chciałem zachować terapeutyczny obiektywizm. Otworzyłem drzwi. To była ona, Julia, w czarnej sukience, z włosami zmoczonymi deszczem. Płakała, ale jej oczy wciąż jaśniały.

Wyciągnąłem dłoń. Chwyciła ją i wpadła mi w ramiona. Zamknąłem drzwi i tuląc ją, czekałem, aż się uspokoi. Dotyk delikatnych ramion, wznoszących się i opadających piersi, łza, która spłynęła jej po policzku i kapnęła mi na szyję – wszystko to mnie odurzyło. Nie mniejsze znaczenie miała melodia stanowiąca tło naszego życia: jej okrutny mąż, mój okrutny ojciec, u niej chęć wyrwania się z nieudanego małżeństwa, u mnie dziecięce pragnienie przyjścia z pomocą matce.

Oderwała głowę od mojej piersi i zwróciła twarz ku mojej. Oczy miała zamknięte. I zrobiłem to, co było do przewidzenia, choć nie do wybaczenia. Dotknąłem dłonią jej policzka i pocałowałem ją w usta, najpierw delikatnie, a potem namiętnie, czując, że nie tyle przekraczam wszelkie granice, ile je łamię i unicestwiam. Nasze usta stały się jednością. I odniosłem także wrażenie – i miałem nadzieję, że ona też to czuje – że nasze przyszłe losy zostały w jakiś mistyczny sposób nierozzerwalnie ze sobą związane. Nieświadomość podpowiadała mi, że nawet jeśli złączyły nas okropne okoliczności, to były one nie do uniknięcia – po prostu były nam pisane. Reguły przyzwoitości rządzące ogromną większością stosunków międzyludzkich musiały ustąpić. Byliśmy na siebie skazani.

Całowałem wiele kobiet, ale z żadną nie czułem tego, co z Julią. Poczułem, jak przebiera palcami po moim karku, a potem przyciąga mnie do siebie, to przyciskając namiętnie wargi do moich, to ledwie je muskając, to lekko przygryzając, jakby nie mogła się mną nasycić. Potem jej usta powędrowały w górę po moim policzku i usłyszałem jej podniecony oddech, który zagłuszył mój własny, poczułem w uchu jej gorący język, wślizgujący się głębiej i głębiej, szepczący o żarliwych sposobach, w jakie nasze ciała i dusze mogą się ze sobą połączyć.

Minęła długa chwila, zanim zdobyłem się na słabą próbę oderwania się od niej.

– Chciałaś porozmawiać...

Wzięła głęboki wdech i wypuściła powietrze. Powoli otworzyła oczy i kiwnęła głową. Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem do kanapy, skąd mieliśmy widok na zatokę. Aluminiowe maszty i pozłacane stewy dziobowe setek łodzi żaglowych odbijały światło księżyca i kołysały się niczym błyszczące srebrne i złote kłosa pszenicy na błękitnym polu.

– Powiedz mi – odezwałem się cicho, wciąż trzymając ją za rękę – co czułaś dzisiaj w kościele.

Julia spojrzała na nasze splecione ręce, a potem położyła na nich wolną dłoń. Popatrzyła mi w oczy.

– Jakbym chowała cząstkę samej siebie – odparła. – Wolałabym sama umrzeć. Od urodzenia Brooke myślałam o niej jak o kimś wyjątkowym. – Łzy zaczęły jej spływać po policzkach. – To okropne, ale była mi bliższa niż chłopcy, a nawet Tess.

Wspomnienia Julii dotyczące jej pierwszej reakcji po urodzeniu dzieci diametralnie się różniły od tego, co mi opisała Claire Buckley. Z jednej strony bardzo chciałem wyjaśnić tę rozbieżność. Wystarczyło zadać kilka pytań. Ale uznałem, że teraz tego nie zrobię, gdyż nie chciałem usłyszeć odpowiedzi, które mogłyby zachwiać moim uczuciem do Julii i zasiać nieufność do niej. Starłem jej łzę z policzka.

– Co jeszcze dzisiaj odczuwałaś? – zapytałem tylko.

– Gniew. Pragnienie, żeby ktoś za to zapłacił. – Odchrząknęła. – A przede wszystkim zabójca.

– Jak to? Zawahała się.

– Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz – dodałem.

Ścisnęła moją dłoń.

– Powinam była trzymać Billy'ego z dala od dzieci. Podjęłam niepotrzebne ryzyko.

A zatem Julia wciąż bardziej podejrzewała Billy'ego niż męża.

– Rozumiem. Co twoim zdaniem mogłaś zrobić?

– Nie powinam była się zgodzić na adopcję. Nie mieliśmy doświadczenia w wychowywaniu trudnych dzieci. A poza tym Darwina nie interesowało odgrywanie roli ojca.

– Nalegał.

– No to mogłam od niego odejść. Z tego i innych powodów. Poczulem, że pojawiła się okazja, by wrócić do sprawy bezpieczeństwa Tess.

– Czy te inne powody wciąż są aktualne? – zapytałem delikatnie. – Billy'ego nie ma w domu, ale Tess wciąż jest narażona na innego rodzaju stresy... i Garret także.

– Masz na myśli wybuchowy charakter Darwina?

– Tak.

– Rozmawiałam z matką. Mogę wziąć dzieci i wyjechać z nią na Vineyard.

– Dobrze rozwiązanie.

– Tylko nie wiadomo, co na to powie Darwin.

– Myślę, że kapitan Anderson zapewni ci ochronę policyjną. Przynajmniej na jakiś czas.

– W porządku. – Nie wydawała się zadowolona z tej ochrony.

– Ja także będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała. Ścisnęła mocniej moją dłoń, a potem podniosła ją do ust i pocałowała.

– Jakim cudem tak szybko stałeś mi się tak bliski?

– Sam sobie zadaję to pytanie.

– I co?

– Zrzęczenie losu.

Julia zamknęła oczy i powoli wsunęła moją rękę za dekolt sukienki, pod koronkową halkę, na pierś. Poczulem, że dotyk moich palców wywołuje u niej gęsią skórę. Kiedy dotknęły sutka, nabrzmiał, a z ust Julii wydobył się jęk rozkoszy, jaki wydaje ktoś, kto się obudził i przeciąga w ciepłej pościeli.

Każdy mężczyzna marzy o kobiecie, która będzie mu nie tylko oddana, ale także utwierdzi go w poczuciu własnej wartości, równoważąc jego męskość taką samą lub większą dozą kobiecości. Julia była takim rzadkim przypadkiem.

Gdy raz jej dotknąłem, chciałem ją dotykać wszędzie. Położyłem jedną rękę na jej kolanie, tuż nad rąbkiem sukienki, a drugą objąłem za szyję. Przyciągnąłem ją do siebie tak, żebym mógł rozpiąć suwak sukienki na plecach. Położyła mi głowę na ramieniu, przyzwalajaco i z gotowością. Ale nie mogłem tego zrobić. Przesunąłem rękę w dół po materiale wzdłuż kręgosłupa. Pocałowałem ją w policzek i z powrotem usiadłem na kanapie.

– To nie najlepszy moment – stwierdziłem. – Dopiero co wróciłaś z pogrzebu córki, targają tobą różne uczucia, których do końca nie rozumiesz.

Skinęła głową, niemal ze wstydem.

– Poza tym już późno. Muszę wracać do domu – powiedziała.

Wstaliśmy. Czuliśmy się niezręcznie, godząc się z tym, że nie będziemy się kochać.

– Zostajesz tylko do jutra czy na dłużej? – zapytała.

– Rano wyjeżdżam, ale tylko na jeden dzień. Potem wracam.

– Moglibyśmy się gdzieś spotkać w piątek wieczorem – zaproponowała.

Wyglądało na to, że przestało jej zależeć na zachowaniu pozorów.

– Już nie boisz się tego, że Bishop kazał mnie śledzić?

– Dzisiaj nie. Bardziej bałam się, że mogłabym się z tobą nie zobaczyć.

– To objaw paranoi. Strachu, który nie ma podstaw w rzeczywistości. – Uśmiechnąłem się. – Codziennie mam do czynienia z takimi przypadkami.

Czwartek, 27 czerwca 2002

Obudziłem się tuż po piątej rano. Serce waliło mi jak młotem. Zapaliłem lampkę nocną, ale ani w pokoju, ani na zewnątrz nie zobaczyłem niczego niepokojącego. Wstałem i podszedłem do przesłiwanych szklanych drzwi, które wychodziły na niewielki taras. Wiała lekka bryza i żaglówki kołysały się na falach. Wyszedłem na dwór, żeby odetchnąć morskim powietrzem. Pomimo wczesnej pory było dosyć ciepło. Chyba ten spokój tak mnie zdenerwował. Brakowało mi głuchego warkotu holowników i barek płynących po Mystic River w Chelsea, zapachu rozgrzanej ropy, błysków światła nielicznych samochodów przejeżdżających rankiem przez Tobin Bridge. Ale coś mi podpowiadało, żeby odrzucić to najprostsze wyjaśnienie. Wróciłem do pokoju i wykręciłem numer do domu, by odsłuchać pocztę głosową. Ostatni, zaledwie czterdzieści jeden minut wcześniej, nagrał się Billy. Serce zaczęło mi szybciej bić.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego oni nigdy nie zamykają okna w łazience na piętrze. – Mówił urywanym głosem, nieskładną mową, jak to nazywamy w psychiatrii. – Nie zamykają go nawet, gdy wyjeżdżamy z wyspy i przenosimy się do mieszkania na Manhattanie, czyli właściwie także na wyspę, ale czasami o tym zapominam. Tak jakby myśleli, że włamywacz nie zauważy tego okna, bo ma matową szybę... Głupki. Chyba że myślą, że nikt go nie zauważy, bo zasłania je dąb, ale on tylko ułatwia sprawę, jeśli ktoś potrafi się wspinać na drzewa. Między gałęziami nikt cię nie zobaczy. Ochroniarze Darwina to nie żadna Tajna Służba. – Zaśmiał się, ale był to krótki, niespokojny śmiech, który zdawał się świadczyć, że Billy jest albo naćpany, albo bardzo przestraszony, albo pobudzony. – Tak czy owak, kłopot z brakiem forsy mam na razie rozwiązany. Nie będę już więcej zawracać panu głowy. – Znowu się zaśmiał. Minęło kilka sekund. – Myślę, że tam, w szpitalu, uwierzył mi pan. Dlatego dzwonię. Chcę, by pan wiedział, że miał pan rację. Tak naprawdę jedyną osobą, której pragnąłem zrobić krzywdę, był ojciec. – Odłożył słuchawkę.

Zacząłem chodzić po pokoju, głaszcząc się po wygolonej do skóry czaszce. To taki nerwowy tik, który się objawia, gdy czuję, że stało się coś złego. Billy jest na wyspie – albo był. I jeśli nie blefował, to włamał się do domu Bishopa i ukradł coś cennego. Wróciłem myślami do naszej rozmowy w Payne Whitney, gdy zastanawiałem się, czym mógł się kierować morderca Brooke, i przeszły mi ciarki po skądle. Billy miał rację. Powiedziałem, że przyczyną jego agresji jest

chęć zranienia ojca. Modliłem się, żeby tym razem chodziło o kradzież zegarka, pierścionka lub kasetki z pieniędzmi, a nie o zrobienie krzywdy małej Tess.

Wziąłem prysznic i wciągnąłem dżinsy. Następnie zadzwoniłem do domu Northa Andersona. Było dopiero dwadzieścia po piątej, ale musiałem go poinformować, że Billy jest – lub był – w pobliżu i włamał się do domu Bishopa.

Po kilku dzwonekach telefon odebrała Tina.

– Halo – odezwała się zaspanym głosem.

– Tina, przepraszam, że cię budzę. Mówi Frank Clevenger.

Tina darowała sobie wymianę uprzejmości.

– Czy North dodzwonił się do ciebie?

– Nie. – Wziąłem z biurka telefon komórkowy i stwierdziłem, że na wyświetlaczu widnieje napis: „Brak zasięgu”. – A szukał mnie? – Spojrzałem na sufit, przeklinając stalowo-betonową konstrukcję blokującą sygnał.

– Około godziny temu pojechał do izby przyjęć. Coś się stało Tess Bishop.

Zakreśliło mi się w głowie.

– Co takiego? Powiedział coś więcej?

– Doszło u niej do zatrzymania oddechu.

– Gdzie jest ten szpital?

– Przy South Prospect Street obok Vesper Lane. Nazywa się Nantucket Cottage. To niecałą milę za miastem. Wszędzie znajdziesz niebieskie znaki informacyjne, które zaprowadzą cię na miejsce. Nie zabłądzisz.

– Dzięki, Tina.

– Przykro mi, że miałam dla ciebie złe wiadomości, Frank. Bardzo bym chciała się z tobą zobaczyć. Może gdy to wszystko się uspokoi...

– Na pewno się zobaczymy.

Zbiegłem po schodach do holu. Kobieta w recepcji powiedziała mi, jak dojechać do szpitala, ale przemykając w ciemności ulicami, stwierdziłem, że wystarczy trzymać się małych fosforyzujących liter „H”, by dotrzeć na miejsce bez przeszkód. Jeszcze jedna cecha Nantucket: nic na wyspie nie pozostawiono przypadkowi. Wszystko jest oznakowane. Przez czterysta lat mieszkańcy Nantucket powoli wygładzili tu wszystkie kanty i zlikwidowali jakąkolwiek możliwość niespodzianki, upodobniając wyspę do pięknych, gładkich, martwych kawałków drewna, jakie fale wyrzucają na jej brzeg.

Przypomniałem sobie, że w takich miejscach dzieją się rzeczy, które przypominają ludziom, że są żywi i wciąż potrafią reagować po ludzku. Historie miłosne, w których pełno zazdrości, cierpienia i zemsty. Głęboka depresja.

Alkoholizm i narkomania. A od czasu do czasu zatrute owoce zaczynają wydawać niektóre okropne przypadki psychopatii, które mają tu czas, by się groteskowo wykoślawić, niczym posępne sękate drzewo.

Radiowóz Andersona stał przed izbą przyjęć obok ambulansu i dwóch range roverow. Zatrzymałem samochód obok nich i pospieszyłem do szklanych przesuwanych drzwi.

Darwin Bishop, ubrany w spodnie khaki, różową koszulkę polo i czarne mokasyny od Gucciego, przechadzał się po holu, rozmawiając przez telefon komórkowy. W pobliżu stali dwaj jego ochroniarze. Odwrócił się i ściszywszy głos do szeptu, rzucił do aparatu:

– Sprzedaj wszystko za pięćdziesiąt osiem. Podeszedłem do recepcjonistki, kobiety o niebieskich włosach, która była wyraźnie podenerwowana.

– Jestem doktor Clevenger – przedstawiłem się. – Szukam kapitana Andersona.

– Jest w pokoju numer pięć z panią Bishop i dzieckiem – odparła, wykręcając żylaste dłonie. – Mam nadzieję, że przeżyje. Biedne maleństwo.

– Pan tam nie wejdzie – odezwał się Bishop za moimi plecami.

Odwróciłem się. Stał tam ze swoimi dwoma zbirami.

– Co się stało Tess? – zapytałem stanowczo.

Zignorował moje pytanie.

– Proszę wyjść, nie jest pan tutaj mile widziany.

Przeszedłem obok recepcjonistki, ale nie zrobiłem więcej niż cztery kroki, gdy ktoś chwycił mnie z tyłu za rękę, pociągnął i złapał za szyję. Spojrzałem przez ramię – trzymał mnie jeden z goryli Bishopa. Zrobił to po amatorsku, co kazało mi się zastanowić, czy Bishop nie rekrutuje swoich ludzi spośród ochroniarzy z supermarketów. Pochyliłem się lekko do przodu, po czym wolną ręką dzieliłem faceta łokciem w żebra. Ostry trzask powiedział mi, że trafiłem. W tym momencie ruszył na mnie drugi ochroniarz.

– Dosyć! – krzyknął Anderson z głębi korytarza. Podeszedł do nas.

Bishop pokazał na mnie palcem, ale przezornie trzymał się ode mnie z daleka.

– Chcę, żeby on się stąd zabrał.

Anderson podeszedł do mnie.

– Wyjdźmy na zewnątrz. Powiem ci, co się stało.

Zapamiętałem sobie to jego drobne ustępstwo i ruszyłem za nim. Wyszliśmy na dwór i stanęliśmy obok radiowozu.

– Co, u diabła, się dzieje? – zapytałem. – Co się stało Tess?

Anderson oparł się o maskę.

– Zatrzymanie akcji serca – wyjaśnił. – Lekarzom udało się wznowić jego pracę, ale wciąż bije nie tak, jak powinno. Poza tym obawiają się, czy nie doszło do uszkodzenia mózgu z powodu niedotlenienia.

– Mój Boże.

– Bishopowie przywieźli ją na ostry dyżur około trzeciej nad ranem. Podobno wcześniej przez godzinę płakała, a potem nagle przestała oddychać. Claire i Julia siedziały przy niej cały czas. Kiedy straciła przytomność, zadzwoniły pod 911. Właściwie to Darwin zadzwonił.

– Co powiedział lekarz?

– Lekarka. Zrobiła badanie toksykologiczne i stwierdziła podwyższony poziom nor... tryp... czegoś tam.

– Nortryptyliny.

– Właśnie.

Nortryptylina jest lekiem przeciwdepresyjnym, którego przedawkowanie może mieć fatalne następstwa. W zbyt wysokiej dawce lek ten spowalnia przewodnictwo elektryczne mięśnia sercowego, co powoduje zaburzenia rytmu serca, a w skrajnym wypadku prowadzi do chaotycznych skurczy, podczas których krew praktycznie nie jest pompowana.

– Skąd ją mieli? – zapytałem.

– Psychiatra z Aspen przepisał ją Julii – odparł Anderson. – Była w wyjątkowo podłym nastroju, gdy pojechała tam rok temu z Darwinem na narty. Mówi, że po powrocie do domu poczuła się lepiej i przestała ją zażywać.

– Ale jej nie wyrzuciła. – Zgadza się.

– Co o tym wszystkim myślisz?

– No cóż, Frank, zdaje się, że to jednak Billy. Jak dotąd nic nie wspomniałem o wiadomości Billy'ego, w której przyznał się do włamania do domu Bishopa.

– Dlaczego tak uważasz?

– Zakradł się do domu przez okno w łazience podczas pogrzebu Brooke, ukradł trochę gotówki i biżuterii. Myślę, że przyszło mu do głowy, by wślizgnąć się do pokoju dzieci i nakarmić Tess pigułkami. Claire przez całą noc pisała listy w gabinecie Bishopa.

– A skąd w ogóle wiesz, że był w domu?

– Zostawił wiadomość.

– Co w niej napisał?

– „Czas zapłaty, skurwiele. Pozdrowienia, Billy”.

– Gdzie ją zostawił?

– W kopercie z banku, w której, jak mówi Bishop, było pełno pieniędzy. Jakieś pięć patyków. Leżała na antycznym biurczku w sypialni pana domu. Myślę, że trzyma tam gotówkę na drobne wydatki.

– Interesujące. – Pokręciłem głową, myśląc, że to dziwne, iż Billy pozostawił tak oczywisty ślad swojej obecności na miejscu przestępstwa. – Jakaś godzinę temu Billy zadzwonił do mnie do domu i zostawił wiadomość w poczcie głosowej. Właśnie dzwoniłem do ciebie, żeby ci o tym powiedzieć, gdy dowiedziałem się o Tess.

– Co powiedział?

– Że wszedł przez okno, ukradł parę rzeczy. To wszystko.

– Każę dokładnie przeczesać cały dom. Zobaczymy, co znajdziemy. Teraz na wyspie rozpęta się istne piekło.

– To znaczy?

– Poprosiłem policję stanową o pomoc w zorganizowaniu obławy na Billy’ego. Przyjedzie trzydziestu ludzi z psami, noktowizorami i z całym tym majdanem. Ale to jeszcze nic. Jak dotąd dzięki swoim kontaktom Bishop trzymał prasę na dystans, ale ta zapora długo nie wytrzyma. Jak się tylko rozniesie, że Tess trafiła do szpitala, dziennikarze zaleją wyspę. Jeden bogaty dzieciak zamordowany w domu to dla dziennikarzy żadna sensacja. Ale kolejna próba morderstwa w tej samej rodzinie stawia Bishopów wyżej od Ramseyów.

– Którym rozgłos pomógł zarobić dziewięćset milionów. Jak się czuje Julia?

– Jest przybita. Powiedziała wszystkiego może dziesięć słów.

Chciałem być razem z nią. Więcej, uważałem, że moje miejsce jest przy niej. Ale nie podobało mi się, że Tess zatrula się akurat lekarstwem Julii.

– Każdy z domowników może być mordercą – zauważyłem. – Oznaki zatrucia nortryptyliną uwidoczniają się wiele godzin po jej zażyciu. Ktoś mógł otruć Tess przed pogrzebem. – Przyszło mi do głowy jeszcze jedno. – Poza tym skąd Billy wiedział, że przedawkowanie nortryptyliny może prowadzić do śmierci? Jedyne osoby, które rozmawiały z lekarzem w Aspen, byli Darwin i...

– Julia – przerwał mi Anderson. – Zgoda. Na razie nikt nie jest czysty jak łąza. Ale każdy ci powie, że Billy na milę śmierdzi głównym podejrzanym.

– Ale po diabła zarówno na biurku w kopercie, jak w i mojej poczcie głosowej zostawił wiadomość, że włamał się do domu, jeśli wiedział, że w ten sposób

kieruje na siebie podejrzenia o popełnienie kolejnego morderstwa?

Anderson wzruszył ramionami.

– Nie mówimy o normalnym dzieciaku.

– Owszem. Mówimy o socjopacie. A ci zwykle nie ułatwiają nam zadania, prawda?

– Nie mówię, żebyś przestał węszyć. Na tyle, na ile ci Bishop pozwoli.

– Równie dobrze to on mógł otruć Tess. Doszedł do wniosku, że włamanie Billy’ego daje mu wspaniałe alibi. A teraz powiedz mi, od kiedy Bishop zaczął ci mówić, jak masz prowadzić śledztwo.

Anderson zeszywniał.

– Nie zaczynaj znowu, Frank. Traktuję go tak samo jak wszystkich innych. Ma prawo zabronić ci dostępu do córki, jeśli chce. Ale wiem, że znajdziesz sposób, by go wykiwać.

– Pięknie. A więc nagle zostałem sam. Nie dopraszałem się o tę sprawę. Wziąłem ją, bo powiedziałaś, że potrzebujesz mojej pomocy.

– I wciąż potrzebuję. – Mrugnął do mnie. – Czekamy na helikopter z Mass General. Tess skierowano tam na oddział intensywnej opieki na obserwację i leczenie. Julia leci razem z nią. Darwin zostaje. Dołączy do niej jutro.

– Czyli, że gdybym chciał zadać jej kilka pytań, powinienem jak najprędzej pojechać do Bostonu. Tak?

– Dobrze kombinujesz. Gdy tylko Bishop wyląduje w Fasolowie, wrócę do jego domu, żeby coś wyciągnąć z Claire i Garreta. Niania była z Tess w domu podczas pogrzebu, a z kolei synalek zrobił na mnie wrażenie bardzo agresywnego.

– Niezły plan.

– Jak na gościa, który wystawił cię do wiatru. – Popatrzył na rozległy trawnik przed szpitalem. – Wiesz, naprawdę chciałem dać Billy’emu szansę. On po prostu nie wygląda mi na zabójcę. – Anderson spojrzał na mnie. – Ale może się pomyliłem w jego ocenie.

– Może. Ja też mogę się mylić, ale instynkt mi mówi, że muszę jeszcze głębiej pokopać.

– To właśnie jest twoje... – Zreflektował się. – Nasze zadanie.

Gdy czekałem w kolejce na prom do Hyannis, do nabrzeża dobiły trzy inne, z których zeszedli funkcjonariusze policji stanowej wezwani przez Northa Andersona do pomocy w obławie. Ponad dwudziestu ludzi odjechało z przystani radiowozami, autami sportowymi i samochodami terenowymi. Z promów wysypali się również dziennikarze lokalnych stacji telewizyjnych, a także kilku wysłanników mediów ogólnokrajowych. Zauważyłem R. D. Sahla z New England Cable News, Joha Resenka z Independent News Group i Lisę Pierpont z „Chronicle TV”. Wszyscy przymilali się do Jeffa Coopermana z „Dateline NBC”. Nad głową przelatywały nie tylko zwykłe samoloty rejsowe, ale także helikoptery policji stanowej bez wątpienia z wystarczającym zapasem paliwa, by latać wte i wewte nad lasami, jeziorami i żurawinami porastającymi mokradła Nantucket, częściej nazywane po prostu Błoniami.

Pod koniec czerwca na Main Street codziennie można spotkać wielu znanych ludzi, ale zapowiadało się, że tragedia Bishopów na długie lata przyćmi wszystkie inne wydarzenia. Dziennikarze, którym trudno na ogół czymś zaimponować, zwykle lubią uczestniczyć w takich spektaklach. Albo może podświadomie, acz gremialnie zmierzają do przekształcenia takich wydarzeń w spektakl, odzierając je z okropności i tragedii, aby skroić z nich obraz, który będzie się dobrze prezentował na dwudziestocalowych ekranach telewizorów. Podczas dziesięciosekundowego złowrogo brzmiącego, wygenerowanego przez komputer sygnału zostanie wyświetlony tytuł: *Dzieciobójstwo na Nantucket: Dzień czwarty*. Nawet tak niewinne czasopismo jak „TV Guide” tłustą czcionką napisze o morderstwie jednego dziecka i próbie zabójstwa drugiego.

Udało mi się wreszcie dostać na prom odpływający o piętnastej, który dobił do Hyannis sto minut po tym, jak miał stąd odbić. Jadąc drogą numer 3, złapałem na WRKO wiadomości o siedemnastej. Sprawa Bishopów była wiadomością dnia. Jakieś piętnaście sekund zajęło przedstawienie faktów, a około minuty stylu życia, jaki prowadzą miliarderzy pokroju Darwina Bishopa. Pieniądze lepiej się sprzedają niż morderstwa i prawie tak samo dobrze jak seks. Gdyby dziennikarze dowiedzieli się, że Bishop sypia z Claire Buckley, przez parę dni nie usłyszelibyśmy chyba żadnych innych wiadomości.

Na koniec puszczono wywiad z Northern Andersonem, który oświadczył, że policja „wciąż prowadzi śledztwo”, ale wytypowała głównego podejrzanego.

Wyjaśnił, że sąd zakazał podawania nazwiska, gdyż chodzi o nieletniego.

Za dziesięć szóstą dotarłem do Mass General i skierowałem się na Oddział Intensywnej Opieki Pediatricznej – w skrócie OIOP.

Niewiele miejsc zmusza do głębszych refleksji. Oddział wygląda jak miniaturowy pasaż handlowy z piekła rodem, którego sklepy mają okna wystawowe we wszystkich czterech ścianach. W każdym takim boksie leży zagrożone śmiercią lub czekające na śmierć dziecko. W centrum znajduje się dyżurka pielęgniarska – przybytek smutku – którą wypełnia pikanie kardiomonitorów rejestrujących słabe uderzenia serduszek, które miały bić przez siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat. Pod monitorami spoczywają historie chorób – pliki luźnych kartek szczegółowo opisujących błędy w Bożym dziele. Do klamry spinającej kartki przylepiona jest biała taśma z imionami dzieci.

Odszukałem imię Tess i zobaczyłem, że numer na jej karcie odpowiada najdalszemu pokojowi po prawej. Gdy się rozglądałem, zauważyłem ordynatora oddziału, Johna Karlsteina, który wyszedł z jednego z pokoi. Też mnie zauważył i ruszył w stronę dyżurki.

Karlstein jest wielkim brodatym mężczyzną, który w kowbojskich czarnych butach ze skóry aligatora, będących jego znakiem firmowym, mierzy sto dziewięćdziesiąt centymetrów. Zatrudniono go, gdy poprzedni szef OIOP-u odmówił tańczenia tak, jak mu zagra zarząd firmy ubezpieczeniowej, i został przeniesiony na etat dydaktyczny. Od tego momentu OIOP stał się dojną krową.

– Jak się masz, Frank? – zapytał tubalnie Karlstein. – Dawno się nie widzieliśmy.

– W porządku. A ty?

– Nie mogę narzekać. Mamy pełne obłożenie. To dobra wiadomość. Złą jest to, że czas pobytu pacjentów na oddziale stale się skraca.

Pokiwałem głową.

– Zależy jak na to spojrzeć: z naszej strony czy pacjentów.

Uśmiechnął się. Nie wydawał się dotknięty.

– Wypatruję końca każdego miesiąca, żeby sprawdzić, czy wypełniamy plan. Sami jesteśmy pod respiratorem. – Klepnął mnie w ramię. – Ktoś prosił o konsultację psychiatryczną?

– Nie tym razem. Pracuję nad sprawą Bishopa. Jako psychiatra sądowy.

– Nie wiedziałem, że znów bawisz się w te klocki.

– Robię to dla przyjaciela z policji w Nantucket. Wziąłem tylko tę jedną sprawę.

– Nie dziwię się. Niezła historia, co? Najpierw jedna bliźniaczka, potem druga. A ten Bishop to podobno miliarder. Ponoć błyskotliwy. Geniusz finansowy.

– Tak mówią. – Kiwnąłem głową w stronę pokoju Tess. – Jak ona się czuje?

– Mała?

– Tak.

Karlstein spowaźniał. Na wpół przymknął lewe oko. Robił to odruchowo, gdy uruchamiał swój intelekt. Po tym, jak John Karlstein wyciągał wnioski – i po tym, jak potrafił mi tym *zależć* za skórę – można było poznać, że jest on jednym z najlepszych specjalistów od intensywnej opieki pediatrycznej na świecie. Być może najlepszym.

– Oto, jak się sprawy mają: nortryptylina jest podstępny paskudztwem, zwłaszcza w przypadku dzieci. Po jej przedawkowaniu nawet wiele dni później znów może się pojawić niebezpieczna arytmia serca. Odstęp QRS u Tess wynosił zero czternaście sekundy, czyli, jak wiesz, był za długi. Jej serce wciąż za wolno przewodzi impulsy elektryczne, a to znaczy, że życie Tess jest wciąż zagrożone. Zrobiliśmy, co mogliśmy: porządnie wypłukaliśmy jej żołądek i podaliśmy węgiel, żeby oczyścić jelita z resztek leku. Wydaje mi się, że na wyspie nie zrobiono tego jak należy.

– To mały szpital – zauważyłem.

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Niepokoi mnie tylko, czy nie podano jej innej trucizny, której nie wykazało badanie krwi i moczu.

Wiele substancji można wykryć w badaniu toksykologicznym tylko wtedy, gdy się wie, czego szukać, i odpowiednio przygotuje próbkę.

– Czy jakieś objawy sugerują taką możliwość?

– Nie, ale nie chcę niczego przeoczyć. – Spojrzał na pokój Tess. – Mamy ją pod monitorem, dajemy jej wszystkie potrzebne kroplówki, obok łóżka umieściliśmy zestaw reanimacyjny. – Popatrzył na mnie z niezachwianą pewnością, o jaką można się tylko modlić, gdy chodzi o lekarza. – Nie ma, kurwa, mowy, Frank, żebym pozwolił temu dziecku zejść. Koniec. Kropka.

Lekarze zwykle nie chwala się nawzajem, ale determinacja Karlsteina zrobiła na mnie wrażenie.

– Nie mogła trafić w lepsze ręce – oświadczyłem. – Za żadne skarby świata.

Karlstein nie należy do łasych na pochlebstwa.

– Jest tam, gdzie spuścił ją helikopter, i tyle. – Spowaźniał. – Dobra, mówmy wprost. Wiem, że prowadzisz dochodzenie, ale może byś rzucił okiem na matkę.

Ona niezbyt dobrze to znosi.

– Co masz na myśli?

– Boję się o nią. Odkąd przyjechała, nie powiedziała więcej niż dwa słowa, co jeszcze można zrozumieć – szok lub coś takiego – ale tak się przykleiła do łóżka, że mnie to niepokoi. Nie odstępowała od niego ani na minutę. Nic nie zjadła. Do nikogo nie zadzwoniła. Nie zapytała o stan córki. – Zawiesił głos. – Wiem, że to bardzo nieokreślone dane, ale wydaje mi się, że ta kobieta jest bliska utraty rozumu.

– Przyszedłem tu, żeby z nią porozmawiać, ale nie mogę tego zrobić jako oficjalny konsultant szpitalny, bo uczestniczę w dochodzeniu.

– Jasna sprawa. Wezwiemy kogoś innego z psychiatrii, jeśli jej się pogorszy.

Uzgodniwszy to, poszliśmy do pokoju Tess. Julia siedziała oparta o szklaną ścianę, wpatrując się w dziecko, tak że początkowo mnie nie zauważyła. Dało mi to czas, żeby przyjść do siebie na widok ciała Tess podłączonego do elektrokardiografu, dwóch igieł od kroplówek wbitych w rączki i sondy żołądkowej wychodzącej z nosa. Jej ręce były unieruchomione taśmą tak, żeby nie wyrwała sobie igieł. Oddychała i, na szczęście, spała.

Widziałem w życiu wiele okropnych rzeczy, łącznie z koszmarami, które spowodowały, że zrezygnowałem z psychiatrii sądowej, ale ciężki stan Tess pozostawił je wszystkie daleko z tyłu. Szukałem w myślach słów, którymi mógłbym dodać otuchy matce, kiedy Julia się odwróciła i ujrzała mnie w drzwiach. Sprawiała wrażenie zagubionej i zrezygnowanej, wręcz pogodzonej z losem. Była cieniem siebie samej. Jednak mimo że próżnia emocjonalna wysssała z niej wszelkie uczucia, jej uroda pozostała nietknięta. Wyglądała jak istota z innego świata – choć nie ułożone, jej długie czarne włosy były jeszcze bardziej urzekające, zielone oczy błyszczały nawet w świetle fluorescencyjnym. Może to sterylność i nastrój śmierci tego miejsca sprawiały, że na jego tle wydawała się pełna życia. A może po prostu się w niej zakochałem. Wszedłem do pokoju.

Na moje szczęście odezwała się pierwsza.

– Miałaś rację – powiedziała głosem wypranym z uczuć.

– Co do czego?

– Co do Wina.

– O czym myślisz?

– To on otruł Tess. – Odwróciła się do dziecka.

Tętno mi podskoczyło. Stałem po drugiej stronie łóżka i spojrzałem na

Tess.

– Skąd wiesz?

– Zapytał mnie, gdzie są pigułki.

– Nortryptyliny?

Kiwnęła głową.

– Kiedy?

– Wczoraj. – Zamknęła oczy. – Zanim pojechaliśmy... na pogrzeb Brooke.

– Powiedział, po co ich potrzebuje?

Julia popatrzyła w róg pokoju, bez celu. Wyglądała na zatopioną w myślach.

– Julio – ponagliłem ją. – Czy Darwin powiedział, po co mu nortryptylina?

Wzięła głęboki oddech.

– Julio?

– Powiedział, że się boi, czy ich nie połkne. Czy się nie zabije.

– A myślałaś o samobójstwie?

– Byłam przygnębiona, to wszystko. Przecież miałam pochować córkę. Czy to takie dziwne, że byłam smutna i trochę płakałam?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałem łagodnie.

– Obiecałam mu, że nic sobie nie zrobię, ale on mimo to żądał, bym mu dała tabletki. – Znów posmutniała. – Fiolka była w bocznej kieszonce torby, którą mieliśmy zeszłego roku w Aspen. Troska Wina wydała mi się podejrzana. Chciałam mu nawet powiedzieć, że ją zgubiłam. – Jej głos przeszedł w szept. – Ale w końcu mu ją dałam. – Popatrzyła na Tess.

– Czy powtórzysz to wszystko Northowi Andersonowi?

– Tak. – Spojrzała na mnie niewidzącym wzrokiem. – Dałam Darwinowi lekarstwo, którym otrul moją córeczkę. A ty błagałeś mnie, żebym ją wywiozła w bezpieczne miejsce.

– Wyzdrowieje.

– W szpitalu w Nantucket powiedzieli, że może mieć po tym uszkodzony mózg.

Wiedziałem, że stwierdzenie Julii jest w istocie pytaniem, ale nie znałem na nie odpowiedzi. Tess groziły powikłania neurologiczne, ale nie wiedziałem, jak poważne jest niebezpieczeństwo.

– Musimy trochę poczekać. Jest duża szansa, że w pełni wróci do zdrowia. Za kilka dni, a może nawet godzin, jej stan może się bardzo poprawić.

– Ja stąd nie wyjdę.

– Nikt cię nie zmusza. Możesz tu zostać tak długo, jak chcesz. – Podeszedłem

do niej i uklęknąłem obok jej taboretu, tak że nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie.

Po raz pierwszy Julia spojrzała mi prosto w oczy.

– Przede wszystkim będzie jej potrzebna zdrowa matka – powiedziałem.

– Czy mógłbyś z nami trochę zostać? – zapytała. Wyciągnęła do mnie rękę.

Chwyciłem jej dłoń. Drżała leciutko, jak delikatny, przestraszony ptaszek, co sprawiło, że poczułem się potrzebny i silny. Przypomniało mi się ostrzeżenie Andersona, żebym się trzymał z dala od Julii, gdyż zbytnia bliskość może mi przeszkodzić w dotarciu do prawdy. Jednak w tym momencie wydawało mi się, że jest tylko dwóch oczywistych podejrzanych: Billy i Darwin Bishop.

– Zostanę z wami przez jakiś czas. Później muszę odwiedzić jedną pacjentkę, ale jeszcze do was zajrzę.

Przygryzła wargi jak uwodzicielska mała dziewczynka.

– Ale mnie chodzi o to, czy wyjedziesz z nami. Postanowiłam nie wracać do domu.

– Co zamierzasz?

– Zabieram Garreta i Tess do swojej matki.

Skinałem głową.

– Chciałabym, żebyś z nami pojechał. Żebyś był przy mnie, póki nie poczuje się bezpieczna. – Wzruszyła ramionami. – Kto wie? Może skończy się na tym, że oboje poczujemy się bezpieczniejsi razem.

Patrząc wstecz, myślę, że słowa te musiała usłyszeć zraniona w dzieciństwie część mnie, której w wieku dorosłym nie zdołał uzdrowić doktor James, usiłując poskładać do kupy fragmenty mojej psychiki. Czulem bowiem, że muszę przyjść z pomocą nieszczęśliwej kobiecie – żonie i matce – która uratowałaby mnie. Było to moim wielkim marzeniem, które chowałem w nieświadomości przez czterdzieści lat. Czy w tej sytuacji mogłem pamiętać, że Julia miała równie łatwy jak Darwin dostęp do Tess i do nortryptyliny?

– Obiecuję, że nie opuszczę cię w niebezpieczeństwie – rzuciłem na odchodnym, ale na wszelki wypadek zostawiłem drzwi otwarte.

Zadzwoiłem do Northa Andersona, żeby poinformować go o podejrzeniach Julii. Powiedział, że poprosi jakiegoś detektywa z policji bostońskiej, aby spisał jej zeznania.

– Muszę ci powiedzieć, że odsuwają mnie na bok, więc powinieneś uważać, o co prosisz. Władze stanowe wzięły się ostro do roboty, żeby znaleźć Billy’ego,

ale wraz z posiłkami dają mi kapitana policji stanowej nazwiskiem Brian O'Donnell. To on ma pokierować całym spektaklem.

– Co to za facet?

– Nikt, z kim chciałbyś iść na piwo... – Anderson ugryzł się w język.

– Spoko. Potrafię wysłuchać żartu, nie obalając butelki.

– Powiedzmy, że jest służbistą. Bardzo się przykłada do tego, co robi. Traktuje wszystko bardzo serio. – Zrobił pauzę. – Jakbym miał postawić diagnozę, powiedziałbym, że to megalomania, o ile w ogóle jest taka choroba.

– Teraz mówi się na to narcystyczne zaburzenie osobowości.

– Brzmi dobrze. Kiedy wracasz?

– Jutro rano. Postaram się porozmawiać z Claire i Garretem, jak mi radziłeś.

– Na twoim miejscu zrobiłbym to jak najprędzej. O'Donnell ma wpływy u gubernatora. Obaj możemy zostać udupieni.

– Rozumiem.

– Zadzwoń, kiedy dotrzesz na wyspę.

Poszedłem do pokoju Lilly Cuningham i ku swojemu zdziwieniu zobaczyłem, że siedzi w łóżku i czyta „Boston Herald”. Jej noga, choć wciąż obandażowana, nie wisiała już na wyciągu. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem, że sprawa Bishopa trafiła na pierwszą stronę popołudniowego wydania i została opatrzona tytułem *Tragedia bliźniaczek*, który wydrukowano wielką czcionką. Towarzysząca artykulowi fotografia przedstawiała Julię i Darwina podczas jakiegoś spotkania w eleganckim gronie. Wkomponowano w nią mniejsze zdjęcie – rezydencji Bishopa. Skoncentrowałem się na Lilly.

– Widzę, że czujesz się lepiej.

Odłożyła gazetę i uśmiechnęła się do mnie.

– Lekarze wreszcie znaleźli właściwy antybiotyk. Zerknąłem na stojak. Wisiała na nim tylko jedna plastikowa torebka.

– Widzę.

– Cieszę się, że przyszedłeś.

– Przecież ci obiecałem.

– Dużo myślałam o dziadku.

To, jak wypowiedziała te słowa, kazało mi się zastanowić, czy to antybiotyk wyleczył jej nogę, czy też jej umysł otworzył się na tyle, by wyrzucić z siebie trochę zabójczego jadu.

– I co?

– Nie sędę, aby te myśli, które mnie nachodziły, były retrospekcją lub uświadomionym po fakcie wspomnieniem. Nie wydaje mi się, by dziadek mnie kiedykolwiek tknął.

– Dobrze – powiedziałem, żeby ją zachęcić. – Skąd twoim zdaniem biorą się te myśli?

– Z mojej wyobraźni. To fantazje... koszmary, które nawiedzają mnie za dnia. Czy wszystkie małe dziewczynki nie mają jakichś fantazji w związku ze swoimi ojcami?

Freud rzeczywiście uważał, że wszystkie dziewczynki nieświadomie czują pociąg seksualny do mężczyzn ze swoich rodzin. Ale uczucia takie generalnie zanikają w wieku dorosłym i nie dają poważnych objawów psychicznych. Zastanawiałem się, co sprawiło, że u Lilly jej dziecięce ciagoty przeszły nietknięte przez wiek dojrzewania. Czemu objawiły się akurat podczas jej miesiąca miodowego? I dlaczego wystąpiły z taką siłą, że aby się przed nimi bronić, Lilly sięgnęła po tak drastyczny środek jak wywołanie u siebie zakażenia?

Dlatego, że nie miała nikogo, kto pomógłby jej się przed nimi bronić – odpowiedział mi mój głos wewnętrzny.

Wydało mi się, że warto podążać tą ścieżką.

– Jak by zareagował twój dziadek, gdybyś to ty wykonała pierwszy ruch? – zapytałem.

– Pierwszy ruch? – powtórzyła.

– Gdybyś poprosiła, żeby się z tobą kochał.

Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Nie chcę nawet o tym myśleć.

– Jak chcesz, ale jeśli zdecydujesz się stawić czoło tym myślom, być może przestaną cię one nawiedzać. Może dojdiesz do wniosku, że potrafisz je wywoływać lub o nich zapominać bez pomocy strzykawki.

Spojrzała na mnie tak, jakby niewiele brakowało, żeby podjęła tę próbę.

– Spróbuj, choćby przez dziesięć sekund.

Popatrzyła na mnie, by sprawdzić, czy mówię poważnie, po czym przewróciła oczami i potrząsnęła głową.

– Gniewały się na ciebie? – odpowiedziałem.

– Nie. Jest bardzo wyrozumiała.

– Byłby zakłopotany?

Potrząsnęła głową.

– Wstrząśnięty?

Poczerwieniała i zachichotała.

– Na Boga, naprawdę nie wiem, co by powiedział.

Jej słowa wyszły prosto z serca i dotknęły sedna problemu. Nie potrafiła przewidzieć, czyjej dziadek wzięłby ją sobie za kochankę, gdyby go o to poprosiła.

Rozwój zdrowych stosunków psychoseksualnych wymaga, aby dzieci wiedziały, że otaczający je dorośli nigdy nie wykorzystają ich seksualnych fantazji. Kiedy mała dziewczynka pyta ojca, czy się z nią ożeni, on powinien powiedzieć coś w rodzaju: „Jestem mężem twojej mamy. Kocham ją. Kiedyś na pewno spotkasz kogoś, kto ciebie też tak pokocha”. Ojciec – albo dziadek – nie powinien odpowiadać porozumiewawczym mrugnięciem lub żartobliwym głaskaniem po ramieniu – albo ciszą. Bojąc się nieświadomie, że dziadek mógłby przyjąć jej propozycję, Lilly całkowicie stłumiła w sobie pociąg seksualny. Gdy podczas miesiąca miodowego znowu go poczuła, ujawnił się on z poczuciem winy i lękiem małej dziewczynki próbującej się kryć przed panem domu. Jej ciągoty seksualne były dla niej tabu. Zasługiwały na karę. Były czymś plugawym.

– Czy twój dziadek miał inne kobiety? – zapytałem.

– Och, chyba tak. Na pewno.

– Skąd wiesz?

– Klócili się o to z babcią. Często przychodził późno z pracy. Czasem w ogóle nie wracał na noc. Kiedyś babcia zrobiła mu dziką awanturę o kobietę, którą zatrudnił jako sekretarkę.

– Czy kiedykolwiek wspominał ci o tych kobietach?

– Raczej nie. W każdym razie nie wprost. Ale wiem, że nie był szczęśliwy z babcią.

– Skąd wiesz?

– Często wspominał dawne dziewczyny, z którymi się umawiał, zanim się ożenił. Zwłaszcza jedną. Na imię miała Hazel. Była żydówką, a mój dziadek jest irlandzkim katolikiem, i przez to musieli ze sobą zerwać. Wtedy były inne czasy. Ale powiedział mi, że on i Hazel byli sobie przeznaczeni.

– Ile miałaś lat, kiedy ci o tym powiedział?

– Chyba osiem. Może dziewięć. – Zrobiła pauzę. – Dziwne, że to zapamiętałam, prawda?

Ludzie często kurczowo trzymają się pojedynczych wspomnień z dzieciństwa,

które symbolizują ich ważne przeżycia psychiczne. Zanim Lilly skończyła dziewięć lat, zdażyła poznać wiele toksycznych faktów związanych z dziadkiem. Nie kochał żony. Umawiał się z innymi kobietami. A co ważniejsze, dzielił się z wnuczką bardzo osobistymi, dorosłymi informacjami. Być może dziewięcioletnia Lilly doszła do wniosku, że pewnego dnia będzie mogła zastąpić babcię w związku, w którym jej dziadek znajdzie spełnienie. Bardzo chciała go zadowolić, zwłaszcza po stracie ojca.

– Mam wrażenie, że nie wiesz, jak by zareagował twój dziadek, gdybyś się chciała mu oddać. A to znaczy, że cię uwiódł, mimo że nawet cię nie dotknął.

– Trudno mi w to uwierzyć. Przecież nie zachowywał się ani podle, ani zaborczo. Był taki... kochający.

– Nie sądzę, żeby chciał ci zrobić coś złego. Ale czuł się wypalony emocjonalnie i szukał czegoś, co znów roznieci w nim dawny ogień – nawet jeśli miały to być romantyczne fantazje wnuczki. Ty się na to zgadzałaś, bo tak zwykle postępują ośmio-, dziewięcio – czy dziesięcioletnie dziewczynki. – Przerwałem, aby mogła przetrawić moje słowa.

– I to dlatego czuję się winna? – spytała po chwili – Tak. Poczucie winy mogło cię chronić przez jakiś czas. Kiedy byłaś mała, powstrzymywało cię przed uwikłaniem się w zbyt głęboki związek, który fatalnie by się dla ciebie skończył.

– Nachyliłem się nad łóżkiem. – Obecnie ta emocja, poczucie winy, straciła cel, któremu służyła. Czas się jej pozbyć.

Spojrzała na swoją nogę.

– Co mam robić, kiedy takie myśli i uczucia powracają? Czy jest na to jakieś lekarstwo?

– Moja rada różni się nieco od tego, co usłyszałybyś od innych psychiatrów.

– Dlaczego? Co takiego by powiedzieli?

– Myślę, że większość zapisałaby ci leki zwalczające stany lękowe, jak klonopin albo środek działający jednocześnie przeciwdepresyjnie i przeciwłękowo w rodzaju zoloftu. I gdybyś je zaczęła brać, objawy twojej choroby zaczęłyby się zmniejszać lub nawet zniknęłyby na jakiś czas.

– A co ty byś zalecił?

– Ja bym ci poradził, żebyś nie uciekała od tych myśli, lecz wyszła im naprzeciw. Znajdź psychiatrę, który pomoże ci analizować po kolei ich znaczenie. Sądzę, że twoje poczucie winy szybko przerodzi się w złość, a z tą

emocją o wiele łatwiej się uporać.

– Nie mogę tego robić z tobą?

Lilly bez wątpienia starała się zdobyć względy każdego spotkanego mężczyzny, którego uważała za autorytet. Dziadka. Wszystkich lekarzy. Czemu więc nie psychiatry? Jej przypadek był fascynujący, ale miałem okazję, by jej pokazać, że chcę zrobić coś dla niej, a nie dla siebie. Jeśli zobaczy, że w przeciwieństwie do jej dziadka potrafię dokonać takiego rozróżnienia, może się to dla niej okazać pierwszym kroczkiem na długiej drodze do wyzdrowienia.

– Radziłbym ci skorzystać z usług kogoś starszego.

Spojrzała w dal.

– Nie wiem, czy potrafiłabym się otworzyć przed kimś innym.

– To ktoś, do kogo mam ogromny szacunek.

– Powiedziałeś, że będziesz ze mną przez cały czas.

Postanowiłem jej wyjawić coś, czego zwykle nie mówię pacjentom, gdyż czułem, że Lilly potrzebuje jakiegoś dalszego związku ze mną. Bałem się, że bez tego nie będzie kontynuować terapii.

– Mam na myśli psychiatrę, który mnie samemu bardzo pomógł. Mojego psychoanalityka. Popatrzyła na mnie.

– Twojego psychoanalityka? Skierowałbyś mnie do niego? – Tak. – Kto to taki?

– Doktor Theodore James. Jest w wieku twojego dziadka.

Kiedy szklane drzwi OIOP-u otworzyły się przede mną, zorientowałem się, że na oddziale panuje sytuacja kryzysowa. Pielęgniarki biegły z woreczkami do kroplówek, a John Karlstein ze szklanego pokoiku Tess wykrzykiwał polecenia. Ktoś zaciągnął zasłony. Julia stała w kącie centralnego pomieszczenia i płakała. Pielęgniarka próbowała ją pocieszyć.

– Frank! – krzyknęła, gdy mnie zobaczyła. Podbiegła do mnie. Podtrzymałem ją. Oddychała tak ciężko, że z trudem mogła mówić. – Przestała... oddychać. Tess... O mój Boże.

– Tokainid – polecił Karlstein. Z dyżurki pielęgniarskiej dobiegał przeraźliwy pisk alarmu. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem, że linia na monitorze Tess zrobiła się płaska. – Na razie nie puszczajcie tokainidu. Jeszcze raz spróbujemy elektrowstrząsu. Uwaga! – wrzasnął.

Julia przyłgnęła do mnie.

– Nie! – błagała. – Frank, pomóż.

Zaprowadziłem ją do dyżurki i posadziłem na krześle przy biurku pielęgniarki dyżurnej, skąd nie mogła widzieć pokoju Tess. Następnie przywołałem pielęgniarkę.

– Zostań tutaj – powiedziałem do Julii, gdy pielęgniarka weszła do dyżurki. – Zobaczę, co się dzieje.

Podszedłem do ludzi stłoczonych wokół łóżka Tess. Mała była zaintubowana, a jedna z pielęgniarek wtłaczała jej powietrze do płuc gumowym workiem do sztucznego oddychania. Karlstein, górując nad gąszczem wiszących butelek, worków i gumowych rur, wyglądał jak generał na polu bitwy. W rękach wciąż trzymał łopatkę defibrylatora. Zerknął na mnie.

– Jest tętno – rzekł. – Może mamy szczęście.

Kilka osób spragnionych choćby najmniejszego wsparcia pokiwało głowami. W przeciwieństwie do Karlsteina, który wyglądał zupełnie rześko, inni byli złani potem: albo z wysiłku, albo ze strachu, że znaleźli się tak blisko przepaści.

– Puszczajcie tokainid – odezwał się Karlstein.

Zauważyłem obok łóżka pełen zestaw narzędzi chirurgicznych. Wiedziałem, co to oznacza: Karlstein był przygotowany na otwarcie klatki piersiowej i ręczny masaż serca. Poczułem przypływ podziwu dla niego.

– Niech spróbuje sama pooddychać – wydał kolejne polecenie.

Jedna z pielęgniarek zerwała taśmę, którą przyklejono rurkę intubacyjną do warg Tess, i powoli wyjęła ją z tchawicy. Dziecko zakaszłało, najpierw słabo, potem energiczniej, i rozplakało się.

Na twarzach kobiet i mężczyzn pojawiły się uśmiechy: pokonali śmierć, przynajmniej tym razem.

– Dobra robota – obwieścił Karlstein. – Zamówmy sobie chińszczyznę. Ja stawiam. Niech tylko ktoś zadba, żeby dobrze usmażyli, a nie udusili na parze.

Wszedł z pokoju i skinął na mnie. Ruszyłem za nim. Wszedł do dyżurki pielęgniarskiej, w której zostawiłem Julię. Stała z szeroko otworzonymi oczami.

– Jej serce bije, a ona sama oddycha – rzekł do niej Karlstein.

Julia znów załkała.

– Bardzo panu dziękuję – zdołała wykrztusić. Oparła się o mnie tak, że nie byłoby w tym nic nienaturalnego, gdybym ją wziął w ramiona – coś, co pragnąłem zrobić i zrobiłbym, gdybyśmy byli gdzie indziej. Kiedy zorientowała się, że stoję nieruchomo, wyprostowała się.

– Nie spuścimy oka z Tess – obiecał Karlstein. – Radziłbym, żeby zajrzała pani do niej na pięć, powiedzmy dziesięć minut, a potem poszła gdzieś

odpocząć. Naprzeciwko jest bardzo miły hotel. Proszę się tam zatrzymać. Przespać się. I przyjść później.

– Nie wyjdę – odparła Julia, szukając u mnie wsparcia.

Zobaczyłem, że Karlstein przymknął lewe oko, coś przeżuwał w umyśle.

– Mogłabyś zostawić nas na chwilę samych? – zwróciłem się do Julii.

Wzięła głęboki oddech i otarła łzy.

– Czuję się dobrze – rzekła. – Nie będę przeszkadzać. Obiecuję.

Kiwnąłem głową.

– Daj nam minutkę. Zaraz do ciebie przyjdę. – Przeszedłem w róg pokoju, a Karlstein powłókł się za mną.

– Powiedz mi, co sądzisz o jej stanie – powiedziałem, wskazując głową pokój Tess.

– Zamierzam wezwać kardiologa, aby wszczepił jej tymczasowo rozrusznik serca. Nie podoba mi się to nagłe załamanie. Tachykardia komorowa ni z tego, ni z owego...

– Jakie twoim zdaniem ma szansę?

– Trudno powiedzieć. Nawet jeśli wyjdzie stąd zdrowa, przez dwa albo nawet więcej lat będą jej groziły kłopoty z sercem.

– I nagła śmierć.

– Trafiłeś. Dwadzieścia pięć procent osób, które przeżyły zatrzymanie akcji serca, umiera w ciągu pięciu lat od wyjścia za szpitala. Weż cztery lata, a prawdopodobieństwo rośnie do trzydziestu jeden procent. Nikt nie wie dokładnie dlaczego.

– I tak ma większe szansę niż trzy minuty temu.

Karlstein uśmiechnął się.

– Dzięki za przypomnienie. – Potrząsnął głową. – Wiesz co, to miejsce może nawet przypaść do gustu, ale tylko nienormalnemu. – Parsknął śmiechem.

Wiedziałem. Karlstein też wiedział, że jego dowcip wcale nie jest śmieszny.

– Zawsze możesz do mnie zadzwonić – rzuciłem na w pół żartem, starając się złagodzić formę zaproszenia.

Klepnął mnie w plecy.

– Należę do tych facetów, co wariują, gdy mają kilkadziesiąt minut przerwy na zastanowienie się nad tym, co robią. Już wolę bezustanny zapieprz.

Nie odpowiedziałem, co wystarczyło, by Karlstein zrozumiał, że nie pochwalam takiego podejścia.

– W związku z tym, że jesteś zaangażowany w sprawę Bishopa –

przynajmniej jako psychiatra sądowy – muszę ci powiedzieć dwie rzeczy. – To, jak powiedział „przynajmniej”, kazało mi się zastanowić, czy nie wyczuł, że łączy mnie z Julią coś więcej niż stosunek zawodowy.

– Wal.

– Mam zamiar poprosić o konsultację psychiatryczną dla matki. Pracuję w tym fachu na tyle długo, by wiedzieć, że dzieje się z nią coś niedobrego.

– W porządku. Jestem pewny, że wiesz, co robisz.

– I zgłoszę także zapotrzebowanie na całodobową opiekę.

– Chcesz, żeby dziecko było non stop pilnowane przez opiekunkę?

– Jedna z siostr zasugerowała mi taką możliwość, ale już wcześniej chodziło mi to po głowie. – Wziął głęboki oddech, zerknął na Julię, po czym popatrzył na mnie. – Na krok nie chce odejść od łóżka. No wiesz, wisi tu nad nami. To jedna z tych przylepnych matek.

Tak określamy nadopiekuńczych rodziców.

– Masz wątpliwości, czy na pewno leży jej na sercu dobro dziecka. Chcesz, żeby ktoś miał na nią oko.

– Leży na sercu? A to dobre. – Karlstein uśmiechnął się.

– Nie to miałem na myśli.

– No cóż, freudowskie przejęzyczenie. – Spoważniał. – Spójrzmy prawdzie w oczy, Frank, w tej rodzinie było już morderstwo. Jeśli Tess znowu postawi oddział na nogi, chciałbym, kurczę, wiedzieć, czy to z powodu wczorajszego zatrucia nortryptyliną, czy też czegoś, co mamusia przyniosła w torebce.

– Ta kobieta już straciła jedną córkę. Teraz może umrzeć druga. Nie mam nic przeciwko opiekunce, ale nie sądzę, żeby to była „normalna” procedura w takiej sytuacji.

– Zgadza się, ale chcę przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Taki już jestem.

Z trudem przełknąłem ślinę, zdając sobie sprawę, że następna osoba, którą darzę szacunkiem, zaczyna traktować Julię jak podejrzaną.

– W porządku. Rób, jak uważasz. Powiem jej, że może oczekiwać towarzystwa.

Podszedłem do Julii.

– Siedzenie tu na okrągło nie poprawi rokowań Tess – powiedziałem do niej.

– Naprzeciwko jest hotel. Pozwól, że wezmę dla ciebie pokój. Zjesz coś, może prześpisz się trochę. Potem możesz tu wrócić.

– Boję się, że wpuszczą do niej Darwina.

– Zostanę z nią, póki nie przyjdiesz.

Potrząsnęła głową.

– Nie wyjdę.

– W porządku... – Musiałem jej powiedzieć o opiekunce. – I tak ktoś będzie stale czuwał przy Tess. Karlstein zamówił dla niej opiekunkę.

– Kto to taki?

– Zwykle studentka college'u lub uczennica szkoły pielęgniarstwa. Osoba, która przez dwadzieścia cztery godziny siedzi przy chorym.

– Po co?

Chciałem skłamać, że niby po to, by obserwować, co z oddechem dziecka, ale postanowiłem być z nią szczerzy.

– Przy trwającym dochodzeniu szpital musi chronić Tess przed każdym, kto wcześniej mógł podać jej truciznę.

– Łącznie ze mną.

– Tak – odparłem, obserwując jej reakcję.

– To dobrze. To mnie trochę uspokaja. Przynajmniej poważnie podchodzą do jej bezpieczeństwa.

Julia również mnie uspokoiła. Rodzice, którzy skrzywdzili swoje dzieci, zwykle sprzeciwiają się takim posunięciom władz szpitala, grożąc odwołaniem się do rzecznika praw pacjenta lub nawet wezwaniem adwokata.

– Czy to znaczy, że pomyślisz o hotelu?

– Pójdę tam, ale później – powiedziała bez przekonania.

– Wiesz, mieszkam dziesięć minut stąd, w Chelsea. Zawsze możesz...

– Dzięki – odparła. Chwyciła moją dłoń i przez chwilę ją trzymała. – Jesteś cudowny. Potrzebuję cię, żeby przez to wszystko przejść.

– Masz mnie.

– Czystym trafem, jak się zdaje.

Wpadłem do Cafe Positano na szybką i późną kolację. Gdy czekałem na trzy kawałki pizzy, jaką można zjeść tylko w Rzymie, Mario podał mi cappuccino. Dobrze wrócić na znajome terytorium. Kiedy wszedł Carl Rossetti, po raz pierwszy od kilku dni poczułem się odprężony.

– Będziesz chciał to kupić – oświadczył, siadając obok mnie przy barze.

– A co, znudził ci się twój dwukaratowy kamień? – zapytałem.

– Mam dla ciebie informacje. Ale to cię będzie kosztować. Podwójne espresso, flaszkę lemoniady i canoli.

– Zgoda.

Rossetti położył ręce na barze, wciąż dumnie obnosząc się ze swoim pierścieniem.

– Byłbym do ciebie zadzwonił, ale wiem to dopiero od dwóch godzin i musiałem poczekać, bo wiesz, byłem na rozprawie w Suffolk, a tam nie wolno wnosić telefonów komórkowych.

– Jak ci poszło?

– Nie najlepiej tym razem. Gwałt kodeksowy. Facet jest księgowym, dwadzieścia sześć lat, nie karany poza mandatami. Spotkał dziewczynę, która powiedziała mu, że ma siedemnaście lat, tak on to przedstawia, a naprawdę ma czternaście, no prawie piętnaście. Siedzę tam i patrzę na tę dziewczynę, która wygląda niesamowicie, jak z rozkładówki. I tak sobie myślę, że niewielu facetów oparłoby się pokusie, co? Nie Roman Polański, nie Elvis Presley, nie Jerry Lee Lewis. Pewnie ja też nie. Miałem ochotę zapytać sędziego i woźnego, czy oni też nie daliby się skusić tej małej.

– Założę się, że tego nie zrobiłeś.

– Nie. Poprosiłem o sześć miesięcy aresztu.

– A co dostałeś?

– Sędzia Getchell dał mu popalić, wysłał go do MCI Concord na dwa lata. Jego nazwisko trafi do rejestru pedofilów, warunkowo na pięć lat. Oczywiście o ile wyjdzie żywy z Concord. Jeśli inni więźniowie dowiedzą się, że trafi do nich facet oskarżony o przestępstwo seksualne, z utęsknieniem będą go wypatrywać.

– Sędzia wlepia taki wyrok, gdy musi się zastanawiać, czy sam byłby zdolny popełnić takie przestępstwo. – Uchwyciłem wzrok Vinniego. – Podwójne espresso dla mecenas.

- I... - zaczął Rossetti.

- ...lemoniade i canoli - dokończyłem.

- Dzięki, Franko.

- Za co właściwie ci płacę?

- Otrzymałem wieści od kumpla Wiktora z Rosji, tego, który kieruje rafinerią.

- Tak...?

- Wiktor powęszył tu i ówdzie, popytał swoich przyjaciół z wielkiego świata o Darwina „Wina” Bishopa, którego, jak słyszałem, spotkała kolejna rodzinna tragedia.

- Tess, druga bliźniaczka, jest w Mass General. Właśnie stamtąd wracam. Została otruta, doszło do zatrzymania akcji serca.

- I co? Przeżyła? Wyszła z tego?

- Na to wygląda.

- To dobrze.

- Ponoć zrobił to ten mały Rusek - powiedział Rossetti.

- Mieli tego nie rozgłaszać. Billy jest nieletni - zauważyłem.

- No cóż, od dziesięciu minut trąbią o tym we wszystkich wiadomościach. Włamał się do domu Bishopa i tak dalej. Wszystko, co go dotyczy, będzie przeciekać do prasy. Harrigan bardzo chce go dopaść. Jak każdy prokurator okręgowy. Jeszcze jeden karb na prokuratorowskiej lasce. - Wzruszył ramionami.

- Ja w każdym razie nie kupuję wersji oficjalnej. Im więcej wiem na temat Darwina Bishopa, tym bardziej się upewniam, że to on jest mordercą.

- Czego dowiedział się Wiktor?

- Krótko mówiąc, Bishop nie jest Trampem, o ile w ogóle Trump jest Trumpem.

- Chyba nie rozumiem. - Byłem pewien, że nie rozumiem.

- Bishop może sobie mieć miliardy w aktywach, ale oprócz tego ma długi na jakieś pięćdziesiąt-sześćdziesiąt milionów. Facet jest bliższy krachu finansowego niż ja. A to daje do myślenia.

Mario przyniósł espresso, lemoniade i canoli dla Rossettiego i postawił wszystko przed nim.

- Skąd Wiktor to wie? - zapytałem.

Rossetti odgryzł połowę canoli i przeżuwał kęs z zamkniętymi oczami.

- Mniam - zamruczał.

- Dobrze się czujesz?

Podniósł palec i upił łyk espresso.

– Niebo w gębie! – zawołał do Maria, po czym znowu skupił na mnie wzrok. – Ci faceci od razu wiedzą, gdy któryś z nich dostaje sraczki – powiedział w końcu. – Według Wiktora jest tajemnicą poliszynela, że Bishop znalazł się na skraju przepaści. Większość tego, co zarobił dzięki Consolidated Minerals and Metals, włożył w cztery firmy internetowe: Priceline.com, Microstrategy Inc., CMGI i Divine Interventures. Niedługo potem ceny ich akcji spadły o dziewięćdziesiąt pięć procent. Priceline – ze stu trzydziestu sześciu do jednego dolara za akcję. Nieźle, co? Bishop szuka okazji, by upłynnić część swojej kolekcji sztuki, posiadłość, którą ma w Cannes, i jeszcze jedną w Turnberry Isle w północnym Miami.

– Tb by wyjaśniało, dlaczego kiedy go spotykam, wciąż sprawdza notowania giełdowe.

– A wiesz, co to znaczy? Jeszcze więcej kłopotów. Tonący brzytwy się chwyta.

– Zwłaszcza jeśli nakupował więcej tych technologicznych akcji. Odpływ od nich zaczął się już jakiś czas temu.

– Powstaje pytanie, czy ubezpieczył dzieciaki.

– Brooke i Tess? Polisa na życie dla niemowlaków?

– Każdego można ubezpieczyć.

– Dobrze, sprawdzimy to.

– Namierzyli już Billy’ego?

– Nie wiem. Ale jeśli wciąż jest na wyspie, dopadną go. Mają psy, helikoptery i małą armię wystawioną przez policję stanową.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie stawiał oporu i nie ma broni.

Nie przyszło mi do głowy, że policja może coś zrobić Billy’emu, nie mówiąc już o zastrzeleniu.

– Jeśli dostanie kulkę w pierś – powiedziałem, głośno myśląc – wszyscy z zadowoleniem uznają, że sprawa jest zamknięta.

– Tak jak ci powiedziałem: walczysz teraz z zawodnikami wagi ciężkiej. Ktoś taki jak Bishop umie sprawić, by wszystko potoczyło się po jego myśli, zwłaszcza gdy ma nóż na gardle.

Za pięć jedenasta wreszcie znalazłem się w domu. Tym razem dla odmiany w poczcie głosowej nie było żadnych niepokojących wiadomości ani serii przerwanych połączeń. Zadzwoiłem do Northa Andersona na komórkę, żeby go poinformować, czego się dowiedziałem od Carla.

– Mój przyjaciel prawnik, Carl Rossetti, ma wysoko postawionych znajomych w rosyjskich sferach przemysłowych. Na ulicach, a raczej w gabinetach, mówi się, że Bishop ma kłopoty finansowe. Przejechał się na akcjach, narobił masę długów. Wystawił na sprzedaż trochę dzieł sztuki i kilka posiadłości.

– Popatrz, popatrz, jak to pozory mylą.

– Otóż to. – Zrobiłem pauzę. – Rossetti pomyślał, że powinniśmy sprawdzić, czy Brooke i Tess miały polisę na życie.

– Dobrze. Wysłałem już detektywa do szpitala, żeby przesłuchał Julię. Nazywa się Terry McCarthy. Wkrótce będę miał jej zeznania. Kazałem też komuś z policji w Duxbury sprawdzić tę niańkę, którą Julia wylała, Kristen Collier.

– Dowiedzieli się czegoś ciekawego?

– Niespecjalnie. Powiedziała, że była wściekła na Julię, gdy kazała jej się wynosić. Ale teraz jej trochę przykro, jakby częściowo też czuła się winna za całą sytuację. Myślę, że Claire Buckley przez cały czas kładła jej do głowy, że Julia zacznie popadać w coraz większą depresję, pokręci jej się w głowie, a w końcu w ogóle nie będzie zdolna do opieki nad bliźniaczkami.

– Niezła z niej cwaniara – przyznałem. – Poróżniła matkę z opiekunką. Claire udaje się rządzić w tym domu.

– Ta Collier w końcu przestała rozumieć, dla kogo naprawdę pracuje. Zaczęła u Claire potwierdzać plany Julii dotyczące bliźniaczek, nawet w tak rutynowych sprawach jak wybór kosmetyków czy kalendarz wizyt u lekarza.

– Dla nas mogą to być błahe sprawy, ale nie dla kobiety w ciąży.

– Mnie o tym mówisz? – mruknął Anderson. – Tina po kilka razy czyta każdy poradnik dla młodych matek, jaki jej wpadnie w ręce. W tej dziedzinie nie ma czegoś takiego jak błahe sprawy.

– A kobieta cierpiąca na depresję poporodową chce być silna, a nie wyglądać na chorą. Alergicznie reaguje na ludzi, którzy traktują ją jak inwalidkę.

– Najwyraźniej. Julia wylała tę Collier, nie dając jej okazji, żeby się wytłumaczyła.

– Tak przy okazji, jak ona wygląda?

– Jest młoda i ładna, jak Claire. A jeśli idziesz tym samym torem co ja, to ci powiem, że mam przecucie, że Julia krzywo patrzyła też na jej stosunki z Winem.

– Mów jaśniej – poprosiłem.

– Myślę, że praca niani była dla niej dorywczym zajęciem. Zrobiła dyplom pielęgniarstwa, a teraz zapisała się na kurs MBA. Przez ten tydzień, gdy

mieszkała u Bishopów, skorzystała z okazji, by zwierzyć się Darwinowi ze swoich planów na przyszłość i radzić się go w sprawach finansowych i tym podobnych. Spędzali razem czas.

– Julii mogło się to nie podobać, ale Claire musiała dostawać szału – zauważyłem.

– W ciągu ostatnich kilku miesięcy Claire dzwoniła do niej kilka razy, rzekomo po to, by sprawdzić, czy daje sobie jakoś radę. Collier miała jednak wrażenie, że sprawdzała, czy nie utrzymuje kontaktów z panem domu.

– A utrzymywała?

– Twierdzi, że nie.

– Ma urazę do Bishopów? – zapytałem.

– Nie sądzę. W każdym razie nie taką, żeby się posunęła do morderstwa. Sprawia wrażenie szczerzej.

– Przynajmniej ona jedna.

– Zobaczymy się jutro na wyspie?

– Oczywiście. Wtedy pogadamy.

Rozłączył się.

Zacząłem chodzić po mieszkaniu, żeby uporządkować myśli. Zatrzymałem się przed obrazem Bradforda Johnsona, który tak się spodobał Justine Franzy – przedstawiającym akcję ratowniczą na wzburzonym morzu. Scena na obrazie zawsze do mnie silnie przemawiała, ale nie byłem już taki pewien, że to z powodu odwagi tych marynarzy, którzy zaryzykowali życie, by pospieszyć innym na ratunek. Tym razem odczytałem w nim inny przekaz – że jestem człowiekiem, który lubi się obarczać kłopotami innych, jakbym się czuł nieswojo na spokojnych wodach. Czy to znaczy, że do końca życia jestem skazany na obracanie się wśród cierpiących i załamanych? Czy też znajdę dla siebie bezpieczną przystań, gdy wreszcie sam ze sobą dojdę do ładu?

Moje spojrzenie powędrowało w kierunku barku, ale zmusiłem się, żeby odwrócić wzrok. W nadziei, że zajmie to moją uwagę, włączyłem telewizor i obejrzałem ostatnie trzydzieści sekund relacji na żywo z obławy na Billy’ego, którą przekazywał David Robicheau ze stacji WBZ. Reflektory oświetlały pagórkowate Błonia przeczesywane przez policjantów z psami. Kapitan policji stanowej, Brian O’Donnell, który według Andersona naciskał na burmistrza, by mógł przejąć całe śledztwo, obiecywał telewidzom:

– Gdziekolwiek się ukrywa, znajdziemy go. Obiecuję panu Bishopowi, burmistrzowi i gubernatorowi, że aresztowanie zbiega jest kwestią czasu, w tym

wypadku niedługiego.

Zapamiętałem sobie tę hierarchię: Bishop był pierwszy.

Właśnie miałem zamiar zmienić program na coś mniej absorbującego, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych. Podszedłem do domofonu.

– Tak? – rzuciłem.

– Frank, to ja, Julia. Przepraszam, powinnam była najpierw zadzwonić.

– Nie przepraszaj. Proszę, wejdź.

Nacisnąłem guzik otwierający drzwi. I stanąłem w oczekiwaniu, wystraszony i podniecony, a także, o dziwo, czując się, jakbym był nagi. Goszczenie w domu kogoś, na kim nam zależy, jest czymś w rodzaju obnażenia się. Moje mieszkanie na poddaszu w zapuszczonej dzielnicy Chelsea nie było w końcu rezydencją na Nantucket czy apartamentem na Manhattanie. Czuję się o wiele lepiej, oceniając życie innych, niż odsłaniając swoje. Nasłuchiwałem kroków Julii na schodach. Kiedy zapukała do drzwi, otworzyłem je powoli, jakbym sądził, że łatwiej mi będzie zapanować nad wydarzeniami, jeśli będą się rozwijały stopniowo.

Julia, ubrana w niebieskie dżinsy, białą koszulkę i krótką skórzaną kurtkę, wyglądała jak zawsze pięknie.

– Gdy przyszła opiekunka, uznałam, że chyba się nic nie stanie, jeśli na trochę opuszczę Tess, i poszłam do hotelu. Próbowałam się zdrzemnąć, ale nie mogłam zasnąć. Pomyślałam, że może tutaj, u ciebie... Oczywiście, jeśli ci to nie sprawi kłopotu lub nie postawi cię w niezręcznej sytuacji. Bo...

Wziąłem ją za rękę i delikatnie wciągnąłem do mieszkania. Namiętnie się pocałowaliśmy. Gorąco jej warg i języka, dotyk jej rąk na moich plecach, zapach jej włosów wprowadziły mnie w stan, w którym namiętność i wewnętrzny spokój nie tylko współistniały ze sobą, ale także podsycaly się wzajemnie. To, że pragnę Julii, przyjąłem jak coś oczywistego, jakbym od zawsze jej pożądał. Oderwaliśmy się od siebie i staliśmy w milczeniu niczym trzymające się za ręce nastolatki na skąpo oświetlonej werandzie.

– Cieszę się, że przyszedłaś – powiedziałem.

– Małe odstępstwo od tradycji składania wizyt domowych – rzekła. – Zdziwiłam się, że twój numer jest w książce telefonicznej, jak pierwszej lepszej osoby.

– Jestem pierwszą lepszą osobą, jeśli już o tym mowa.

– Nie, nie jesteś. Daleko ci do tego. No wiesz, ci wszyscy przestępcy, z którymi miałeś do czynienia... mogą cię tak łatwo znaleźć.

– W ten sposób pokazuję im, że się ich nie boję.

– I rzeczywiście nigdy się nie boisz?

– Nie. Nigdy. Ale to może znaczyć, że coś jest ze mną nie w porządku.

Weszła do salonu, ocierając się o mnie. Ruszyłem do kuchni.

– Zjesz coś? Wypijesz?

– Zjadłam w szpitalnej stołówce – powiedziała, chodząc po mieszkaniu. – Ale jeśli jesteś głodny, to się nie krępuj.

Patrzyłem, jak poznaje moje mieszkanie, biorąc do ręki figurki, dotykając niektórych mebli. Zatrzymała się przed oknem.

– Masz tu jeden z najpiękniejszych widoków, jakie w życiu widziałam. Jak znalazłeś to miejsce?

– Moja przyjaciółka mieszkała w tym budynku. Lubilem patrzeć na tankowce.

– Z jej mieszkania – zażartowała Julia.

Kiwnąłem głową.

Julia zdjęła kurtkę i podeszła do mojego łóżka.

– Muszę się trochę zdrzemnąć. Jestem wyczerpana. Nie masz nic przeciwko temu?

– Skądże.

Położyła się na szarej lnianej narzucie i zwinęła w kłębek jak kot.

– Przytulisz mnie?

Podszedłem do łóżka i położyłem się obok niej. Przed oczami miałem jej lśniące włosy, rękami objąłem ją za brzuch tuż pod piersiami. Czułem na skórze dotyk jej pierścionka zaręczynowego, ale był to już dla mnie przedmiot należący do jej poprzedniego życia, zanim nasze drogi się skrzyżowały.

– Lekarka, psychiatra, przyszła na oddział, żeby ze mną porozmawiać – odezwała się Julia.

– I...

– Powiedziała jej, że jeśli Tess umrze, nie będę mogła dalej żyć ze świadomością, że do tego dopuściłam.

– Doktor Karlstein walczy jak lew o jej życie.

– Wiem i wierzę, że Tess przeżyje, inaczej nie zostawiłabym jej nawet na godzinę.

Julia spała, a ja leżałem obok niej. Zanim zasnąłem, rozmyślałem o najbliższej przyszłości: o tym, co się stanie za dwa – – trzy miesiące, gdy dochodzenie się skończy, a byłem pewien, że zakończy się aresztowaniem

Darwina Bishopa. Widziałem, jak razem z Julią układamy sobie dalsze życie, stwarzając Garretowi i Billy'emu bezpieczną przystań po tych wszystkich burzach, przez które przeszli. Pomyślałem nawet, że byłaby to dla mnie szansa, bym się mógł zrehabilitować za samobójstwo Billy'ego Fiska.

Obudziliśmy się w tym samym momencie. Julia przewróciła się na drugi bok i spojrzała mi w oczy.

– Chcę poczuć, że jesteśmy razem – szepnęła. – Chcę się z tobą kochać.

Wsparłem się na łokciu i odgarnąłem jej włosy z czoła.

– To nie najlepszy moment na rozpoczęcie romansu.

– Rozpoczęliśmy go, gdy po raz pierwszy dotknąłeś mojej ręki. Wtedy, gdy szłam z Garretem i spotkaliśmy się przed domem.

– Ja tylko...

– Nie potrafisz zapanować nad swoimi uczuciami do mnie – rzekła, spoglądając na wybrzuszenie w moim kroczu. Rozpięła dżinsy, wzięła moją rękę i wsunęła ją sobie pod majtki, między nogi. Wzgórek miała zupełnie ogolony, a jej niesamowicie gładka skóra była ciepła i mokra. – Ja zresztą też.

Trochę zaniepokoił mnie ten apetyt seksualny Julii mimo śmierci Brooke i ciężkiego stanu Tess, ale skarciłem się za to, że ją oceniam. W końcu jakiej podręcznikowej reakcji miałbym oczekiwać? Dzikiej złości? Zamknięcia w sobie? Czy chciałem, żeby popadła w jeszcze głębszą depresję?

W głowie mi się kręciło. Dlaczego miałbym się opierać Julii, zadałem sobie pytanie, skoro bogowie zsyłali mi szansę na szczęście? Dlaczego miałbym się opierać własnym pragnieniom? Spojrzałem Julii w oczy i przesunąłem czubkiem palca wzdłuż szparki na jej delikatnym wzgórk. Jęknęła. A kiedy otworzyła się na mój dotyk, wydała mi się częścią mnie, dawno utraconą, a teraz odzyskaną.

Piątek, 28 czerwca 2002

Zawiozłem Julię z powrotem do Mass General dopiero o wpół do drugiej. Wyczerpani miłością, zasnęliśmy jeszcze na godzinę. Podczas jazdy kilka razy sprawdzałem we wstecznym lusterku, czy nie jesteśmy śledzeni.

– Denerwujesz się z powodu Wina? – zapytała Julia.

– A powinienem?

– Ja denerwowałam się przez tyle lat, że już straciłam rachubę.

– Czemu w ogóle za niego wyszłaś? Mówiłaś, że sądziłaś, iż go kochasz, ale dlaczego się w nim zakochałaś? Co cię w nim pociągało?

Wzięła głęboki oddech.

– Nie wiem, czy to zasługa Wina. Zgoda, był czarujący, przystojny i takie tam. Ale to ja podjęłam decyzję. Myślę, że w istocie chciałam go wykorzystać.

Szczerze powiedziane.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Pochodzę z dużej rodziny. Mam czterech braci. Ojciec był prawnikiem, ale nie takim, jak wszyscy sobie wyobrażają ludzi tej profesji. Matka była cichą kura domową. Nie miała żadnych marzeń i nie była specjalnie zainteresowana moimi. Darwin rozsadził rami mojego życia, a w każdym razie takiego, jakie ono wówczas było.

– Jak wyglądały twoje stosunki z ojcem?

– Kochałam go, ale on więcej czasu poświęcał moim braciom: ich sukcesem sportowym, wynikiem w nauce. Ja w wieku czternastu lat zaczęłam występować jako modelka, myślę, że częściowo także dlatego, że chciałam konkurować o jego względy. Choć osiągnęłam w tym zawodzie o wiele więcej, niż się spodziewałam, ojca mało to obchodziło. I pewnie dlatego bycie modelką nie dało mi prawdziwej pewności siebie. – A małżeństwo? Czy ono ci ją dało?

– W pewnym sensie. A raczej tak mi się wydawało. Będąc żoną Wina, nie musiałam się zastanawiać nad sobą. Nad tym, kim jestem. Etykietka pani Darwinowej Bishop w zupełności wystarczała moim rodzicom i przyjacielom. Większości ludzi. I przez długi czas wystarczała również mnie. Dzieliłam jego sukcesy. Wmawiałam sobie nawet, że się do nich przyczyniałam. Że byłam kimś w rodzaju szarej eminencji.

– Ale jako modelka odniosłaś duży sukces.

– Zawsze uważałam to za mało ważne zajęcie, które się kiedyś skończy. – Spojrzała przez okno na panoramę Bostonu, gdy wjechaliśmy na Tobin Bridge. – Kiedy Darwin po raz pierwszy mnie uderzył, wiedziałam, że nasze małżeństwo jest skończone. Ale byłam jak sparaliżowana. Nie miałam siły pójść własną drogą.

– Do tej pory.

– Do tej pory – powtórzyła i uśmiechnęła się. – Ale dosyć o mnie, doktorze Clevenger. Jak to się stało, że się nie ożeniłeś?

– Przez wiele lat żyłem z jedną kobietą, która zapadła na chorobę psychiczną.

– Kim ona była?

– Lekarką, ginekologiem.

– Zeszliście się, bo mieliście podobne zawody?

– Poniekąd. Jednak w pewnym sensie ja też ją wykorzystałem. Była wrażliwa i delikatna, więc to ja rządziłem w tym związku. To, że z nią byłem, pozwalało mi mówić, że jestem z kimś na stałe, a tak naprawdę unikałem zaangażowania. Mogłem się ukryć.

– Dlaczego ukryć?

– Ponieważ wychowałem się w domu, w którym musiałem ukrywać swoje emocje i swoją obecność. Myślę, że weszło mi to w krew.

Spojrzała na mnie tak, jakby prosiła o szersze wyjaśnienie.

– Ojciec bił mnie, podobnie jak Darwin ciebie – powiedziałem.

– Przykro mi, Frank. Nie miałam pojęcia.

– Stare dzieje.

Julia milczała, patrząc przed siebie. Po chwili odwróciła się do mnie.

– Już nie musisz niczego ukrywać – oświadczyła.

Poczułem gęsią skórę. Gorąco pragnąłem uwierzyć, że oto znalazł się ktoś, kto mnie potrafi i zrozumieć, i kochać. W głębi duszy bowiem zawsze uważałem, że te dwie możliwości wykluczają się wzajemnie. Spojrzałem na nią, gdy odwróciła do mnie twarz. Ujrzałem w jej oczach miłość i akceptację. I wtedy poczułem, że naprawdę znalazłem się w nowym i lepszym świecie.

Zatrzymałem samochód na parkingu należącym do Mass General i przeszedłem z Julią dwie przecznice do drzwi wejściowych szpitala. Zachowaliśmy ostrożność: żadnych pocałunków czy długich pożegnań. Julia weszła do holu, a ja ruszyłem z powrotem do pikapa. Była druga nad ranem.

Parking szpitalny jest pięciokondygnacyjnym betonowym budynkiem wychodzącym na Charles River. Ciągnie się przez dwie przecznice: ściana najdalsza od szpitala przylega do Cambridge Street, a najbliższa graniczy z ciemnym zaułkiem, który wychodzi na Storrow Drive. Właśnie przechodziłem przez tę uliczkę, kiedy zostałem silnie popchnięty z tyłu. Zachwiałem się i nagle poczułem ostre dźgnięcie w plecy na wysokości nerek. Moim ciałem szarpnął kłujący ból, który po chwili stał się tak dojmujący, że zgiałem się wpół i upadłem na ziemię. Próbowałem sięgnąć po swojego browninga, ale ręka nie chciała słuchać mózgu.

– Cóż mogła więc poradzić, będąc tylko sobą? – usłyszałem chrapliwy, dziwny głos.

Starałem się przyjrzeć postaci, która biegiem oddalała się ode mnie, ale zdołałem zauważyć tylko czarne wojskowe buty. Namacałem miejsce na

plecach, skąd promieniował ból, który spowodował u mnie nieostrość widzenia. Poczułem coś ciepłego i śliskiego, a potem straciłem przytomność.

– Frank! – usłyszałem wołanie Colina Baina. – Obudź się, człowieku! – Poczułem na mostku kłykcie. Nazywa się to uciskaniem mostka, ale odczuwa, jakby ktoś brutalnie przejechał po nim grabiami. W każdym razie zabieg ten ma na celu obudzenie nieprzytomnego i przywrócenie go do życia.

– Chryste! Nic mi nie jest – wymamrotałem, wykręcając ciało, by uniknąć dalszego ciągu akcji ratowniczej. Otworzyłem oczy i próbowałem usiąść, ale poczułem przeszywający ból w plecach, który powalił mnie z powrotem na materac.

Bain stał obok łóżka, przypatrując mi się zza okrągłych drucianych okularów. Odgarnął z czoła długie rude włosy.

– Witaj, przyjacielu – powiedział.

Byłem rozebrany do pasa. Tułów miałem owinięty bandażem jak mumia.

– Co, u diabła, się ze mną stało? – zapytałem.

– Ktoś napadł na ciebie w pobliżu parkingu. Nieźle cię dziabnął. Na moje oko przynajmniej dziesięciocentymetrowym ostrzem. W każdym razie tak głęboko weszło. – Uśmiechnął się. – Najlepsze przespałeś. Zdażyłem zbadać, oczyścić i zeszyć ranę. Byłeś tak zamroczony, że nie musiałem nawet używać lidokainy.

– Umysł to cudowna rzecz. Dziękuję ci.

– Nie ma za co.

– Złapali tego, kto mi to zrobił?

– Gdy cię znaleziono, po facecie nie było już śladu. Sądząc po tym, ile straciłeś krwi, od zajścia musiało upłynąć dobrych kilka minut.

Spojrzałem do góry i zobaczyłem nad głową stojak, na którym wisiała torebka z krwią spływającą czerwonym wężykiem do igły wbitej w żyłę na mojej ręce. Pokręciłem głową.

– Ochrona szpitala sądzi, że musiał cię napaść jakiś bezdomny pijak – podjął Bain. – Krew zobaczyli dopiero wtedy, gdy cię kładli na noszach. – Mrugnął do mnie. – Mam ich nazwiska, jeśli chcesz z nimi porozmawiać.

Zacząłem kaszleć, ale szybko przestałem, bo ból przeszywał mi brzuch, podchodził do gardła.

– Przez kilka dni będziesz się czuł niezbyt przyjemnie – oświadczył Bain.

– Niezbyt przyjemnie? Oględnie powiedziane – jęknąłem, łapiąc oddech.

– Prześwietlenie wykazało, że ostrze przecięło mięsień grzbietowy i sięgnęło

mięśni prądkowanych. Założyłem około sześćdziesięciu szwów. Tak przy okazji, ten nożownik o włos chybił tętnicy. Gdyby nie to, na pewno wykrwawiłbyś się na śmierć. Masz szczęście, że żyjesz.

– Dzięki, że mi powiedziałeś.

– Dobrze by było, gdybyś został na noc na obserwację. Tak, by się upewnić, że nic złego się nie dzieje.

– Nic z tego. Nie mam czasu.

– Mało brakowało, a w ogóle już nie miałbyś czasu. Nic się nie stanie, jeśli poświęcisz dzień czy dwa.

Teraz już mówił o dwóch dniach.

– Prowadzę teraz sprawę kryminalną. – Gdy to powiedziałem, do mojego zamroczonego umysłu dotarło, że napaść na mnie mogła mieć związek ze sprawą Bishopów. – Przypuszczam, że ten napad może się z nią wiązać.

– Tym bardziej dobrze by ci zrobiło, gdybyś się położył na czterdzieści osiem godzin, nie sądzisz?

– Nie mogę.

– Jak chcesz. Zapiszę ci kefleks. Mam nadzieję, że zapobiegnie infekcji. I perkocet przeciw bólowi. Daj mi znać, jak będziesz potrzebował więcej.

Tkwiały we mnie nałogowiec ożywił się. Łyknięcie trzech lub czterech tabletek perkocetu oznaczałoby wzięcie chemicznego urlopu od tego całego bajzlu związanego ze sprawą Bishopów. Zacząłem się nawet zastanawiać, ile tabletek mógłby mi zapisać Bain. Na szczęście w porę się zorientowałem, jak wygodną podsuwa mi wymówkę, bym się mógł całkowicie rozkleić.

– Wolałbym nie brać nic uzależniającego – powiedziałem. – Miałem już wcześniej problemy z tym lekiem.

Spokojnie przyjął tę rewelację.

– Nie wiedziałem. A co powiesz na motrin?

– Może być. Dzięki.

– Jeśli pojawi się gorączka, dreszcze lub opuchlizna, natychmiast przyjedziesz, zgoda?

– Zgoda.

– Szwy zewnętrzne wyjmę ci za dziesięć dni. Wewnętrzne same się rozpuszczą.

– No to do zobaczenia za dziesięć dni. – Zacisnąłem zęby i usiadłem. W boku czułem rozdzierający ból, jakby ktoś odrywał mi go od reszty ciała.

– Gliny chcą z tobą porozmawiać – rzekł Bain. – Mam im powiedzieć, że się

obudziłeś?

– No jasne.

– To gliniarze z Bostonu, ale pozwoliłem sobie także zawiadomić o tym, co się stało, twojego przyjaciela z Nantucket. Northa Andersona, dobrze mówię? Powiedział, że już o wszystkim wie od tutejszej policji. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że go zawiadomiłem?

– Nie. Cieszę się, że z nim rozmawiałeś.

Bain spojrzał na mnie z troską.

– Jesteś pewny, że nie chcesz zostać na noc? Jest tu kilka bardzo ładnych pielęgniareczek.

– Może skorzystam później, jak trochę wydobrzeję.

Opowiedziałem policjantom wszystko, co zapamiętałem, czyli niewiele. Nawet taki szczegół jak czarne buty chwilowo umknął mi z pamięci, nie mówiąc już o dziwnym zdaniu wypowiedzianym przez napastnika. Oni też nie mieli żadnych podejrzeń. Co prawda osiem miesięcy wcześniej również doszło w tym samym miejscu do napadu, ale nie wyglądało na to, by między oboma zdarzeniami istniał jakiś związek, i jego brak w żadnej mierze nie wpłynął na moje przekonanie, że najbardziej prawdopodobnym winowajcą jest Darwin Bishop, a właściwie któryś z jego oprychów.

Poczekalem, aż cała krew z woreczka spłynie mi do żyły, połknąłem trzy tabletki motrinu i zebrałem się w sobie, żeby się zwlec z wózka i włożyć obszerną białą koszulę, którą pożyczył mi Bain. Jakoś dowlokłem się do windy i pojechałem na górę na oddział intensywnej opieki. Jednak każde szarpnięcie zatrzymującej się windy powodowało, że oblewałem się zimnym potem.

Znalazłem Julię w pokoju Tess. Po drugiej stronie łóżka siedział dwudziestoparoletni opiekun czytający książkę wyglądającą na podręcznik. Wymieniliśmy standardowe powitania.

– Co się stało? – zapytała Julia. – Wyglądasz okropnie.

Powiedziałem jej.

Pobladła.

– To moja wina. Nie powinnam była przychodzić do twojego mieszkania.

– To mógł być przypadkowy napad – zauważyłem, choć wiedziałem, że tak nie było.

– Musimy być ostrożniejsi – powiedziała, kręcąc głową. – Tego właśnie się obawiałam.

Ja czułem się bardziej zdeterminowany niż przestraszony, co chyba powinienem wziąć za znak ostrzegawczy, że tracę dystans do sprawy.

– Jadę dzisiaj na wyspę. Mam coś do zrobienia wspólnie z Andersonem.

– Kiedy wrócisz? – Jej oczy wypełniły się łzami.

– Za dzień, może dwa.

– Win dzisiaj przylatuje. Mam zamiar mu powiedzieć, że nie chcę, by się zbliżał do Tess. Jeśli będzie próbował, wystąpię o to do sądu.

– Znam kogoś, kto może ci pomóc. Ib Carl Rossetti, prawnik z North Endu. – Objąłem ją i przytrzymałem przez chwilę w ramionach, starając się równo oddychać, pomimo przeszywającego bólu, który odzywał się, ilekroć podniosłem rękę powyżej pasa. – Zadzwoń, żeby sprawdzić, co u ciebie słychać – zdołałem wykrztusić i puściłem ją.

Nachyliła się do mnie.

– Kocham cię – szepnęła.

Jej słowa zaskoczyły mnie, ale nie dlatego, żebym czuł co innego – nie byłem przyzwyczajony, by emocje innej osoby tak współgrały z moimi.

– Ja też cię kocham.

Szedłem przez hol ku wyjściu ze szpitala, gdy dogoniła mnie Caroline Hallissey, psychiatra z Mass General, około trzydziestoletnia aktywistka ruchu gejowskiego. Miała niewiele powyżej stu pięćdziesięciu centymetrów wzrostu i ważyła ponad sto dwadzieścia kilogramów. Kiedyś mogła być ładna, ale trudno się było tego domyślić, patrząc na jej nalaną twarz. W nosie miała kolczyk, a nad lewą brwią srebrny ćwiek. Słyszałem, że podobno ona i jej partnerka zaadoptowały niedawno dziecko.

– Masz chwilę? – zapytała.

– Pewnie.

Musiałem wyglądać równie źle, jak się czułem.

– Z tobą wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. O co chodzi?

– Wezwano mnie na konsultację do tej kobiety, której dziecko leży na oddziale intensywnej opieki. Julii Bishop. Zdaje się, że jesteś zaangażowany w tę sprawę, czy tak?

– Zgadza się. Co o niej myślisz?

– Ma depresję, to pewne. Występuje u niej mnóstwo symptomów neurowegetatywnych: bezsenność, brak apetytu, kłopoty z koncentracją, niska

samoocena. Podobno objawy te występowały w jeszcze większym nasileniu tuż po urodzeniu się bliźniaczek. Mimo to ona nie chce się poddać leczeniu.

– Trudno, żeby teraz myślała o sobie.

– Zgoda. Nie chcę jej do niczego zmuszać. Nie jest typem samobójczym w klasycznym tego słowa znaczeniu. Robi jedynie aluzje, że straci chęć do życia, jeśli jej córka umrze. – Zrobiła pauzę. – Bardziej mnie niepokoi, że wyczuwam u niej wiele wrogości.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Zadała mi mnóstwo pytań dotyczących mojego zawodowego przygotowania. Jaka szkołę skończyłam? Na jakiej uczelni medycznej studiowałam? Kto jest moim przełożonym? Wszystko chciała wiedzieć.

Przyszło mi do głowy, że może to mieć coś wspólnego z wyglądem Hallissey.

– Wiesz, toczy się dochodzenie w sprawie o zabójstwo jej córki. Myślę, że ona nie wie, komu może zaufać.

– To może częściowo wyjaśniać jej wrogie nastawienie. Ale ja czuję w tym jakąś osobistą nutkę. Jakby miała coś do mnie.– Hallissey rozejrzała się, szukając słów oddających naturę jej stosunków z Julią. – Tak samo się czuję, gdy mam do czynienia z pacjentami mężczyznami, którzy nie szanują kobiet lekarek i starają się to okazać.

– Nie każda więź terapeutyczna polega na wymianie czułych słówek – zauważyłem.

Hallissey spojrzała mi prosto w oczy.

– Może wyciągam pochopne wnioski, ale wydaje mi się, że nie chcesz mnie słuchać. Może wybrałam nie najlepszy moment na rozmowę.

Potrząsnąłem głową. Hallissey miała rację. Automatycznie zbagatelizowałem to, że Julia wywarła na niej negatywne wrażenie.

– Chcę posłuchać. Naprawdę. Proszę, powiedz mi, na co jeszcze zwróciłaś uwagę?

Zawahała się.

– No mów.

– Może na to, jak się zachowuje wobec kobiet. Chodzi mi o to, że dla doktora Karlsteina jest bardzo uprzejma. I o ile się nie mylę, ty także nie masz z nią żadnych problemów. Ale pielęgniarki z oddziału powiedziały mi, że traktuje je jak popychadła. Zdecydowanie jej nie lubią. – Wzruszyła ramionami. – Ponoć była modelką, tak? Ktoś wspomniał o „Elite” czy czymś takim.

Słowo „modelka” wypowiedziała z wyraźnym obrzydzeniem. Zastanowiłem

się, czy zazdrość nie przysłania Hallissey zawodowego obiektywizmu. Psychiatrzy nazywają ten mechanizm przeciwprzeniesieniem: do terapeuty wracają jego własne emocje, ale tak, jakby pochodziły od pacjenta.

– Owszem, pracowała jako modelka – potwierdziłem i postanowiłem rozwinąć temat, chcąc sprawdzić reakcję Hallissey. – Odnosiła duże sukcesy. Jej zdjęcia były na okładkach „Cosmo” i „Vogue’a”. Duża sprawa.

– Pewnie, że odnosiła sukcesy. To książkowy przypadek. Ta kobieta jest niesamowicie piękna, ale tak naprawdę brak jej poczucia własnej wartości. Ona istnieje tylko dla mężczyzn. Potrzebuje ich podziwu, gdyż sama się nienawidzi. I dlatego też od razu poczuła do mnie nienawiść. Bo jestem kobietą.

Myśl, że Julia może być źle nastawiona do kobiet, zmartwiła mnie. W końcu urodziła dwie dziewczynki.

– Myślisz, że może stanowić zagrożenie dla dziecka? – zapytałem Hallissey. – Uważasz, że opiekun jest potrzebny?

– Nie widzę w tym żadnego sensu. Po co trzymać dziecko pod obserwacją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, skoro i tak za parę dni wyjdzie ze szpitala? – Hallissey przewróciła oczami. – W końcu pewnie wykorzysta to jako pretekst, by się wymknąć na zakupy. Po kiecki i buty od Gucciego.

Ta uwaga utwierdziła mnie w przekonaniu, że na opinię Hallissey o Julii wpływ ma zazdrość lub zła wola. Kiwnąłem głową i trochę się odprężyłem, ale tylko trochę. Nie mogłem sobie pozwolić na zignorowanie jej hipotezy.

– Zajrzysz jeszcze do niej?

– Tak. Doktor Karlstein prosił mnie, żebym jutro wpadła.

– Zawiadomisz mnie, gdy dowiesz się jeszcze czegoś interesującego?

– Zawiadomię.

– A tak przy okazji, gratulacje z powodu dziecka. Mam nadzieję, że nie zostanie modelką.

Hallissey rozpromieniła się.

– Nie ma mowy. Zapewniam cię, że nigdy do tego nie dojdzie.

Było dwadzieścia po siódmej, kiedy wreszcie wsiadłem do pikapa, by pojechać do domu po parę rzeczy, których potrzebowałem na Nantucket. Dzień był słoneczny i ciepły, jak to w Bostonie pod koniec czerwca. Jechałem Storrow Drive, biorąc powoli zakręty i uważając, żeby omijać dziury. Potem musiałem mozolnie się wspinać po schodach, robiąc przerwy na każdym półpiętrze, by zebrać siły i odwagę na dalszą drogę.

Prawie dobrnąłem na piąte piętro, gdy przypomniała mi się napaść w zaułku

– jak zostałem popchnięty, poczułem ból, a potem straciłem równowagę i upadłem. Zamknąłem oczy i stojąc nieruchomo na schodach, próbowałem coś jeszcze wyłuskać z nieświadomości, ale bezskutecznie.

Wyjąłem czyste dżinsy i czarną bawełnianą koszulkę i już miałem się ubrać, kiedy zauważyłem, że bandaż na brzuchu jest przesiąknięty krwią. Poszedłem do łazienki i zdjęłem opatrunek.

Colin Bain musiał się sporo nadziergać. To, co zobaczyłem, nie przypominało zwykłej klutej rany. Jej brzegi były postrzępione, jakby napastnik szarpnął nożem do góry, chcąc mnie wypatroszyć od tyłu. Bain odwalił imponującą ręczną robótkę – drobne szwy, oznaka zręczności chirurga, tworzyły na plecach kształt błyskawicy. Odwróciłem się tyłem do umywalki, przemyłem ranę zimną wodą i osuszyłem. Następnie zabandażowałem ją rolką gazy, którą Bain wrzucił mi w izbie przyjęć do torby razem z opakowaniem motrinu, receptą na kefleks i moim portfelem. Połknąłem trzy tabletki przeciwbólowe, wepchnąłem portfel do kieszeni dżinsów i ubrałem się.

Ponieważ szansę, że dojadę przytomny do Hyannis lub Wood Hole i że szczęśliwie znajdę miejsce siedzące na promie, nie mówiąc już o miejscu na pokładzie samochodowym, były dość mizerne, postanowiłem pojechać na lotnisko Logana i poczekać na samolot linii Cape Air odlatujący o dziesiątej piętnaście. Próbowałem się dodzwonić do Andersona na komórkę, ale odezwała się poczta głosowa. Zostawiłem mu wiadomość, że przylecę o jedenastej, i poprosiłem, aby przyjechał po mnie na Nantucket Memorial – zaiste intrygująca nazwa jak na miłe lotnisko na bardzo pięknej wyspie.

Anderson czekał na mnie przy bramce. Podczas ostatnich piętnastu minut lotu samolotem rzucało z powodu turbulencji, więc starałem się siedzieć pochylony na prawo, żeby nie naciągać mięśni po tej stronie ciała.

– Wyglądasz kwitnąco – powitał mnie Anderson, uśmiechając się z przymusem.

– Bardzo ci dziękuję.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Prawda jest taka, że powinienes leżeć w łóżku i się kurować.

– Czuję się dobrze.

– Coś mi mówi, że lepiej będzie, jeśli się usuniemy z drogi i pozwolimy stanowym glinom przejąć dochodzenie.

– Sam wiesz, że oni je rozpoczną i zakończą na Billym. Bishop ma niezłe koneksje polityczne.

– Nie chcę, żebyś skończył w trumnie – rzekł Anderson. Pokręcił głową i głęboko westchnął. – Dziś nocujesz u mnie. Koniec. Kropka.

– Tak jest. Lepiej się zabezpieczyć, niż później żałować. – Jęknąłem, prostując się.

– Przyjrzałeś się temu, kto cię tak urządził? Pamiętasz coś?

– Nic.

– Może to był przypadkowy napad. W izbie przyjęć w Mass General roi się od różnych twardzieli.

– Niewykluczone.

– Niestety, to mało prawdopodobne. Postawiłbym sto do jednego, że ten, kto to zrobił, polował na ciebie.

– Może kogoś wnerwiamy. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. – Nie dodałem, że bardzo się starałem wzbudzić zazdrość w pewnej osobie, a mianowicie w Darwinie Bishopie.

Anderson pokiwał głową.

– Co z Tess?

– Znów miała nagłe zatrzymanie akcji serca. Na szczęście reanimacja się powiodła. Chcą jej tymczasowo wszczepić rozrusznik serca. Myślę, że wyjdzie z tego.

– Jak Julia to znosi?

– Tak jak każdy na jej miejscu. Bez wątpienia ciężko to przeżywa. Później sama będzie potrzebować pomocy.

– Mam nadzieję, że ten, kto jej udzieli, będzie osobą neutralną.

Zignorowałem tę uwagę.

– Powiedziała, że jeśli Bishop będzie próbował odwiedzić Tess w szpitalu, wystąpi do sądu o zakaz zbliżania się.

– Niektórzy z tej okazji strzeliliby na wiwat. Rozmawiałem z Lauren Dunlop, pierwszą żoną Bishopa. Wyszła po raz drugi za mąż. Ma trójkę dzieci. Mieszka teraz w Greenwich w Connecticut.

– I co?

– Wszystko potwierdziła. Powiedziała, że przez wiele lat Bishop znęcał się nad nią fizycznie i psychicznie, aż w końcu wzięła się na odwagę i zaczęła walczyć w sądzie, żeby Bishop dostał zakaz zbliżania się do niej, a potem wystąpiła o rozwód. Była to długa walka. Przez cały czas żyła w strachu przed nim.

– Zapytałeś ją, dlaczego w takiej sytuacji nie otrzymała prawa do opieki nad Garretem?

– Powiedziała, że to było wykluczone. Bishop walczyłby do upadłego, by nie dać jej rozwodu, jeśli miałyby to oznaczać oddanie chłopca. Ma na jego punkcie obsesję. *Książę i żebrak* – te sprawy. Chciał się zaopiekować porzuconym dzieckiem i zrobić z niego fizyka jądrowego, mistrza świata lub prezydenta Stanów Zjednoczonych. Starał się nawet zakwestionować prawo Lauren do widywania chłopca. Ona bardzo wątpi, by pozwolił Julii zabrać dzieci. Nie bez zacieklej walki.

– Nie sędzę, żeby Julia łatwo ustąpiła. Po wypisaniu Tess ze szpitala nie ma zamiaru wrócić do domu. Mówi, że pojedzie do matki – z dziećmi.

– Bardzo dobrze. A tak przy okazji, Terry McCarthy streścił mi jej zeznanie. Moim zdaniem to najlepszy detektyw w bostońskiej policji.

– I co?

– Wyszła obronną ręką. Jej zeznanie we wszystkim zgadza się z tym, co powiedziała tobie: Bishop wziął od niej nortryptylinę, zanim u Tess wystąpiły objawy zatrucia. – Zrobił pauzę. – Tommy mówi, że jej wierzy. Nie wyczuł w jej głosie fałszu nawet wtedy, kiedy zablefował i zapytał ją, czy zgodziłaby się na badanie przy użyciu wykrywacza kłamstw.

Przypomniała mi się opinia Caroline Hallissey i zastanowiłem się, jak by Julia wypadła, gdyby przesłuchiwała ją kobieta.

– I co ona na to?

– „Choćby w tej chwili”.

– Bardzo dobrze – powiedziałem z ulgą i dodałem z ironicznym uśmiechem: – Ciekawe, czy Bishop by się zgodził.

– A wiesz, zapytałem go o to.

– Zapytałeś go, czy da się zbadać na wykrywaczu kłamstw?

– Oczywiście, w sądzie nie byłby to żaden dowód, ale chciałem sprawdzić jego reakcję.

– I...

– Powiedział, że musi się poradzić prawnika.

– Może go potrzebować.

– Godzinę później wynajął Johna McBride’a.

McBride miał kancelarię w Bostonie i był jednym z najlepszych adwokatów w kraju specjalizujących się w sprawach kryminalnych, a także mistrzem w doprowadzaniu do wykluczenia dowodów obciążających jego klientów.

– Bądź ostrożny, gdy będziesz teraz przeszukiwał dom Bishopa.

– Nie ma obawy. Wszystko robimy w białych rękawiczkach. Dziś rano McBride do mnie zadzwonił. Chciał mnie zawiadomić, że dopóki nie wniesiemy oskarżenia, jego klient nie będzie zeznawał.

– Czy McBride reprezentuje jeszcze kogoś z rodziny?

– Nie powiedział.

– No to jaki mamy plan? Jedziemy po prostu do domu Bishopa i przepytamy Claire i Garreta?

– Tak to sobie wyobrażam. Wciąż mam ważny nakaz przeszukania każdego cała posiadłości, a z tego, co wiem od policjanta, którego zostawiłem na posterunku przy Wauwinet Road, zarówno Claire, jak i Garret są tam teraz. Co prawda oboje mogą się nie zgodzić na rozmowę, ale nie sądzę, żeby to zrobili.

– Dlaczego?

– Bo w tej rodzinie wszyscy mają swoje plany. Garret ma swoje. Claire ma swoje. Wszyscy wykorzystują tę tragedię, by załatwić własne sprawy: zdobyć więcej władzy, wolności czy czegoś tam jeszcze.

– No to jedźmy, póki możemy. – Schyliłem się po torbę, ale przeszył mnie taki ból, że o mało nie upadłem na kolana.

Anderson chwycił mnie pod pachami.

– Ostrożnie – mruknął.

Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby, czekając, aż ból przejdzie. Kiedy minął,

zrobiłem krok do przodu i zmusiłem się do uśmiechu.

– Lekarz odradzał mi robienie nagłych ruchów.

Anderson schylił się po moją torbę.

– Pozwól, że od tej pory ja będę ją nosić.

Na Wauwinet Road widzieliśmy trzy radiowozy. Drogę tarasowały wozy telewizyjne, których sznur zaczynał się pół mili od posiadłości Bishopa. Reporterzy wyskakiwali przed maskę, machając rękami w nadziei, że nas zatrzymają i uzyskają wypowiedź do mikrofonu. Fotografowie robili nam zdjęcia. Usłyszałem warkot helikoptera i spojrzałem do góry przez przednią szybę. Zobaczyłem dwa śmigłowce: jeden policji stanowej, drugi stacji telewizyjnej Channel 7.

– Co za odmiana – zauważyłem.

– Prasa uwielbia takie rzeczy – odparł Anderson. – Gdy się rozniesie, że Tess znajduje się w Mass General, tam także wyląduje armia dziennikarzy.

Przed „budką strażniczą” Bishopa stały dwa rovery i kolejne dwa na półkolistym podjeździe przed domem. Nikt jednak nie próbował nas zatrzymać, gdy skierowaliśmy się w stronę drzwi wejściowych. Rozejrzałem się dookoła i stwierdziłem, że policja przebiła liczbą pojazdów ochronę Wina.

– Po co oni tu przyjechali: przeszukać posiadłość czyjej bronić? – zapytałem Andersona.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – To zależy, jak dobre stosunki łączą Bishopa z kapitanem O’Donnellem. Niedługo go poznasz. Nie mogę się doczekać, kiedy się z nim zmierzysz.

Drzwi jak zwykle otworzyła Claire Buckley. Wyglądała na zdenerwowaną.

– Nikt mnie nie uprzedził, że się zjawicie – oznajmiła z wymuszonym uśmiechem. – Win wyjechał do Bostonu.

– Nie zajmujemy ci dużo czasu – odezwał się Anderson. – Mamy tylko kilka pytań.

– No dobrze. Proszę, wejdźcie.

Anderson spojrzał na mnie i zmrużył oko. Wyglądało na to, że miał rację, spodziewając się, iż nie napotkamy większego oporu ze strony Claire.

Kiedy prowadziła nas do salonu, obejrzała się do tyłu i zauważyła, że poruszam się z trudem.

– Co ci się stało?

– Miałem mały wypadek w Bostonie. Ktoś na mnie napadł.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie, jak mi się zdawało ze szczerą troską.

– Dobrze się czujesz?

– Przeżyję. – Uśmiechnąłem się. – To tylko naciągnięte mięśnie. – I kilka przeciętych.

– Może coś ci podać?

– Nie, dziękuję.

Wskazała nam kanapę, a sama usiadła na krześle z oparciem w kwiaty.

– Czym mogę wam służyć? – zapytała, obracając na palcu pierścioneł z diamentem. Zauważyła, że dostrzegłem ten nerwowy ruch, i nienaturalnie sztywno oparła dłoń na udach.

Anderson skinął głową w moją stronę. Postanowiłem na początek zadać jej bardzo ogólne pytanie i zobaczyć, co się stanie.

– Claire, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, nie zapytałem cię wprost, czy w noc, kiedy zamordowano Brooke, zauważyłaś coś dziwnego. Coś, co mogłoby być ważne dla śledztwa. A teraz, gdy Tess znalazła się w szpitalu, muszę cię zapytać o obie bliźniaczki.

– O co konkretnie ci chodzi?

– O coś niezwykłego – wtrącił się Anderson. – Coś, co zwróciło twoją uwagę. Może tubkę z uszczelniaczem lub fiolkę nortryptyliny, albo płacz dziecka.

– Gdybym coś takiego zauważyła, dawno bym o tym powiedziała. – Zawiesiła głos. – A przecież policja już skończyła przeszukiwać dom, prawda?

Ona nic nie wie – powiedział mój wewnętrzny głos.

– Claire, czy widziałaś lub słyszałaś cokolwiek, o czym powinniśmy wiedzieć?

– Mój umysł odtworzył jej pytanie o przeszukanie domu, które przed chwilą zadała Andersonowi. – A może coś znalazłaś...? – dodałem.

Rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie, jakbyśmy oboje wiedzieli coś, o czym nie powinien się dowiedzieć North Anderson. Znów zaczęła obracać pierścioneł na palcu.

– Powtórzyłem kapitanowi Andersonowi, co mi powiedziałaś o stosunku Julii do bliźniaczek po ich urodzeniu. Wymieniamy się wszystkimi informacjami na temat śledztwa. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, możesz to powiedzieć nam obu – rzuciłem zachęcająco.

– Nie widziałam nic, co by się bezpośrednio wiązało z zamachami na życie dziewczynek.

– No dobrze. A co widziałaś?

– Nie tyle widziałam, ile znalazłam. Coś dziwnego.

– Dziwnego... – powtórzył Anderson.

– List – rzekła Claire. Spojrzała w dół i pokręciła głową. – Robię to tylko ze względu na Tess. Dlatego, że Julia jest wciąż przy niej. – Ukryła twarz w dłoniach. – Boże, nie wiem, czy powinnam o tym wszystkim mówić.

Skóra mi ścierpła. Czułem, że zaraz usłyszę albo bezpodstawne oskarżenie pod adresem Julii wymyślane przez Claire, która ma chrapkę na zajęcie jej miejsca u boku Darwina Bishopa, albo coś, co wywróci mój obraz Julii do góry nogami i znowu wprowadzi ją na listę podejrzanych.

– Jeśli wiesz o czymś w związku z Julią i bliźniaczkami, co twoim zdaniem jest ważne, proszę, powiedz nam o tym. Zwłaszcza jeśli pomogłoby to nam zapewnić bezpieczeństwo Tess – oświadczyłem.

Claire spojrzała w sufit, zerknęła na Andersona, a następnie skupiła uwagę na mnie.

– Poczekajcie, zaraz wracam. – Wstała, wyszła z salonu i skierowała się na górę.

– Wiesz, o co jej chodzi? – zapytał Anderson.

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Myślę, że to jej gadanie, całe to „nie chcę, ale muszę”, jest zwykłym wciskaniem kitu, ale na razie tylko tyle potrafiłem rozszyfrować.

– To naciągaczka. Nie ufam jej.

Kiwnąłem głową, ale coraz bardziej obawiałem się znaleziska Claire. Aby się uspokoić, wstałem i zacząłem chodzić po pokoju, oglądając ozdóbki Bishopa: klasyczny zegar okrętowy, zbiór popiersi Dauma w delikatnych odcieniach błękitu, zieleni i różu, kolekcję emaliowanych piór wiecznych w mahoniowym pudełku ze szklanym wieczkiem.

Zatrzymałem się, widząc puste miejsce na ścianie. Gdy byłem w tym pokoju poprzednim razem, wisiał tu obraz Roberta Salmona przedstawiający statek na morzu. Rozejrzałem się dokoła i zobaczyłem, że płótno Maurice’a Prendergasta również zniknęło. Carl Rossetti i Wiktor Gołow mieli rację, pomyślałem. Bishop likwidował kolekcję dzieł sztuki. Na aukcji każdy z tych obrazów mógł mu przynieść kilka milionów dolarów.

Weszła Claire, ściskając w dłoni złożoną kartkę papieru listowego. Wróciłem na swoje miejsce na kanapie. Ona usiadła z powrotem na krześle.

Anderson pochylił się do przodu, wpatrując się w kartkę.

– Znalazłam to w szafie Julii – oświadczyła. – Robiłam porządki.

– W szafie?

– Mam taki przymus. W szafach, pod łóżkiem, za szafkami – nie mogę usiąść, dopóki wszędzie nie jest posprzątane i poukładane.

Powstrzymałem się od postawienia diagnozy.

– I co takiego znalazłaś? – zapytałem.

– Wzięłam pudło z kapeluszami. Wydawało mi się, że jest puste, więc chciałam w nim schować opaski na włosy i takie tam, ale jak je otworzyłam, znalazłam to. – Uniosła kartkę. – I przeczytałam. Nie powinnam była, ale zrobiłam to.

– No i co tam jest napisane? – spytał Anderson.

– Nie wiem, na ile to jest ważne – oznajmiła, dramatycznie wstrzymując oddech. – I dlatego daję to wam. – Potrząsnęła głową. – Ale mam wyrzuty sumienia.

Nie mogłem dłużej zdzierżyć wystudiowanej powściągliwości Claire. Podszedłem do niej i wyciągnąłem rękę.

– Dziękujemy ci. Rozumiemy twoją rozterkę.

Podawała mi kartkę z przesadną ostrożnością, jakby to był zraniony ptaszek. A następnie odwróciła wzrok.

Usiadłem z powrotem na kanapie, rozłożyłem kartkę i zobaczyłem fragment listu napisany kobiecą ręką. Mój wzrok padł na dół kartki, gdzie widniał podpis Julii i data 20 czerwca 2002 roku, czyli dzień przed zamordowaniem Brooke. Serce mi zamarło. Ponieważ Anderson obserwował mnie, schowałem się za maską pokerzysty i czytałem po cichu.

Żałuję, że zgodziłam się na to małżeństwo. Trzymam się go z powodu moich najgorszych cech: strachu, niesamodzielności i – choć zdaję sobie sprawę, że to żalosne – przywiązania do dóbr materialnych. Jakby tego wszystkiego było mało, pojawiły się jeszcze bliźniaczki. Darwin wciąż jest na mnie wściekły z ich powodu.

Odkąd cię poznałam, podtrzymujesz mnie na duchu. Bez przerwy myślę o wspólnie spędzonych chwilach. Muszę się teraz zebrać na odwagę, aby z tym wszystkim skończyć bez względu na to, ile cierpień pociągnie to za sobą na krótką metę. Koniec nie może być gorszy od wszystkiego, co dotąd przeżyliśmy.

Codziennie płaczę, nie śpię, prawie w ogóle nie jem i często nie mam już siły dłużej tego ciągnąć...

Oprócz chwil, gdy myślę o tym, że cię znowu zobaczę. Na razie to wystarcza, żeby mi dodać otuchy.

Moje pokusy są stateczne. Gdy życie kresu już dobiega.

Julia 20 czerwca 2002

Serce biło mi jak szalone. Mdłości zagłuszyły ból w plecach. Najbardziej optymistyczny wniosek, jaki się nasuwał po lekturze tego fragmentu listu, był taki, że Julia miała innego kochanka. Czytając go na trzeźwo, nasuwało się raczej, że doszła do takiej desperacji, iż mogła zrobić coś złego bliźniaczkom. Wers „Gdy życie kresu już dobiega” zabrzmiał szczególnie złowieszczo. Podałem kartkę Andersonowi.

North czytał, poruszając ustami. Kilka razy przebiegł oczami tekst z góry do dołu. Następnie z powrotem złożył kartkę i wsadził ją do kieszeni koszuli.

– Co o tym sądzisz? – spytał Claire.

– Nie wiem – odparła. – Byłam tym wstrząśnięta.

– Czy gdy to przeczytałaś, pomyślałaś, że Julia targnęła się na życie bliźniaczek? Że zabiła Brooke? – naciskał Anderson.

– Trudno mi w to uwierzyć, ale wziąwszy pod uwagę jej depresję i teraz ten list... Nic już nie wiem.

Anderson zerknął na mnie, i przeniósł wzrok z powrotem na Claire.

– Zapytam cię jeszcze raz: czy coś ukrywasz? Czy widziałaś coś ważnego w noc, kiedy zamordowano Brooke lub otruto Tess?

– Nie – zaprzeczyła mało przekonująco.

– No, dobrze – ustąpił Anderson. – Porozmawiajmy w takim razie o twoich stosunkach z Darwinem Bishopem. Czy nie sądzisz, że mogły się przyczynić do depresji Julii? A może myślisz, że ona nie wie, co się dzieje?

Spojrzałem na Andersona, zastanawiając się, do czego zmierza.

– Nie wiem, co masz na myśli. Jestem z nim w równie bliskich stosunkach jak z Julią – odparła Claire.

– Bądźmy ze sobą szczerzy – powiedział Anderson. Claire uciekła spojrzeniem w bok i potrząsnęła głową, jakby nie wiedziała, do czego North zmierza.

– Mówię o twoim romansie z Darwinem Bishopem – wyjaśnił. – O apartamentach, w których mieszkaliście razem za granicą. O drogich winach. O tym wszystkim.

Na twarz wystąpiły jej rumieńce. Wstała.

– Myślę, że powinniście wyjść. – Spojrzała na mnie, jakbym ją zdradził. – Obaj.

Anderson nie ruszył się z miejsca.

– Nie chodzi nam o to, żeby ci rujnować życie – powiedział. – Wszystko zostanie między nami. Porozmawiamy tylko z Garretem i już nas nie ma. Nic więcej nie planujemy.

Teraz zrozumiałem, do czego zmierzał. Naciskał na Claire, by pozwoliła nam się spotkać sam na sam z Garretem.

Claire z trudem powstrzymywała się przed wybuchem.

Zastanawiałem się, czy pozwoli nam się spotkać z Garretem, czy wyrzuci za drzwi.

– Możesz na nas liczyć. Nic z tego, co powiedzieliśmy, nie przedostanie się do prasy – rzuciłem od niechcena, wskazując ręką w stronę Wauwinet Road. Poczekalem chwilę, żeby dotarł do niej sens tej zawołanej groźby. – Sznur ich wozów ciągnie się stąd przez pół mili. Porozmawiamy tylko z Garretem i pójdziemy sobie.

Minęło kilka sekund, zanim Claire odpowiedziała.

– Powiem mu, że przyjdziecie do jego pokoju – wykrztusiła. – I liczę, że potem sobie pójdziecie.

Anderson poczekał, aż wyjdzie.

– Z Johnem McBride'em jako adwokatem i kapitanem O'Donnellem w roli kierującego śledztwem możemy nie mieć więcej okazji dotarcia do Garreta – wyjaśnił. – Myślę, że tak czy owak nadszedł czas, by narobić trochę zamieszania i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Kiwnąłem głową, a potem wskazałem na list Julii, który Anderson miał w kieszeni.

– Niezbyt dobrze to wygląda – powiedziałem. Pomyślałem o Julii siedzącej przy łóżku Tess. Nagle zapragnąłem, żeby Caroline Hallissey utrzymała dwudziestoczterogodziną obserwację małej.

– Ostrzegałem cię.

– Wiem – przyznałem. – Powinienem być cię posłuchać.

– Przy takiej kobiecie niewiele słyhać poza anielskimi surmami. Nie rób sobie z tego powodu wyrzutów.

Claire wróciła i zaprowadziła nas pod drzwi pokoju Garreta, a następnie odwróciła się na pięcie i odeszła bez słowa. Garret siedział pochylony nad biurkiem zawalonym książkami i pisał coś w notatniku. Ściany pokoju były zastawione od podłogi do sufitu półkami ciasno wypełnionymi książkami.

W przeciwieństwie do nietkniętych tomów w gabinecie ojca, książki Garreta nosiły ślady częstego używania. Były tam dzieła filozofów starożytnych, powieści autorów w rodzaju Jacka Kerouaca, książki naukowe autorstwa Alberta Einsteina i Jamesa Watsona, tomiki poezji Eliota i Yeatsa, dzieła religijne Dalajlamy, Williama Jamesa i świętego Tomasza z Akwinu. Próżno tu było szukać przedmiotów typowych dla pokoju siedemnastolatka, takich jak modele porsche'a lub corvetty czy plakatów z młodzieżowymi idolami. W pokoju nie było telefonu ani niczego, co by się wiązało ze sportem, nawet z tenisem.

– Garret – powiedziałem, stając w progu. – To ja, doktor Clevenger. Jest ze mną kapitan Anderson.

Chłopak nie przerwał pisania.

– Garret – powtórzyłem i zrobiłem kilka nieśmiałych kroków w głąb pokoju. W głowie mi się kręciło od targających mną uczuć i fizycznego bólu. Częstka mojej duszy pragnęła pospieszyć do Bostonu, do Julii, i poznać prawdę.

Dłoń Garreta przestała się poruszać.

– O Jezu, trochę szacunku – rzucił. – Czy powiedziałem, że możecie wejść?

Zrobiłem krok do tyłu.

– Nie zajmujemy ci wiele czasu – powiedziałem.

Westchnął ciężko i obrócił się wraz z krzesłem.

– Czego chcecie?

– Porozmawiać.

– No to rozmawiajcie.

Chciałem wprowadzić trochę lżejszy nastrój.

– Ładny zbiór – rzekłem, wskazując na półki z książkami.

Zignorował komplement.

– Jeśli ma to być dłuższa rozmowa, proponuję, żebyśmy poszli gdzieś indziej. Wolno mi przebywać w tym pokoju tylko dwie godziny dziennie. Nie chcę ich zmarnować.

– Co to znaczy, że możesz tutaj przebywać tylko dwie godziny? – zapytał Anderson. – Przecież to twój pokój?

– Darwin boi się, że wyrosnę na odludka, mola książkowego albo nawet pedała – odpowiedział na poły gorzko, na poły z rozbawieniem. – Co gorsza, mogę zacząć „za dużo myśleć”, jak on to mówi. Lepiej odbijać włochatą piłkę wte i wewte nad siatką lub zajeżdżać konia na śmierć, machając długim kijem.

– Domyślam się, że nie jesteś zbyt wielkim miłośnikiem polo – stwierdziłem.

– Ostatnio nie. Kiedyś lubiłem taką jedną klacz, Brandy. Była niezwykła.

– W jakim sensie? – zapytałem.

– Miała niezwykłą sierść, cynamonową, bardzo miękką w dotyku. Każdy mięsień miała idealnie wyrzeźbiony. Jazda na niej była jak poezja. Była kochana. Kiedy przychodziłem do stajni, od razu do mnie podchodziła i patrzyła tymi wielkimi brązowymi oczami, jakby rozumiała, że oboje jesteśmy w takim samym ciężkim położeniu.

– Jakim położeniu? – spytał Anderson.

– Zajeżdżani na śmierć przez Darwina.

Garret sprawiał wrażenie bardziej ludzkiego niż podczas naszych poprzednich dwóch spotkań.

– Co się z nią stało? – zapytałem.

– Wypadła z obiegu, chłopaki. – Mrugnął do nas. W jego głosie znów zabrzmiała twarda nuta.

– Zdechła? – spytał Anderson.

– Przestała wygrywać. A potem zniknęła. – Garret wzruszył ramionami. – Prawo Darwina. Przetrywają najsilniejsi. – Spojrzał na mnie. – Dobrze się pan czuje? Wygląda pan jak śmierć.

Plecy miałem całe zeszywniałe i chwiałem się na nogach.

– Nic mi nie jest – wykrztusiłem. – Nadwreżyłem sobie mięśnie. – Zrobiłem pauzę i zmieniłem temat. – Jesteśmy tu, gdyż po tamtym spotkaniu w klubie tenisowym chciałem jeszcze raz z tobą porozmawiać.

– I?

– I chcielibyśmy się dowiedzieć, czy możesz nam pomóc.

– Pomóc wam? Jak?

– Na początek chcielibyśmy się dowiedzieć, czy nie zauważyłeś czegoś niezwykłego przed pogrzebem Brooke albo po powrocie z niego.

– Mówicie, że chcielibyście.

– Tak jest.

– Na tyle, żeby zapłacić?

Spojrzeliśmy z Andersonem po sobie.

Zanim któryś z nas zdążył odpowiedzieć, Garret uśmiechnął się szeroko.

– Żartowałem. Pieniądze to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję. Moglibyście zamknąć drzwi?

Zajął się tym Anderson.

– Wszystko, co nam powiesz, pozostanie między nami – oświadczył.

– Dobrze – rzekł Garret. – Jak już powiedziałem doktorowi Clevengerowi,

nigdy nie będę zeznawał na żadnym procesie, jeśli w ogóle do jakiegoś dojdzie. Wiecie, że ojciec wynajął Johnnny'ego McBride'a?

– Wiemy – powiedziałem.

– W tej sprawie nie ma nawet plamy krwi. Myślicie, że McBride'owi trudno będzie zrobić durniów z policji czy prokuratora? – Spojrzał na Andersona. – Tak przy okazji, przeszukanie zostało spartolone. – Doręczyciel z UPS zostawił dwie paczki w holu, a sierżant policji stanowej pozwolił kierowcy odlać się w łazience na piętrze, czyli w tej, do której wślizgnął się Billy.

– Sprawdź to – obiecał Anderson.

– Proszę to zrobić, zanim adwokat rozedrze pana na strzępy na podium dla świadków. Wolę, żeby to zrobił panu niż mnie.

– Czy możesz nam coś powiedzieć o tamtej nocy? – spytał Anderson, kierując z powrotem rozmowę na interesujący nas temat.

– Słyszałem tylko kolejną kłótnię między Darwinem a Julią. Kłócili się równie zaciekle jak z powodu bliźniąt. Gdy Darwin chciał, żeby zrobiła skrobankę.

– Czy Claire też mogła ją słyszeć? – zapytałem, zastanawiając się, czy niania nie ma przypadkiem wybiórczej pamięci, jeśli chodzi o tamtą noc.

– Nie jestem pewien, ale chyba nie – odrzekł Garret. – Zdaje się, że wyszła do apteki po lekarstwo dla Tess. – Wzruszył ramionami. – Nie dam głowy, ale tak mi się wydaje.

– O co się kłócili? – spytał Anderson.

– O nortryptylinę.

– A konkretnie? – zapytałem.

– Darwin chciał, żeby Julia powiedziała mu, gdzie ją schowała. Awanturował się ponad godzinę i w końcu mu ją przyniosła.

– Czy mówił, na co mu była potrzebna?

– Powiedział Julii, że musi sobie znaleźć inny sposób, żeby się zabić. Jakby podejrzewał, że ona chce się otruć.

– A myślisz, że twoja matka mogłaby spróbować popełnić samobójstwo?

– Właściwie myślę, że Darwinowi chodziło o coś innego.

– O co?

– O otruciu małej Tess, rzecz jasna.

Anderson wziął głęboki oddech.

– A więc myślisz, że to przypadek, że twój brat akurat tego dnia włamał się do domu? – zapytał.

– Moim zdaniem, dla Darwina to włamanie było szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Win i tak by załatwił małą, ale śmiały ruch Billy’ego, za który zresztą szczerze go podziwiam, zrobił z jego uczynku zbrodnię doskonałą. – Zawiesił głos i spojrzał na mnie z taką intensywnością, że aż poczułem się nieswojo. – Albo prawie doskonałą.

– Prawie? – zapytałem.

– Tak. Ponieważ to ja mam tę fiolkę – stwierdził rzeczowo Garret.

– Ty... – zacząłem.

– Gdzie ona jest? – zapytał niecierpliwie Anderson.

Garret obrócił się na krześle i otworzył najniższą szufladę biurka. Sięgnął do środka i wyciągnął klucz.

– To klucz do mojej szafki w Brant Point – rzekł, podając mi go. – Numer 117, górna półka. Po prawej stronie z tyłu, w kącie. W puszcze z piłkami tenisowymi.

– Skąd ją masz? – zapytałem.

Garret mrugnął do mnie.

– Darwin zostawił ją w górnej szufladzie swojego biurka. Zwykła arogancja. – Zerknął na mnie. – Oczywiście kiedy myślisz, że masz w kieszeni lokalną i stanową policję, czujesz się mocny.

Anderson zignorował tę uwagę.

– Kiedy znalazłeś tę fiolkę? – spytałem.

– Dzień po zatruciu Tess – rzekł Garret. – Ale to nie ma znaczenia. Ważne jest to, że nie znajdziecie na niej odcisków palców Billy’ego.

Claire Buckley odprowadziła nas do drzwi. Zachowywała się lodowato uprzejmie. Przed wyjściem chciałem coś powiedzieć, by ją przekonać, że nie mamy zamiaru rozgłaszać jej tajemnic, ale naszą uwagę przyciągnął wjeżdżający na podjazd radiowóz policji stanowej. Zatrzymał się tuż za samochodem Andersona. Z radiowozu wysiadł wysoki i szeroki w barach facet pod pięćdziesiątkę w mundurze oficera policji stanowej – ozdobionym misternymi haftowanymi naszywkami i emaliowanymi ćwiekami – i skierował się w naszą stronę. Miał kanciastą i ogorzałą twarz z rodzaju tych, które są wiecznie przystojne. Okalały ją gęste, falujące, ciemne włosy przetykane pasemkami siwizny.

– Mówiłem ci, że go spotkasz – mruknął Anderson. – Oto kapitan Brian O’Donnell we własnej osobie.

– Masz chwilę?! – zawołał szorstko O'Donnell do Andersona.

– Jasne! – odkrzyknął zagadnięty.

Claire odwróciła się, weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

– Chciałbym ci przedstawić doktora Clevengera – rzekł Anderson, gdy policjant podszedł do nas.

O'Donnell kiwnął mi głową, ale nie wyciągnął ręki.

– Co tu robicie? – zapytał.

– Prowadzimy dochodzenie – odparł Anderson. – A co myślałeś?

O'Donnell zmarszczył brwi.

– Myślałem, że ustaliliśmy, iż będziesz uzgadniał ze mną każdy ruch. Nie wspomniałeś, że masz zamiar zorganizować kolejne przesłuchanie dla doktora.

– Nie przypominam sobie, byśmy przyjęli żelazną zasadę dotyczącą tego, kto co z kim uzgadnia. Zgodziłem się blisko z tobą współpracować i dotrzymam obietnicy.

– Posłuchaj, jeśli chcesz służbowego polecenia, wystarczy zadzwonić do biura gubernatora. Mogę to załatwić. Od tego momentu dochodzenie przejmuje mój wydział. Czyli ja.

– Może rzeczywiście telefon od gubernatora wyjaśniłby sytuację – rzekł Anderson.

– Dobrze, wyjaśnijmy wszystko od razu. Jeśli przesłuchałeś chłopca, zrobiłeś to bez zgody rodziców. Oznacza to, że zeznanie nie było dobrowolne i nie może być wykorzystane podczas procesu Billy'ego.

Procesu Billy'ego. Powiedział to głośno i wyraźnie. Anderson nie potwierdził ani nie zaprzeczył, że przesłuchiowaliśmy Garreta. Nie powiedział też o kluczu do jego szafki.

– A jeśli chodzi o pannę Buckley – ciągnął O'Donnell – to nie rozumiem, czemu w ogóle znalazła się na liście podejrzanych. Wiem, że podejrzewasz ją o romans z Darwinem Bishopem, ale po pierwsze nie masz na to dowodu, a po drugie to chyba zbyt słaby motyw, aby popełnić podwójne morderstwo.

– Na razie mamy do czynienia tylko z jednym zabójstwem – przypomniałem mu. – I mam nadzieję, że tak zostanie.

– Mniejsza z tym – rzucił O'Donnell, obrzucając mnie niecierpliwym spojrzeniem. Opanował się. – North, nie chcę ci podcinać skrzydeł, staram się tylko, żeby wszystko było robione jak należy. Na początek złapmy Billy'ego i wynośmy się stąd.

– Jak warn idzie? – zapytałem.

– Myślę, że go osaczamy – odparł O'Donnell. – Przeczysujemy teren tak szybko, jak to tylko jest możliwe, ale nie za szybko, by ignorować potencjalne niebezpieczeństwa. Błonia to zaskakująco ciężki teren do prowadzenia poszukiwań. A poza tym nie wiemy, czy Billy jest uzbrojony, czy nie.

Uwaga ta przypomniała mi obawy Carla Rossettiego, że najczystszy sposobem pogrzebania prawdy w sprawie Bishopa byłoby pogrzebanie Billy'ego.

– On nigdy wcześniej nie używał broni – zauważyłem.

– Jak również nigdy wcześniej nie udusił jednej siostry i nie starał się otruć drugiej – odparował O'Donnell.

– Jeśli to zrobił – zaproponowałem.

O'Donnell uśmiechnął się.

– Wiem, że rozmawiał pan z Billym w Payne Whitney. Jak długo? Pół godziny?

– Wystarczająco długo, by na podstawie tego, czego się od niego dowiedziałem, dowiedzieć się więcej.

– No to niech się pan także dowie czegoś o mnie, doktorze. Też będę szybkim przypadkiem do zanalizowania. Prowadziłem dwadzieścia sześć dochodzeń w sprawach o zabójstwo. I powiem panu, że umieszczanie kogoś innego z tej rodziny na liście podejrzanych jest zawracaniem głowy. Billy Bishop na miłą śmierdzi zabójcą. Koniec. Kropka. Jego droga do morderstwa wiodła, jak to zwykle bywa, poprzez niszczenie cudzej własności, kradzieże, podpalenia i znęcanie się nad zwierzętami. Nie ma w nim nic nadzwyczajnego.

– Takie to oczywiste – mruknął Anderson.

– Myśl, co chcesz – warknął O'Donnell. – Ale proszę, byś robił to, co obiecałeś. A obiecałeś, że będziesz uzgadniał ze mną każdy ruch.

Zauważyłem, że Anderson zacisnął szczęki. Jego oddech przeszedł w coś, co wyglądało na ćwiczenie panowania nad sobą w stylu zen.

O'Donnell także wyraźnie starał się uspokoić.

– Tak to zwykle bywa, North – zauważył. – Wiem, że ci się nie podoba, że ktoś panoszy się na twoim terenie, ale wkrótce będziesz miał nas z głowy. – Zrobił pauzę. – Znaleźliśmy na Błoniach strzęp kurtki Billy'ego, dlatego myślę, że zmierzamy we właściwym kierunku. To tylko kwestia czasu.

Anderson kiwnął głową.

– No to na razie – powiedział i poszedł w kierunku samochodu.

Ruszyłem za nim.

– Miło mi było pana poznać, doktorze – rzekł O'Donnell, wyciągając dłoń, gdy

go miałem.

Potrząsnąłem nią.

– Myślę, że się jeszcze zobaczymy – odparłem.

Anderson ruszył spod domu Bishopa, a ja próbowałem opanować ból w plecach, który odbierał mi dech w piersiach. Wsunąłem rękę do kieszeni, wyjąłem cztery tabletki motrinu i połknąłem je.

– Claire musiała zadzwonić do O'Donnella, gdy rozmawialiśmy z Garretem – zauważył Anderson. – Jeśli dotąd nie byłem tego pewny, teraz nie mam już wątpliwości: kapitan siedzi u Bishopa w kieszeni.

– Tym bardziej musimy przyspieszyć śledztwo – powiedziałem. – Nie podobała mi się jego uwaga o tym, że Billy może mieć broń.

– Mnie też nie.

Anderson i ja znów nadawaliśmy na tych samych falach, z czego się bardzo ucieszyłem.

– Jak zdobędziemy tę fiołkę nortryptyliny, powinienem złożyć następną wizytę Julii – powiedziałem. – Chciałbym zobaczyć jej reakcję na ten list, a nie tylko ją usłyszeć.

– Zgoda – odparł Anderson, wybierając numer na swoim telefonie komórkowym. – Zobaczmy, co nowego. Możesz polecieć dzisiaj wieczorem lub pierwszym samolotem jutro rano. – Kiedy mijaliśmy zastępy reporterów, Anderson zerkał przez przednią szybę, trzymając przy uchu komórkę. Następnie rozłączył się i potrząsnął głową. – Twój przyjaciel adwokat to niegłupi facet – rzucił.

– Rossetti? Dlaczego? Co się stało?

– Dostałem wiadomość od detektywa, któremu poleciłem sprawdzić polisy na życie Bisbopów.

– I co? Bliźniaczki były ubezpieczone?

– Na dziesięć milionów każda. Polisy wystawiła Atlantic Benefit Group wspólnie z Northwestern Mutual.

– Dwadzieścia milionów dolarów to dużo pieniędzy, nawet dla Darwina Bishopa.

– Zwłaszcza gdy ma się mnóstwo akcji, które zamieniły się w kupę śmieci.

Bishopowi, pomyślałem, niczym Wielkiemu Gatsb'emu udało się wyrwać z Brooklynu i znaleźć bardzo daleko od biedy i głodu, których zaznał w dzieciństwie. Gdyby poczuł, że w wyniku obecnych problemów finansowych może do tego wrócić, mógłby zrobić wszystko, by chronić swoje przerośnięte ego

– nawet zabić Brooke i Tess. Mógłby nawet sobie wytłumaczyć, że ich życie z pogrążonym w niesławie ojcem bankrutem nie byłoby wiele warte. Czy nie lepiej poświęcić je w imię dobra innych i pozwolić, by ich krew zasilila resztę rodziny?

Niektórzy ludzie prowadzą takie dziwne kalkulacje, kiedy czują się osaczeni, i to niezależnie od tego, czy ich strach ma racjonalne podstawy, czy nie. Zeznawałem kiedyś na procesie mężczyzny, który zamordował żonę, gdyż, jak mówił, traktowała zbyt apodyktycznie jego i ich dwie córki. Wierzył, że jak się jej pozbędzie, wszystko będzie lepiej, nawet jeśli miałby spędzić resztę życia w więzieniu. Pewnego dnia, zamiast pójść do pracy, wrócił do domu i zadał żonie trzydzieści sześć ciosów nożem. Potem poszedł do sklepu, zostawiwszy ją nieprzytomną na łóżku, by się wykrwawiła na śmierć. Włożył zakupy do lodówki i posprzątał pokoje dziewczynek. Chciał zapewnić dzieciom trochę ładu w czekającym je chaosie: pogrzebie matki, aresztowaniu ojca i procesie. Następnie przebrał się i zadzwonił na policję, żeby opowiedzieć, co zrobił.

Badalem pewnego dziesiętnastolatka, który się wściekł, że jego kuzyn – członek gardzącego czarnymi gangu z południowego Bostonu – zachorował na białaczkę. Aby mu pomóc wyzdrowieć, wpakował cztery kule czarnemu chłopakowi z Roxbury. „Zrobiłem to, co zrobiłby mój kuzyn, coś, co mogłoby go wyleczyć” – powiedział mi.

Zaiste dziwna kalkulacja. Ale nic już mnie nie zaskoczy, zwłaszcza po tym, czego dowiedziałem się później na temat Bishopów.

Przyjechaliśmy do Brant Point Racket Club tuż po drugiej po południu. W klubie kręciło się sporo ludzi, toteż mogliśmy poszukać szafki Garreta, nie zwracając zbyt wiele uwagi.

Kiedy North włożył klucz do zamka, nagle obleciał mnie strach.

– Zaczekaj – powiedziałem.

Anderson znieruchomiał i spojrzał na mnie.

– Co jest?

– Tak bez namysłu idziemy według mapy Garreta. Nie sądzisz, że ktoś mógł tu coś zmajstrować?

Anderson spojrzał na mnie z ukosa.

– I co? Podłożył ładunek wybuchowy?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Mówię tylko, że jest taka możliwość. – Anderson obrócił klucz

w zamku, pociągnął za drzwiczki i otworzył je do połowy. – Wygląda na to, że jest czysto. – Wyszczrzył zęby. – Zbyt długo przebywałeś w towarzystwie paranoików. Jak to się wszystko skończy, powinieneś trochę od nich odpocząć.

– Nie żartuj – odparłem. Nie sądziłem, by udzielały mi się obsesje moich pacjentów. Bardziej prawdopodobne, że mój strach wywołało oszustwo Julii, obawa o to, co mógłbym znaleźć w jej szafie.

Szafka Garreta była oknem jego duszy. W dolnej części stała oparta o ścianę rakietą, ale próżno tam było szukać typowych utensyliów fanatyka tenisa: rękawiczek z jagnięcej skóry, bandaża elastycznego, opasek na włosy, okularów Bolle'a, a nawet pary tenisówek. Tylną ściankę pokrywały bardzo dobre czarno-białe zdjęcia przedstawiające Nantucket: zatokę, Błonia, wydmy i plażę.

– Trzeba przyznać, że chłopak umie się posługiwać aparatem, jeśli to on robił te zdjęcia – zauważył Anderson.

– Są piękne – przyznałem. Przez kilka sekund przypatrywałem się fotografiom, po czym przeniosłem wzrok na kilkanaście starych książek wrzuconych na górną półkę – Kafki, Salinger, Steinbecka.

Anderson wyjął papierową torebkę, w której chciał schować fiolkę. Plastikowa mogłaby się do niej przylepić i zetrzeć odciski palców. Rzucił okiem na książki.

– Garret lubi klasykę – powiedział.

– Znam gorsze sposoby ucieczki niż fotografowanie i lektura – mruknąłem, zatopiony we własnych myślach.

Anderson sięgnął ręką w prawy róg górnej półki, gdzie według zapewnień Garreta miała się znajdować puszka z piłkami tenisowymi i fiolką norttryptyliny.

Uświadomiłem sobie, że być może za chwilę dostaniemy do ręki dowód, który pomoże oczyścić Billy'ego z zarzutów. Podniecenie wywołane tą myślą stępiło ból przeszywający mi plecy, w każdym razie na chwilę. Może to z kolei były moje dziwne kalkulacje, ale miałem wrażenie, jakbym otrzymał szansę na spłacenie długu wobec Billy'ego Fiska, świata i w końcu także wobec siebie, bo czułem, że mogłem zapobiec samobójstwu tego dobrego chłopaka. Nie miałem też wątpliwości, że przy okazji spłacę jeszcze jeden dług. Gdyby w końcu wyszło na jaw, że Win Bishop jest mordercą, miałbym poczucie, że jego proces, uznanie winnym i skazanie to także rachunek wystawiony mojemu ojcu za to, że ukradł mi dzieciństwo.

– Mam – powiedział Anderson, wyciągając puszkę z piłkami. Podważył wieczko przez chusteczkę higieniczną i wytrząsnął fiolkę z norttryptyliną na

wsunięta na rękę papierową torebkę. Wywinał ją na drugą stronę, tak że fiolka znalazła się w środku. – Jeśli są na niej odciski Wina, a nie ma odcisków Billy’ego, stary będzie miał dużo czasu na zastanawianie się, dlaczego nie wrzucił jej do morza. – Uśmiechnął się. – Skoro i tak jedziesz do Bostonu, to może lepiej zawieźmy ją do tamtejszego laboratorium kryminalistycznego. Mógłbym co prawda zdjąć odciski u nas na posterunku, ale wolałbym to powierzyć fachowcom.

Anderson wezwał helikopter, którym mieliśmy polecieć prosto do laboratorium kryminalistycznego w Bostonie. Cieszyłem się, bo dzięki temu nie tylko szybciej mogłem się spotkać z Julią i poznać jej reakcję na list, który dostaliśmy od Claire, ale także bronić jej przed Darwinem, który kilka godzin wcześniej miał przyjechać do Bostonu. Ten drugi powód był ważniejszy. Pomimo, że zaliczyłem ją do bardziej podejrzanych i zwątpilem, czy nasza „miłość” – jeśli w ogóle jakaś była – naprawdę coś dla niej znaczy, czułem, że muszę pospieszyć jej na ratunek.

Podczas lotu Anderson połączył się przez radio z policją nowojorską i poprosił o przesłanie siecią komputerową odcisków palców Bishopa pobranych w 1980 roku, gdy aresztowano go za złamanie zakazu zbliżania się do żony. Nie spodziewaliśmy się, aby Darwin się wypierał, że dotykał fiolki, ale nie chcieliśmy dopuścić, by ktoś mógł nam wytknąć jakieś braki w dokumentacji – zdarza się, że dowody znikają w najmniej spodziewanym momencie, zwłaszcza jeśli podejrzany jest wpływową osobą.

Odciski Billy’ego miał Urząd Imigracyjny i znajdowały się już one w aktach sprawy, które Anderson miał ze sobą.

Spotkaliśmy się z Artem Fieldsem, dyrektorem laboratorium kryminalistycznego, który zgodził się, żebyśmy byli przy zdejmowaniu odcisków palców z fiolki. Fields jest niskim przysadzistym mężczyzną pod sześćdziesiątkę, ma czarne krzaczaste brwi i figlarny uśmiech, który sprawia, że wygląda, jakby przed chwilą usłyszał jakąś dowcipną, pieprzną anegdotę.

– Czego szukamy? – zagadnął Andersona.

– Przede wszystkim musimy sprawdzić, czy na fiolce są odciski palców Billy’ego. Jeśli ich nie ma, ten ważny dowód świadczy raczej o jego niewinności.

– Czy ten chłopak jest może opóźniony w rozwoju czy coś w tym stylu? Znaczą się umysłowo?

– Nie – zaoponowałem. – Jest niezwykle inteligentny.

– To nie mógł pomyśleć, żeby włożyć rękawiczki? – zapytał Fields.

– Mógł – odparł Anderson. – Ale jego odciski są wszędzie: na szybie i oknie, którym dostał się do środka, w pokoju bliźniaczek, na łóżeczku, a nawet na antycznym biurku, z którego zwinął kopertę z pięcioma tysiącami. Trzeba mocno wysilić wyobraźnię, by dojść do wniosku, że Billy dla uniknięcia zdemaskowania nie zrobił nic poza tym, że włożył rękawiczki tylko na ten moment, gdy podawał małej truciznę.

– Wątpię, żeby w tym wypadku kapitanowi O'Donnellowi chciało się wysilać wyobraźnię – zauważył Fields. – Jest przekonany, że chłopak jest winny. A to bystry facet.

– Z pewnością – zgodził się Anderson, nie chcąc się wdawać w kłótnię.

Fields uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Dyplomata z ciebie – powiedział do Andersona. – Prywatnie ci jednak powiem, że nie mogę znieść tego skurwiela.

Anderson zachichotał.

– No to jest nas dwóch. – Spojrzał na mnie. – Może trzech.

– Czemu nie lubisz O'Donnella? – zapytałem Fieldsa.

– Jestem patologiem, a nie prokuratorem. Kieruję się faktami, a nie czyimiś opiniami. Nie dam się przekonać, że krew musi być na ubraniu. Jeśli ją znajdę, to znajdę. Jeśli nie, to nie.

– Podczas gdy O'Donnell... – odpowiedziałem mu.

– Chce takiego dowodu, aby pasował do obrazu sprawy, jaki sobie stworzył. Przekonuje, że wynik badania powinien być taki a taki. Nie żeby coś fałszował, ale jego niewzruszone przekonanie, że ma być tak a nie inaczej, może wpłynąć na pracę ekspertów. I lubi siedzieć im nad głową. Toteż jeśli są nieuważni, obawiam się, że mogą, nawet nieświadomie, dążyć do uzyskania wyników, jakich od nich oczekuje.

Fields dał nam pokaz wysokiej klasy psychologicznej analizy osobowości, zwłaszcza jak na patologa.

Wyraz mojej twarzy musiał zdradzić, co myślę.

– Mam doktorat z psychologii – wyjaśnił Fields. – To był mój pierwszy zawód.

– To dosyć radykalna zmiana zainteresowań – zauważyłem. – Co sprawiło, że odszedłeś od psychologii?

– Miałem dość wyciągania z ludzi prawdy. Kiedy mam zbadać włos, nie muszę się zastanawiać nad stworzeniem bezpiecznego środowiska terapeutycznego. Wrzucam go po prostu do miksera i przeprowadzam test DNA

na próbce żelu.

– Tego rzeczywiście nie da się zrobić z pacjentem podczas psychoterapii – zgodziłem się i mrugnąłem do niego.

– Zwłaszcza jeśli trzeba ją powtarzać.

Fields zaprowadził nas ze swojego biura do laboratorium. Stanęliśmy przy długim czarnym stole, z którego sterczały chromowane kurki gazowe, i przypatrywaliśmy się, jak Leona, pięćdziesięcioletnia kobieta mająca niewiele ponad metr dwadzieścia wzrostu, wykrzywionymi przez artretyzm dłońmi rozprowadza pędzelkiem po fiolce proszek daktyloskopijny. W każdy ruch wkładała wiele wysiłku i często pojękiwała z powodu bólu w stawach. Prawie dwadzieścia minut trwało, nim przeniosła odciski z połowy fiolki na specjalne paski. W pewnym momencie wyglądało na to, że za chwilę się rozplacze, i Fields zapytał ją, czy chce, by dokończył za nią.

– Nie – odparła krótko. – Trzeba to zrobić jak należy. Fields roześmiał się i dał za wygraną. Musieliśmy więc poczekać jeszcze piętnaście minut, aż Leona skończy.

– Pójdziemy teraz z tym do Simona Cranberga – powiedział Fields. – On nam powie, czy jakieś ślady pasują do odcisków palców Darwina Bishopa lub Billy’ego.

Szliśmy już w stronę drzwi, kiedy Leona zawołała do nas:

– Myślę, że powinnam również posypać proszkiem wewnętrzną stronę fiolki! Popatrzeliśmy na nią.

– Podejrzany mógł uważać, żeby nie dotknąć jej od zewnątrz, ale mógł być mniej ostrożny, wyjmując pigułki – wyjaśniła.

– Ma rację – powiedział Fields.

Podeszliśmy z powrotem do stołu laboratoryjnego. Anderson podał Leonie papierową torebkę z fiolką.

Leona wyciągnęła ją, odkręciła wieczko i zerknęła do środka.

– Hmm – mruknęła.

– Co hmm? – zapytałem.

Zamiast odpowiedzieć, wzięła szczypce i wyciągnęła nimi z fiolki negatyw zdjęcia.

– Co to, u diabła, jest? – zapytał Anderson.

– Był równo dogięty do ścianki. Ma podobny ciemnobrazowy kolor jak fiolka, tak że moglibyśmy go nie zauważyć, gdybym dała się popędzać i nie sprawdziła wszystkiego jak trzeba. – Wycelowała wykrzywiony palec w Fieldsa. – Niech to

będzie dla ciebie nauczka. – Podniosła negatyw do światła, żebyśmy mogli na niego zerknąć. Klatka była mała i ciemna, ale można się było zorientować, że zdjęcie przedstawia plażę i dwie ludzkie postacie na pierwszym planie.

– Każę zrobić odbitkę – zaproponował Fields. – Będzie gotowa za kilka minut.

Zostawiliśmy fiolkę Leonie, żeby mogła zdjąć odciski palców z wewnętrznej ścianki, i poszliśmy do biura Cranberga. Po drodze podrzuciliśmy negatyw do laboratorium fotograficznego.

Simon Cranberg okazał się niechlujnym mężczyzną w kitlu, z kędzierzawymi bakami i okularami do czytania na nosie – wyglądał jak skrzyżowanie Bena Franklina i Attyli. Miał już załadowane do komputera odciski palców Darwina Bishopa i mogliśmy od razu zacząć porównywać je z tymi, które Leona zebrała z fiolki. Cranberg oglądał każdy pasek pod szkłem powiększającym, raz po raz zerkając na monitor. Po niespełna minucie postanowił przepuścić jeden z nich przez skaner. Ekran komputera podzielił się na dwie części: na jednej znajdował się zeskanowany odcisk palca, a na drugiej odcisk pochodzący z akt Bishopa.

– Te do siebie pasują – rzucił bez wahania. – Na fiolce są odciski Darwina Bishopa.

Nie zdziwiłem się. Zerknąłem na Andersona, spodziewając się zobaczyć ulgę na jego twarzy, ale o dziwo malował się na niej jakiś niepokój.

– Co się stało? – zapytałem go.

– Nic – odparł bez przekonania. – Wygląda na to, że jest tak, jak myśleliśmy.

– Sprawdźmy teraz chłopca – zaproponował Fields.

Cranberg skrupulatnie zaczął sprawdzać każdy pasek, ładując zebrane odciski do komputera i porównując je z odciskami Billy’ego otrzymanymi z Urzędu Imigracyjnego. Kilka razy brał sprawdzone już paski do ponownego porównania. Kiedy sprawdził ostatni, potrząsnął głową.

– Żaden z tych odcisków nie należy do Billy’ego Bishopa – oświadczył.

– Jesteś pewny? – spytałem.

– Paru ludzi dotykało tej fiolki gołymi łapami, ale na pewno nie Billy.

– No to wiemy już wszystko – rzekł Fields. – Macie odpowiedź. Daję głowę, że kapitanowi O’Donnellowi się ona nie spodoba.

Po raz pierwszy, odkąd zacząłem się zajmować sprawą Bishopa, poczułem prawdziwą ulgę. Zgadzałem się bowiem z rozumowaniem Andersona: gdyby Billy otruił Tess, nie zostawiłby odcisków palców wszędzie oprócz fiolki. Nie mówiąc już o tym, że nie zostawiłby notatki. A skoro to nie on próbował otruć Tess, było mało prawdopodobne, że zabił Brooke. Miałem nadzieję, że ława

przysięgłych również będzie tak rozumowała.

Ponownie zerknąłem na Andersona, spodziewając się, że na jego twarzy ujrzę odbicie swojego nastroju. Mrugnął do mnie i niepewnie kiwnął głową. Żadnych oznak triumfu. Może, powiedziałem sobie w duchu, tyle go to kosztowało, że teraz uszła z niego para.

W drzwiach pojawił się młody człowiek z laboratorium fotograficznego, trzymając w ręku żółtą kopertę.

– W samą porę – rzekł Fields. – Obejrzyjmy sobie tę fotografię. Może jest na niej coś ciekawego.

– Może lepiej najpierw sam pan na nią spojrzysz – odezwał się młody człowiek. Powiedział to tak, jakby nalegał, żeby Fields to zrobił.

Do Fieldsa albo to nie dotarło, albo to zignorował.

– Nie ma potrzeby – odparł. – Znajdujemy się w gronie przyjaciół. – Wziął kopertę i wyciągnął z niej błyszcząca czarno-białą odbitkę formatu pięć na osiem. Spojrzał na nią i zamarł. Po raz pierwszy w ciągu tego spotkania z jego twarzy zniknął ów wieczny uśmiech.

– Co to ma znaczyć? – powiedział cicho.

Podszedłem do niego i spojrzałem na zdjęcie. Serce we mnie zamarło. Poczułem, jakby mięśnie pleców zacisnęły mi się na wnętrznościach. Spojrzałem na Andersona, który zwiesił głowę. Bez wątplenia zorientował się, co przedstawia scena na plaży, już wtedy, gdy Lorna pokazała nam negatyw, gdyż postaciami obejmującymi się czule na bezludnej plaży na Nantucket była Julia i on. Zanim zdołałem coś powiedzieć, minął nas bez słowa i wyszedł z pokoju.

Ruszyłem za Andersonem, skupiając się na stawianiu kroków. Targały mną różne emocje. Czuję się jednocześnie zdradzony, wściekły i wykiwany. A także wytracony z równowagi. Straciłem orientację w sprawie Bishopa. Skoro North nie powiedział mi o swoim związku z Julią, równie dobrze mógł coś zataić lub skłamać w innych sprawach. Czy mogłem polegać na innych informacjach, jakie mi przekazał na temat Bishopa? To w końcu on powiedział mi o jego romansie z Claire Buckley. To on potwierdził, że Bishop wykupił dla bliźniaczek polisę na życie.

W głowie miałem zamęt. Czy Anderson od początku tak pokierował wydarzeniami, żebym się zakochał w Julii? Czy on i Julia wspólnie dokonali przestępstwa i wykorzystali mnie, bym skierował podejrzenia na Darwina Bishopa lub usunął go im z drogi?

A co z napadem na mnie przed Mass General? Anderson lepiej niż ktokolwiek inny znał mój rozkład zajęć. Czy to możliwe, że chciał mnie zabić za to, że odbiłem mu kobietę, której tak pragnął? Czy list od Julii był przeznaczony dla niego?

Nie chciało mi się wierzyć, że mogę potrzebować broni, ale mimo to sprawdziłem, czy mam w kieszeni swojego browninga.

Szedłem do lądowiska helikopterów, ale nie dotarłem tam. Kiedy byłem już blisko wyjścia i przechodziłem obok otwartych drzwi, usłyszałem, jak Anderson woła mnie po imieniu. Zatrzymałem się i zajrzałem do pomieszczenia, które wyglądało na prosektorium – zastawione było błyszczącymi metalowymi stołami do sekcji zwłok. Przy jednym z nich siedział Anderson. Ostrożnie wszedłem do środka.

Patrzył w sufit, w końcu potrząsnął głową i spojrzał na mnie.

– Chciałbym ci to wyjaśnić, ale nie mogę – powiedział. – To samo jakoś tak wyszło. Nigdy bym cię nie...

– Powiedz mi tylko jedno... – zacząłem. – Przecież ja nie chciałem tej pieprzonej sprawy! – wrzasnąłem. – Nie potrzebowałem jej! Rozumiesz? Sam mnie w to wszystko wciągnąłeś. – Poczułem, jak mi się naciągają szwy. Zamknąłem oczy, starając się złapać oddech, i ból stopniowo zelżał. Spojrzałem znów na Andersona. – Dlaczego, do diabła, mi o tym nie powiedziałaś?

– Próbowałem. Na swój sposób. Ostrzegałem cię, żebyś się trzymał od niej z daleka.

– To nie to samo co powiedzieć mi, że jesteście razem.

– Nigdy nie byliśmy razem – powiedział, podnosząc ręce. – Może by do tego w końcu doszło, nie wiem. Nie umiem ci nawet powiedzieć, czy to w ogóle wchodziło w rachubę. – Opuścił ręce i położył je na udach. – Pozwól, że ci wyjaśnię, co się właściwie stało.

Wlepiłem w niego wzrok.

– Spotkałem Julię jakiś miesiąc po podjęciu tutaj pracy. Czyli około półtora roku temu. Ona i Darwin zorganizowali zbiórkę pieniędzy na Pine Street Inn, największe schronisko dla bezdomnych w Bostonie. Na imprezę przyszły wszystkie szychy z wyspy, łącznie z lokalnymi politykami. Byłem tu nowy, więc rozmawiałem po dziesięć-piętnaście minut z różnymi ludźmi o tym, jak rozumiem zadania policji na wyspie. Około trzech miesięcy później Julia zadzwoniła do mnie i powiedziała, że chciałaby pomóc w zwalczaniu narkomanii wśród dzieci, na przykład organizując jakąś grupę aktywistów.

Spojrzałem na niego z ukosa.

– Ona do ciebie zadzwoniła?

– Wiem, że to żadna wymówka. – Zawiesił głos. – Między mną a Tiną nie układało się najlepiej. Może przeżywaliśmy zwykły kryzys małżeński, tak jak inne pary, ale było naprawdę źle. Prawie nie rozmawialiśmy ze sobą, a jak już, to się kłóciliśmy. Miałem do niej pretensje, że się tu przeprowadziliśmy. Przez pewien czas byłem naprawdę zły z tego powodu.

– Dlaczego? – spytałem, nie potrafiąc, pomimo wściekłości, zrzucić płaszcz psychoterapeuty.

– Bo kocham Baltimore. Wrosłem w to miasto. Przeprowadziłem się, ponieważ po tym, co przeszliśmy z Lucasem, pomyślałem, że powinienem znaleźć bezpieczniejsze, czystsze i piękniejsze miejsce do życia dla Tiny i Kristie.

Nie miałem zamiaru dać mu się tak łatwo wywinać.

– A zatem to Julia do ciebie zadzwoniła. I co dalej?

– Kilka razy umówiliśmy się na kawę i podczas jednego z takich spotkań powiedziała mi, jak bardzo jest nieszczęśliwa. A ja zacząłem jej trochę opowiadać o swoich problemach. Wychodziliśmy razem na spacer, telefonowaliśmy do siebie. – Spuścił głowę i westchnął. – Dobrze mi z nią było. Bardzo dobrze. Dawno się tak dobrze nie czułem. Jest szalenie atrakcyjną kobietą i to też miało pewne znaczenie. Ale chodziło o coś więcej. O jej głos, o to, jak na mnie patrzyła, jak mnie słuchała... Pomyślałem, że znalazłem kogoś, kto odmieni moje życie.

Nie podobało mi się, że uczucia, które Anderson żywił do Julii, tak bardzo przypominały moje.

– Kiedy się z nią przespałeś? – spytałem, nie mogąc znieść rozmarzenia w oczach Andersona. – I jaki to miało wpływ na przebieg dochodzenia?

Anderson zmrużył oczy, rysy mu stwardniały.

– Nigdy, na pierwsze pytanie. Żaden, na drugie.

– Akurat, nie zalewaj. W tej kolejności.

– Nigdy z nią nie spałem, Frank – zaperzył się Anderson. – Nie jestem tobą.

Potrząsałem głową.

– Weź ją sobie, tę sprawę i... – Ruszyłem w stronę wyjścia.

– Poczekaj chwilę, dobrze? Posłuchaj. Przepraszam cię. Nie zasłużyłeś na to. Zatrzymałem się i odwróciłem.

– W porządku – powiedział. – Opowiem ci całą historię. Mniej więcej dziesięć tygodni po tym, jak rozpoczęła się moja... znajomość z Julią, Tina oświadczyła,

że chce rozwodu. Nic nie wiedziała o Julii, ale wyczuła u mnie narastający chłód. Nie chciałem się z nią rozwieść, więc spróbowałem zakończyć sprawę z Julią, ale nie potrafiłem przestać o niej myśleć. Pragnąłem z nią rozmawiać, trzymać ją za rękę. No i wciąż się z nią spotykałem. – Przewrócił oczami. – Ale tylko się całowaliśmy i nic poza tym. Wiem, że to brzmi trochę po szczeniacku, ale co na to poradzę? A wiesz, co było najdziwniejsze?

– Co?

– To, że to trzymanie się za ręce i całowanie w zupełności mi wystarczało. Było mi obojętne, że nie śpimy ze sobą. Nie chciałem ryzykować tego, co miałem. – Umilkł.

Usłyszałem smutek w jego głosie.

– Ty wciąż ją kochasz.

Popatrzył mi prosto w oczy.

– Tak. I myślę, że nigdy nie przestanę.

– To dlatego chciałeś, żebym się trzymał od niej z daleka. To było... Co? Zazdrość?

– Może trochę. Ale chodziło mi o coś innego. – Nachylił się do mnie. – Wiedziałem, co mówię. Sam mogłem się przekonać, jak bardzo moje uczucia do niej zaciemniają mi obraz sprawy Bishopów. Nie chciałem, żeby z tobą było tak samo.

– Zapobiegliwość godna pochwały.

Zignorował moją uwagę.

– Jest jeszcze coś. Może to zabrzmieć trochę dziwnie. Ale nie wiem, czy to, co do niej czułem... a może wciąż czuję, jest w ogóle normalne. Wiesz, zaledwie tydzień po spotkaniu z Julią już chciałem się rozstać z żoną. Uwierz mi lub nie, ale bałem się o ciebie. Dlatego tak na ciebie wsiadłem o to, że znowu zacząłeś pić.

Z jednej strony chciałem powiedzieć Andersonowi, żeby się wypchał, ale z drugiej to, co powiedział, współgrało z moimi odczuciami. Niepokoila mnie ta sama kwestia: jak to się stało, że tak szybko i tak bardzo się w niej zakochałem? Czemu byłem gotowy ryzykować dla niej życie i karierę, choć jej nawet dobrze nie poznałem? Czemu przekroczyłem granice obiektywizmu zawodowego, co zalecałem innym?

Spojrzałem na Andersona, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś będę mógł mu zaufać. Nie zyskałem odpowiedzi na żadne z pytań, które sobie zadawałem, gdy szedłem korytarzem. Anderson mógł przecież być kochankiem Julii

i ogarniała go zimna furia na myśl, że też nim zostałem. Oboje mogli mnie napuścić na Darwina Bishopa, żebym zrobił z niego mordercę.

– Czy list, który dała nam Claire, był do ciebie? – spytałem. – Czy to do ciebie Julia chciała go wysłać?

– Myślę, że nie.

– Jak to?

– Nie wiem na pewno, ale jego styl był zupełnie inny niż nasze rozmowy. Bardziej kwiecisty. Jako list do mnie byłby zupełnie chybiony, jeśli wiesz, co mam na myśli. I nie tylko, to: przed morderstwem Brooke nie widzieliśmy się od kilku tygodni.

– Myślisz, że oprócz nas jest ktoś jeszcze?

– Tak. Pewnie dlatego w domu Bishopa powiedziałem Claire że wiem o jej romansie z Darwinem. – Wzruszył ramionami. – Byłem wściekły, gdy przeczytałem ten list. Chciałem zabić posłańca.

Nie umiałem pogodzić przyjaźni do człowieka, którego uważałem za towarzysza broni, z nienawiścią do przyłapanego na gorącym uczynku wroga, który wbił mi nóż w plecy.

– Czy namawiałeś mnie, żebym wziął tę sprawę, bo chciałeś pomóc Julii, bo ją kochałeś?

– Powiedziała mi, że nie wierzy w winę Billy'ego. Mój instynkt mówił mi to samo.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Wahał się, ale tylko przez chwilę.

– Tak – odparł. – Poprosiłem cię dlatego, że chciałem jej pomóc.

– I? – ponagliłem go, chcąc usłyszeć odpowiedź na drugą część pytania.

– I dlatego, że myślałem... – Urwał i poprawił się: – I dlatego, że ją kochałem.

– Wzruszył ramionami. – Chciałeś odpowiedzi, więc ją masz. Może to brzmi głupio, ale kochałem ją.

Kiwnąłem głową. Po tej szczerzej odpowiedzi byłem bardziej skłonny mu uwierzyć, ale wciąż miałem wątpliwości. Spojrzałem mu w oczy.

– Gdybym nie uznał Darwina Bishopa za głównego podejrzanego, czy wciąż uczestniczyłbym w dochodzeniu?

– O co chcesz mnie zapytać, Frank? – powiedział Anderson, usiłując nad sobą zapanować. – Chcesz wiedzieć, czy byłbym zdolny wtrącić człowieka do więzienia, aby mu zabrać żonę?

Tak. O to właśnie chciałem go zapytać, choć zabrzmiało to okropnie. Nie

odpowiedziałem.

– Mówiłem poważnie, że musieliby mnie odsunąć od tej sprawy, aby się pozbyć ciebie – rzekł. – Wiem, że teraz trudno ci w to uwierzyć, ale gdybyś mi powiedział, że Billy ma wszelkie cechy mordercy, to on byłby głównym podejrzanym, nie Darwin. Nigdy nie wmanewrowałbym nikogo w morderstwo. Nawet dla Julii.

Anderson poleciał na Nantucket, a ja wezwałem taksówkę i kazałem się zawieźć do Mass General. Choć potrzebowaliśmy czasu, by przemyśleć, jak ma dalej wyglądać nasza współpraca, wiedzieliśmy, że nie możemy jej przerwać. Pomimo wszystkich komplikacji, jakie się pojawiły w sprawie Bishopa, jedno się nie zmieniło: ktoś próbował zabić pięciomiesięczną Tess Bishop i mógł spróbować jeszcze raz.

Gdy jechałem taksówką Storow Drive, mając po lewej stronie Charles River, a po prawej panoramę Bostonu, zacząłem się zastanawiać, kto włożył negatyw do fiolki. Wszystko wskazywało na Garreta. Lubił robić zdjęcia wyspy i powiedział nam o fiolce. Ale istniała też możliwość, choć niewielka, że zrobił to Darwin Bishop. Niewykluczone, że schował dowód wskazujący, dlaczego chciał zabić Tess, razem z narzędziem, którego użył do próby popełnienia zabójstwa. Odpowiedź na to pytanie mieliśmy poznać, gdy Leona zdejmie odciski palców z negatywu.

Było po szóstej i zapadał już zmrok, gdy wchodziłem głównym wejściem do szpitala. Przez chwilę czułem pokusę, żeby wpaść do izby przyjęć i poprosić Colina Baina o receptę na perkocet, który uśmierzyłby mój ból z powodu rany w plecach, zranionej dumy i zerwanej przyjaźni. Wziąwszy pod uwagę okoliczności, każdy psychoterapeuta wybaczyłby mi tę słabość. Na szczęście uświadomiłem sobie w porę, że zachowanie trzeźwego umysłu to jedna z nielicznych spraw, na które jeszcze mam wpływ. Nie było sensu samemu wbijać sobie noża w plecy, skoro inni robili to tak dobrze.

Pojechałem windą na OIOP i automatycznie poszedłem do pokoju Tess. W drzwiach stanąłem jak wryty, widząc w łóżku inne dziecko. Rozejrzałem się po pokojach, ale w żadnym nie było córki Julii. Wyciągnąłem najgorszy z możliwych wniosków: serce Tess przestało bić. Zatrzymałem przechodzącą młodą pielęgniarkę.

– Jestem lekarzem, zajmuję się sprawą Bishopów – powiedziałem, nie potrafiąc zadać najbardziej oczywistego w tej sytuacji pytania. – Wczoraj leżała tu ich córka.

– Może się pan wylegitymować? – zapytała kobieta, co tylko wzmogło mój lęk. Chciała dowodu, że jestem pracownikiem szpitala, zanim przekaże mi złą wiadomość. Zakreśliło mi się w głowie.

– Dobrze się pan czuje? – zatroskała się. – Może pan usiądzie?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, przez rozsuwane drzwi na oddział wszedł John Karlstein.

– Frank! – zawołał mi nad uchem.

Odruchowo się odwróciłem, naciągając sobie przecięte mięśnie.

– Jezu – wymamrotałem przez zaciśnięte zęby.

– Tylko moja matka tak o mnie myślała – zażartował. – I nikt poza nią.

Spróbowałem się wyprostować.

– Cieszę się, że cię widzę – mówił. – Bain mi powiedział, co ci się przytrafiło. Podaj ich do sądu.

– Do sądu? Kogo? Po co?

– Na tej uliczce już od dawna jest niebezpiecznie. Pamiętasz? Niecały rok temu też kogoś tam napadnięto. Powinni ją lepiej oświetlić. Podaj szpital do sądu, mówię ci, człowieku.

– Chyba dam sobie z tyni spokój.

– Czemu? Niech jakaś cholerna firma ubezpieczeniowa wreszcie raz zapłaci. Co się przejmujesz? Oni mają nas gdzieś, prawda? Powinieneś mi odpalić znaleźne za dobrą radę.

Po Karlsteinie trudno było poznać, czy mówi poważnie, czy żartuje. Powróciłem myślami do Tess.

– Co się stało z córką Bishopa? – spytałem, przygotowując się na najgorsze. – Masz niedobre wieści?

– Tylko do mojej statystyki. Przenieśliśmy ją na telemetrię. Wyszła na prostą. Stymulator działa jak ta lala.

Telemetria jest „przejściowym” oddziałem kardiologicznym, gdzie pacjenci wciąż są monitorowani, ale mają więcej swobody.

– Dzięki Bogu – odetchnąłem.

– Ale mieliśmy z nią jeszcze pewien mały problem – oznajmił Karlstein.

– Jaki?

– Miliarder. Bardzo chciał zobaczyć dziecko.

– Ktoś mu w tym przeszkodził?

– Twoja przyjaciółka. Pokazała, że ma pazurki.

– Moja przyjaciółka...

– Julia. Matka. – Karlstein mrugnął do mnie, dając do zrozumienia, że zorientował się, co mnie łączy z Julią. – Dwie godziny przed tym, jak się tu pojawił mąż, pojechała do sądu w Suffolk, który tymczasowo zakazał mu

zbliżania się do córki. Miała kopertę z wszystkimi papierami. Ochrona szpitala pokazała mu je, gdy przyszedł na oddział ze swoją obstawą.

– Z obstawą?

– Tak sądzę. Ci faceci byli więksi ode mnie.

Wiedziałem, że to jeszcze nie koniec starcia.

– Jak Julia to zniosła?

– Wobec męża była jak skała, ale potem się rozkleiła. Po prostu zalała się łzami. Wezwałem ponownie Caroline Hallissey, żeby pomogła jej dojść do siebie.

– I co?

– No wiesz, jaka ona jest – odparł Karlstein wymijająco.

– Co powiedziała?

– Nic sensownego.

– Daj spokój, powiedz mi.

– Powiedziała, że pani Bishop udaje złość i gra na naszych emocjach, byśmy jej nadskakowali.

– Ty też tak uważasz?

Pokręcił głową.

– Jeśli grała, to należałby się jej Oscar. Znasz mnie. Nie rozczulam się nad ludźmi. Jeśli dwa razy proszę dla kogoś o konsultację psychiatryczną, to znaczy, że naprawdę jest w złym stanie.

– W każdym razie dzięki, że powiedziałeś mi, co sądzi Hallissey. Im więcej informacji, tym lepiej. – Zrobiłem pauzę. – Dziękuję też za to, co zrobiłeś dla Tess.

– Nie dziękuj, ale podaj szpital do sądu i przyjmij mnie do spółki. – Jego uśmiech nie pozostawiał wątpliwości, że żartuje. Potem nachylił mi się do ucha i ściszył głos. – Odpocznij trochę. Wyglądasz, jakbyś za chwilę miał tu paść trupem, a na to nie możemy sobie pozwolić.

Wszedłem po schodach na teletę, która prawie niczym się nie różniła od większości oddziałów szpitalnych: korytarz i szereg pojedynczych pokoi dla pacjentów. Zatrzymałem się przy dyżurce pielęgniarstwa, odszukałem numer pokoju Tess i ruszyłem w jego stronę. Kiedy stanąłem w drzwiach, zobaczyłem Julię siedzącą przy łóżku małej. Podobnie jak wcześniej na OIOP-ie, nie spuszczała wzroku z córki. Badałem swoją reakcję na jej widok. Zgodnie z oczekiwaniami poczułem między innymi lęk i ukłucie złości, ale te negatywne emocje zaćmiło uczucie, którego się nie spodziewałem – coś w rodzaju otuchy.

Takie uczucie ogarnia człowieka, który przyjeżdża do domu, wiedząc, że stało się coś złego, że w rodzinie wydarzyła się jakaś tragedia, ale on mimo to czuje się pokrzepiony, bo wie, że będzie uczestniczył w sprawach, które są także jego sprawami. O dziwo, wzięcie na swe barki części problemów rodzinnych może przynieść ulgę.

Jeśli chodzi o Tess, wyglądała o wiele lepiej niż poprzednio, gdy leżała ze skrzepowanymi kończynami. Spała spokojniej, oddychała z mniejszym trudem i bardziej regularnie. Jej buzia nabrała kolorów, nie była już biała jak papier.

Julia odwróciła się i zobaczyła mnie w drzwiach. Wstała, wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się.

– Długo tu stoisz? – zapytała.

– Właśnie się zjawilem. – Wszedłem do pokoju. Wskazałem głową Tess. – Doktor Karlstein powiedział mi, że z nią coraz lepiej.

– To wspomniały lekarz. Nikt nie zapewniłby Tess lepszej opieki. – Spojrzała na podłogę, po czym przeniosła wzrok z powrotem na mnie. – Darwin przyszedł do szpitala. Na szczęście byliśmy drugim punktem w jego programie, jak zwykle. Zadzwoił do mnie, nim poszedł na zebranie zarządu jakiejś bostońskiej firmy. Dzięki temu zdażyłam pojechać do sądu. Załatwiłam, że Darwin dostał zakaz zbliżania się do Tess.

– Karlstein powiedział mi o tym. Bardzo dobrze zrobiłaś.

Uśmiechnęła się, przygryzając dolną wargę.

– To ty mi dałeś siłę. Ja nigdy bym jej w sobie nie znalazła.

Z całych sił pragnąłem jej uwierzyć, co świadczyło, jak bardzo się w niej zakochałem. Dopiero się dowiedziałem o jeszcze jednym jej romansie – z Northern Andersonem. A przypuszczalnie był też trzeci mężczyzna, założywszy, że listu, który pokazała nam Claire Buckley, Julia nie pisała do Northa. Mimo to czułem, że łączy ją ze mną coś zupełnie innego niż z tamtymi dwoma, coś nieporównanie dla niej ważniejszego.

– Widziałaś *Czarnoksiężnika z krainy Oz* – zapytałem. – Nikt ci nie da odwagi, serca czy rozumu. Musisz mieć je w sobie.

– Obejmij mnie.

Ruszyłem w jej stronę, ale zatrzymałem się dwa kroki od niej.

– Co się stało?

– Musimy porozmawiać.

Przechyliła głowę.

– O czym?

– Na początek o Andersonie.

Kiwnęła głową, jakby się tego spodziewała.

– Powiedział ci, że spędziliśmy trochę czasu razem.

– Tak – odparłem. Postanowiłem nie wspominać o fotografii.

– I jak mam nadzieję, dodał, że między nami nic nie było.

Bo nie było. No wiesz, chodzi o...

– Ale czułaś coś do niego. Zresztą może wciąż czujesz. Nie wiem.

– Nie, nie czuję. To nie to, co myślisz. Lubię go, ale nie Kocham.

Wzruszyłem ramionami, nie przekonany.

– W porządku – powiedziałem.

– Czy możemy usiąść? Proszę.

Zająłem jeden z foteli stojących przy łóżku Tess, a Julia drugi.

– Wiesz, jakie miałam ciężkie życie z Winem – zaczęła. – Chyba wierzysz w to, co ci mówiłam? Przez co musiałam przejść?

– Owszem, wierzę. – I naprawdę wierzyłem, ale zacząłem się zastanawiać nad tym, co powiedziała Caroline Hallissey – że Julia potrafi grać na emocjach.

– Spotkałam Northa podczas zbiórki pieniędzy na Pine Street Inn w Bostonie – podjęła Julia. – Pomyślałam, że może mi pomóc przy projekcie, który zamierzałam uruchomić. Chodziło mi o dotarcie do dzieciaków biorących narkotyki. Jest ich tu więcej, niż się wydaje, i myślałam, że North ze swoim doświadczeniem z Baltimore będzie znacznie mniej naiwnie podchodził do tych spraw niż jego poprzednik.

Zauważyłem, że gdy Julia wypowiada imię Andersona, denerwuje mnie to prawie tak samo jak wtedy, gdy nazywa Darwina swoim mężem.

– No, naiwny to on nie jest. Miał okazję poznać te sprawy aż za dobrze. – Dałem jej do zrozumienia, że ma mówić dalej.

– Zaczęliśmy się spotykać, żeby pomówić o walce z narkotykami, i polubiłam go. Ale w żadnej mierze nie był to związek, jaki łączy nas. – Nachyliła się do mnie. – Musisz mi uwierzyć. North dał mi poczucie bezpieczeństwa i podziwiałam go, ale nie kochałam.

Co znaczyło, że mnie Kocha. Powiedziała to głośno i wyraźnie. Nie powiem, spodobało mi się to, co usłyszałem.

– Widziałem zdjęcie, na którym byliście razem na plaży.

– Na plaży?

– Obejmowaliście się. Całowaliście. – Skuliłem się, słysząc swój głos – głos zazdrosnego nastolatka robiącego wymówki swojej dziewczynie za to, że poszła

z innym na spacer do parku.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Win ci je pokazał, tak? – zapytała.

Nie odpowiedziałem. Chciałem usłyszeć, jak sama wytłumaczy się z tej fotografii, bez żadnych moich podpowiedzi.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobił. Jest naprawdę zboczony.

– Wytłumacz mi to, proszę.

– Zrobił je jeden z ochroniarzy Darwina. Win kazał mu mnie śledzić. Potem je wykorzystał, żeby mnie zmusić do aborcji.

– Co takiego?

– Powiedział, że jeśli nie przerwę ciąży, roześle je do prasy i dziennikarze będą mieli używanie. Przestraszyłam się. Oczywiście nie chciałam się znaleźć w kłopotliwej sytuacji, ale martwiłam się także o Northa. Mógł stracić pracę, mogła go rzucić żona, lub jedno i drugie. Umówiłam się więc na wizytę w ośrodku planowania rodziny.

Poczułem ulgę, że opowieść Julii brzmi przynajmniej trochę wiarygodnie.

– Darwin nie zażądał rozwodu, gdy się dowiedział, że umawiasz się z Northern?

– Nie. Myślę, że w gruncie rzeczy ucieszył się, że ma na mnie haka. Dało mu to nade mną jeszcze większą władzę. On rozkoszuje się tym uczuciem.

– Ale nigdy nie wysłał tego zdjęcia do prasy?

– Mogłam się domyślić, że blefował. Gdyby moja niewierność wyszła na jaw, byłby to ciężki cios dla ego mojego męża. W każdym razie przeważałby nad satysfakcją z zemsty. – Jej oczy wypełniły się łzami. – Postanowił zaczekać, by się na mnie odegrać. Nie wiedziałam tylko, że zrobi to, uderzając w Brooke i Tess.

Nie chciałem teraz naciskać na Julię, bo była bliska płaczu, ale musiałem ją zapytać o list, który Claire dała mnie i Andersonowi.

– Jest coś jeszcze – powiedziałem.

Otarła oczy.

– Co? Powiem ci wszystko, co chcesz.

Zaniepokoił mnie ten zwrot. Czyżby Julia mówiła mi to, co chciałem usłyszeć?

– Pojawił się pewien list, który napisałaś.

– Pojawił się?

– Zdaje się, że policja znalazła go podczas przeszukania domu – skłamałem.

– Akurat.

Źle się czułem, okłamując ją, a poza tym pomyślałem sobie, że może warto by było nieco zaognić stosunki między nią a Claire.

– Tak naprawdę dała go nam Claire. Znalazła go w twojej szafie.

– List, który ja napisałam – powiedziała bez cienia złości. – Tak.

– Co w nim było?

W komendzie policji stanowej zrobiłem jego ksero. Sięgnąłem do tylnej kieszeni spodni i wyciągnąłem kopię. Rozłożyłem ją i podałem Julii.

Patrzyła na nią przez kilka sekund z twarzą bez wyrazu.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytała w końcu. W jej głosie nie było słychać lęku.

– Nie ulega wątpliwości, że to list do osoby, z którą jesteś blisko związana.

– Zgadza się – stwierdziła rzeczowo. – Jestem.

Jestem. To, że użyła czasu terażniejszego, odebrałem jak policzek. Nadzieja, że wszystko zostanie wyjaśnione, ulotniła się bez śladu. Znowu poczułem ból w plecach.

– Kto to... – Przerwałem sam sobie. – Kim on jest?

– To ona – odparła z naciskiem Julia.

Minęła dobra chwila, nim do mnie dotarło, że się nie przesłyszałem.

– Spotykasz się... z kobietą?

– Szokuje cię to?

– No cóż, owszem. Nie dlatego, że to kobieta – tym razem skłamałem – ale że jest ktoś inny w twoim życiu. I nie wygląda na to, żeby to była przypadkowa lub nic nie znacząca znajomość.

– Bo nie jest. Ta kobieta podtrzymuje mnie na duchu. Tak, jak piszę w liście: odkąd ją poznałam.

– Kiedy to się zaczęło?

– Sześć lub siedem miesięcy temu.

– I wciąż trwa?

– Tak.

– Dlaczego mi o niej nie powiedziałaś? Gdzie ona mieszka? Na wyspie?

– Na Manhattanie. Latem bywam u niej raz w tygodniu, jeśli tylko mogę. – Julia uśmiechnęła się. – Jeśli nie mogę, rozmawiamy przez telefon, czasem nawet przez pięćdziesiąt minut.

– Pięćdziesiąt...? – Urwałem.

Julia pokręciła głową i spojrzała na mnie jak na głupka.

– To moja terapeutka – powiedziała. – Marion Eisenstadt. Ten list był do

niej. Nigdy go jednak nie wysłałam, bo pomyślałam, że jest... niestosowny i trochę makabryczny.

Tą puentą zbiła mnie z tropu.

– Napisałaś go do swojej terapeutki? – zapytałem sceptycznie.

– Mogę ci dać jej numer telefonu, jeśli chcesz. Już wcześniej pisałam do niej listy.

Czy to prawda? – zastanowiłem się. Czy Julia po prostu szukała pomocy u różnych osób, w tym także u Northa i swojej psychoterapeutki? Czy to możliwe, że dla mnie przeznaczyła inną, bardziej znaczącą rolę w swoim życiu, taką, jaką ja przeznaczyłem dla niej? Bardzo chciałem, żeby to była prawda.

– Nie potrzebuję jej numeru – odparłem.

Julia przeczytała list i spojrzała na mnie.

– Tego dnia byłam bardzo przygnębiona – wyznała.

Ta uwaga pozwoliła mi zrećnie przejść do drugiej sprawy, która mnie martwiła.

– Ostatnia linijka sugeruje, że myślałaś o śmierci – zauważyłem.

– W ten elegancki sposób pytasz mnie, czy nie myślałam, żeby zabić swoje córki?

– Proszę, zrozum. Muszę cię o to zapytać...

– Czułam się tak, jakby moje życie było skończone. Jakbym się sprzedała Darwinowi. Jesteś zadowolony z takiej odpowiedzi? Myślałam, że gorzej już być nie może, dopóki... – Walczyła, żeby się nie rozplakać. – Dopóki nie straciłam Brooke – wykrztusiła.

– Możemy porozmawiać o tym później.

Odchrząknęła.

– Może się o to prosiłam. Może Bóg chciał mi dać nauczkę. Wystarczyło odejść. Ale byłam słaba. Żałosna. Zależało mi na tym cholernym domu, dziełach sztuki i tych wszystkich bzdurach.

– Ale dowiedziałaś się, co naprawdę liczy się w życiu. Osiągnęłaś o wiele więcej niż większość ludzi. – Nie mogłem wyjść z podziwu, że tak szybko znów zacząłem się o nią troszczyć.

– Jeśli cię straciłam, powiedz mi to teraz – poprosiła.

Zabrzmiało to jak ultimatum. A może Julia chciała mi dać do zrozumienia, że nie zniesie niepewności w tej sprawie. Straciła Brooke. Jej małżeństwo legło w gruzach. Billy mógł trafić na resztę życia do więzienia. Tess znajdowała się na granicy życia i śmierci. Nietrudno było zrozumieć, że Julia chciała wiedzieć, czy

może na mnie liczyć. Po co miałem ją zwodzić, skoro moje serce jednoznacznie odpowiedziało na to pytanie.

– Nie. Nie straciłaś – odparłem.

Rzuciła mi się w ramiona, jej palce głaskały mnie po plecach. Nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego z inną kobietą. Jej pieszczoty balansowały na cienkiej granicy oddzielającej czysty erotyzm od zwykłej czułości. A ja rozpaczliwe potrzebowałem jednego i drugiego.

– Spędzisz ze mną noc? – spytałem.

Spojrzała na Tess.

– Chciałabym zostać z nią jeszcze jakiś czas. Wezmę taksówkę i przyjadę do ciebie później.

– W takim razie do zobaczenia.

Byłem śmiertelnie zmęczony, ale postanowiłem, że zanim wyjdę, zajrzę jeszcze do Lilly. Następnego dnia miałem być na Nantucket, a przy tym tempie, w jakim stan Lilly się poprawiał, mogłem się spodziewać, że niedługo zostanie wypisana.

Lilly siedziała w fotelu przy łóżku i patrzyła przez okno. Kręcone blond włosy związała z tyłu czarną wstążką. Zapukałem w drzwi do jej pokoju. Spojrzała na mnie i na powrót przybrała swoją milczącą pozę.

– Mogę wejść? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

Poczułem się, jakbym zrobił coś złego – coś, co sprawiło, że Lilly straciła do mnie zaufanie. Ale nie miałem pojęcia, co to było. Nie zdradziłem tego, co przeżywa, jej rodzinie. Nawet lekarzom, którzy się nią opiekowali, nie przedstawiłem w szczegółach klinicznego obrazu jej przypadku. Ilekroć jej to obiecałem, przychodziłem do niej. Czyżby wciąż się na mnie boczyła za to, że nie chciałem już prowadzić jej terapii?

To, że ci się wydaje, iż straciła do ciebie zaufanie, niekoniecznie oznacza, że rzeczywiście je straciła – odezwał się mój wewnętrzny głos.

To prawda. Nawet podczas najkrótszej terapii psychiatra jest białym ekranem, na który pacjent rzutuje swoje uczucia do osób zajmujących ważne miejsce w jego życiu. Milczenie Lilly i wyrażający rezerwę język ciała mogły się odnosić do mnie, ale równie dobrze mogły być odzwierciedleniem złości na kogoś innego, jak na przykład męża lub dziadka.

Wszedłem do pokoju. Zobaczyłem, że Lilly jest podłączona tylko do dwóch

kroplówek. Noga, choć wciąż obandażowana, wyglądała na mniej opuchniętą. Twarz miała mniej bladą. Jej stan stopniowo się poprawiał.

Wzięła głęboki wdech i nie odwracając twarzy od okna, powoli wypuściła powietrze. Po błękitnych jak niebo oczach było widać, że jest wzburzona.

– Ten pieprzony skurwysyn – odezwała się. – Przez tyle lat... On naprawdę mnie rżnął.

Usiadłem na fotelu obok niej.

– O kim mówisz? – zapytałem, choć znałem odpowiedź. W umyśle Lilly następowała zmiana emocji: pogardę dla siebie zastępowała wściekłość na dziadka.

Potrząsnęła głową. Przez jej piękną twarz przeszła jakby fala obrzydzenia. Z trudem przełknęła ślinę.

– Byłam małą dziewczynką, a on mną manipulował, żeby sobie dogodzić.

– Rozmyślałaś o dziadku.

– Tak, przypomniałam sobie jego głupie uwagi – odparła, wciąż patrząc przed siebie. – To, jak mnie sprawdzał.

Milczałem, czekając, aż zechce się podzielić ze mną swoimi wspomnieniami.

Popatrzyła na mnie. Przez kilka sekund nie padło ani jedno słowo.

Nie przerywałem milczenia. Chciałem, żeby wiedziała, iż to od niej zależy, co powie, a co zachowa dla siebie.

– Moja przyjaciółka Betsy skończyła dziewięć lat – odezwała się w końcu. – Byłam w tym samym wieku co ona. Pamiętam, że ubierałam się na przyjęcie urodzinowe. Było lato i matka pomagała mi włożyć jasnożółtą sukienkę w motylki haftowane białą nitką. Domyślałam się, że widać mi było przez nią bieliznę. Różowe bawełniane majtki. – Przewróciła oczami. – Pamiętam, jak dziadek przyglądał mi się z głupawym uśmiechem. – Zacisnęła dłonie w pięści. – A potem powiedział: „Jak będziesz nadal nosiła sukienki, przez które będzie ci widać majtki, chłopcy nie będą mogli oderwać od ciebie wzroku. Ja bym nie potrafił”.

On by nie potrafił. On gapiłby się na majtki swojej wnuczki.

– Pamiętasz, jak się wtedy czułaś? – zapytałem.

– Staralam się to sobie przypomnieć, ponieważ mówiłaś, że nie powinnam odsuwać od siebie tych obrazów. – Urwała, żeby zebrać myśli. – Częściowo czułam się pewnie głupio, bo nie rozumiałam, o czym on, do diabła, mówi. Kogo miałyby obchodzić, jaką noszę bieliznę. Ale po tym, jak na mnie patrzył, wiedziałam, że robię coś, co mu się podoba, a przynajmniej coś, co przyciąga

jego uwagę. Byłam więc trochę dumna, ale również zawstydzona. – Pokręciła głową z niesmakiem. – Pamiętam, jak powiedział „majtki”. Tak, jakby... smakował to słowo.

Chciałem, żeby jej obrzydzenie trwało, żeby otworzyła swoje emocjonalne rany i pozbyła się toksyn zatruwających jej umysł.

– Podobało mu się to. I podniecało go – zauważyłem.

Zamknęła oczy. Zamiast się rozzłościć, zarumieniła się.

– Jest w tym coś osobliwego: mojemu mężowi też się chyba to podoba. Podczas miesiąca miodowego poprosił mnie, żebym pozwoliła mu na siebie patrzeć... w majtkach.

– Zgodziłaś się?

Skinęła głową, wstydliwie.

– Chciał cię oglądać w samych majtkach? – zapytałem, starając się ją zachęcić, by powiedziała coś więcej.

Jej policzki stały się karmazynowe.

– Jak się dotykam – powiedziała szybko.

Poczułem, że mamy za sobą dopiero połowę drogi. Lilly nie miała pretensji do męża, że lubi patrzeć na jej ciało. Miała pretensje do siebie i karała się, wstrzykując sobie zarazki. A przyczyną jej patologicznego zachowania był wstyd.

– A co ty o tym myślałaś? – zapytałem. – Lubiałaś, gdy patrzył na ciebie, jak to robisz? Gdy się dotykasz?

– Myślę, że tak. To znaczy... – Przerwała sobie w połowie zdania. – No wiesz.

– Miałaś orgazm – domyśliłem się.

– Ale potem, zaraz potem, czułam obrzydzenie.

– Jasne. – Lilly miała kłopot z oddzieleniem swojego dorosłego życia erotycznego od budzących w niej wstyd, strach i obrzydzenie słów i spojrzeń o podtekście seksualnym, na które wystawiona była w dzieciństwie przez dziadka. – Musi upłynąć trochę czasu, zanim nabierzesz dystansu do tych spraw, które ci się kojarzą z dziadkiem, i będziesz mogła się cieszyć małżeństwem. Przypuszczalnie będziesz doznawała wielu sprzecznych uczuć i musisz dać sobie czas, by przejść nad nimi do porządku.

– Ale to nastąpi? Uporam się z nimi?

– Tak.

– Zadzwoiłam do gabinetu doktora Jamesa. Jestem z nim umówiona na wizytę jeszcze w tym tygodniu.

– Cieszę się. – Byłem zadowolony, że będzie kontynuowała terapię u Teda.

Poczułem także ukłucie żalu, że sam przestałem się z nim spotykać. Brakowało mi go – jego klarownego myślenia i wprawy. Przydałaby mi się jego rada w sprawie Julii. – On ci pomoże zinterpretować następne zdarzenia, jakie ci się przypomną. Możesz mu całkowicie zaufać.

– Spróbuję. – Po tym, jak na mnie spojrzała, widać było, że bardzo potrzebuje wsparcia i że łatwo ją zranić. – Zajrzysz jeszcze do mnie? Lekarze mówią, że zostanę tu kilka dni. Bardzo by mi pomogło, gdybym wiedziała, że przez ten czas nie będę zdana tylko na autopilota.

– Radzisz sobie coraz lepiej, ale obiecuję, że zajrzę jeszcze do ciebie, nim cię wypiszą do domu.

Złapałem taksówkę i wróciłem do Chelsea. Próg mieszkania przekroczyłem o dwudziestej pierwszej siedemnaście, a trzy minuty później miałem już z informacji telefonicznej numer doktor Marion Eisenstadt. Zadzwoiłem do jej gabinetu i przekonałem sekretarkę, żeby poprosiła panią doktor do telefonu. Musiałem czekać dobre pięć minut.

– Doktor Eisenstadt – usłyszałem w końcu w słuchawce. Głos brzmiał młodziej, niż się spodziewałem.

– Mówi doktor Clevenger z Bostonu – przedstawiłem się. – Jestem psychiatrą, który zajmuje się rodziną Darwina Bishopa z Nantucket.

– Tak?

– Dzwonię, żeby...

– Jest pan psychiatrą sądowym – przerwała mi. – Czy to sprawa kryminalna?

Sława nie zawsze jest zaletą.

– Nie w sensie formalnym. Bishopowie poprosili mnie, żebym zbadał ich syna, Billy'ego. Teraz staram się zebrać jak najwięcej informacji o rodzinie, aby stworzyć sobie pełny obraz sytuacji, zanim zacznę zeznawać w sądzie.

– W porządku – rzuciła powściągliwie Eisenstadt.

– Julia Bishop powiedziała mi, że się u pani leczy. Zaproponowała, żebym do pani zadzwonił.

Minęło kilka sekund.

– Nie sądzę, abym mogła panu coś powiedzieć bez zgody pani Bishop.

Poczułem, że spadł mi ogromny ciężar z serca. Po pierwsze Eisenstadt w ogóle istniała, a po drugie wyglądało na to, że Julia jest jej pacjentką.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Nie mieliśmy czasu, żeby wszystko załatwić oficjalnie. Pewnie pani wie, że Billy jest wciąż na wolności. Kontaktował się ze mną przez telefon. Wszystko, co mi pani powie, może się okazać pomocne: albo teraz, żeby go złapać, albo później w sądzie.

– Jak na przykład co?

– Na przykład na temat jego relacji z rodziną – rzuciłem od niechcienia. – Od dawna Julia Bishop leczy się u pani?

– Bywa u mnie od czasu do czasu – odparła Eisenstadt. W jej głosie wciąż pobrzmiwała ostrożność.

– O ile wiem, w lecie mieszka na Nantucket.

Upłynęło kolejnych kilka sekund.

– W takim razie bywa u mnie częściej, niż można by się spodziewać. Myślę, że spotkałyśmy się wszystkiego cztery czy pięć razy. Ale naprawdę tylko tyle mogę panu powiedzieć.

Moje zaufanie do Julii gwałtownie spadło i znów zrobiło mi się ciężko na sercu. Usiadłem.

– Nie sądziłem, że tych spotkań było tak mało. Ale może mimo to udało się pani na tyle dobrze ją poznać, że...

– Jeśli będzie pan miał zgodę pani Bishop, z przyjemnością udostępnię panu jej kartotekę.

– Łącznie z listami? – zapytałem.

Eisenstadt milczała.

– Pani Bishop wspomniała, że pisała do pani od czasu do czasu. – Czuję, że mój głos zaczyna brzmieć jak podczas przesłuchania, i zdawałem sobie sprawę, że Eisenstadt również to słyszy.

– Bez pisemnej zgody pacjenta nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć, że w jego kartotece są jakieś dokumenty – powiedziała stanowczo. – Takie jest prawo. Nie wątpię, że zna pan je równie dobrze jak ja.

– Rozumiem. – Spróbowałem innej taktyki. – Czy pani Bishop musi wyrazić zgodę dotyczącą listów, czy wystarczy ogólna zgoda na ujawnienie informacji?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć – odparła, tym razem chłodno.

– Oczywiście. Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas. Będę z panią w kontakcie.

– Proszę bardzo. Z przyjemnością z panem porozmawiam. – Odłożyła słuchawkę.

Stałem, w jednej ręce trzymając słuchawkę, a drugą pocierając oczy. Wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby podczas czterech lub pięciu godzin spędzonych w gabinecie doktor Eisenstadt Julia mogła z nią nawiązać tak bliski kontakt, by napisać o niej, że „podtrzymuje ją na duchu”, że „bez przerwy” myśli o chwilach, które spędziły razem, i że tylko „myśl o ponownym spotkaniu” przywraca jej chęć życia. Tym bardziej że Eisenstadt była kobietą, a więc reprezentowała nie tę płęć, z którą Julia najchętniej nawiązywała intymne kontakty.

Julia miała innego kochanka. Nie wiem, co mnie bardziej martwiło: sam fakt czy to, że mnie okłamała. W każdym razie w dochodzeniu pominięto ważny

wątek: nie przesłuchano mężczyzny, z którym sypiała, gdy zamordowano Brooke.

Kto wie, jakie rewelacje przyniosłoby takie przesłuchanie? A jeśli Julia planowała wspólne życie z kochankiem, które to plany zniweczyła jej ciąża? Może uznała Brooke i Tess za główną przeszkodę w rozpoczęciu nowego życia z innym mężczyzną?

Albo przeciwnie, może to jej kochanek uznał bliźniaczki za przeszkodę na swej drodze? Mężczyźni są gotowi na wszystko, by zdobyć Julię.

Od tego wszystkiego rozboleła mnie głowa. Potrzebowałem lepszych wieści. Jakiejś małej ulgi w problemach. Wykręciłem numer komendy głównej bostońskiej policji i poprosiłem do telefonu Arta Fieldsa. Czułem się tak, jakbym pociągał za dźwignię jednorękiego bandyty po wrzuceniu doń ostatniej monety. Fields zgłosił się po minucie.

– Mówi Frank Clevenger – powiedziałem.

– Cieszę się, że cię słyszę.

– Wiesz już, czyje odciski były na negatywie? – spytałem.

– Tylko jednej osoby – rzekł niepewnie Fields. – Darwina Bishopa.

Poczułem się, jakbym zgarnął główną wygraną. Ale w głosie Fieldsa nie było triumfu.

– Nie słyhać, żebyś był zadowolony – stwierdziłem.

– Bo nie ma na nim żadnych innych odcisków. Ani Billy’ego Bishopa, ani niczyich innych. Lepiej bym się czuł, gdybym znalazł na nim choćby jeden nie zidentyfikowany odcisk, na przykład osoby, która go wywoływała, jakiegoś sprzedawcy, tego, kto zrobił zdjęcia i dał film Bishopowi. Kogokolwiek.

– O ile się nie mylę, ludzie, którzy wywołują filmy, uczy się, żeby trzymali je za krawędzie. Niektórzy noszą też chyba rękawiczki.

– Ale wielu z nich to olewa. Zastanawiam się, czy przypadkiem ktoś nie zadał sobie trudu, by wyczyścić negatyw, zanim dotarł on do Bishopa. A jeśli tak, to dlaczego.

– Chyba że to zbieg okoliczności. Na przykład jeden z ochroniarzy Darwina zrobił film, zaniósł go do wywołania i przyniósł szefowi negatywy w kopercie, tak że nikt w ogóle nie dotykał jego powierzchni.

– Oczywiście, to możliwe. Czasem zdarza się, że wszystko idealnie ze sobą współgra, ale byłbym pewniejszy, gdybym znalazł w tle jakiś fałszywy dźwięk.

– Zgoda. Czy przekazałeś wyniki Andersonowi?

– A powinienem?

Pytał, czy można mu zaufać, zważywszy na to, co zobaczył na zdjęciu. Ale zadając mi to pytanie, pomógł mi zrozumieć, że wciąż ufam Andersonowi. Uwierzyłem w jego historię o magnetycznym uroku Julii, który sprawił, że stracił dla niej głowę. Miała taką moc. Teraz było to dla mnie najzupełniej oczywiste.

– Tak – odparłem natychmiast. – Wszystkie informacje muszą przechodzić przez niego.

– W takim razie zrobię to.

– Będę ci bardzo wdzięczny.

– Nie ma za co. Pracuję dla każdego, kto zjawi się tu z odpowiednimi referencjami, ale lubię to robić dla ludzi, którzy rzeczywiście chcą poznać prawdę. Trzymaj się. – Odłożył słuchawkę.

Na pewno negatyw stanowiłby mocniejszy dowód, gdyby był trochę bardziej zabrudzony. Mimo to Darwin Bishop dobrze pasował do roli zabójcy Brooke. Tylko jego odciski palców znajdowały się na negatywie. Naciskał na Julię, żeby przerwała ciążę. Mógł liczyć na pieniądze z polisy ubezpieczeniowej bliźniaczek, był w przeszłości skazany za znęcanie się nad rodziną i zażądał od Julii fiołki z norttryptyliną.

Dochodziła dziesiąta, więc Julia powinna wkrótce się zjawić. Musiałem się przespać, choćby przez pół godziny. Zagłębiłem się w fotel, z którego miałem widok na Tobin Bridge, i patrząc na punkciki świetlne poruszające się po łuku mostu, zapadłem w sen.

Dziesięć minut później mój telefon znów zadzwonił. Spojrzałem na wyświetlacz. Komórka Andersona. North chciał mnie pewnie poinformować, czyje odciski palców Fields znalazł na negatywie. Nie miałem ochoty odbierać, ale wiedziałem, że unikanie Andersona niczego nie rozwiąże. Podniosłem słuchawkę.

– Słucham.

– Jak się czujesz?

– Dobrze – odparłem trochę bardziej sztywno, niż zamierzałem. – A co u ciebie? Zignorował pytanie.

– Złapali Billy’ego – oświadczył. – Chłopak chce się z tobą zobaczyć.

– Złapali? Wszystko z nim w porządku?

– Zdaje się, że tak, poza tym, że jest wycieńczony. Niewiele jadł i mało spał przez ten czas.

– Gdzie go znaleźli?

– W Queens. Na LaGuardii. Miał właśnie wejść na pokład samolotu do Miami.

– Jak mu się udało wymknąć policji i wydostać z wyspy?

– Przypuszczalnie wyjechał zaraz po włamaniu.

– Polecę do Nowego Jorku najbliższym samolotem.

– Nie musisz. Policja stanowa przenosi Billy’ego do Zakładu Karnego Hrabstwa Suffolk. To w samym centrum Bostonu. Bez problemu mogę cię tam wprowadzić. Został aresztowany i zarzuca mu się zabójstwo pierwszego stopnia, usiłowanie zabójstwa i całą masę pomniejszych przestępstw: włamanie, kradzież, ukrywanie się przed wymiarem sprawiedliwości. Jutro wielka ława przysięgłych ma zdecydować, czy postawić go w stan oskarżenia. Jeśli to zrobi, Billy będzie sądzony jak dorosły. Grozi mu dożywocie.

– Czy ma adwokata?

– Na razie tylko z urzędu. Darwin Bishop nie chciał nikogo wynająć. Może nie ma pieniędzy. Dobrze by było, gdybyś porozmawiał z Julią i wysondował, czy mogłaby mu pomóc.

Wiem, kiedy ktoś przychodzi do mnie z gałązką oliwną. Anderson oddawał mi Julię.

– Wspomniałem jej o Carlu Rossettim. To genialny facet. I znam go niemal tak długo jak ciebie. Możemy mu zaufać. – Chciałem powiedzieć Andersonowi głośno i wyraźnie, że wyciągam rękę do zgody.

– Dzięki, Frank – odparł. Odczekał kilka sekund. – Billy’emu potrzebny jest ktoś taki jak Rossetti. O’Donnell i prokurator są przekonani, że dopadli właściwego faceta. Zrobią z niego potwora w mediach, tak że nim przekroczy próg sądu, zostanie okrzyknięty wrogiem publicznym numer jeden.

Tak się składa, że ich „właściwy facet” jest jeszcze chłopcem, pomyślałem sobie. Skoro można sądzić dzieci jak dorosłych, to czemu nie stawiać przed sądem niedojrzałych pięćdziesięciolatek jako nieletnich? Kolejny przykład jednostronnego myślenia w ustawodawstwie stanowym.

– Czy rozmawiałeś z Fieldsem? – zapytałem, zmieniając temat.

– Owszem. Wiele, łącznie z negatywnym, wskazuje na to, że zabójcą jest nasz stary dobry Darwin, ale to wszystko poszlaki. Prokurator wychodzi z założenia, że jego koronnym dowodem jest włamanie się Billy’ego do domu. Wygra sprawę, jeśli uda mu się przekonać przysięgłych, że włamanie i zatrzymanie akcji serca u Tess nastąpiły w zbyt krótkim odstępie czasu, żeby to był zbieg okoliczności. Ukrywanie się przed wymiarem sprawiedliwości również nie przemawia na

korzyść Billy'ego.

– Tak – zgodziłem się. – Nie przemawia.

– To wszystko?

– Rozmawiałem z Julią o liście.

– I co powiedziała?

– Że napisała go do swojej psychoterapeutki, Marion Eisenstadt, która ma gabinet na Manhattanie.

– Możesz to sprawdzić?

– Już do niej dzwoniłem. Nie zdradzi mi żadnych szczegółów bez zgody Julii, ale wspomniała, że spotkała się z nią tylko cztery lub pięć razy.

– I co z tego?

– To, że list Julii brzmi tak, jakby pisała go do psychoterapeutki, z którą spotykała się pięć czy sześć razy, ale na tydzień, i to przez wiele tygodni.

– Owszem, tak brzmi, ale nie zapominaj, z kim mamy do czynienia.

– To znaczy?

– Julia wzbudza w ludziach niezwykle silne uczucia, niezwykle szybko. Może to działa w obie strony.

– Niby że sama nawiązała silną więź z psychiatrą podczas terapii? Natychmiastowe przeniesienie?

– Ty jesteś psychiatrą, ale wydaje się to możliwe.

– Owszem – zgodziłem się. – Ale bardziej prawdopodobne, że był to list do innego mężczyzny.

– Z którym chcielibyśmy porozmawiać.

– Jeśli kiedykolwiek dowiemy się, kim jest.

Anderson milczał przez kilka sekund.

– Nie jesteś tym specjalnie zachwycony, mam rację?

– Masz – odparłem. – Chyba tak. – Nie do końca jednak wierzyłem w to, co mówiłem. O dziwo, wciąż się łudziłem, że Julia to kobieta o skomplikowanej przeszłości, która w końcu postanowiła na stałe związać się z jedną osobą – ze mną. Pragnąłem jej wybaczyć... niemal wszystko.

– Wracasz do szpitala, żeby z nią pomówić? Chciałbym wiedzieć, co powie na to, że rozmawiałeś z jej lekarką.

Wolałem się nie przyznawać, że Julia wybiera się do mnie.

– Jakoś się spotkamy. – Nawet dla mnie nie zabrzmiało to najlepiej.

– Twoja decyzja. Tylko uważaj. Ostatnim razem miałaś szczęście. Mogłeś zginąć.

– Będę uważał. – Zdałem sobie sprawę, że odzywa się we mnie paranoik. Nie mogłem się zorientować, czy Anderson mnie ostrzega, czy mi grozi. „Ostatnim razem miałeś szczęście. Mogłeś zginąć”. – Możesz mi załatwić widzenie z Billym o ósmej rano?

– Pewnie.

– Wkrótce się odezwę – powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Byłem wykończony fizycznie i emocjonalnie. Czuję się pusty. Zamknąłem znowu oczy, łaknąc chwili snu.

Obudziłem się nagle i przez kilka sekund nie wiedziałem, gdzie jestem. Spojrzałem na zegarek: pierwsza dwadzieścia i ani śladu Julii. Wykręciłem numer Mass General, żeby sprawdzić, czy opuściła oddział telemetrii.

Telefon odebrała recepcjonistka.

– Mówi doktor Frank Clevenger. Chciałbym się dowiedzieć, czy pani Bishop wciąż jest u swojej córki Tess.

– Może pan poczekać?

– Oczywiście.

Upłynęła prawie minuta. Zacząłem się denerwować, czy coś nie stało się z Tess. W końcu w słuchawce usłyszałem głos Johna Karlsteina.

– Frank?

– Słucham. – Zastanowiło mnie, czemu wciąż zajmuje się Tess, skoro mała nie leży już na oddziale intensywnej opieki, ale wiedziałem, że nie wróży to nic dobrego.

– Mieliśmy mały problem z Tess. Załatwiałem jeszcze u siebie ostatnie sprawy, więc mnie wezwano.

Zamknąłem oczy.

– Jaki problem?

– Wystąpiły u niej zaburzenia oddychania. Tempo zmalało do ośmiu razy na minutę, a stężenie tlenu we krwi spadło do siedemdziesięciu siedmiu procent. Nie chciałem jej zakładać maski tlenowej, bo obawiałem się, że jeszcze bardziej stłumimy u niej odruch oddechowy. Przez jakieś dwadzieścia minut sami wstrzymywaliśmy oddech, czekając, co się stanie. A potem wszystko wróciło do normy. Wygląda na to, że teraz wszystko z nią w porządku. Stężenie tlenu wróciło do dziewięćdziesięciu pięciu procent.

– Co się stało?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Może doszło do jakichś drobnych komplikacji

neurologicznych, które spowodowały zaburzenia oddychania. Może oprócz nortryptyliny zatrąła się czymś jeszcze. A może była to jedna z tych rzeczy, które pojawiają się ni stąd, ni zowąd, jak cię ostrzegałem. Pacjentów raz reanimowanych często znów trzeba reanimować.

– Czy jest tam Julia Bishop? – spytałem, dodając do imienia nazwisko, aby wyglądało, że nasze stosunki mają charakter oficjalny.

Do jego głosu wkradła się nuta zakłopotania.

– Wyszła jakiś czas temu, zanim się to zaczęło.

– Ciągle się nią martwisz? To znaczy jej stosunkiem do dziecka?

– Nie wiem, czy się martwię. Ale parę razy złapałem się na tym, że myślę o diagnozie, którą postawiła Caroline Hallissey. Krótko mówiąc, sądzę, że nic złego by się nie stało, gdyby lekarz małej poprosił o dwudziestoczterogodzinna opiekę dla Tess. – Odchrząknął. – Mógł to być zwykły przypadek. Takie rzeczy się zdarzają. Miałem pacjentów, którzy wyglądali, jakby za chwilę trzeba ich było reanimować, a potem wracali do siebie i nigdy więcej nie mieli problemów.

– Ale równie dobrze mógł to nie być przypadek – powiedziałem, po części do siebie.

– Jest mnóstwo leków, które powodują zaburzenia oddychania. Ativan, klonopin. Często przepisuje się je ludziom cierpiącym na depresję. – Mówiąc to, miał na myśli Julię. – Dla pewności zrobimy badanie toksykologiczne krwi.

– Dobra myśl.

– Wiedziałem, że zrozumiesz. Dzwon, kiedy zechcesz. Ja niedługo stąd wyjdę, w każdym razie mam taką nadzieję, ale powiem dyspozytorowi, żeby cię zawiadomił, gdyby się coś zmieniło. Masz pager?

– Oczywiście.

– Jak mogłem w ogóle pytać.

Rozłączyliśmy się. Nie podobało mi się, że zaburzenia oddychania u Tess pojawiły się tuż po wyjściu Julii z oddziału. Karlsteinowi najwyraźniej również się to nie podobało. Nie było jednak żadnego powodu, a tym bardziej dowodu, by myśleć, że oba te zdarzenia coś łączy. Przynajmniej jak dotąd. Badanie toksykologiczne wykaże, czy we krwi Tess został ślad innego leku.

Niecałe dwie minuty później rozległ się dzwonek u drzwi. Podeszedłem do domofonu.

– Słucham? – powiedziałem.

– Przepraszam, że się spóźniłam – usłyszałem głos Julii. – Masz jeszcze dla mnie czas?

– Przecież wiesz, że tak – odparłem i wpuściłem ją do środka.

Wydała mi się bardziej odprężona niż ostatnio, wciąż zapewne nie wiedziała ani o ostatnich problemach Tess, ani o aresztowaniu Billy’ego. Mnie jednak daleko było do zrelaksowania. Nie staliśmy długo przy drzwiach.

– Zrobić ci kawy? Drinka? – zaproponowałem, idąc do kuchni.

Przeszła przez mieszkanie i zatrzymała się przed oknem.

Spojrzała na rozświetloną panoramę Bostonu.

– Na pewno nic nie chcesz?

Powoli się odwróciła. Na tle nocnego nieba wyglądała jak bogini.

– Po prostu zaprowadź mnie do łóżka, dobrze? – rzuciła zmęczonym głosem, który nawet w tych okolicznościach sprawił, że od razu wyobraziłem sobie, jak pomagam się jej rozbierać.

Przyglądałem się badawczo jej twarzy, szukając śladu lęku, ale nic nie zauważyłem. Trudno było sobie wyobrazić, że przed chwilą próbowała zabić córkę.

– Musimy porozmawiać – oświadczyłem.

Wzięła głęboki oddech i przysiadła na skraju łóżka.

– Powiedziałam ci już na temat Northa wszystko, co było do powiedzenia. Ale jeśli chcesz, pytaj od nowa.

– Nie chodzi o Northa. – Podeszedłem do niej i odruchowo, jakbym nie potrafił zachować wobec niej dystansu, wyciągnąłem rękę. Ujęła ją. Kiwnąłem głową w stronę kanapy. – Usiądźmy tam.

Wiedziona matczynym instynktem, musiała wyczytać z mojej twarzy, że chodzi o Tess – chyba że wiedziała, co się z nią stało, bo sama się do tego przyczyniła.

– Coś złego wydarzyło się w szpitalu, tak?

– Teraz już wszystko jest w porządku. – Podprowadziłem ją do kanapy. Usiedliśmy blisko siebie.

– Co się stało? – rzuciła z napięciem w głosie. – No, powiedz.

– Wszystko w porządku. Zadzwoiłem na teletę, bo nie wiedziałem, co się z tobą dzieje, i ku mojemu zdziwieniu do telefonu podeszedł doktor Karlstein.

– Doktor...

– Zawołano go do Tess, bo wystąpiły u niej zaburzenia oddychania.

Julia ukryła twarz w dłoniach. – Nic jej nie jest?

– Nie – powiedziałem zdecydowanie. – Oddech wrócił całkowicie do normy.

– Jadę tam. Odwiedzisz mnie?

– Poczekaj. Nic jej nie jest. Naprawdę. – Położyłem jej rękę na kolanie i poczułem, że szybciej oddycham. Dziwne. Mimo ognia, jaki płonął dookoła nas, energia między nami wciąż zachowała wybuchową siłę. – Daj mi skończyć.

Julia przypatrywała mi się spanikowanym wzrokiem.

– O Boże, nie mówisz mi wszystkiego.

– Nie chodzi o Tess. – Zrobiłem pauzę. – Znaleźli Billy’ego. Był na LaGuardii, czekał na samolot do Miami.

Odetchnęła z ulgą.

– Przynajmniej jest bezpieczny.

– Przewożą go do więzienia w Bostonie. Jutro się z nim zobaczę.

Potrząsnęła głową.

– Nie powinien spędzić nawet jednego dnia w takim miejscu. Przecież jest niewinny. Teraz nie mam co do tego wątpliwości.

Zabrałem rękę i pokiwałem głową.

Julia spojrzała na mnie z troską w oczach.

– Coś jeszcze?

– Nic – odparłem, ale westchnienie, jakie przy tym wydałem, zaprzeczało temu. – Miałem okazję porozmawiać z Marion Eisenstadt.

Julia spojrzała na mnie z osłupieniem.

– Żartujesz.

– Jeśli ten list nie był do niej, to mi powiedz.

– Nie wierzę, że mogłeś jej tym zawracać głowę. Za moimi plecami.

– Powiedziała, że odbyła z tobą cztery lub pięć sesji. To wszystko.

– Nie powiedziała ci o listach.

Czyżby Julia blefowała?

– Nie. Oświadczyła, że musi mieć do tego twoją pisemną zgodę. – Pozwoliłem, żeby ta niezbyt subtelna aluzja zawisła w powietrzu.

– Chcesz, żebym podpisała tę zgodę, byś mógł zajrzeć do mojej kartoteki i udowodnić, że się nie pieprzyłam z innym facetem? Chyba żartujesz?

– Chcę tylko, żebyś była ze mną szczerą. Możesz mi zaufać. Potrząsnęła głową w niemym rozczarowaniu. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Jeśli napisałaś ten list do kogoś innego, muszę porozmawiać z tą osobą w ramach dochodzenia. Nie mogę zapomnieć...

Znów na mnie spojrzała. W jej oczach zapłonął gniew i wymiółł z nich wszelki smutek.

– Otóż to. Nie możesz o tym zapomnieć. Nie możesz zapomnieć o przeszłości

i myśleć o naszym wspólnym życiu. Gdzie się obrócisz, widzisz zjawy moich kochanków. Bo do zazdrości nie potrzeba odwagi. Ona jest potrzebna, by zaakceptować drugą osobę. Pokochać ją. Ale ty nie potrafisz nikogo kochać.

Postanowiłem brnąć dalej, pomimo że diagnoza, którą postawiła Julia, dała mi nieco do myślenia.

– Trudno mi jednak uwierzyć, że po czterech czy pięciu sesjach...

– Nie muszę ci niczego udowadniać. I tak uwierzysz w to, co sobie wmówisz.

– Wstała. – To głupota. Oboje jesteśmy głupcami. Muszę być z córką.

Nie byłem wcale pewny, czy chcę, żeby wyszła. Bo nawet jeśli kłamała, to na temat moich skomplikowanych stosunków z mężczyznami. A moje życie uczuciowe też bynajmniej nie było proste. Może miała rację. Może jak zwykle zawahałem się u progu emocji, która umykała mi przez całe życie: bezwarunkowej miłości. Julia ruszyła ku drzwiom.

– Nie odchodź – poprosiłem.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła w moją stronę.

– To ty odszedłeś – odparła i podeszła do drzwi.

– Jest późno. Pozwól chociaż, żebym cię odwiózł.

Otworzyła drzwi i zatrasnęła je za sobą.

Sobota, 29 czerwca 2002

Przez kilka minut chodziłem po mieszkaniu, uważając, żeby trzymać się z dala od barku, i zastanawiając się, czy mam pobiec za Julią. Nie pobiegłem. Ale niewiele brakowało. Niezależnie od tego, czy mnie okłamała czy nie, wejrzała w moją duszę czy nie, dotarło wreszcie do mnie to, co przez cały czas chciał mi powiedzieć North Anderson: nie mogę trzeźwo patrzeć na tę sprawę, dopóki Julia ma na mnie tak przemożny wpływ.

Wziąłem słuchawkę i wykreciłem domowy numer Andersona. Chciałem mu powiedzieć o reakcji Julii. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Anderson – usłyszałem.

– Mówi Frank.

– Dobrze, że dzwonisz. Robi się nieprzyjemnie.

– Co się stało?

– Godzinę temu zadzwonił do mnie burmistrz Keene. Mam się zaraz z rana stawić u niego w biurze. Podejrzewam, że chce mnie zwolnić albo przynajmniej zagrozić zwolnieniem.

– Zwolnić cię?

– Prokurator okręgowy Harrigan i kapitan O'Donnell myślą, że aresztowali winnego, i chcą, żeby wszyscy stanęli murem za nimi. Wiedzą, że ja im pasuję jak pięść do nosa.

– O Jezu. Czy to znaczy, że ten Keene jest figurantem i tak naprawdę stoi za nim Bishop?

– Gorzej. Taką samą brudną robotę wykonałby dla każdego z dwudziestu sponsorów swojej kampanii. Szkoda, że sam mu nie rzuciłem patyka. – Umiłkł na chwilę. – Obawiam się, że Bishop podesłał mu zdjęcie mnie i Julii. Wspomniał coś, że ma wątpliwości co do mojego „poczucia przyzwoitości”.

– Czyżby to był szantaż? Może powinieneś pójść do niego z ukrytym magnetofonem?

– Nie chciałbym teraz wszczynać sprawy federalnej, dosłownie czy w przenośni. Teraz zależy mi na tym, żebyś jeszcze raz mógł się zobaczyć z Billym, a potem stanął przed dziennikarzami tu, w Nantucket, i w Bostonie. Myślę, że powinieneś się podzielić z opinią publiczną swoimi wątpliwościami co

do jego winy, oczywiście pod warunkiem że po przesłuchaniu wciąż jeszcze będziesz je miał.

– Kiedy mogę się z nim zobaczyć?

– Umówiłem cię na trzecią rano. Billy zostanie umieszczony w pojedynczej celi dla własnego dobra. Dziś w nocy przyjęcia nowych więźniów będą załatwiać moi przyjaciele. Masz zgodę na spotkanie z nim twarzą w twarz.

– Ja przyjadę, a co z tobą? Co zamierzasz zrobić jutro rano?

– Nie powiem, żeby to był dobry czas, by zasilić szeregi bezrobotnych, skoro Tina spodziewa się dziecka.

– Rzeczywiście, nie jest. – Wolałem, by Anderson się wycofał i dał mi wszystko wziąć na siebie. – Może po prostu siedź cicho. Pozwól, że to ja nagłośnię całą sprawę. Powiedz, że nie masz nade mną władzy. Możesz mnie nawet wylać, jeśli tak będzie lepiej wyglądało. Ja dalej pociągnę dochodzenie. Jestem pewien, że adwokat Billy’ego i tak wezwie mnie na świadka.

– Pewnie mógłbym się teraz wycofać, sęk w tym, że nie jestem w nastroju. Tak więc mam zamiar powiedzieć Keene’owi coś innego.

– Co takiego?

– Powiem mu, że ty i ja pracowaliśmy nad sprawami równie trudnymi jak ta, w o wiele bardziej niebezpiecznych miejscach, jak na przykład Baltimore, i że mieliśmy do czynienia z ludźmi, przy których Darwin Bishop, O’Donnell i Harrigan wyglądają jak drobne rzezimieszki, i że dziękujemy bardzo, panie burmistrzu, ale Frank Clevenger i ja o wiele bardziej wolimy nasz sposób rozwiązania tej sprawy niż pański. Życzę, kurwa, dobrego dnia.

Uśmiechnąłem się.

– Wątpię, żebyś po tym zachował pracę.

– Mam ważniejsze rzeczy do zachowania. Szacunek dla siebie, na przykład. Wiesz, że mam znowu zostać ojcem.

– Jestem po twojej stronie.

– Nigdy w to nie wątpiłem. O trzeciej u Billy’ego. Wszystko jest załatwione.

Próbowałem się nieco zdrzemnąć, ale skończyło się na tym, że tylko leżałem na łóżku w ubraniu i myślałem. Billy miał stanąć przed sądem oskarżony o morderstwo i usiłowanie zabójstwa, pomimo że inni domownicy nie byli wolni od podejrzeń. Oprócz Darwina cień wątpliwości padał na Garreta i Claire, a także, czy tego chciałem czy nie, na Julię.

Niepokoilem się też o życie Tess, częściowo ze względu na jej stan zdrowia,

a częściowo dlatego, że została otruta, gdy jeszcze trwało dochodzenie w sprawie morderstwa Brooke. Próba zabójstwa Tess, jak i napad na mnie, świadczyła o tym, że motyw, jakim kierował się morderca, popychał go do użycia przemocy, mimo dużego ryzyka zdemaskowania. Kierował nim (lub nią) pęd do zabijania. Ten nieodparty impuls nie wygaśnie u mordercy z chwilą aresztowania bądź skazania Billy'ego. Nie zniknie nawet wtedy, gdy zabójca osiągnie cel.

Na zegarze było dwadzieścia sześć po drugiej. Więzienie hrabstwa Suffolk znajdowało się piętnaście minut jazdy od mojego mieszkania. Wyobraziłem sobie, jak prowadzą tam Billy'ego z rękami i nogami skutymi kajdankami i wtracają do zimnej celi, w której przyjdzie mu spędzić wiele nocy, nim stanie przed sądem. Rada, jaką mu dałem, gdy do mnie zadzwonił, żeby się poddał i zdał na wymiar sprawiedliwości, pewnie wydawała mu się w tej chwili zupełnie absurdalna. Może mimo wszystko miał rację, że wolał uciekać, niż stawiać na to, że North i ja zdołamy dokonać cudu i wygrać przy tak wysoko podbitej stawce.

Znów poczułem przyływ paranoicznych podejrzeń wobec Andersona. Wyjde z mieszkania wczesnym rankiem, pojedę do Bostonu, zaparkuję gdzieś w pobliżu więzienia i będę szedł opustoszałymi ulicami do jego bramy. Jeśli to Anderson stał za zamachem na mnie i jeśli wcale nie zerwał z Julią... „Przestań krakać” – powiedziałem na głos. Próbowałem pomyśleć o czymś innym, ale podejrzliwość mnie nie opuszczała – mój wewnętrzny radar zamieniał nawet nieszkodliwe dane w dowód czyhających na mnie zagrożeń.

W końcu udało mi się zasnąć, ale obudziłem się ledwie po kwadransie, jeszcze bardziej zmęczony i obolały. Miałem wrażenie, jakby ktoś włożył mi klatkę piersiową w imadło i tak ścisnął, że przepona wydeła się jak balon.

Zwlokłem się z łóżka i poczłapałem do kuchni. Wypiłem szklanekę mleka, żeby żołądek mi się nie buntował, gdy będę połykał następne dwie tabletki motrinu. Wziąłem je, a następnie zacisnąłem zęby i spróbowałem lekko rozprostować plecy, co niemal powaliło mnie na kolana, nim ból zelżał do znośnego poziomu.

Wsiadłem do pikapa i pojechałem w stronę Bostonu. Droga numer jeden była pusta, toteż szybko przemknąłem przez Tobin Bridge, pokonałem zakręty Storrow Drive i dotarłem do zjazdu prowadzącego do więzienia hrabstwa Suffolk.

Większość miejsc do parkowania przy więzieniu zajęła firma budowlana Boston's Big Dig. Reszta była zarezerwowana dla pracowników zakładu

karnego. Znalazłem wolne miejsce dopiero pięć przecznic dalej. Sięgnąłem po pistolet i stwierdziłem, że zostawiłem go w mieszkaniu. Akurat teraz.

Wysiadłem z pikapa i ruszyłem szybszym krokiem, niż szedłbym za dnia, raz po raz oglądając się za siebie. Uśmiechnąłem się na myśl, co Laura Mossberg powiedziała o moim zachowaniu – kolejne potwierdzenie stresu pourazowego, który po napadzie się jeszcze pogłębił.

Przecznicę od więzienia zastąpił mi drogę jakiś bezdomny. Twarz miał pokrytą kilkudniowym zarostem, oczy przekrwione, śmierdziało od niego alkoholem.

– Jesteś mi winien pieniądze – warknął.

Cofnąłem się o krok. Nikt nigdy tak interesująco nie prosił mnie o jałmużnę. Powiedziałem mu to, sięgając do kieszeni i popatrując, czy jego ręce nie znikną pod ubraniem i nie pokażą się z powrotem z bronią.

– Jesteś niedzisiejszy – rzekł. – Wszyscy teraz tak mówią.

Staliśmy nie dalej niż o ćwierć mili od szpitala Mass General.

– Dobrze byś zrobił, gdybyś wypił kawę i poszedł na detoks.

– Wolę piwo – odparł i mrugnął do mnie.

Wielu ludzi potraktowałoby tę szczerą jako pretekst, żeby nie dać mu ani centa, ale ja wiedziałem, jak to jest, gdy człowiek musi się napić piwa.

– Masz. – Podałem mu dwa dolary.

– Pożyczyłem ci pięć. Chcę mojego piątaka.

Uśmiechnąłem się.

– Uważaj, żebyś nie przeholował. Powodzenia.

Nie uszedłem dziesięciu jardów, kiedy usłyszałem za sobą kroki. Odwróciłem się i zobaczyłem, że ten bezdomny szybko się do mnie zbliża. Wzrok miał bardziej skoncentrowany, jedną rękę trzymał opuszczoną i ścisnął w niej jakiś przedmiot, który błyszczał w świetle ulicznych lamp. Pomyślałem, żeby wziąć nogi za pas, ale zdążył się do mnie zbliżyć na pięć stóp.

Uśmiechnął się, ukazując garnitur idealnie białych, błyszczących zębów, co zdawało się dowodzić, że tylko udawał bezdomnego, a w istocie czatował na mnie. Podniósł rękę.

Cofnąłem się, przyjmując postawę wyjściową do walki karate, i czekałem, żeby podszedł jeszcze bliżej. Jeśli miał tylko nóż, powaliłbym go, zanim zdążyłby go użyć.

Zatrzymał się, opuścił ramię i powiedział:

– Przepraszam, że cię przestraszyłem. – Powoli podniósł srebrny krucyfiks. –

Zapomniałem ci podziękować. Niech cię Bóg błogosławi. – Znów się uśmiechnął, pokazując imponujące zęby, po czym wskazał krzyżykiem na usta. – Tufts Dental. Robią zęby za darmo – powiedział, jakby czytał w moich myślach. – Wstawili mi je dziś rano. – Odwrócił się i ruszył w stronę Charles Street, pewnie na piwo, o którym mówił, a może świętować wstawienie nowych zębów, kto wie?

Odetchnąłem głęboko, poczekałem, aż serce zacznie mi normalnie bić, i znów ruszyłem w stronę więzienia. Może powinienem zadzwonić do Laury Mossberg, pomyślałem.

W pobliżu budynku więzienia zauważyłem ekipy telewizyjne. Właśnie zajmowały pozycje. Przyspieszyłem kroku. Nie chciałem rozmawiać o sprawie Billy'ego, póki nie przygotuję odpowiedniej riposty na historyjkę upichconą przez Bishopa, O'Donnella i Harrigana.

North Anderson rzeczywiście dołożył wszelkich starań, bym mógł się spotkać z Billym, toteż bez zbędnych ceregieli wydano mi przepustkę i identyfikator. Podpisałem się, przeszedłem przez bramkę wykrywacza metali, a potem przez troje stalowych drzwi, które kolejno natychmiast się za mną zatrzaskiwały.

Pomimo że wiele razy bywałem w więzieniach, nigdy nie pozbyłem się przygnębienia, które nawiedzało mnie podczas tych wizyt. Miałem wrażenie, jakby zalewała mnie fala pytań. Jakim zrzędzeniem losu ci ludzie tu trafili? Czy ktoś pamięta ich jeszcze jako młodych, niewinnych, sympatycznych chłopców? Ale sedna sprawy dotykało to pytanie: Czemu zawdzięczam szczęście, że sam jeszcze chodzę po ulicach, że jestem wolnym człowiekiem? W przeciwieństwie bowiem do wielu innych ludzi, nie dostrzegalem dużej różnicy między mną a tymi mordercami, gwałcicielami i złodziejami. Mam wrażenie, że oddziela mnie od nich cienka i przezroczysta granica. I myślę, że oni też to czują. Ciągnie się za mną ta sama woń. Pomimo ciepłych słów, jakie czasem słyszałem od swojego brutalnego ojca, sympatii okazywanej mi przez nauczyciela w szóstej klasie, który mówił, że dokonam wielkich czynów, i innych miłych epizodów, jakie pamiętam, bez problemu mogę sobie wyobrazić, że jestem jednym z tych więźniów. Nachodziło mnie to, zwłaszcza gdy opuszczałem więzienie, oddawałem identyfikator i odbierałem od strażnika swoją legitymację. Byłem niemal pewny, że zaraz podniesie on palec i powie: „Chwileczkę”, po czym rozdzwoni się alarm, usłyszę tupot butów i zostanę zawleczony do celi wśród ogłuszającego hałasu, przez który z trudem przebije się wykrzykiwany wyrok: „Winny! Winny wszystkich zarzutów! Winny jak diabli!”

Skręciłem w długi, szeroki korytarz prowadzący do pokojów przesłuchań. W świetle jarzeniówek moja skóra przybrała trupią barwę. Każdy mój krok na podłodze pokrytej błyszczącym szarym linoleum odbijał się złowieszczym echem od śnieżnobiałych ścian z pustaków.

Na końcu korytarza czekał strażnik. Zaprowadził mnie do Billy'ego Bishopa, który już siedział przy małym stoliku w pokoju o wymiarach sześć na osiem stóp ze szklanymi drzwiami. Miał na sobie więzienny pomarańczowy strój z czarnym numerem namalowanym na piersiach. Na mój widok wstał. Wyglądał równie zdrowo jak w Payne Whitney, ale z jego postawy zniknęła zuchwałość.

– Szkoda, że nie pożyczył mi pan tych pieniędzy – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Dawno by mnie tu nie było.

Posłałem strażnikowi uspokajające spojrzenie; skinął głową i wyszedł.

– Cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku.

Billy ostentacyjnie rozejrzał się dookoła.

– To ma być w porządku?

Kiwnąłem głową w stronę stolika.

– Usiądźmy – zaproponowałem.

Usiadł, a ja naprzeciwko niego. Tak mocno zaciskał dłonie, że aż knykcie mu zbieleły.

– Dziwne miejsce – powiedział wreszcie głosem, jak na szesnastolatka przystało, pełnym obaw.

– Owszem. – Zrobiłem pauzę. – Powiedz, jak się czujesz.

– Jak się czuję? Jestem skończony. – W jego oczach nie było dawnego ognia.

– Win wygrał.

– Jeszcze nie – zaproponowałem. – Wciąż działamy.

Zamknął oczy i kiwnął głową.

– Zamknęli mnie w osobnej celi, bo jestem oskarżony o skrzywdzenie... zabicie dziecka. Zdaje się, że stawia mnie to na równi z facetami, którzy lubią uprawiać seks z dziećmi. Gdyby inni więźniowie mnie dopadli... – Urwał i spojrzał mi prosto w oczy.

Pobyć w więzieniu dla wielu ludzi jest trudny do wytrzymania, ale to nic w porównaniu z tym, gdy się jest pariasem w więziennej społeczności, obiektem prześladowań.

– Zapytam cię wprost. Czy masz coś wspólnego ze śmiercią Brooke i otruciem Tess?

Wytrzymał moje spojrzenie, nie mrugnawszy okiem, i potrząsnął głową.

– Nie mam – stwierdziłem, choć woląłem, żeby on to powiedział.

– Było mi ich żal. Urodziły się w złym czasie, w złej rodzinie. Podobnie jak ja, który straciłem rodziców. Nie miałem żadnego powodu, by je skrzywdzić.

Kiwnąłem głową.

– Pomogę ci znaleźć adwokata. Tymczasem staraj się mieć stale zajęty umysł. I nie trać nadziei.

– Gra chyba skończona, nie sądzi pan?

– Jeszcze nie. Obiecuję ci.

Oczy Billy'ego zaszkliły się. Odwrócił wzrok, bym nie zauważył, że jest bliski płaczu. Potem wziął głęboki oddech i znów spojrzał na mnie.

– Mam pomysł – powiedział. – To moja jedyna nadzieja, inaczej w ogóle bym o tym nie wspominał.

– Co to takiego?

– Jeśli Garret widział coś w tę noc, kiedy zamordowano Brooke, coś związanego z Darwinem, to jaką wagę miałyby dla sądu jego słowa? Czy ława przysięgłych uwierzyłaby mu?

Pomyślałem o wszystkich poszlakach, które wskazywały na związek Darwina Bishopa ze zbrodnią. Naoczny świadek, zwłaszcza syn Bishopa, mógłby przekonać sędziów, że Billy został niesłusznie oskarżony.

– Myślę, że jego zeznanie mogłoby wszystko zmienić.

– No to powinien pan go poprosić, żeby zeznawał.

– Prosiłem.

– Ale to było, zanim mnie złapano. Niech pan poprosi jeszcze raz.

– Dlaczego mi nie powiesz, o co chodzi? Co Garret takiego zobaczył? Musiał ci powiedzieć.

Billy potrząsnął głową.

– Nie mogę.

Nie rozumiałem, czemu Billy miałby dotrzymać przysięgi milczenia, gdy w grę wchodziło coś, co mogłoby uwolnić go od zarzutu popełnienia morderstwa i próby zabójstwa.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ jest duża szansa, że mimo zeznań Garreta sędziowie nie zmienią zdania, a wtedy ja pójdę siedzieć na resztę życia, a on zostanie sam na sam z tym diabłem. Tylko oni dwaj: Garret i Darwin. Gdyby to o mnie chodziło, zaryzykowałbym. Wie pan, nie byliśmy sobie zbyt bliscy. Nie jest moim prawdziwym bratem. Przez ten czas, gdy razem mieszkaliśmy, wyciąłem mu

parę paskudnych numerów. Kradłem mu pieniądze i takie tam. Lepiej by mu było beze mnie.

Ujął mnie tym wyznaniem. Stracił rodzinę w Rosji i nigdy nie stał się pełnoprawnym członkiem rodziny Bishopa. W końcu Julia nie pochwałała pomysłu, żeby go zaadoptować. Może właśnie dlatego pakował się w kłopoty.

– Poproszę Garreta, żeby to jeszcze raz przemyślał. Też powinienes go o to poprosić. Ponieważ to on może przekreślić klucz i cię stąd wypuścić.

Pokiwał głową, zerknął na mnie, a potem spojrzał na stół. – Jeślibym stąd wyszedł... – zaczął i urwał w pół zdania.

– No mów – zachęciłem go. Ucieszyłem się, że przynajmniej wziął pod uwagę tę możliwość.

– To nic takiego. Głupi pomysł. Będzie się pan śmiał.

– Zobaczymy.

Tylko wzruszył ramionami.

– Nie zliczę, ile głupot powiedziałem w życiu – zapewniłem go. – Nie masz szans mnie w tym przebić.

Uśmiechnął się. Znów zerknął na mnie, tym razem trochę dłużej.

– Cóż, gdybym stąd wyszedł, nie miałbym dokąd pójść. Bishopowie nie wzięliby mnie z powrotem. – Odchrząknął. – Nie znaczy to, że sam bym do nich poszedł.

– To się da załatwić. Między Wydziałem Spraw Społecznych a Pomocą Rodzinie na Nantucket istnieje...

– Chodzi mi o to... Może mógłbym się na jakiś czas zahaczyć u pana? Myślę, że mógłbym się zmienić, gdybym miał obok siebie kogoś, komu mógłbym zaufać. No wie pan. – Spojrzał na mnie wyczekująco.

Zareagowałem z opóźnieniem, gdyż umysł miałem zaprzątnięty myślami o Billym Fisku. Sprawy mogłyby się potoczyć inaczej, gdybym wtedy zaryzykował.

Billy wyglądał na zawstydzonego.

– To głupi pomysł. To znaczy...

– Chciałbyś spróbować? – przerwałem mu.

– A pan? – W jego głosie pobrzmiwała mieszanina zdumienia, wątpliwości i ulgi.

– No pewnie – odparłem. – Czemu nie? Co mamy do stracenia?

Powiedzieliśmy sobie z Billym do widzenia i strażnik, przyjaciel Andersona,

zaprowadził mnie do tylnego wyjścia, żebym mógł dotrzeć do samochodu nie nagabywany przez hordeę dziennikarzy.

– Czekają na pana – wyjaśnił, podając mi egzemplarze „Boston Globe” i „Boston Herald”. Obie gazety, najwyraźniej chcąc zaspokoić apetyt czytelników na nowe informacje w sprawie Bishopa, opublikowały artykuły o mnie. Nagłówki były takie, jakie zwykle bywają w brukowcach: *Powrót doktora: Bohater dramatu zakładników wyjaśnia sprawę dzieci miliardera, Psychiatra, który się kulom nie kłaniał*. Fotografie, którymi zilustrowano artykuły, zostały zrobione podczas głośnego procesu Trevora Lucasa.

Mimo wszystko wiedziałem, że rozgłos może się nam przydać. Dziennikarze chętniej wysłuchają tego, co ja i Anderson będziemy mieli im do przekazania. Musiałem tylko we właściwej chwili pociągnąć za spust.

Było dziesięć po czwartej. W drodze do domu zadzwoniłem do laboratorium analitycznego w Mass General, żeby się dowiedzieć o wyniki badania krwi Tess. Laborant powiedział mi, że badanie toksykologiczne dało wynik ujemny: w jej krwi nie stwierdzono obecności żadnej nowej substancji. To wykluczało hipotezę, że zaburzenia oddychania spowodował jakiś środek, który jej podała Julia – przynajmniej taki, którego nie można było wykryć w rutynowym badaniu toksykologicznym. Następnie zadzwoniłem do Northa Andersona. Art Fields zawiadomił go, że otrzymał wyniki badań odcisków palców, które Leona zdjęła z wewnętrznej strony fiolki. Dotykały jej trzy osoby – w tym Darwin Bishop – ale nie było wśród nich Billy’ego. A więc bez niespodzianek.

– Myślę, że pozostałe odciski należą do Julii i może do farmaceuty, który realizował receptę – rzekł Anderson. – Mamy więc kolejną wyrwę w materiale dowodowym, jaki Harrigan zebrał przeciwko Billy’emu. – Zawiesił głos. – Jak przebiegła twoja wizyta u niego? Wpuścili cię bez problemów?

– Tak. Właśnie wracam.

– Jakie na tobie zrobił wrażenie? Trzyma się jakoś?

– Trochę stracił na wadze. I zaczął się bać. Ale nie stracił nadziei.

– Dobrze. To twardy chłopak. Powiedział coś, co moglibyśmy wykorzystać?

– Myśli, że Garret coś ukrywa. Chce, byśmy go jeszcze raz spytali, czy widział coś w noc, kiedy zamordowano Brooke.

– Trudno będzie się teraz do niego dostać, ale warto spróbować.

– Nic lepszego nie mamy.

– Więc przyjedziesz tutaj?

– Jak najprędzej.

– Zadzwoń przed odlotem. Wyjadę po ciebie na lotnisko.

– Zadzwonię.

Skręciłem w lewo w Winnisimmet Street, kierując się w stronę swojego domu. Na szczęście zerknąłem w pierwszą przecznicę o nazwie Beacon. Stały tam dwa range rovery Bishopa z zapalonymi silnikami. Zły znak. Przed wejściem do mojego domu stało dwóch ludzi Bishopa, ale nie zauważyłem, czy grzecznie naciskają dzwonek, czy szykują się do wylamania drzwi.

Obolały i bez broni, którą zostawiłem w mieszkaniu na stoliku, wolałem nie szukać zaczepki. Pomyślałem, że polecę na Nantucket bez bagażu i kupię sobie coś do przebrania na wyspie. W zasadzie potrzebowałem tylko nowej pary dżinsów i czarnej bawełnianej koszulki. Mój ulubiony strój był poplamiony krwią, a koszulka na dodatek miała na plecach okropne rozdzarcie.

Skręciłem we Front Street i pojechałem prosto na lotnisko Logana, gdzie wszedłem do pierwszego samolotu odlatującego na Nantucket.

Anderson odebrał mnie z lotniska o siódmej trzydziści, czyli na godzinę przed spotkaniem z burmistrzem Keene. Pojechaliśmy do tymczasowego punktu dowodzenia kwatery policji stanowej, który urządzono w przyczepie kempingowej zaparkowanej obok komendy policji.

Brian O'Donnell przywitał nas bardzo uprzejmie, może dlatego, że spodziewał się, iż Anderson wyleci z pracy.

Przechodząc przez pokój operacyjny ze stołem zawalonym mapami wyspy i ścianami obwieszonymi zdjęciami lotniczymi różnych jej zakątków, z trudem powstrzymałem się od uszczypliwej uwagi, że Billy'emu najwyraźniej udało się uciec, zanim samochody terenowe i helikoptery zaczęły przeczesywać żurawiny i trudno dostępne lasy.

Anderson wykazał się mniejszą powściągliwością.

– Zastosowaliście kamery termowizyjne, przeszukując Błonia?

– Zdaje się, że tak – odparł O'Donnell, nie pozwalając się wyprowadzić z równowagi.

– Znaleźliście coś? Jakiegoś zbłąkanego psa lub kota? Można by z tego zrobić ciekawą historię dla wiadomości telewizyjnych. Wydział zaskarbiłby sobie przychylność opinii publicznej. Trzeba pokazać, że taka kosztowna szopka przyniosła jakieś efekty.

– Znaleźliśmy tego, kogo szukaliśmy – odparł O'Donnell, przez króciutką chwilę uśmiechając się do nas. – Tylko to się liczy.

Biuro O'Donnella zajmowało jedną trzecią przyczepy. Kapitan zajął miejsce za aluminiowym stolikiem, który służył mu za biurko. My usiedliśmy na plastikowych krzesłach naprzeciwko niego. O'Donnell założył ręce na kark.

– Czym mogę wam służyć? – zapytał.

Od razu przeszedłem do rzeczy.

– Chciałbym jeszcze raz przesłuchać Garreta Bishopa – powiedziałem.

– Wykluczone – sprzeciwił się O'Donnell.

– Dlaczego? – spytał Anderson.

– Wiecie dlaczego. Zamykamy dochodzenie. Mamy zeznanie Garreta. Podejrzany jest aresztowany. Za dzień lub dwa wielka ława przysięgłych postawi go w stan oskarżenia.

Powiedział nam dobitnie: „Przestańcie mącić”.

– Uważam, że Garret może ujawnić ważną informację na temat tego, co się wydarzyło w domu Bishopa tej nocy, której zamordowano Brooke.

– Sprawa jest jasna jak słońce na plaży – odparł O'Donnell z krzywym uśmiechem. Zerknął na Andersona, aby mu dać do zrozumienia, że widział jego zdjęcie z Julią. Odczekał chwilę, żeby ta jego niezbyt subtelna aluzja dotarła do nas. – Wiadomo, jak Billy wkroczył na drogę przestępstwa. Zaczęło się od torturowania zwierząt, potem przyszły włamania, niszczenie cudzej własności, podpalenia i w końcu zabójstwo. Przerabialiśmy to wiele razy.

– Tylko że odciski palców na fiolce nie pasują do tego obrazu – zauważył Anderson.

– Nie muszą – zaproponował O'Donnell. – Trudno dokonać włamania, nie zostawiając śladu, chyba że jest się komandosem z SEAL. Rzecz w tym, że nawet jeśli przyjmiemy, iż jego odciski znajdowały się w tym domu dlatego, że przez wiele lat w nim mieszkał, Billy z pewnością zadbał, by nie było ich na niczym, co łączyłoby się z przestępstwem, które popełnił. To proste: był w rękawiczkach i tyle.

– Wątpię, byście uzyskali wyrok skazujący przy tych dowodach, jakie macie – stwierdziłem. – Garret może wam to ułatwić. Może świadczyć przeciwko Billy'emu, a nie na jego korzyść. Ja nie mam pojęcia, co powie.

– Uzyskamy wyrok skazujący – zapewnił nas O'Donnell. – Billy Bishop pójdzie siedzieć do końca życia. Macie na to moje słowo.

– Każdy przyzwoity adwokat przesłucha mnie i dowie się, że mam wątpliwości co do winy Billy'ego – powiedziałem. – Przysięgli też to usłyszą. Lepiej je teraz rozwiąć.

– Sędzia przydzielił Billy’emu adwokata z urzędu, Marka Hermana – poinformował nas O’Donnell. – Jestem pewien, że będzie z wami w kontakcie. To porządny gość. Bishopowie nie wynajmą prawnika.

Nie znałem Marka Hermana, ale zastanowił mnie ton głosu O’Donnella. Czy to możliwe, że Herman też został przekabacony? Może zamiast wnosić o uniewinnienie, będzie przekonywać Billy’ego, żeby się przyznał do mniejszego przestępstwa, na przykład zabójstwa drugiego stopnia. Wymieniliśmy z Andersonem sceptyczne spojrzenia. Stało się dla mnie jasne, że nic nie wskóramy u O’Donnella. Postanowiłem spalić za sobą mosty.

– Tak naprawdę to współczuję takim ludziom jak pan – powiedziałem.

– Doprawdy? – rzekł O’Donnell.

– Trudniej rozpoznać socjopatę, gdy nosi mundur, ale jestem pewny, że przeżył pan coś okropnego, co wywarło fatalny wpływ na pańską psychikę. Nic nie bierze się z powietrza.

– Sądzę, że nasze spotkanie jest skończone.

– Pytanie tylko, co to było – dodałem.

O’Donnell wstał.

– Co tak bardzo pana zraniło, że nawet odznaka nie pomogła rozładować pańskiej nienawiści do ludzi?

O’Donnell wyszedł z biura.

– Traficie do wyjścia! – zawołał do nas.

Reszta dnia przypominała obijanie się o ściany w nie kończącym się labiryncie. Spotkanie Andersona z Keene’em przebiegło tak, jak można było się spodziewać. Burmistrz podał mu najpierw fotografię, na której Anderson obejmował Julię nad brzegiem morza, a potem decyzję o zawieszeniu na trzy miesiące bez wynagrodzenia, motywując to niewłaściwym prowadzeniem się.

Pojechaliśmy z Andersonem do domu Bishopa w nadziei, że natkniemy się na Garreta, ale po drodze zatrzymał nas patrol policji stanowej.

Zadzwoiłem do Mass General, żeby poprosić Julię o zorganizowanie nam spotkania z Garretem, ale odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłem powiedzieć choćby słowo.

W końcu skontaktowałem się z Carlem Rossettim – chciałem, aby sprawdził, czy moglibyśmy uzyskać postanowienie sądowe, które pozwalałoby nam przesłuchać Garreta za zgodą Julii. Rossetti udał się do niej do szpitala, otrzymał jej pisemną zgodę, ale w sądzie dowiedział się, że prawnicy Bishopa

wcześniej uzyskali postanowienie, które zakazywało komukolwiek dostępu do Billy'ego lub Garreta bez zgody obojga rodziców.

Musiałem przyznać, że Billy był w coraz gorszym położeniu. Miałem wrażenie, jakby wszystko się sprzysięgło, żeby na stałe obsadzić go w tym dramacie w roli zabójcy, z której nie uwolni go nawet prawda.

Przy kawie w Brotherhood of Thieves, ulubionej knajpce Andersona, rozważyliśmy, co jeszcze możemy zrobić. Uzgodniliśmy, że poinformujemy o wszystkim media w nadziei, że ujawnienie faktów wzbudzi w opinii publicznej wątpliwości co do winy Billy'ego. Gdybym nam się to udało, prokurator straciłby pewność, że uda mu się uzyskać wyrok skazujący, i wolałby się wstrzymać z wystąpieniem do wielkiej ławy przysięgłych o postawienie Billy'ego w stan oskarżenia. Byłem niemal pewien, że Carl Rossetti zgodziłby się go reprezentować, nawet pro bono, jeśli okazałoby się to konieczne. Rozgłos zwróciłby mu koszty z nawiązką.

Ta strategia była jednak oparta na kruchych podstawach. Anderson musiał oddać odznakę, co oznaczało, że ja również oficjalnie zostałem odsunięty od sprawy. O'Donnell przypuszczalnie zechce przedstawić nas prasie jako byłych członków swojego zespołu, którzy poszli w odstawkę i manifestacyjnie okazują niezadowolenie. A to mogłoby spowodować, że nasza wersja wydarzeń nie przebije się do druku i na antenę. W tych czasach niezależni dziennikarze trafiają się o wiele rzadziej niż niezależni bankierzy.

Gdy czekaliśmy na rachunek, zadzwonił mój telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer szpitala Mass General. To pewnie Julia, pomyślałem. Chce mnie przeprosić za to, że odłożyła słuchawkę. Było mi trochę niezręcznie rozmawiać w obecności Northa, ale nie chciałem przegapić żadnej ważnej informacji.

Anderson rozszyfrował powód mojego wahania. Bez wątpienia Julia wciąż zaprzętała jego myśli.

– Odbierz, jeśli to ona – rzekł. – Mogę się przejść, jak chcesz.

– Zostań. – Nacisnąłem klawisz przyjęcia rozmowy. – Słucham – rzuciłem do mikrofonu.

– Frank, mówi John Karlstein. – Nigdy nie słyszałem, żeby mówił takim poważnym głosem.

Gwar panujący w restauracji nagle jakby ucichł. Słyszałem, jak mi wali serce. Tess umarła, pomyślałem. Spojrzałem na Northa Andersona. Nie po to, by go zobaczyć, ale raczej poszukać u niego pomocy. Kotwicy. Wy płynąłem zbyt daleko na wzburzone morze. Po sprawie Trevora Lucasa z trudem zdołałem dojść do ładu ze swoją psychiką. Gdyby teraz się okazało, że nie zapobiegłem

zamordowaniu małej Bishopówny, byłoby to tak, jakbym stracił maszt – do końca życia bym tylko dryfował. Biorąc tę sprawę, wiedziałem jednak, co ryzykuję. Zwierzyłem się z tych obaw Justine Franzy, której tak się spodobał mój obraz Bradforda Johnsona przedstawiający załogę jednego statku ratującą załogę drugiego. „A gdyby oba statki zatonięły?” – zapytałem wtedy.

Anderson kiwnął głową, dodając mi otuchy.

– Jesteś tam, Frank? – zapytał Karlstein.

Jeśli ludzie używają twojego imienia w krótkiej rozmowie – zwłaszcza gdy robią tak dwa razy z rzędu – znaczy to, że usiłują nawiązać z tobą kontakt emocjonalny, wesprzeć cię.

– Masz złe wieści – stwierdziłem.

– Obawiam się, że tak. Nikt nie mógł tego przewidzieć.

Zamknąłem oczy.

– Co się stało? – zapytałem.

– Chodzi o Julię.

Uniosłem powieki, ale nie całkiem.

– Julię? Co się z nią stało?

Anderson spojrzał na mnie zaniepokojony.

– Jezus Maria – szepnął. – Co jej jest?

Spuściłem wzrok, słuchając Karlsteina. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Zostawiłem Julię samą, na pastwę losu.

– Pamiętaj, że wiem to wszystko z drugiej ręki – mówił Karlstein. – Nie było mnie na telemetrii, gdy to się stało. Krótko mówiąc, znowu przyszedł jej mąż. Zdaje się, że chciał, by podpisała jakieś dokumenty. Ona zaś przypomniała mu, że ma zakaz zbliżania się do dziecka, i powiedziała, żeby wyszedł. Postąpiła słusznie. A kiedy nie chciał posłuchać, poprosiła jedną z pielęgniarek, żeby wezwała policję.

– I co?

– I wtedy on wpadł w szal. Kilku ludzi musiało go od niej odciągnąć.

Spojrzałem na Northa.

– Darwin ją pobił – powiedziałem do niego.

– Pieprzony skurwiel – parsknął Anderson.

Miałem wrażenie, że Karlstein przygotowuje mnie na najgorsze.

– Ale żyje, tak? – zapytałem.

– Oczywiście, że tak.

– Jaki jest jej stan?

– Stabilny, ale odniosła trochę poważnych obrażeń. Ma mocno opuchniętą twarz z powodu złamania żuchwy, cztery złamane żebra i uszkodzoną wątrobę. Położyłem ją na OIOM-ie, na wszelki wypadek. Zrobiłem tomografię głowy, która nic złego nie wykazała. Zanim ją stąd wypuszczę, zlecę powtórzenie tomografii, by się upewnić, że nie doszło do krwotoku wewnątrzczaszkowego. Przyszedł okulista, żeby zbadać jej oko. Prawe było tak opuchnięte, że nie mogła go otworzyć. Nie wygląda jednak na to, by doszło do uszkodzenia siatkówki. – Zamilkł na chwilę. – Wydobrzeje, w każdym razie fizycznie. Emocjonalnie pewnie też, ale na pewno potrwa to dłużej.

– Ma kontakt z otoczeniem?

– Podaję jej silne dawki darvocetu, żeby spała, ale kiedy jest przytomna, reaguje prawidłowo. Nie jest zdezorientowana. Wie, kim jestem, który dziś dzień, gdzie się znajduje, kto jest prezydentem i tym podobne.

– A co z Tess? Darwin chyba nic jej nie zrobił?

– Nawet nie chciał do niej wejść. On nie należy do tych ojców, którzy wpadają w szal, gdy nie mogą się dostać do dziecka. Opiekunka Tess mówi, że nawet nie próbował podejść do łóżka.

– Został aresztowany?

– Ochrona zatrzymała go do przyjazdu policji. Wyszedł stąd w kajdankach. Nie jestem prawnikiem, ale myślę, że mimo swoich koneksji pójdzie siedzieć. Masa świadków widziała, co zrobił. A z tego, co mówią, wynika, że chciał... Chciał ją zabić.

– Powiedz jej, że wkrótce u niej będziemy. To znaczy ja i mój przyjaciel North Anderson.

– Zaraz jej to powiem.

– Dzięki, John. Jeszcze raz.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia.

Rozłączyłem się.

– Wyjdzie z tego? – zapytał Anderson. – Co się, u licha, stało?

Opowiedziałem mu wszystko, czego się dowiedziałem od Karlsteina.

– Wygląda na to, że Bishop zaczyna pękać. Chyba naprawdę traci głowę. Ryzykuje, że zostanie oskarżony o złamanie zakazu zbliżania się i próbę zabójstwa. Grozi mu dwadzieścia lat odsiadki. – Mówiąc to, coraz jaśniej dostrzegałem, że Darwin Bishop naprawdę starał się zwalczyć swoje agresywne skłonności. Ale poślubienie modelki, zarobienie miliarda dolarów i wykupienie się do śmietanki towarzyskiej Manhattanu i Nantucket nie uwolniło go od jego

podstawowych instynktów.

– Teraz O'Donnellowi będzie o wiele trudniej zamknąć śledztwo – zauważył Anderson. – A nawet jeśli to zrobi, twój kumpel Rossetti z pewnością postara się wzbudzić wątpliwości u przysięgłych, czy prokurator posadził na ławie oskarżonych właściwą osobę.

Anderson miał rację.

– Co prawda, wolałem inaczej zdobyć punkty, ale nie mam zamiaru ich odrzucać – stwierdziłem.

– Ciekawe, co było w tych papierach, które podsunął Julii do podpisu?

– Myślę, że dowiemy się tego od gliniarzy, którzy go aresztowali. Jedziesz ze mną? – zapytałem.

– Jeśli wolisz pojechać do niej sam, zrozumiem. Tylko powiedz.

– Wiem. To dobry powód, byśmy jednak pojechali obaj.

Mimo że John Karlstein opisał mi obrażenia Julii i powiedział, że musiał ją położyć na obserwację na OIOM-ie, nie byłem przygotowany na to, co zobaczyłem. Może dlatego, że miałem żywo w pamięci jej niezwykłą urodę albo może po prostu nie chciałem przyjąć do wiadomości tego, co mi powiedział przez telefon, w każdym razie wstrząsnął mną widok sińców, opuchniętego prawego oka, policzków i ust. Podobnie jak wchodząca przez nos do gardła sonda żołądkowa, którą sączyła się zabarwiona krwią ciecz i która utrudniała Julii mówienie. Gdy to zobaczyłem, chciałem ją objąć, pogłaskać po głowie i obiecać, że wszystko będzie dobrze. Staralem się uśmiechać i mówić spokojnym głosem, gdyż widziałem, że uważnie nas obserwuje.

Andersonowi pierwszemu udało się zdobyć na żart.

– Ciekawe, jak wygląda ten drugi. – Sparafrazował stary dowcip, ale Julii najwyraźniej bardzo było potrzebne trochę humoru, bo się uśmiechnęła.

– Rozmawiałem z doktorem Karlsteinem – powiedziałem. – Wyzdrowiejesz. To tylko kwestia czasu. Musisz trochę poleżeć.

Julia próbowała coś powiedzieć, ale przez tę sondę zakrztusiła się i rozkaszała

Pochyliłem się nad nią i pomogłem jej usiąść, rozkoszując się tym, że mogę ją objąć.

– Poproszę o kartkę i ołówek – zaproponował Anderson. – Napiszesz, co chcesz nam powiedzieć. – Poszedł do dyżurki pielęgniarskiej.

Musnąłem ustami jej ucho i poczułem, że przesunęła ręką po mojej nodze.

– Przepraszam, że nie było mnie przy tobie. Już cię nie opuszczę. – Po policzku spłynęła jej pojedyncza łza. Wytarłem ją rękawem koszuli.

Wrócił Anderson. Podał Julii kartkę i notes. Napisała tylko trzy słowa: „Co z Tess?”

Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Niepokoiła się o córkę, chociaż sama ledwie żyła. Podejrzewanie jej, że mogła mieć coś wspólnego ze śmiercią Brooke i otruciem Tess, zakrawało na absurd.

– Doktor Karlstein mówi, że wszystko z nią w porządku. Potem do niej zajrzę.

Lekko kiwnęła głową. Następnie uniosła palec, dając nam znać, że chce jeszcze coś napisać. „Cieszę się, że widzę was razem” – naskrobała.

Przeczytaliśmy to i spojrzeliśmy z Andersonem po sobie. Też się cieszyliśmy, że nasza przyjaźń przetrwała, mimo że zakochaliśmy się w tej samej kobiecie. Oznaczało to, że przetrzyma prawie wszystko.

Ja miałem szczególny powód do radości, gdyż z tego, co napisała Julia, wynikało, że pomimo jej uczucia do Northa wybrała mnie i chciała być ze mną. Widziałem to również w jej oczach. Może jednak potrafi się związać z jednym mężczyzną.

– Musisz odpocząć – powiedziałem, pomagając jej się ułożyć na poduszkach. Zmarszczyła brwi.

– Co z Billym? – wyszeptwała.

– North i ja zaopiekujemy się nim.

Spojrzała na Andersona, szukając u niego potwierdzenia.

– Nie zostawimy go na pożarcie – obiecał jej.

Wyszliśmy z pokoju Julii o wpół do siódmej wieczorem. Opuszczając oddział, natknęliśmy się na Garreta. Zatrzymaliśmy się, a on do nas podszedł.

– Co tu robicie? – naskoczył na nas.

– Odwiedzaliśmy twoją matkę – odparłem. – Chyba wiesz, co ją spotkało.

Garret zerknął na Andersona.

– Czy ten sukinsyn wciąż jest w areszcie, czy też pozwoliliście mu wyjść za kilkaset tysięcy dolarów kaucji?

– Jest w więzieniu, tu w mieście – odpowiedział Anderson.

Garret skrzywił się i zazgrzytał zębami.

– Gdybyś powiedział nam wszystko, co wiesz o tej nocy, kiedy zamordowano Brooke – rzekł Anderson – sukinsyn mógłby spędzić resztę życia pod kluczem.

Ale jeśli nie zechcesz mu stawić czoła, niczego nie mogę ci gwarantować.

Garret rozejrzał się dookoła, a potem znów popatrzył na nas. Wzjął głęboki oddech.

– Czy dostałbym jakąś ochronę? – zapytał.

Serce podskoczyło mi na myśl, że Garret wreszcie zdecydował się postawić ojcu.

– Ochronę policyjną? – spytał Anderson. – Myślę, że w tych okolicznościach dałoby się to załatwić. Jestem nawet tego pewny.

– Komu miałbym złożyć zeznanie? – pytał Garret, wyraźnie starając się uspokoić.

– Przesłuchiwałyby cię trzy osoby: funkcjonariusz policji bostońskiej, funkcjonariusz policji stanowej i prokurator okręgowy. Doktor Clevenger i ja także moglibyśmy być obecni. – Zerknął na mnie, a potem znów spojrzął na Garreta. – Moglibyśmy nawet ściągnąć paru dziennikarzy. Dzięki temu przemawiałbyś do całego stanu, a nawet całego kraju.

Garret przez kilka sekund stał ze zwieszoną głową, trawiając naszą ofertę. Potem znowu na nas spojrzął.

– Niech pan to zorganizuje – powiedział do Andersona. – Chcę, żeby ten drań poszedł siedzieć na resztę życia. Nigdy więcej nie podniesie ręki na moją matkę.

– Załatwione – rzekł Anderson. – Spotkamy się w holu za godzinę i zawieziemy cię na komendę. Od razu zabieram się do roboty.

– Do zobaczenia – powiedział Garret. Minał nas i poszedł w stronę OIOM-u.

– To jest to – ucieszył się Anderson. – Naoczny świadek potwierdzający związek Darwina ze śmiercią Brooke pozwoliłby postawić go w stan oskarżenia. Mam nadzieję, że Garret do końca zachowa zimną krew i się nie spietra.

– A co z postanowieniem sądu, które zakazuje przesłuchiwania Garreta bez zgody obojga rodziców?

– Zadzwoń do swojego kumpla Rossettiego i poproś go, żeby w te pędy zasuwał do sądu najwyższego w Suffolk. Skoro Darwin siedzi w więzieniu za napad na Julię, Rossetti powinien bez większego kłopotu przekonać sędziego, żeby cofnął zakaz. Ja załatwię resztę.

– Zajmę się tym.

– A zatem do zobaczenia w holu za, powiedzmy, czterdzieści pięć minut.

– Za czterdzieści pięć minut.

Była prawie dziesiąta, nim w pokoju przesłuchań komendy głównej policji

bostońskiej przy Causeway Street zjawili się wszyscy ważni gracze: detektyw Terry McCarthy z Bostonu, kapitan policji stanowej O'Donnell, prokurator okręgowy Tom Harrigan i Carl Rossetti, który teraz oficjalnie reprezentował Julię, Garreta i Billy'ego.

Dwie godziny wcześniej Rossettiemu udało się skłonić sędziego Bartona z sądu najwyższego w Suffolk, by wydał postanowienie pozwalające nam przesłuchać Garreta.

Napaść Darwina Bishopa na Julię zmniejszyła animozje między zgromadzonymi w pokoju przesłuchań. Miliarder był skończony i jego poplecznicy o tym wiedzieli. Okazało się, że w szpitalu podsunął Julii do podpisania wnioski o zamknięcie dwóch kont bankowych na nazwiska bliźniaczek, na których znajdowało się po ćwierć miliona dolarów. Tak się również złożyło, że miał przy sobie dwa bilety w jedną stronę do Aten – miły przystanek, zanim na zawsze rozplynie się w powietrzu. Jeden bilet wystawiony był na jego nazwisko, a drugi na Claire Buckley.

Postanowiliśmy, że przesłuchanie przeprowadzi Terry McCarthy. Ten wygadany mężczyzna po czterdziestce, choć wyglądający na pięćdziesiąt pięć, grał kiedyś w hokeja w drużynie Boston College. Z tych czasów został mu specyficzny sposób chodzenia: przy każdym kroku pochylał prawe ramię, trochę podnosząc, a trochę przesuwając stopy, jakby ślizgał się na lodzie. Pomimo łagodnego głosu potrafił tak spojrzeć na człowieka, że miało się wrażenie, iż za chwilę przycisnie cię do bandy lub zdejmie rekawice i rzuci się na ciebie z gołymi pięściami. Być może dzięki temu umiał wyciągnąć prawdę niemal z każdego.

McCarthy usiadł tak, że po skosie przez stół miał Garreta. My siedzieliśmy za nim. McCarthy włączył magnetofon.

- Może na początek podaj swoje nazwisko – powiedział do Garreta.
- To proste – odparł. – Garret Bishop.
- Data urodzenia.
- 13 października 1984 roku.
- A którego mamy dzisiaj?
- 29 czerwca 2002.
- Czy składasz to zeznanie dobrowolnie? Z własnej woli?
- Tak.
- Nikt cię do tego nie zmuszał? Nie oferował ci czegoś w zamian?
- Niestety, nie – odparł Garret z leciutkim uśmiechem.

Kapitan O'Donnell roześmiał się.

W oczach McCarthy'ego również widać było wesołość.

– Po prostu odpowiadaj na pytania – pouczył Garreta Rossetti. – Nie dowcipkuj, dobrze?

– Zapytam cię jeszcze raz – rzekł McCarthy, opierając się o stół i przemawiając szczególnie łagodnym głosem. – Czy nikt nie oferował ci niczego w zamian za to zeznanie?

– Nie – powtórzył Garret.

– Dobrze. Zaczniemy więc. Opowiedz nam, co widziałeś w nocy 21 czerwca 2002 roku.

Garret popatrzył na McCarthy'ego tak, jakby chciał odpowiedzieć, ale zamiast tego skulił się na krześle i opuścił wzrok. Minęło kilka sekund.

– Garret – ponaglił go McCarthy.

Brak odpowiedzi.

Zerknąłem na Andersona, który zaniepokoił się tak samo jak ja, że Garret stracił zimną krew.

– Garret, jeśli nie chcesz... – zaczął McCarthy.

– Proszę mi powiedzieć, co zrobiliście, żeby zapewnić mi bezpieczeństwo – rzekł Garret, wpatrując się w stół.

– Dobrze. Zostanie ci przydzielony funkcjonariusz policji stanowej jako ochroniarz. Będzie ci towarzyszył przez co najmniej sześć miesięcy lub dłużej, jeśli osoba, którą oskarżysz o przestępstwo, stanie przed sądem. Ważne jednak, abyś rozumiał to, co powiedzieliśmy twojemu adwokatowi i matce: nie możemy ci niczego zagwarantować. Nic, co zrobimy, nie wyeliminuje zagrożenia całkowicie.

Garret zacisnął usta, najwyraźniej namyślając się nad tym, co usłyszał.

Mogliśmy tylko siedzieć i czekać. Przyjrzałem się zgromadzonym w pokoju. Tom Harrigan przewrócił oczami i wzruszył ramionami.

– Chcesz zmienić zdanie, Garret? – zapytał McCarthy. – Nie możemy cię do niczego zmuszać. – Jego głos mówił co innego. – Jeśli chcesz, możemy w każdej chwili to zakończyć. Wszyscy się rozejdą jakby nigdy nic.

Garret popatrzył na niego, zerknął na mnie. Upłynęło jeszcze kilka sekund ciszy.

– Czytałem w swoim pokoju. Była mniej więcej jedenasta trzydzieści – powiedział w końcu.

Odprężyłem się nieco. Czulem, że zwyciężyliśmy. Popatrzyłem na Andersona.

Siedział z zaciśniętymi pięściami. Nadeszła chwila, na którą czekaliśmy.

– Czytałem i nagle usłyszałem na dole jakiś hałas, jakby coś upadło na podłogę. Hałas dobiegł z piwnicy.

McCarthy zachęcająco skinął głową.

– Ponieważ wszyscy już poszli spać, pomyślałem, że to dziwne. Zacząłem więc schodzić na dół. – Przymrużył oczy, jakby sobie wyobrażał tę scenę. – Przeszedłem przez salon, idąc w stronę kuchni, gdzie są drzwi do piwnicy, gdy usłyszałem zbliżające się kroki. Zatrzymałem się i wtedy do pokoju wszedł Darwin. – Garret urwał i spojrzał wprost na McCarthy'ego. – Trzymał w ręku tubkę uszczelnacza do okien.

W pokoju przesłuchań zrobiło się cicho jak makiem zasiał. To, co powiedział, już pozwalało wyciągnąć Billy'ego z opresji, ale Garret jeszcze nie skończył.

– Powiedziałem Darwinowi, że usłyszałem jakiś hałas w piwnicy – ciągnął Garret. – Odparł, żebym się nie martwił, bo coś zrzucił, i że mam wracać do swojego pokoju.

– I co zrobiłeś? – zapytał McCarthy.

– Poszedłem na górę, ale nie podobało mi się to wszystko. Miałem złe przeczucia. Przede wszystkim Darwin nigdy nie schodził do piwnicy. A poza tym wyglądał, jakby był zamroczony.

– Zamroczony – powtórzył McCarthy – Przygnębiony czy zły, czy coś w tym rodzaju – wyjaśnił Garret. – Nie wiem.

– Co się stało później?

– Usłyszałem, że przechodzi obok mojego pokoju i idzie w stronę sypialni dziewczynek. Poczekalem więc, aż przejdzie, a potem wymknąłem się z pokoju i poszedłem za nim.

– I co było dalej? – zapytał McCarthy.

Garret zamknął oczy.

– Zobaczyłem, jak bierze tubkę z uszczelnaczem i...

– Co z nim zrobił?

– Włożył go do nosa Brooke. Najpierw do jednej dziurki, a potem do drugiej. Następnie do buzi. – Garret otworzył oczy. Były pełne łez.

Po raz pierwszy zobaczyłem Garreta płaczącego. I po raz pierwszy wyglądał na swój wiek – dorastający chłopiec, który nie zawsze panuje nad swoimi emocjami, ale stara się zachowywać jak mężczyzna w najgorszych nawet okolicznościach.

– I co się potem stało? – spytał niewzruszony McCarthy.

– Wróciłem do swojego pokoju – odparł Garret, wycierając łzy z policzków.

– I nikomu o tym nie powiedziałeś, aż do tej pory?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bałem się.

– Kogo?

– Darwina.

– Dlaczego?

– Bo widziałem, jak bił mojego brata do nieprzytomności. Bo nie raz mi groził, że mnie zabije, jeśli nie będę go słuchać, a co dopiero mówić... o wydaniu go policji.

– To dlaczego teraz zdecydowałeś się zaryzykować?

Garret przełknął ślinę i wziął głęboki oddech.

– Widziałem, co zrobił mojej matce. – Wargi znowu zaczęły mu drżeć. – Gdybym wcześniej odważył mu się przeciwstawić, nigdy by do tego nie doszło. Musiałem to zrobić, zanim ją zabije.

Garret opuścił pokój przesłuchań pod policyjną eskortą. Miał przenocować w Bostonie, a następnego dnia pojechać z powrotem na Nantucket.

Pierwszy zabrał głos O'Donnell.

– Kapitanie Anderson, na podstawie tego, co przed chwilą usłyszałem, jak również odcisków palców zdjętych z fiolki, oraz innych poszlak, proponuję oskarżyć Darwina Bishopa o zabójstwo córki, Brooke, i próbę zabójstwa drugiej córki, Tess. – Zerknął na Toma Harrigana. – Zakładam, że biuro prokuratora okręgowego zwróci się do wielkiej ławy przysięgłych o postawienie panu Bishopowi powyższych zarzutów, a także oskarżenie go o próbę zabójstwa żony dziś rano.

– Staniemy przed ławą przysięgłych, gdy tylko się zbierze – oświadczył Harrigan.

– Mam nadzieję, że równie szybko załatwimy zwolnienie Billy'ego Bishopa – powiedział Carl Rossetti.

– Wycofamy oskarżenie przeciwko niemu tak szybko, jak to tylko będzie możliwe – zgodził się Harrigan.

– To znaczy kiedy? – zapytał Rossetti z kamienną twarzą.

– Zajmę się tym osobiście jutro rano – odparł Harrigan.

Terry McCarthy spojrział na mnie i Andersona.

– To znaczy, że Billy wyjdzie jutro przed południem. Przyjedziecie po niego? – zapytał nas.

Anderson odwrócił się do mnie.

– Zajmiesz się tym, Frank? – zapytał, mrużąc oko. – Ja muszę dziś wieczorem wracać na wyspę.

– Oczywiście – odparłem. – Z wielką przyjemnością.

Kiedy pokój opustoszał, wziąłem O'Donnella na stronę.

– Chyba jest mi pan coś winien – oświadczyłem.

– Co? – Rozzłościł się. – Chce pan oficjalnych przeprosin? Mam skontaktować się z prasą i powiedzieć im, jaki z pana, kurwa, jest geniusz? Mało panu jeszcze sławy, doktorze?

– Nie – odparłem. – Nie o to chodzi.

O'Donnell nie odszedł.

Jest ci winien prawdę i on o tym wie – rzekł mój wewnętrzny głos.

– Chodzi mi o to, co powiedziałem panu w biurze – wyjaśniłem.

O dziwo uśmiechnął się dobrodusznie.

– Ze jestem socjopata?

A zatem wiedział, do czego zmierzam.

– Nie tyle, że jest pan socjopata, ile że coś nie pozwalało panu postępować właściwie w tej sprawie. – Zauważyłem że zeszywniał. Pokręciłem głową i spojrzałem w bok, dając mu trochę oddechu. – Ale to już nieważne. Nie żywię do pana urazy. Chcę tylko, by mi pan odpowiedział na jedno pytanie. – Znow na niego spojrzałem.

Wciągnął powietrze i powoli je wypuścił.

– Już pan pytał. – Utkwił we mnie wzrok.

– Przeżył pan coś bolesnego, prawda? Chcę wiedzieć, co to było.

Uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Po co? Ma to dla pana jakieś znaczenie?

– Ma.

– Ale jakie?

– Po prostu ma. – Mogłem powiedzieć coś więcej. Mogłem mu powiedzieć, że zawsze szukam źródeł pierwotnego zła, jego nasion, ale nigdy nie udało mi się ich znaleźć. Mogłem mu powiedzieć, że tak naprawdę każdy stara się utylizować ból i że właściwie wykorzystana empatia naprawdę przerywa łańcuch zadawania ran – i uzdrawia ludzi. I mogłem mu powiedzieć, że ta świadomość dodaje mi

otuchy i że dzięki niej nie skończyłem jeszcze w ryszotoku, gdyż potwierdza, że ludzie warci są zachodu jako gatunek i zdolni do okazywania większego współczucia, niż to się na pozór wydaje. – Gdyby się okazało, że braliśmy się za łąby tylko dlatego, że starał się pan być lojalny wobec burmistrza lub Darwina Bishopa, nie umiałbym sobie z tym poradzić. Nie rozumiałbym tego, wie pan...

– Musi pan wiedzieć, dlaczego ludzie postępują tak, jak postępują. Chce pan, żeby wszystko miało sens.

– Tak.

O'Donnell zachichotał i spojrzał w bok. Uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Miałem siostrę. Gdy miała niespełna rok, porwał ją i zamordował jakiś włóczęga z Kolorado. – Wzruszył ramionami. – Może chciałem jak najszybciej zamknąć tę sprawę. Może nie chciałem dopuścić do siebie innej możliwości. Mój błąd. – Zerknął na mnie, po czym odszedł.

Zamknąłem oczy.

– Dzięki – powiedziałem cicho.

Niedziela, 30 czerwca 2002

Było po północy, lecz zamiast wrócić prosto do domu, pojechałem do więzienia hrabstwa Suffolk.

Na szczęście na nocnej zmianie znów pracowali przyjaciele Andersona. W dyżurce urzędował Tony Glass, energiczny mężczyzna po trzydziestce noszący okulary ze szklami jak denka butelek. Zapytał mnie, czy chcę się znowu widzieć z Billym.

- Nie – odparłem. – Chciałbym się zobaczyć z Darwinem Bishopem.
- Dziwne, co? Ojciec i syn jednocześnie w tym samym więzieniu.
- Nie na długo. Billy jutro rano powinien wyjść.
- To dobrze. Wygląda na porządnego chłopca. Tak mówią strażnicy. Polubili go.

Uśmiechnąłem się. Billy mógł sprawiać wrażenie miłego, ale potrafił też być agresywny i umiał manipulować ludźmi. Nie zapomniałem o tym.

- Jak chce, potrafi być czarujący – zgodziłem się.

- Przenieśliśmy ojca do izolatki, bo pobił go inny więzień. Jeśli nie robi to panu różnicy, najlepiej gdyby zobaczył się pan z nim w jego celi.

- Nie ma problemu. – Zastanowiło mnie, czy Bishop rzeczywiście wdał się w bójkę z innym więźniem, czy też dobrał mu się do skóry jakiś strażnik, który nie lubi damskich bokserów.

Blok izolatek znajdował się w podziemiu i przypominał inne bloki, z tą różnicą, że nie było tu wydzielonego miejsca, do którego dostęp mieliby wszyscy więźniowie, ani żadnych pomieszczeń rekreacyjnych. Było tu także ciemno i zimno, pewnie dlatego, by przypomnieć więźniom, że ich ochrona stanowi dodatkowe obciążenie dla systemu penitencjarnego i nie musi się wiązać ze stworzeniem im cieplarnianych warunków. Tylko kilka cel było zajętych. Strażnik zaprowadził mnie do ostatniej. Darwin Bishop leżał na pryczy ubrany w taki sam pomarańczowy strój jak Billy.

- Bishop, masz gościa – powiedział do niego strażnik.

Bishop usiadł.

Miał rozciętą wargę, ale poza tym wyglądał dobrze.

- Doktor Clevenger – rzucił. Jego głos nie brzmiał **już** tak mocno. – Co pana

sprowadza?

Właśnie, co? Czy chciałem się na własne oczy przekonać, że sprawiedliwość dosięgła w końcu człowieka, któremu tak długo udawało się jej wymykać? Czy też Julia wzbudziła we mnie tak niskie instynkty, że chciałem się delectować upadkiem rywala? To prawda, chciałem mu ją odebrać. W pewnym sensie planowałem to już wtedy, gdy spotkałem ją po raz pierwszy.

– Właściwie to nie wiem – bąknąłem.

– Tam, w szpitalu, nie chciałem jej skrzywdzić. Kocham ją, pewnie nawet za bardzo. Straciłem nad sobą panowanie. To zresztą częściowo pańska wina. Spotykał się pan z nią.

– Terroryzowanie żony to nie najlepszy sposób, by zapewnić sobie jej wierność. Podobnie jak romansowanie na boku.

– To pana nie usprawiedliwia. Ja panu niczego nie zabrałem.

– Czy dlatego wysłał pan wczoraj swoich ludzi do mojego mieszkania? Aby wyrównać rachunki?

– Tak. Szkoda, że pana nie było. Wyglądałby pan gorzej niż ja.

– Teraz już za późno.

– Możliwe. – Przejechał palcem po wardze. Leciała z niej krew. – Nie jest pan jej pierwszym kochankiem. Pański kumpel, North, również ją miał. Ona nie jest wybredna.

Nic nie powiedziałem. Bishop spojrzał na mnie.

– Jest to panu obojętne. I tak pan jej pragnie. Nie może pan bez niej żyć. – Zrobił pauzę. – Podobnie jak ja. – Spojrzał w sufit, wziął głęboki oddech i potrząsnął głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Następnie przesunął wzrokiem po ścianach. Głośno przełknął ślinę. – Już tu byłem – rzekł cicho. – Sam. Bez niczego. Zawsze wypływam na powierzchnię.

Zabrzmiało to niemal jak mantra, którą powtarzał, by dodać sobie otuchy. Prawie zrobiło mi się go żal.

– Nikt panu nie przeszkadza stać się bogatszym wewnątrz – poradziłem mu.

O siódmej rano zadzwonił do mnie Drake Slattery, lekarz Lilly, by mnie poinformować, że jego podopieczna wychodzi tego dnia do domu. Powiedziałem mu, że wpadnę się z nią zobaczyć.

Gdy wszedłem do jej pokoju, siedziała w fotelu obok łóżka. Była już w dżinsach i prostej jasnozielonej bluzce, włosy miała odgarnięte na bok, a usta pomalowane ładną różową szminką. Czytała jakieś czasopismo. Zapukałem.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

– Proszę, wejdz – powiedziała.

Przysunąłem sobie drugi fotel.

– Co czytasz? – Wskazałem czasopismo.

Podniosła je tak, żebym mógł przeczytać tytuł na okładce: „True Confessions”.

– Odpowiednia lektura, co? – rzuciła.

Uśmiechnąłem się.

– Chyba tak.

– Wychodzę dzisiaj do domu.

– Jak się czujesz?

– Szczerze?

– Oczywiście.

– Chciałabym to znowu zrobić.

– Wstrzyknąć sobie zarazki?

Kiwnęła głową.

– Przez cały czas o tym myślę. Czasem nawet śni mi się, że to robię. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Nie spodziewałam się, że będzie mi tak ciężko.

Przypadek Lilly przypominał sytuację narkomana, który próbuje odstawić narkotyki. Dla niej takim narkotykiem był zastrzyk i zakażenie, które się po nim wywiązywało. Powodował on u niej paraliż umysłu, tak że nie mogła się skupić na swoich skomplikowanych uczuciach do dziadka. Teraz pod naporem bolesnej rzeczywistości ten umysł błagał, by nie przerywała brania.

– Czy myślałaś jeszcze o swoich stosunkach z dziadkiem? – zapytałem.

Wydawało mi się, że nie chce o tym mówić, więc spróbowałem bardziej prowokacyjnego pytania.

– O czym myślisz, gdy leżysz w łóżku?

Zarumieniła się.

– Wyobrażam sobie... Mam sen, ale zupełnie inny niż to, co mi się śniło, gdy robiłam sobie krzywdę.

– Co ci się takiego śni?

– Śni mi się, że to ja robię jemu krzywdę.

Nie dziwiło mnie to. Im dłużej Lilly powstrzymywała się od swojego zgubnego nałogu i im częściej myślała o swoich nienormalnych stosunkach z dziadkiem, które stały się przyczyną tego nałogu, tym większe było prawdopodobieństwo, że wyzwoli to w niej złość. Chciałem, aby wiedziała, że nie

musi się jej wstydzić i może o niej otwarcie rozmawiać – ze mną lub ze swoim nowym (a moim dawnym) terapeutą Tedem Jamesem.

– W jaki sposób?

– To takie okropne.

– Ale to tylko sen. Jediną osobą, której to sprawia ból, jesteś ty.

Przez kilka sekund patrzyła na swoją nogę.

– Śni mi się, że leżę w łóżku – zaczęła z ociąganiem. – Dziadek przychodzi do mojego pokoju, żeby pocałować mnie na dobranoc. – Spojrzała na mnie.

– I co potem? – zapytałam, starając się, by zabrzmiało to beznamiętnie.

– Udaję, że śpię. On podchodzi coraz bliżej. Wydaje mi się, jakby trwało to całą wieczność. W końcu dostrzegam jego cień na ścianie. Widzę, jak się nachyla nade mną, by mnie pocałować. I gdy już ma dotknąć ustami mojego czoła, ja odwracam się... – Zamknęła oczy.

– I... – szepnąłem zachęcająco.

– Mam w ręku nóż – powiedziała, nie otwierając oczu.

– I co się dzieje?

Popatrzyła mi prosto w oczy.

– Podrzynam mu gardło. – Wyglądała na autentycznie przerażoną.

– I co potem?

– On patrzy na mnie tak przeraźliwie zdumiony, jakby nie miał pojęcia, dlaczego to zrobiłam. I to w tym wszystkim jest najgorsze. To jego spojrzenie. Gorsze nawet niż widok tego, co mu zrobiłam, no wiesz, krwi tryskającej mu z szyi. Nie mogę zapomnieć tego jego wyrazu twarzy.

Uważaj, żeby te jej uczucia nie przeniosły się na jawę – odezwał się mój wewnętrzny głos.

– Ale w tej chwili nie odczuwasz pokusy, by zrobić swojemu dziadkowi krzywdę, prawda?

Spojrzała na mnie, jakbym spadł z księżycy.

– Na Boga, oczywiście, że nie. Nigdy nie chciałam go skrzywdzić.

– Jasne, że nie.

Koszmar, który dręczył Lilly, był oczywisty. Przez wiele lat nie była pewna intencji dziadka i jego zakusów. Osaczał ją, był coraz bliżej, nawet jej nie dotykając. Dla nieświadomego umysłu dorastającej dziewczynki jego podchody wydają się trwać całą wieczność. Gniewają to, że nią manipuluje, ale tej złości towarzyszy również pociąg seksualny. Stąd wyobraża sobie, że zabija dziadka w momencie, gdy dotyka ustami jej czoła. Nawet zdumienie dziadka wydaje się

jak najbardziej na miejscu. Pewnie nigdy świadomie nie chciał skrzywdzić Lilly, lecz jedynie reagował automatycznie pod wpływem swoich wypaczonych odruchów emocjonalnych – swojego cienia – które zrodziły się na skutek jakiegoś urazu psychicznego doznanego w dzieciństwie.

Uświadomił mi to Ted James wiele lat temu. Próbował mi pomóc zapomnieć o złości do ojca, co nigdy do końca mi się nie udało.

– W końcu uświadomisz sobie – mówił James – że nie masz kogo winić czy nienawidzić. Twój ojciec był ofiarą, tak samo jak ty.

Spojrzałem na Lilly.

– Może twój dziadek wygląda na zdumionego – powiedziałem do niej – gdyż nigdy do niego nie dotarło, że wasze relacje stały się toksycznym związkiem. Może podobnie jak ty nie rozumiał, co się z wami działo.

– Innymi słowy, tak naprawdę wcale nie chciał mnie przelecieć.

– Być może nie.

Wyglądało na to, że głęboko zastanawia się nad tym spostrzeżeniem.

– Czy mówisz coś do niego, gdy patrzy na ciebie tym zdumionym wzrokiem?

Po tym, jak mu podrzynasz gardło? – spytałem.

– Nie. Wtedy właśnie się budzę.

– A co byś mu powiedziała?

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem – odparła.

– Pomyśl o tym.

Uśmiechnęła się, a następnie spojrzała w bok, przypuszczalnie zastanawiając się nad odpowiedzią. Po kilku sekundach znów popatrzyła na mnie.

– Miłych snów. Karaluchy do poduchy – roześmiała się.

Też się roześmiałem, aby rozładować napięcie. Gdyby była moją stałą pacjentką, jej słowa oraz ton głosu, jakim je wypowiedziała – łączącym niewinność ze złością i jakąś nieokreśloną zmysłowością – stanowiłyby idealne pole startowe do lotów nad obszarem jej traumy. To naprawdę dobry znak.

– Wszystko będzie dobrze – oświadczyłem.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem. – Wyciągnąłem do niej rękę. – Powodzenia. Będę o tobie myślał.

Tego dnia Billy miał wyjść z więzienia, ale tryby maszyny sprawiedliwości

zawsze się zacinają. Nie wyszedł ani tego, ani następnego dnia. Żartowaliśmy sobie, że pewnie wypuszczą go w Dzień Niepodległości, ale to także nie nastąpiło. Musieliśmy poczekać dziesięć dni, nim dokumenty przepłynęły z biura prokuratora okręgowego do więzienia. Wreszcie 10 lipca pojechałem do Zakładu Karnego Hrabstwa Suffolk, by zobaczyć, jak otwierają się dwie pary przesuwanych drzwi oddzielające niby dobro od zła. Billy podbiegł do mnie, tylko raz oglądając się za siebie.

– Nie mogę uwierzyć, że stamtąd wyszedłem – powiedział. – Dziękuję ci.

– Podziękowałbyś mi naprawdę, gdybyś pomyślał o czymś.

– O czym?

– O sobie. O kradzieżach, maltretowaniu zwierząt, podpalaniu. Nie można tego tak zostawić.

– To już przeszłość. Nie zmarnuję szansy, jaką mi dałeś.

– Tak długo, jak od niej uciekasz, przeszłość staje się przyszłością. Strata rodziców, wyjazd z Rosji, zamieszkanie u Darwina – mogę ci zaręczyć, że obojętnie jaką drogę wybierzesz, zaprowadzi cię ona do tego z powrotem. Nie uciekniesz. Widziałem to dziesiątki razy. U dzieciaków bardzo podobnych do ciebie.

Rozjaśnił się, słysząc ostatnie zdanie.

– Pomożesz mi? – zapytał.

– Pomogę, jeśli tego chcesz.

– Chcę. Naprawdę.

Terapia socjopatów jest o wiele trudniejsza niż leczenie ludzi z depresją czy nawet psychozą. Problem polega na tym, że oni nie dopuszczają do siebie myśli, że są chorzy. Winni są wszyscy inni. Gdyby świat dał im spokój, gdyby los się na nich nie wziął, wszystko byłoby w porządku.

– A zatem spróbujemy.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

Sposób, w jaki Billy zadał to pytanie, świadczył, że pamiętał, co mu obiecałem – że zgodzę się, by ze mną zamieszkał. Ja też o tym pamiętałem. Nietrudno mi było dotrzymać tej obietnicy, przynajmniej przez jakiś czas, gdyż wraz z Julią i Garretem mieliśmy zamieszkać w domu matki Julii w West Tisbury na wyspie Martha's Vineyard. Julia trzy dni temu wyszła ze szpitala, ale wciąż czuła się nie najlepiej, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie.

– Do domu twojej babki na Martha's Vineyard – odparłem. – Ja zamieszkam

w domku gościnnym, dopóki wszystko się nie ułoży.

- A więc trochę pobędziemy razem, tak jak obiecałeś?
- Na to wygląda.
- Czy Garret też tam będzie?
- Przeniósł już niemal wszystkie swoje rzeczy.

Billy kiwnął głową.

- Mam lepsze wspomnienia z zakładu karnego niż z domu Darwina. Przynajmniej nikt tam nie udawał, że nie jest to więzienie. Człowiek wiedział, czego może się spodziewać.

Dwa dni później Garret zeznawał przed wielką ławą przysięgłych. Towarzyszył mu Carl Rossetti i prokurator okręgowy Tom Harrigan.

Rossetti powiedział mi potem, że to było naprawdę przejmujące. Garret pocił się i drżał, potrzebował o wiele silniejszego wsparcia niż podczas przesłuchania na komendzie policji w Bostonie. Mimo to jego zeznanie wbiło *gwóźdź* do trumny Bishopa, gdyż było relacją naocznego świadka, który widział uszczelniacz do okien w ręku Bishopa i znalazł fiolkę nortryptyliny w jego biurku. Doskonale uzupełniały je dowody w postaci odcisków palców. Godzinę po zejściu Garreta z podium dla świadka ława przysięgłych wysunęła przeciwko Darwinowi Bishopowi oskarżenie o morderstwo pierwszego stopnia ze szczególnym okrucieństwem (lokalny dodatek w prawodawstwie stanu Massachusetts).

- Wiesz, pracuję w tym fachu tyle lat, że pewne rzeczy nie robią już na mnie wrażenia - powiedział mi Rossetti - ale kiedy Garret rozkleił się i zaczął z płaczem opowiadać, że pomimo tego wszystkiego, co się stało, wciąż bardzo kocha ojca, to sam się niemal wzruszyłem.

- Niemal?

- Powiedzieć ci szczerze? Naprawdę cierpię tylko wtedy, Franko, gdy przegrywam na torze. Jak stracę więcej niż patyk, płaczę jak dziecko. Wszystko inne po mnie spływa, rozumiesz?

- A więc tym razem się wzruszyłeś?

- Nawet dość mocno.

Kiedy Garret wrócił do domu, poszedłem do niego.

- Rozmawiałem z Carlem Rossettlem - powiedziałem. - Wiem, że ciężko przeżyłeś to, co się dzisiaj działo w sądzie.

- Nie sądziłem, że to okaże się takie trudne. Myślałem, że będzie mi łatwiej

niż poprzednim razem. Może to dlatego, że zbliżamy się do rozprawy.

– A sam proces będzie jeszcze cięższy. To normalne, że w pewnej mierze jesteś przywiązany do Darwina, pomimo tego, co ci zrobił.

– Tego właśnie nie rozumiem. Dlaczego miałbym się martwić losem człowieka, który znęcał się nade mną psychicznie?

Z odpowiedzią na to pytanie wiążą się kolejne dziwne ludzkie kalkulacje. Większość dzieci woli się łączyć, że kocha swoich rodziców, nawet jeśli odbywa się to kosztem ich szacunku do siebie. W wieku kilku lat łatwiej przyjąć do wiadomości, że jest się niekochanym nieudanym dzieckiem, niż zaakceptować, że mieszka się z potworem.

– Jeśli uznasz, że nie kochałeś Darwina, będziesz musiał przyjąć, że i on nigdy ciebie nie kochał – rzekłem. – Niełatwo się na to zdobyć, niezależnie od tego, czy ma się siedemnaście czy czterdzieści siedem lat. Wiem to po sobie.

– Czy twój ojciec... znęcał się nad tobą? – zapytał.

– Owszem. Bił mnie.

– O kurczę, przykro mi.

– Dzięki.

Potrząsnął głową i wziął głęboki oddech.

– Mimo że Darwin tak mnie traktował, zawsze uważałem, że nie robił tego naumyślnie. Nie umiał inaczej. Nie potrafił okazać, że mu na mnie zależy. Tak po prostu.

W głosie Garreta usłyszałem poczucie winy. W końcu miał wpakować swojego ojca na resztę życia do więzienia.

– Trudno sobie poradzić z takim problemem w jeden wieczór. Ale jeśli będziesz do niego wracał, zbliżysz się do prawdy. Powoli przestaniesz się jej bać, nawet jeśli początkowo będzie to bolesne.

Przez kilka minut nic nie mówiliśmy. Garret przerwał milczenie:

– Cieszę się, że jesteś z nami. Znaczą się, że zamieszkas tu przez jakiś czas.

Uścisnąłem jego ramię. – Ja też.

Matka Julii miała dom typowy dla wyspy Martha's Vineyard: duży, przerobiony ze stodoły, stojący na porośniętym bujną roślinnością wzgórzu niedaleko od morza. Podniszczony domek gościnny, w którym zamieszkałem, przeniesiono tu z Edgartown na przełomie stuleci. Wszędzie dookoła widać było krzaki dzikich jeżyn i agrestu, a w powietrzu unosił się zapach gęsto rosnącej słodkiej papryki.

Przez pierwsze kilka tygodni czułem się tu jak w raju. Nie dość, że Billy i Garret przychodzili do mnie po rady w sprawach sportu, przyszłej kariery i kłopotów sercowych, pozwalając mi odgrywać rolę dobrego tatusia, to na dodatek Julia cudowniej niż kiedykolwiek okazywała, że potrzebuje mojej opieki, i dostarczała mi niezwykle zmysłowych przeżyć. Zdarzało się, że wieczorami płakała w moich ramionach na wspomnienie okrucieństw Darwina, mówiąc mi, że tylko ja potrafię ją uspokoić. Łzy mieszały się u niej z przedziwną czułością i ciepła wilgoć tego eliksiru przenikała mnie na wskroś. W jednej chwili szeptała, że się boi, a w następnej pragnęła mieć mnie w sobie. Kochaliśmy się z taką intensywnością, że zacierała się granica między moją a jej rozkoszą i w równej mierze doznawałem obu. Stapiałem się z nią.

Te dni były dla mnie jak narkotyk, który pragnąłem brać do końca życia. Lecz w niedzielę 21 lipca, w niespełna trzy tygodnie po aresztowaniu Darwina Bishopa, odurzenie minęło i wszystko zaczęło się walić.

To był mój najmiłszy dzień na Vineyard. Julia, jej matka Candace, chłopcy i ja zjedliśmy późne, smaczne śniadanie, po czym Julia poszła czytać na werandę, a ja z Garretem i Billym graliśmy w piłkę w wodzie, unoszeni przez chłodne fale jakby stworzone do surfowania na brzuchu. Pod wieczór Julia powiedziała, że czuje się już lepiej i ma ochotę wybrać się na pierwszą prawdziwą wycieczkę. Zaproponowała przechadzkę o zachodzie słońca klifem przy Gay Head. Zgodziłem się i pojechaliśmy tam samochodem.

Stupięćdziesięciostopowe urwisko błyszczało w ostatnich promieniach słońca jak rozżarzone wnętrze ziemi. Fale odpływu rytmicznie omywały aksamitny piasek w dole, pozostawiając po sobie połyskującą w słońcu warstewkę wody.

Szliśmy skrajem klifu. Julia trzymała mnie obiema rękami za ramię.

– Po raz pierwszy w życiu czuję się bezpieczna – powiedziała. Zatrzymałem

się, odwróciłem do niej i pocałowałem ją w czoło. Jej szmaragdowe oczy dosłownie zaślniły.

– Ja też.

– Naprawdę?

Kiwnąłem głową.

– Ufasz mi? – spytała.

– Oczywiście, że tak.

– Więc zamknij oczy – powiedziała z figlarnym uśmiechem.

Zerknąłem na oddalone o trzy stopy urwisko.

– Jeśli ci się znudziłem, to po prostu powiedz.

Zaśmiała się jak mała dziewczynka.

– Powiedziałeś, że mi ufasz. – Pocałowała mnie, tuląc się mocno, i wsunęła mi język głęboko do ust. Położyła dłoń na moim kroczu i pociągnęła mnie o stopę bliżej urwiska. Jeszcze dwa kroki i stałbym się parolotniarzem bez parolotni. – No, zamknij oczy – powiedziała, masując mnie. – Będzie zabawnie, obiecuję ci.

Wziąłem głęboki oddech i przymknąłem oczy, aż Julia stała się tylko cieniem. Mimowolnie ugiąłem jedno kolano, aby stanąć pewniej. Namiętność i strach sprawiły, że poczułem uścisk w sercu. Po piersiach i brzuchu ściekały mi kropelki potu. Czułem, jak zbierają się w pępku, a potem spływają niżej.

Gorący język Julii przesunął się na moją szyję, a potem do ucha.

– Nie otwieraj oczu – szepnęła i odeszła.

Stałem tak przez kilka sekund pogrążony jakby w transie, nasłuchując swojego oddechu i patrząc, jak Julia oddala się ode mnie o kilka stóp.

– Nie oszukuj – upomniała mnie. Obróciła się i pobiegła.

Po chwili jej sylwetka roztopiła się w słonecznym blasku. Upłynęło piętnaście-dwadzieścia sekund. Słyszałem jedynie szum wiatru i szelest traw.

– W porządku! – zawołała Julia z oddali. – Szukaj mnie!

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się dookoła. Kolory trawy, oceanu, nieba i klifu wydawały się jeszcze bardziej jaskrawe niż poprzednio. Słońce wyglądało jak pomarańczowoczerwona piłka plażowa wisząca nad horyzontem.

Julii nigdzie nie było widać.

– Gdzie jesteś?! – zawołałem.

Brak odpowiedzi.

Przedemną rozciągał się pagórkowaty teren. Julia mogła leżeć gdzieś wśród falujących traw. Cofnąłem się od urwiska, szukając śladów stóp. Przeszedłem

kawałek i kilkanaście kroków po prawej zobaczyłem kępę kwitnących krzewów słodkiej papryki, do której wiodła ledwo widoczna ścieżka wygnieciona w trawie. Miałem przecucie, że Julia tam się schowała. Ruszyłem w stronę krzewów i kiedy byłem o dwa kroki od nich, usłyszałem chichot dobiegający spomiędzy liści. Powoli przeszedłem resztę drogi i ostrożnie rozchyliłem gałęzie. I wtedy ją zobaczyłem.

Leżała na plecach na posłaniu zrobionym z ubrania: nogi ugięte, kolana zsunięte razem, stopy szeroko rozstawione. Wyglądała jak syrena w czarodziejskim ogrodzie odpoczywająca między przyływami. Wiatr, który szeleścił liśćmi, rozwiewał jej czarne jedwabiste włosy. Uśmiechnęła się wstydliwie i rozchyliła kolana.

– Wejdiesz? – zapytała.

Wróciliśmy tuż przed dziesiątą wieczorem. Na podwórzu spotkaliśmy spacerującego Pete'a Magilla, ochroniarza Garreta. Pozdrowiliśmy go, po czym weszliśmy do środka.

Candace siedziała w salonie na mocno zniszczonej skórzanej kanapie i czytała jakieś czasopismo. Obok kanapy stała osobliwa gablotka z zabawkami jej dzieci: lalką Barbie, żołnierzami, metalowym samochodzikiem i pistoletem na kapiszony. Kiedy weszliśmy, podniosła wzrok.

– Dobrze się bawiliście? – zapytała.

– Ja tak – odparła Julia. – Myślę, że on też – roześmiała się.

– Oboje dobrze się bawiliśmy – potwierdziłem.

– Jak tam Tess? – spytała Julia.

– Śpi – odrzekła Candace. – Była bardzo grzeczna.

– Czy chłopcy są w domu? – zapytała Julia.

– Garret tak, a Billy poszedł do kina z tym kolegą, którego poznał w zeszłym tygodniu na plaży, Jasonem...

– Sandersonem – odpowiedziałem. – Sprawia miłe wrażenie.

– Może wreszcie Billy doczeka się prawdziwego przyjaciela – zauważyła Julia. Spojrzała na mnie z czułym uśmiechem. – Chyba nastąpił u niego przełom. Mamy odpowiedniego lekarza domowego.

– Mam nadzieję – rzekłem.

– Sprawdź, co u Tess, a potem kładę się do łóżka – oświadczyła Julia. Pocałowała mnie w policzek i odwróciła się do matki. – Może byście ze sobą porozmawiali. Nigdy tego nie robicie.

Candace spojrzała na mnie.

– Frank, wiedziałeś, że ona nas podpatruje?

Mrugnąłem do niej.

– Może porozmawiamy – powiedziała do Julii.

Odprowadziłem ją wzrokiem, gdy wchodziła po schodach na górę, po czym usiadłem na niesamowicie zniszczonym skórzanym fotelu stojącym na ukos od kanapy. – Julia wiele przeszła – stwierdziłem.

– Pod tą piękną powłoką kryje się twardy charakter – odparła Candace uprzejmie, ale przyjaźnie. Jej pomarszczone dłonie spoczywały teraz na czasopiśmie. Przez cienką jak papier skórę prześwitywały niebieskie nitki żył. – Jak wiesz, miała ciężkie dzieciństwo.

– Zdażyła mi trochę opowiedzieć o swoim ojcu.

– On był dla niej okropny. Naprawdę.

Julia powiedziała mi, że musiała konkurować ze swoimi braćmi o względy ojca i nie bardzo jej to wychodziło. Ale to jeszcze nie tragedia.

– A wiesz, co było dla niej najgorsze? – zapytałem na przynętę.

– Że on ją ignorował.

Kiwnąłem głową, ale nie odezwałem się, w nadziei, że powie coś więcej.

Nie potrzebowała zachęty. Może niecierpliwie czekała na tę rozmowę.

– Jeśli Julia zrobiła coś, co mu się nie podobało, przestawał z nią rozmawiać, patrzeć na nią i traktował ją jak powietrze. – Potrząsnęła głową. – Nigdy tak nie postępował wobec chłopców. Nigdy.

Spojrzałem na jej osobliwą gablotkę. Moją uwagę przyciągnęła metalowa karuzela z ręcznie malowanymi końmi. Obok niej stała porcelanowa lalka z błękitnymi kryształowymi oczami. Wyglądała jak żywa. Takie piękne zabawki. Nikt nie wystawia na pokaz złych wspomnień.

– Długo tak ją ignorował? – zapytałem.

– Tygodniami. – Zaczęła wykręcać sobie palce. – Parę razy trwało to nawet ponad miesiąc.

Nic dziwnego, że Julii tak bardzo zależało na zwróceniu na siebie uwagi mężczyzn.

– Czy twoim zdaniem dlatego podjęła pracę jako modelka? Kobiet na wybiegu nikt nie ignoruje.

– Owszem. Sądzę, że miało to wpływ na wiele wyborów, jakich dokonała w życiu.

– Na przykład?

– Na przykład na to, że nie odeszła wcześniej od męża. Wątpię, by ktoś inny na jej miejscu tak długo godził się na takie traktowanie.

Candace miała oczywiście rację. Julia nauczyła się znosić maratony złego traktowania jako dziewczynka, gdy nie mogła nic na to poradzić.

– A dlaczego ty nie odeszłaś wcześniej od męża? – zapytałem zdumiony napięciem w moim głosie. Było to pytanie, które zawsze chciałem zadać swojej matce.

Candace spojrzała na swoje dłonie i potrząsnęła głową.

– Nie wiem – odparła. – Źle postąpiłam. Powinnam była to zrobić.

To jej wyznanie sprawiło, że znów zacząłem jej współczuć. Bez wątpienia Candace miała swoje powody, dla których zdecydowała się zostać z mężem sadystą.

– Julia w końcu się uwolniła – powiedziałem. – Wystąpiła do sądu o zakaz zbliżania się dla męża i wyegzekwowała go. To wymagało od niej nie lada odwagi.

– Myślę, że teraz wszystko jest na dobrej drodze – rzekła Candace i kiwnęła głową w moją stronę. – W końcu ma ciebie.

Candace poszła spać, a ja ruszyłem do domku gościnnego. Noc była dość chłodna i od oceanu wiała słona bryza. Księżyc miał tak okrągłą i białą tarczę, że wyglądał jak na rysunku dziecka.

W połowie drogi do domku zerknąłem na okno do sypialni Julii. Paliło się światło, okiennice były otwarte i zobaczyłem Julię wyciągającą koszulkę z szortów. Zatrzymałem się i patrzyłem, jak się pochyła i zdejmuje ją przez głowę, odsłaniając idealne piersi. Gdy rozpięła guzik szortów i rozsunęła zamek błyskawiczny, materiał wdzięcznie rozchylił się na biodrach. Choć czułem jeszcze dotyk i smak jej ciała, nie mogłem oderwać od niej wzroku, czekając, aż zdejmie te szorty i figi, które miała pod spodem.

Właśnie wtedy, kiedy Julia położyła ręce na biodrach i pochyliła się, usłyszałem za sobą kroki. Odwróciłem się i zobaczyłem, że w cieniu, kilka kroków ode mnie, stoi Billy. Poczujęm się jak podglądacz przyłapany na gorącym uczynku. Z drugiej jednak strony czułem się, jakbym sam przyłapał podglądacza. Czyżby Billy czatował pod oknem Julii, czekając, aż się zacznie rozbierać?

– Siemasz – bąknąłem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Nie odpowiedział.

– Billy?

– Przepraszam – szepnął.

Sprawiał wrażenie tak zawstydzonego i przestraszonego, że zamiast martwić się jego podglądactwem, zrobiło mi się go żal.

– Porozmawiajmy – powiedziałem, podchodząc do niego, ale na widok jego twarzy zakręciło mi się w głowie i zatrzymałem się jak wryty. – Co, u licha, się stało?

Billy spojrział w dół i przejechał drżącymi dłońmi po swojej koszuli w białoniebieskie paski. Była poplamiona krwią. Jego palce również.

Oblałem się potem zimniejszym niż nocne powietrze.

– Wszystko z tobą w porządku? – rzuciłem automatycznie. Ruszyłem ku niemu.

– Myślę... że mogłem kogoś zabić – powiedział i zaczął płakać.

Zatrzymałem się.

– Zabić... Kogo? – Obrzuciłem go wzrokiem, chcąc sprawdzić, czy ma broń. Niczego nie zauważyłem. – Powiedz, co się stało.

Popatrzył na swoje zakrwawione dłonie.

– Co się stało?! – wrzasnąłem.

– Nie pamiętam – wyszeptał.

Zaciągnąłem Billy'ego do swojego domku. Patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, potykał się raz po raz i omal nie wywrócił się na progu. Podtrzymałem go i pomogłem mu usiąść na kanapie, a potem rozpiąłem guziki jego poplamionej krwią koszuli i ściągnąłem ją z niego. Cały się trząsł, a ja znów doznałem szoku na widok blizn, które na jego plecach zostawił pas Darwina. Okryłem mu ramiona kocem.

– Powiedz mi, co pamiętasz – zażądałem.

Spuścił głowę.

– Narozrabiałem – odparł.

– Co zrobiłeś, Billy? No, powiedz mi.

Zamknął oczy i pokręcił głową.

Podniosłem słuchawkę telefonu.

– Albo powiesz mi wszystko, co pamiętasz, albo dzwonię na policję i im będziesz się tłumaczył – zagroziłem.

Wziął głęboki oddech. Otworzył oczy, ale wciąż patrzył w podłogę.

– Byłem z kolegą. Jasonem. Poszliśmy do kina. Kiedy wracaliśmy, czekali na nas trzech chłopacy z jego szkoły. Zaczęli go wyzywać od pedałów, pizd, złamasów

i tym podobnych. Powinienem być po prostu ich zignorować i odejść.

– Ale nie zrobiłeś tego.

– Ostrzegłem ich. – Pokręcił głową i zazgrzytał zębami. – Powiedziałem im, żeby się od nas odpierdolili, bo inaczej...

– Bo inaczej... co?

Górna warga zaczęła mu drżeć, „...was zabiję” – domyśliłem się po jego spojrzeniu.

– I co potem się stało? – zapytałem.

– Jeden z nich podszedł do mnie i splunął mi w twarz. – Po policzku Billy’ego pociekła łza.

– I co zrobiłeś?

– Uderzyłem go. A potem... Nie wiem... Mam dziurę w pamięci.

Gdybym dostawał tysiąc dolarów od każdego napastnika, który twierdzi, że ma amnezję, byłbym milionerem.

– Jak wróciłeś do domu?

– Szedłem, jakby mnie prowadził jakiś autopilot. Niewiele pamiętam do chwili, kiedy cię zobaczyłem.

Nie chciałem dzwonić na policję, póki nie będzie to absolutnie konieczne. Musiałem się dowiedzieć, co się właściwie stało.

– Możesz mi podać numer telefonu do Jasona?

– 508-931-1107.

Szybko go sobie przypomniał jak na kogoś, kto ma kłopoty z pamięcią. Sięgnąłem po słuchawkę i wykręciłem numer.

– Halo? – usłyszałem już po pierwszym dzwonku pełen pretensji kobiecy głos. Moja rozmówczyni przeciągle wymówiła „a” i na koniec powiedziała „u” zamiast „o”: *Haaalu*.

– Mówi doktor Clevenger – przedstawiłem się. – Czy rozmawiam z panią Sanderson? Matką Jasona?

– To ja – odparła powściągliwie.

– Jestem bliskim przyjacielem Julii Bishop i jej matki, Candace. Właśnie jest ze mną Billy.

– Tak? – odparła chłodno.

– Chłopiec jest bardzo wzburzony. Może mi pani powiedzieć, co się stało dziś wieczorem?

– Wiem tylko tyle, ile powiedział mi Jason.

Czy prosiłem o coś więcej?

– Proszę mi to powtórzyć.

Pani Sanderson westchnęła, jakbym prosił ją o Bóg wie co.

– Od jakiegoś czasu Jason miał ciągle problemy z kilkoma chłopcami ze swojej szkoły. Mieszkamy tu przez cały rok, a oni mu stale dokuczali. Ciągnie się to już od drugiej klasy. Jason nie jest ułomkiem, ale stara się unikać konfrontacji.

Podejrzewałem, że nabył tego zwyczaju w domu pod wpływem mamusi.

– Dzieci potrafią być okrutne – zgodziłem się. – A dzisiaj wieczorem? Co się stało?

– To samo co zwykle. Po prostu go wyzywali.

To samo co zwykle – pani Sanderson nie była zbyt pomocna.

– Billy wrócił do domu w zakrwawionej koszuli – powiedziałem w nadziei, że pobudzę ją do myślenia. – Czy Jason wspomniał coś o bójce?

– O bójce? Tak, oczywiście. Jeśli chce pan to tak nazwać. Billy rzucił się na trzech chłopców. Porozbijał im nosy, wargi. Jeden ma podobno złamaną rękę.

Poczułem ulgę. Przynajmniej nie wyglądało na to, żeby Billy kogoś zabił.

– Czy z Jasonem wszystko w porządku?

– Jest przestraszony. Powiedział, że Billy wpadł w szał. – Zawiesiła głos. – Miał wręcz pianę na ustach.

– Czy Jason wspomniał, że jeden z tych chłopców wcześniej opluł Billy’ego?

– Z tego, co wiem, ich zaczepki ograniczały się do wyzwisk, dopóki Billy...

– Billy nie znosi znęcania się nad słabszymi. – Spojrzałem na blizny na jego plecach.

– Rozumiem – rzekła pani Sanderson, ale ton jej głosu mówił coś innego. Przez kilka sekund milczała. – Dobrze się składa, że pan dzwoni – powiedziała w końcu. W jej głosie pretensjonalny ton zmieszał się z powagą, co nadało mu brzmienie niemal komiczne, jak u Williama F. Buckleya, który jękając się, oświadcza, że masz raka i twoja sytuacja jest beznadziejna.

– Tak?

– Przed wyjściem chłopców do kina doszło do niepokojącego incydentu związanego z Billym – powiedziała, po czym zapadła ciężka cisza. – A może powinnam porozmawiać o tym raczej z Julią?

– Ona wciąż jeszcze czuje się nie najlepiej, ale powtórzę jej wszystko, co mi pani powie.

– No dobrze. Wie pan, postanowiliśmy z mężem mieć jeszcze jedno dziecko. Urodziło się dwa miesiące temu.

– Moje gratulacje – powiedziałem, zastanawiając się, do czego ta kobieta zmierza. Temat, który poruszyła, wzbudził jednak mój niepokój. Pamięć o morderstwie Brooke była jeszcze wciąż na tyle żywa, że rozmowa o niemowlętach natychmiast kojarzyła mi się ze śmiercią. Spojrzałem na Billy'ego, który próbował zetrzeć sobie krew z piersi.

– Przed wyjściem Jason musiał jeszcze dokończyć sprzątanie. Nic wielkiego: pozbierać swoje rzeczy z podwórza i tym podobne.

– Jasne – powiedziałem, nie mogąc się doczekać puenty.

– Zaprowadził więc Billy'ego do swojej sypialni i uruchomił mu nową grę Nintendo.

– W porządku.

– Kiedy Jason skończył, poprosił mojego męża, żeby zawołał Billy'ego i powiedział mu, że już mogą iść.

Powoli traciłem cierpliwość.

– No i co się stało? – rzuciłem znacząco.

– Właśnie mówię. Mój mąż znalazł Billy'ego w sypialni małej Naomi. Stał przy jej łóżeczku i gapił się, jak mała śpi. Godzinę wcześniej położyłam ją spać.

Pomimo, że o zabójstwo Brooke został oskarżony Darwin, pan Sanderson musiał się poczuć nieswojo, gdy zobaczył poprzedniego głównego podejrzanego wpatrującego się w jego córkę.

– Czy Billy powiedział, co tam robił? – zapytałem.

– Mój mąż zapytał go, ale nie uzyskał odpowiedzi. Chłopiec wyglądał, jakby był w jakimś transie. Nicholas musiał nim potrząsnąć, żeby się ocknął.

Mogła powiedzieć, że Billy wydawał się oszłomiony lub nieobecny. Trans jest jednym z tych słów kluczy, które są zarezerwowane dla psychopatów.

– Baliście się, że Billy mógłby zrobić krzywdę waszej córce? – zapytałem, by przerwać dywagacje na temat jego stanu.

Billy spojrzał na mnie uważnie.

– Tego nie mówię – zaprzeczyła pani Sanderson. Umilkła na chwilę. – Nasi przyjaciele z Nantucket powiedzieli nam, że Billy sprawiał problemy na długo przed tą tragedią związaną z jego siostrą, Brooke. Podobno kradł i znęcał się nad zwierzętami.

– To prawda – przyznałem. Wyglądało na to, że Martha's Vineyard nie da Billy'emu drugiej szansy.

– Takie dzisiaj czasy, że człowiek nie wie, komu może wierzyć. W żadnej sprawie. Zawsze się okazuje, że pozory mylą. Wszystko jest bardziej

zagnatwane.

Czytaj: policja schrzaniła sprawę i niesłusznie oskarżyła Darwina Bishopa o morderstwo dziecka, podczas gdy winny jest jego szalony adoptowany syn z Rosji. Może nawet Darwin się poświęcił i wziął winę na siebie, żeby go chronić.

– Doskonale panią rozumiem – powiedziałem.

– Postanowiliśmy więc z mężem, że lepiej będzie, jeśli Billy przestanie przychodzić do naszego domu i nie będzie się więcej spotykał z Jasonem.

Dobrze wiedziałem, co Billy będzie teraz czuł: rozczarowanie, osamotnienie i odtrącenie. Strata przyjaciela dla każdego jest ciężkim przeżyciem, lecz dla kogoś takiego jak Billy, sieroty, który niedawno stracił siostrę...

– Powiem mu o tym i jestem pewien, że dostosuje się on do państwa życzenia – oświadczyłem.

– Dziękuję panu bardzo. Niełatwo mi było o tym mówić.

– Życzę dobrej nocy – powiedziałem, starając się, żeby zabrzmiało to w miarę uprzejmie. – Mam nadzieję, że Billy dał tym chłopcom nauczkę i przestaną oni dokuczać pani synowi.

– Tak. No cóż, dobranoc.

Usiadłem na kanapie obok Billy'ego, który zaczął płakać.

– Posłuchaj mnie – powiedziałem. – Nikogo nie zabiłeś. Ale pobiliś tych chłopców, którzy dokuczali Jasonowi. Z tego, co słyszałem, to zdrowo im dołożyłeś. Być może nawet jednemu złamałeś rękę.

Kiwnął głową ponuro, odzyskując panowanie nad sobą.

– Nie wiem, co się ze mną stało – rzekł.

– To nie wszystko.

Billy domyślił się z tego, co usłyszał z mojej rozmowy telefonicznej, że chodzi o córkę państwa Sanderson.

– Po prostu stałem tam, próbując sobie wyobrazić, co przeżyła Brooke. Wcześniej nie dopuszczałem do siebie takich myśli. Ani razu. Ale kiedy przechodziłem obok pokoju siostry Jasona i zobaczyłem ją śpiącą, nie mogłem się powstrzymać, żeby o tym nie pomyśleć. – Spuścił wzrok. – Wszedłem tam i popatrzyłem na nią. Wyobraź sobie: budzisz się i nie możesz zaczerpnąć powietrza. Dusisz się w łóżeczku, twoja matka jest na dole, a ojciec przypatruje się, jak umierasz.

Chociaż ucieszyło mnie, że Billy tak silnie zaczyna przeżywać cierpienia innych, martwiło mnie, że nie dostrzega niczego niestosownego w swoim zachowaniu.

– Nie zwracałeś uwagi na pana Sandersona. Musiał tobą potrząsnąć.

– Patrzyłem na nią, ale widziałem Brooke.

Kiedy spojrział na mnie, w jego oczach zobaczyłem smutek, ale też (albo mi się wydawało) leciutkie oznaki zaciekawienia śmiercią, bliskiego fascynacji.

– Straciłeś panowanie nad sobą, gdy rzuciłeś się na tych chłopców. Poza tym nie powinieneś wchodzić do pokoju siostry Jasona bez pozwolenia.

Billy kiwnął głową.

Spojrzałem przez okno na księżyc w pełni, zbierając się w sobie, by mu powiedzieć o konsekwencjach jego zachowania.

– Sandersonowie potrzebują czasu, żeby znów nabrać do ciebie zaufania. Nie chcą, żebyś przychodził do ich domu ani spotykał się z Jasonem.

Billy zmrużył oczy.

– Dlaczego?

– Nie mają do ciebie zaufania.

– Stanałem w obronie Jasona.

– Nie. Zrobiłeś coś więcej. Chodziłeś sam po ich mieszkaniu, wszedłeś do pokoju dziecka i...

– Co takiego powiedzieli? – zapytał z oburzeniem. – Sądzą, że to ja zabiłem Brooke, tak?

– Sandersonowie martwią się o swoje dziecko – powiedziałem wymijająco. – Krótko mówiąc, chyba przypominasz im, jak kruche jest życie. A oni nie chcą, żeby im teraz o tym przypominano. Są świeżo upieczonymi rodzicami.

– Gówno prawda. Myślą, że to ja zrobiłem. – Zacisnął usta. Koniec z drżeniem, koniec z płaczem. – Pieprzyć ich. Mogą iść do diabła. – Wstał. – Nie mam zamiaru przestać się kolegować z Jasonem tylko dlatego, że jego rodzice są dupkami. – Zrobił krok w kierunku drzwi.

Też wstałem i podniosłem rękę, żeby namówić go na rozmowę i rozładować jego gniew. Ale zanim zdążyłem coś powiedzieć, Billy odepchnął mnie i wypadł za drzwi.

– Billy! – zawołałem za nim.

Pobiegł w kierunku domu i zniknął w ciemnościach.

Dałem Billy'emu kilka minut, żeby ochłonął, i ruszyłem za nim do domu. Otworzyłem sobie sam drzwi, nie chcąc nikogo budzić. W salonie zastałem jednak Julię, jej matkę i Garreta, którzy wyglądali na zaniepokojonych. Billy wszystkich ich pobudził, kiedy wpadł do domu, zatrzaskał za sobą drzwi i wbiegł do swojego pokoju, przeklinając po drodze mnie, Sandersonów i całe swoje marne życie.

– Co się stało? – zapytała mnie Julia. Miała na sobie białą bawełnianą koszulkę, którą zdejmowała, gdy ją podpatrywałem. Koszulka zasłaniała niewiele ciała. Gdy na nią spojrzałem, Julia zerknęła na swoje odsłonięte uda z wyraźnym skrępowaniem.

– Może porozmawiamy o tym na osobności – powiedziałem do niej.

– Billy krzyczał, że chciałby umrzeć – rzekł Garret.

Nie byłem pewien, jak wiele mogę powiedzieć Candace i Garretowi.

– Wdał się dziś wieczór w bójkę z kilkoma chuliganami. Chłopakami, którzy od jakiegoś czasu dokuczali Jasonowi Sandersonowi. Sprawy wymknęły się spod kontroli i Sandersonowie zaczęli się obawiać usposobienia Billy'ego. Nie chcą, by się więcej spotykał z ich synem.

Candace pokręciła głową z niesmakiem.

– Czy komuś coś się stało? – zapytała Julia. – Czy Billy...

– Zdaje się, że nic gorszego od złamanej ręki. Nie można wykluczyć, że ktoś wniesie oskarżenie przeciwko Billy'emu, ale... – Podchwyciłem spojrzenie Julii. – Może jednak porozmawiamy o tym w cztery oczy i zastanowimy się, co zrobić.

– Myślę, że to dobry pomysł.

Przeszliśmy do jadalni i usiedliśmy przy stole. Przyciemnione światło współgrało z mrokiem wczesnej godziny. Opowiedziałem Julii wszystko, co wiedziałem.

– Billy potrafi być tak czarujący, że łatwo zapomnieć, że wciąż potrzebuje pomocy – powiedziałem.

– Myślisz, że powinniśmy go oddać do jakiegoś zakładu? Prywatnego szpitala czy czegoś podobnego? Może tak będzie dla niego lepiej na wypadek, gdyby go o coś oskarżono?

Myśl o umieszczeniu Billy'ego w kolejnym szpitalu niezbyt mi się podobała, ale wiedziałem, że może to być jedyne wyjście.

– Musimy z nim o tym porozmawiać, kiedy się uspokoi. I powinniśmy zadzwonić do Carla Rossettiego na wypadek, gdyby Billy potrzebował prawnika.
– Zerknąłem na zegarek. Była druga nad ranem. – Policja jak dotąd się nie zjawiała. To dobry znak.

– Czy znasz jakieś miejsce, w którym czułby się... w miarę komfortowo? – zapytała Julia. – Wiesz, nie jakiś oddział zamknięty dla psychopatów. To byłoby dla niego straszne przeżycie.

Przez kilka sekund myślałem nad odpowiedzią i wpadł mi do głowy pewien pomysł.

– Mógłbym porozmawiać z Edem Shapiro, moim przyjacielem, który kieruje Riggs Center w Stockbridge. To bardziej schronisko niż szpital. Nazywają to „społecznością terapeutyczną”. Pacjenci mieszkają w osobnych domkach i codziennie uczestniczą w psychoterapii. – Wzięłem głęboki oddech i potrząsałem głową. – Ale nie wiem, czy nawet dla mnie zgodzą się wziąć kogoś takiego jak Billy, kto w przeszłości uciekał się do przemocy.

– Wszystko tak dobrze szło – powiedziała Julia. Chwyliła mnie za rękę. – Jak podczas miesiąca miodowego.

Jak podczas miesiąca miodowego. Gdybym się chwilę zatrzymał przy tym zdaniu, uświadomiłbym sobie, że już je kiedyś słyszałem. Od Lilly. I byłbym się pewnie zastanowił nad pewnym istotnym podobieństwem między tymi dwiema kobietami. Jednak kłopoty, jakie mieliśmy z Billym, sprawiły, że Julia stała mi się jeszcze bliższa. Już teraz myślałem o nim jak o naszym synu. Zacząłem głaskać wnętrze ręki Julii, ale przestałem, gdy w drzwiach do jadalni zobaczyłem Garreta. Zabrałem dłoń. Staraliśmy się unikać fizycznych kontaktów w obecności chłopców.

– Co się stało, chłopie? – zapytałem.

– Pomyślałem, że muszę warn coś powiedzieć – odparł.

– Co takiego?

Garret podszedł do nas. Jego twarz miała poważny wyraz.

– Garret? O co chodzi? – spytała Julia.

– O Billy’ego – powiedział krótko.

– Chcesz usiąść?

– Nie. – Wydawał się roztrzęsiony. – Nie miałem zamiaru warn o tym mówić – rzucił, zerkając najpierw na mnie, a potem na Julię.

– Co cię martwi? – zapytałem.

– Coś znalazłem – oświadczył. Zrobił kółko z palca serdecznego i kciuka.

Czekałem.

– Miałem nadzieję – zaczął. – Właściwie nie wiem na co.

– Co znalazłeś, Garret? – zapytała Julia łagodnie, ale stanowczo.

– Kota – odparł, patrząc na nią.

– Szedłem w stronę strumienia. – Przeniósł wzrok na mnie. – Tego, który płynie w lesie za domkiem gościnnym – wyjaśnił. – Chodzę tam czasami pomedytować. Billy także. No i znalazłem tam kota.

– Martwego – domyśliłem się.

Garret skinął głową.

Twarz Julii zmartwiała. Instynktownie znowu wyciągnąłem do niej rękę, ale ona szybko zabrała dłoń, rzucając mi spojrzenie mówiące, że mamy ukrywać naszą zażyłość.

– Może po prostu zdechł – rzekł Garret. – Nigdy nic nie wiadomo.

– Czasem wiadomo – zauważyłem.

– Dobrze, że nam o tym powiedziałaś – stwierdziła Julia. – Dziękuję ci.

– Przykro mi i przepraszam – powiedział bardziej do mnie niż do matki.

Potrząsnąłem głową.

– Nie ma za co – odparłem, zmuszając się do uśmiechu. – Dobrze zrobiłeś. Nie po to wyciągnęliśmy Billy'ego z więzienia, żeby się przyglądać, jak z powrotem tam trafia.

Drzwi do pokoju Billy'ego były zamknięte. Zapukałem, ale Billy nie odpowiedział.

– To ja, Frank – powiedziałem. Nadal cisza. Delikatnie nacisnąłem na klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. – Billy, wpuść mnie – poprosiłem. Minęło kilka sekund, po czym usłyszałem skrzypnięcie materaca, a chwilę później drzwi się uchylły.

– O co chodzi? – zapytał, nie patrząc na mnie.

– Masz trochę czasu?

Odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę łóżka, ale zostawił drzwi otwarte.

Wszedłem do pokoju. Billy usiadł na krawędzi łóżka ze skrzyżowanymi ramionami na piersiach, lekko kiwając się do przodu i do tyłu.

– To niesprawiedliwe – rzucił gorzko.

Usiadłem obok niego.

– Myślę, że jednak sprawiedliwe – odparłem.

Przestał się kiwać i spojrzał na mnie tak, jakbym go zdradził.

– Sandersonowie nie mogą wejść do twojej głowy i stwierdzić, dlaczego przyglądałeś się ich córce.

Billy spuścił wzrok.

– Poza tym mocno przesadziłeś z obroną Jasona – powiedziałem. – To był niekontrolowany wybuch wściekłości.

Potrząsnął głową i głośno przełknął ślinę, jakby znowu miał się rozplakać.

Położyłem mu dłonie na ramionach.

– Nie wiedziałeś, co robisz. Całe szczęście, że nikogo nie zabiłeś.

– I co teraz? – zapytał, powstrzymując łzy.

Poczułem, jakby wreszcie się przede mną całkowicie otworzył. – Chcę porozmawiać ze swoim przyjacielem, który kieruje Riggs Center.

– Jeszcze jedna pieprzona klinika psychiatryczna?

– Nie. To raczej coś w rodzaju schroniska. W zachodnim Massachusetts.

– Och przepraszam. Pomyliłem się. Szpital dla czubków.

– Dyrektorem jest tam mój przyjaciel, który...

– Nigdzie nie jadę. Zostaw mnie w spokoju.

Nie planowałem wyciągnięcia sprawy martwego kota, którego znalazł Garret, ale musiałem jakoś przekonać Billy'ego, żeby pomógł sobie sam. Nie chciałem przy tym niszczyć do reszty szans na poprawę stosunków między chłopcami.

– Znalazłem kota za domkiem gościnnym – skłamałem. – Przy drodze do strumienia.

Billy popatrzył na mnie, nerwowo mrugając oczami.

– Martwego – dodałem.

Billy przestał mrugać.

– I co?

– Zmartwiło mnie to i sędzę, że ciebie również powinno zmartwić.

– Dlaczego? Myślisz, że to ja go zabiłem?

Nie odpowiedziałem, wiedząc, że Billy właściwie zinterpretuje moje milczenie.

W oczach Billy'ego na krótko coś się pokazało, coś, czego nie potrafiłem w pełni zrozumieć, dopóki nie zniknęło – wiara we mnie. Nie wiedziałem tylko, czy było to coś więcej niż wiara socjopaty, który liczył na mnie, że go nigdy nie zawiodę. Wstał.

– Wyjdź – powiedział, usilnie starając się zapanować nad sobą. Dłonie miał zaciśnięte w pięści.

– Billy...

– Proszę – rzekł. Mięśnie jego ramion drżały.

Wstałem.

– Przemyśl moją propozycję. To najlepsze wyjście. – Minałem go i wyszedłem z pokoju.

Kiedy się kładłem, tuż przed trzecią, w dużym domu wciąż paliły się światła. Za kwadrans czwarta ktoś zapukał do moich drzwi. Nie wiem dlaczego, ale uznałem, że to na pewno Julia, zaniepokojona z powodu Billy'ego, chce o tym ze mną porozmawiać. Zwlokłem się z łóżka, włożyłem spodnie i podszedłem do drzwi, żeby ją wpuścić. Za szklanymi drzwiami zobaczyłem jednak Billy'ego. Po raz pierwszy na jego widok pomyślałem o miejscu ukrycia browninga – szafce nocnej. Otworzyłem drzwi.

– Nie chciałem z tym czekać do rana – powiedział. Wyglądał na skruszonego.

– Już jest rano – odparłem i mrugnąłem do niego.

– Racja. Chyba tak.

Już chciałem go wpuścić, ale po namyśle zmieniłem zdanie.

– Co się stało?

Popatrzył mi prosto w oczy.

– Ja nie zabiłem tego kota – oświadczył.

– W porządku...

– Ale zgadzam się pojechać do tego Riggs.

Skinałem głową. Nie wszystko naraz, pomyślałem. Ucieszyłem się jednak, że Billy przynajmniej na tyle wstydził się zabicia bezbronnego zwierzęcia, iż zaprzeczał, że to zrobił. Gdyby się poddał terapii, później przyszlaby pora na to, żeby się przyznał.

– Czemu zmieniłeś zdanie?

– Garret mnie przekonał.

– Garret?

– Po raz pierwszy naprawdę rozmawialiśmy ze sobą. O latach spędzonych w domu Darwina, o tym, jak nas bił, i podobnych sprawach. O tym, że ja o wiele więcej oberwałem. – Wzruszył ramionami. – Garret ma wyrzuty sumienia, że mnie zawiódł.

Może potrzebny był następny kryzys, by mogła się rozpocząć następna faza uzdrawiania rodziny Bishopów – tym razem uzdrawiania stosunków między Billym a Garretem.

– Cieszę się ze względu na ciebie. Ze względu na was obu. Byłoby świetnie, gdybyście stali się sobie bliscy.

– Powiedziałem mu o twojej propozycji, a on odparł, że powinienem się na nią zgodzić. Poprosił mnie, żebym się zgodził. Żebym to zrobił dla niego.

Wolałbym, żeby Billy sam doszedł do wniosku, że potrzebuje pomocy, ale nie miałem zamiaru odrzucać przysługi Garreta.

– Dobrze, wszystko załatwię.

– W porządku – odparł. Popatrzył w bok, a potem znowu na mnie, jakby ze wstydem.

– Coś jeszcze?

– Pojedziesz tam ze mną? Do Riggs? Znasz tego kierownika. Gdybyś był w pobliżu, mógłbyś mnie odwiedzać przez pierwsze tygodnie.

– Jasne.

– To także pomysł Garreta. Ale jeśli żądam zbyt wiele lub...

– To doskonały pomysł – zapewniłem go.

Poniedziałek, 22 lipca 2002

Przed wpół do dziesiątej Ed Shapiro zakomunikował nam, że załatwił Billy'emu przyjęcie do Riggs na 25 lipca, skracając normalny czteromiesięczny okres oczekiwania do czterech dni. Oplaca się mieć przyjaciół w różnych miejscach.

W stosunkach Billy'ego i Garreta rzeczywiście nastąpił zwrot. Zrobili dla nas śniadanie – ubili jajka na gofry i pokroili owoce niczym zawodowi kucharze. Musiałem sobie przypomnieć o chorobie Billy'ego, by poprzez dobrą atmosferę panującą w domu dostrzec ciężką pracę, jaką należało wykonać, żeby chłopcu zapewnić bezpieczną przyszłość.

Zaplanowaliśmy, że wynajmiemy żaglówkę i spędzimy miły dzień w gronie rodzinnym. Poszedłem do domu po parę rzeczy i w wiklinowym koszu wiszącym na drzwiach znalazłem dużą żółtą kopertę. Wyjąłem ją i zobaczyłem, że została wysłana przez doktor Laurę Mossberg z Payne Whitney 18 lipca. Domyśliłem się, że zawiera dokumentację medyczną z poprzednich pobytów Billy'ego w szpitalach, o którą ją prosiłem.

Wchodząc do domu, otworzyłem kopertę i usiadłem na kanapie, żeby przeczytać załączony list.

Szanowny Panie Doktorze!

W załączeniu przesyłam Panu kartotekę pana Darwina Bishopa dotyczącą

jego pobytu na oddziale urologicznym, którą dzisiaj otrzymałam. Normalnie nie mogłabym przekazać Panu tych dokumentów, ale przed Pańską wizytą u mnie na oddziale państwo Bishopowie podpisali standardową (i bezwarunkową) zgodę na ujawnianie danych lekarskich dotyczących całej rodziny znajdujących się w Cornell Medical Center i Payne Whitney Clinic. Może te dokumenty przydadzą się w śledztwie, które Pan prowadzi.

Niestety nie otrzymałam dokumentacji medycznej dotyczącej Billy'ego z innych ośrodków.

Z niecierpliwością oczekuję na nasze następne spotkanie i życzę wszystkiego dobrego.

Laura Mossberg

PS. Załączam też książkę Nie chcę o tym rozmawiać. To bardzo dobra książka na temat ludzi i ich urazów psychicznych. Mam nadzieję, że nie weźmie mi Pan tego za złe (a może nawet znajdzie Pan czas, by ją przeczytać).

Uśmiechnąłem się. Co to znaczy chęć wyleczenia pacjenta. A ja nawet jej nie płaciłem. Zacząłem przeglądać plik dokumentów. Już trzecia kartka przykuła moją uwagę. Był to zapis wywiadu lekarskiego. Gdy przeczytałem pierwszy akapit, poczułem pulsowanie krwi w skroniach.

Darwin Bishop, lat pięćdziesiąt, żonaty, mężczyzna rasy białej, ojciec dwóch adoptowanych synów przyjęty na oddział w celu wykonania planowej wdsektomii. Pacjent twierdzi, że żona popiera jego decyzję, która jest oparta na wyznawanym przez niego od dawna poglądzie, iż „nie jest w porządku wobec dzieci sprowadzać je na ten świat”. Pan Bishop twierdzi, że wynika ona z przeżyć wyniesionych z Wietnamu, ale odmówił bliższych wyjaśnień na ten temat. Wyznaje takie poglądy już od wielu lat i prawdopodobieństwo tego, by je zmienił i chciał mieć własne dzieci, ocenia na zero procent.

Zapis wywiadu był podpisany przez doktora Paisleya Marshalla i nosił datę 15 kwietnia 1999 roku, a więc został sporządzony na dwa lata przed poczęciem Brooke i Tess.

Mój umysł gorączkowo kojarzył fakty, z niedowierzaniem przyjmując wniosek: Darwin Bishop był bezpłodny i nie mógł być biologicznym ojcem Brooke i Tess. Julia miała romans i zaszła w ciążę.

Zacząłem przewracać kartki, łudząc się, że znajdę notatkę o tym, że Darwin

zmienił jednak zdanie co do zabiegu, ale nagle mój wzrok padł na zapiski chirurga noszące datę 12 maja 1999 roku:

Pacjent potwierdza swoją decyzję o poddaniu się zabiegowi powodującemu niepłodność. Opisano mu zagrożenia związane z zabiegiem, takie jak możliwość infekcji, reakcje alergiczne, upośledzenie funkcji seksualnych, komplikacje z oddawaniem moczu. Pacjent zaakceptował ryzyko.

Pacjent odmawia zgody na podwiązanie nasieniowodu.

Użyto marakainy do miejscowego znieczulenia i versedu na uspokojenie.

Stan pacjenta na początku zabiegu stabilny.

Usunięto cały ductus deferens bez żadnych komplikacji.

Utrata krwi nieznaczna.

Bishop odmówił podwiązania nasieniowodu, czyli bardziej skomplikowanej wasektomii, która jest odwracalna, to znaczy nie powoduje trwałej bezpłodności.

Nagle wyjaśnienie Julii dotyczące listu, który znalazła Claire Buckley, stało się jeszcze mniej wiarygodne. Trudno przypuszczać, by adresatką listu mogła być jej psychoterapeutka, Marion Eisenstadt. Julia najwyraźniej napisała go do swojego kochanka. Ojca swoich dzieci. Podczas śledztwa w sprawie morderstwa Brooke po prostu nie wyszło na jaw, że Julia miała romans, i nie przesłuchaliśmy biologicznego ojca bliźniaków – potencjalnego podejrzanego.

Pomyślałem, żeby zadzwonić do Northa, ale przypomniałem sobie, że wyjechał na dziesięć dni do Paryża na zasłużone wakacje z Tiną. Poza tym nie byłem pewien, czy potrzebuję jego pomocy. Nie miałem żadnego dowodu ani uzasadnionego podejrzenia, że Darwin Bishop został niesłusznie oskarżony o morderstwo Brooke. Moje wątpliwości dotyczyły Julii: okłamała mnie i zdeorientowała. Jaka naprawdę jest ta kobieta?

Musiałem się dowiedzieć, w kim się zakochałem, i musiałem to zrobić sam.

Resztę tego dnia zapamiętałem jak ciąg obrazów: opromienione słońcem brzegi Vineyard Sound, niezmierną urodę Julii, pełną gracji Candace, Biliyego i Garreta pracujących razem przy żaglach i sterze z rozwianymi włosami wyglądających młodziej, silniej i przystojniej niż kiedykolwiek, odkąd ich poznałem. Z tych obrazów wyszłyby doskonałe widokówki, które kazałyby mi się zastanowić, czy ów spokój był prawdziwy czy zaaranżowany. Ale mój umysł

zaprzętało wielkie kłamstwo – kłamstwo Julii. W kółko o nim rozmyślałem, starając się znaleźć wyjaśnienie, w które mógłbym uwierzyć bez wypytywania Julii. Tak bardzo byłem w niej zakochany.

Pewne sprawy już zaakceptowałem. Nie łudziłem się, że Julia dochowała wierności Darwinowi Bishopowi. Nie oczekiwałem zresztą, że opowie mi o wszystkich swoich romansach. Byłbym nawet skłonny pogodzić się z tym, że zaszła w ciążę z mężczyzną, który nie był jej mężem.

Nie mogłem jednak przejść do porządku nad tym, że naraziła na szwank dochodzenie w sprawie zabójstwa swojej córki, zatajając ważne informacje.

Martwiło mnie coś jeszcze. I to bardzo. Dlaczego Darwin Bishop nie powiedział, że nie jest biologicznym ojcem bliźniaczek? Czyżby nie chciał, by policja zaczęła szukać innego podejrzanego? Albo obawiał się, że sędziowie przysięgli łatwiej uwierzą, że mógł zabić Brooke, skoro była dzieckiem innego mężczyzny? Wróciliśmy do domu parę minut po siódmej. Chciałem odłożyć rozmowę z Julią do następnego dnia, ale tuż po północy zadzwoniła do mnie do domku gościnnego.

– Przyjdź do mnie – wyszeptała.

– Do twojego pokoju?

– Chłopcy śpią. Wymęczyliśmy ich.

– Czemu nie przyjdiesz do mnie?

Zachichotała.

– Ponieważ przed chwilą wzięłam prysznic, mam mokre włosy, jestem naga i leżę w łóżku.

– Zaraz będę.

Otworzyłem sobie drzwi domu i poszedłem do pokoju Julii. Drzwi były otwarte, ale Julia zgasła światło i w pokoju panowała prawie absolutna ciemność.

– Nie zapalaj światła – usłyszałem jej szept od strony łóżka. – Zamknij tylko drzwi.

Zrobiłem, co kazała.

– Podoba ci się, gdy nic nie widzę.

– Ja będę twoimi oczami – powiedziała. – Leżę na brzuchu. Pod biodrami mam dwie poduszki, a trzecią położyłam tak, że mogę ją gryźć, jeśli będę musiała. Czy to jasne?

Po omacku doszedłem do łóżka i usiadłem na brzegu materaca. Wyciągnąłem rękę i przeciągnęłam nią po aksamitnie gładkiej skórze na plecach

Julii. Westchnąłem.

– Musimy porozmawiać – powiedziałem.

– Później.

Moja dłoń zdążyła zawędrować w okolice krągłości pośladków, zanim zdołałem ją cofnąć.

– Nie. Najpierw. – Poczułem, jak Julia owija się prześcieradłem i sięga do lampki nocnej.

– Co się stało? – zapytała, zerkając na mnie. Brzeg prześcieradła trzymała tuż poniżej piersi.

Odwrociłem wzrok, żeby zebrać myśli. Na ścianach wisiały piękne obrazy olejne przedstawiające morze i moczary oraz czarno-białe fotografie, na których była Julia jako mała dziewczynka i młoda kobieta.

– Przesłano mi dziś pewną dokumentację medyczną z Nowego Jorku.

– Tak?

Znów popatrzyłem na nią. Podciągnęła prześcieradło pod brodę. Nie widziałem powodu, żeby się bawić w subtelności.

– Wiem o wasektomii Darwina i o tym, że nie jest ojcem bliźniaczek.

Julia spojrzała na mnie bez wyrazu, jakby się zastanawiała, czy ma mi odpowiedzieć wprost, czy zrobić unik.

– Dlaczego nie powiedziałaś o tym mnie lub Northowi? – zapytałem.

Kiwnęła do siebie głową.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie powiedziałam tego, bo obiecałam Darwinowi. Obiecałam mu to jeszcze, nim urodziły się dziewczynki, kiedy naciskał, żebym się poddała aborcji. Odniosłam wrażenie, że najważniejsze było dla niego zachowanie tajemnicy. – Na jej ustach pojawił się gorzki uśmiech. – Przysięgam na życie Brooke i Tess.

– Powinnaś nam była o tym powiedzieć. I nie tylko dlatego, żebyśmy mogli przesłuchać prawdziwego ojca dziewczynek. Ktoś taki jak Darwin mógł dojść do wniosku, że przez ciebie znalazł się w kłopotliwej sytuacji, i załatwić sprawę po swojemu. Mielibyśmy motyw zabójstwa.

– Kiedy pogrzebie się prawdę tak głęboko, jak to zrobiliśmy z Darwinem, to nikt się do niej nie dokopie. To tak, jakby sprawa w ogóle nie istniała. Nawet nie przyszło mi do głowy, że może ona mieć znaczenie dla śledztwa. Wszyscy skupiliśmy się na Billym, na tym, czy on jest winny.

– Kiedy umówiliśmy się na lunch w Bomboi w Bostonie, zapytałaś mnie, czy moim zdaniem Darwin mógłby zabić własną córkę? Krew z krwi, kość z kości?

Dlaczego użyłaś właśnie tego zwrotu?

– Dlaczego użyłam tego zwrotu? Mówisz jak policjant.

– Nie jestem policjantem. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego tak się wyraziłaś.

Dlaczego użyłaś tych słów?

– Bez powodu. Nie miałam na myśli ich dosłownego znaczenia. To taki popularny zwrot. Chodziło mi ogólnie o dzieci. – Zrobiła pauzę. – W sensie prawnym. Przecież jesteście małżeństwem.

– I wciąż twierdzisz, że list, który znalazła Claire... był przeznaczony dla twojej terapeutki, a nie dla mężczyzny, z którym zaszłaś w ciążę?

Spojrzała na mnie z ukosa.

– Teraz rozumiem. Ty mi nie wierzysz. W ani jedno słowo. Nie odpowiedziałem.

– Bo nie powiedziałam ci wszystkiego na temat swojego życia seksualnego? – Na wpół wykrzyczała dwa ostatnie słowa.

– Ciszej. Chłopcy.

– Bo nie powiedziałam ci – mówiła, z trudem powstrzymując się, by nie krzyknąć – że mój mąż tak nienawidził świata, że nie chciał mi dać dzieci? Nie powiedziałam ci wszystkiego, więc nie wiesz, jakie to uczucie, gdy cię traktują jak piękną lalę do pieprzenia, która wie, że nigdy nie zostanie matką. – Potrząsnęła głową. – Może to dla ciebie nowina, Frank, ale byłam samotna. I przestraszona. Życie z Darwinem nie należało do łatwych. Kiedy więc dwa lata temu spotkałam kogoś, komu na mnie zależało, wdałam się z nim w romans. Myślałam, że mamy szansę na wspólne życie. Potem zaszłam w ciążę, a on nie umiał sobie z tym poradzić. Przestaliśmy się więc spotykać.

– Kto to był?

– Nie mogę ci powiedzieć. To znajomy Darwina. Bardzo znany człowiek. Był na pogrzebie Brooke, ale nawet ze sobą nie rozmawialiśmy.

– Chcesz mi wmówić, że miałaś romans ze znajomym męża, urodziłaś mu dwoje dzieci, a teraz nie utrzymujesz z nim żadnych kontaktów?

– A wiesz, w co ja nie mogę uwierzyć? W to, że myślisz, że możesz wtykać nos we wszystko, co się ze mną działo, zanim się pojawiłeś. Czy ja cię prosiłam o listę wszystkich kobiet, które pieprzyłeś? – Spojrzała w bok. – Zostaw mnie.

– Julio...

– Wyjdź. Po prostu wyjdź.

Na korytarzu spotkałem Garreta, który stanął w drzwiach swojego pokoju.

– Niespokojna noc, co? – zapytał. Miał na sobie dżinsy, od pasa w górę był nagi. Ciało miał równie silnie umięśnione jak Billy, klatkę piersiową niczym bokser wagi półśredniej, twardy brzuch. Wydawał się zdenerwowany – może zaniepokojony, a może podniecony.

Byłem zły, że usłyszał moją sprzeczkę z Julią.

– Cóż, tak bywa. Przepraszam, że cię obudziliśmy.

– Nie byłem aż tak zmęczony.

Wskazałem na jego pokój.

– Chcesz porozmawiać?

– Chyba już dość się nagadałeś.

Chciałem przekonać Garreta, że nie wszystko jeszcze stracone, choć sam byłem odmiennego zdania. Najpierw kłopoty z Billym, a teraz z Julią, a wszystko to wydarzyło się w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Właściwie to przydałoby mi się towarzystwo. Nie zabiorę ci wiele czasu.

– Właż – powiedział i cofnął się do swojego pokoju.

Wszedłem za nim. Niewiele zrobił, żeby urządzić pokój; wszędzie stały pudła z ubraniami, albumami fotograficznymi, kilkoma aparatami z teleobiektywami i setkami kaset z filmami. Usiadłem za biurkiem.

– Przepraszam za ten bałagan – rzekł i zaczął wrzucać rzeczy do szafy. – Matce jest teraz ciężko – dodał i zerknął na mnie.

– Zgadza się.

– Nie chodzi tylko o to, że jeszcze nie doszła do siebie po pobiciu i tym wszystkim. – Wziął następne pełne pudło. – Ale o zmianę jej sytuacji. Przede wszystkim nie ma obok niej Darwina. To oczywiście dobrze, ale, wiesz, musi się do tego przyzwyczaić.

To prawda. Bishop zajmował dużą część przestrzeni fizycznej i emocjonalnej w ich domu. Jego brak wytworzył pustkę. Utrata energii, nawet negatywnej, może wywoływać dezorientację.

– Myślę, że można to porównać do powrotu z wojny. Przez jakiś czas prześladowają cię jeszcze jej upiory.

Garret wrzucił pudło do szafy, zatrzasnął na siłę drzwi i odwrócił się do mnie.

– Nie chcę się mądrzyć przy psychiatrze, ale na przykład przed chwilą chciała, żebyś ją uderzył.

– Co takiego?

– Zaczęła krzyczeć. Darwin w tej sytuacji by się wściekł. Sprawdzała cię, czy mógłbyś ją uderzyć.

Obserwacja Garreta nie była pozbawiona sensu. Poprosiłem Julię, aby mi zaufała i odsłoniła przede mną całą swoją przeszłość. Jej gwałtowną reakcję można interpretować jako sondowanie, jak daleko może się posunąć, nie narażając się na mój odwet.

– Dobrze znasz swoją matkę – zauważyłem.

Wzruszył ramionami.

– Zauważyłem to samo u siebie. Weźmy ten pokój. Nigdy bym nie zostawił w nim takiego bałaganu, gdyby Darwin tu mieszkał. Chyba że chciałbym dostać baty. Myślę, że zrobiłem to po to, by zobaczyć, czy urządzisz mi z tego powodu awanturę.

– To naprawdę nie moja sprawa, czy masz porządek w swoim pokoju.

– Ale w końcu jesteś, było nie było, panem domu.

Nie czułem się panem tego domu. Kiwnąłem głową w stronę biurka.

– Co czytasz?

– Wiersze.

– Czyje? – spytałem i przeczytałem tytuł: *The Land of Heart's Desire*.

– Yeatsa.

– To twój ulubiony poeta?

– Nie mam ulubionego – odparł, siadając na pufie stojącym w kącie pokoju.

– Tak samo podoba mi się Emerson czy Poe. A może oni nawet bardziej.

Zerknąłem na półkę z książkami – jedyne miejsce w tym pokoju, gdzie panował nieskazitelny porządek. Książki były poustawiane według autorów. Rzuciłem okiem na nazwiska: Auden, Beckett, Emerson, Hegel, Hemingway, Locke, Paz, Poe, Shakespeare. Yeats znajdował się na końcu półki – siedem albo osiem opasłych tomów.

– Co ci się podoba w poezji? – zapytałem.

– To, że mówi więcej, używając mniej słów. Gdy używa się ich za dużo, tracą znaczenie.

– Dobrze powiedziane. Sam też piszesz?

– Próbuje. Ale tylko dla siebie.

Miało to oznaczać, że nie mam co liczyć, że w najbliższej przyszłości

przeczytam jakieś jego wiersze.

– Jesteś ich najważniejszym odbiorcą.

– Darwin by się wkurzył, gdyby zobaczył, że piszę wiersze. Mówił, że poezja jest dla bab. Między innymi dlatego nie pozwalał mi zbyt długo siedzieć w moim pokoju.

– To śmieszne. Nikt przecież nie uważał Hemingwaya za babę.

– Oprócz jego matki.

Uśmiechnąłem się. Matka Hemingwaya ubierała czasami przyszłego pisarza w sukienki, pewnie dlatego jako dorosły starał się być przesadnie męski.

– Może kiedyś pokażę ci moje wiersze – rzekł ostrożnie Garret.

– Z przyjemnością przeczytam.

Wyjrzał przez okno, a potem znów popatrzył na mnie.

– Julia potrzebuje trochę czasu. I swobody. Może to dobrze, że zabierasz Billy'ego do tego zakładu.

– Chciałbym ci podziękować za to, że go do tego namówiłeś. Podjął właściwą decyzję. Dasz sobie tutaj radę sam przez następne dwa tygodnie?

– Bez problemu.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę naszymi sprawami. Moimi i twojej matki.

– Nic nie szkodzi. I tak już nigdy nie będę się musiał martwić tak jak kiedyś.

Opuściłem pokój Garreta po pierwszej rano. Gdy przechodziłem obok pokoju Billy'ego, zgasło w nim światło. Pewnie nas podsłuchiwał albo go obudziliśmy głośną rozmową.

Przechodząc przez salon, zatrzymałem się przed gablotką, w której Candace poustawiała zabawki dzieci. Mój wzrok przyciągnął nakręcany miś grający na talerzach. Pewnie w dzieciństwie Julia musiała się nim bawić całymi godzinami. Uśmiechnąłem się na myśl o tym, z jakim zachwytem po raz pierwszy go nakręciła i patrzyła na jego występ. Jakie proste były wtedy jej przyjemności.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. W głębi duszy wiedziałem bowiem, że dopiero teraz wszystko zacznie się wyjaśniać i że Julia nigdy nie będzie moja.

Tę noc spędziłem, to drzemiąc, to się budząc. Budziłem się z myślą o wydarzeniach związanych z Julią, Darwinem lub chłopcami. Przypomniało mi się moje spotkanie z Julią przed jej domem i na lunchu w restauracji Bomboa. Wróciłem myślami do wizyty u Billy'ego w Payne Whitney, do swojej sprzeczki z Darwinem na pogrzebie Brooke i do dnia, gdy wspólnie z Andersonem

przeszukiwaliśmy szafkę Garreta w klubie tenisowym Brant Point. Znow pomyślałem o zachowaniu Claire Buckley, gdy dawała nam ten tajemniczy list. Przypomniałem sobie, co z Andersonem powiedzieliśmy do pobitej przez Darwina Julii, gdy odwiedziliśmy ją w Mass General, i co ona powiedziała nam. Zapadałem w sen na coraz krótsze chwile, a wspomnienia były coraz bardziej wyraziste. Czułem się, jakby mój umysł odtwarzał trzy ostatnie tygodnie, szukając klucza do tajemnic rodziny Bishopów.

Gdy za trzystaście czwarta rano go znalazłem, przeszedł mnie lodowaty dreszcz. Usiadłem na łóżku, przypomniawszy sobie nagle coś, co zobaczyłem w tym domu nie tydzień, nie kilka dni, ale zaledwie kilka godzin temu. Przyjąłem to z niedowierzaniem, jakby mnie trafiła zablakana kula lub otrzymałbym wiadomość, że rak, o którym sądziłem, że już mi nie zagraża, niezauważenie rozrastał się w głąb kości, niszcząc ją aż do szpiku.

Po głowie chodziły mi różne myśli. Usiadłem i w ciemnościach zacząłem łączyć ze sobą fakty, z których wylaniał się ponury obraz. Wyglądał niewiarygodnie. Zacząłem chodzić po pokoju. Myśli napływały coraz szybciej, wyskakując na mnie z ciemności. Poczulem mdłości i zawroty głowy.

Upłynęły dwie godziny, zanim wróciłem do łóżka. Ale już nie zasnąłem. Zważyłem w winę Darwina Bishopa. Wręcz przeciwnie, byłem coraz bardziej przekonany, że małą Brooke zamordował ktoś inny. Ktoś, komu ufałem. A gdy przypomniałem sobie powód tego zaufania, zrobiło mi się niedobrze i smutno.

Poczulem, że sypiam potem. Jeśli miałem rację, ten ktoś wciąż dybał na życie Tess, która spała w pokoju dzieciennym, dwadzieścia kroków od moich drzwi.

Aż do świtu nie mogłem zatrzymać gonitwy myśli, planując strategię ujęcia zabójcy. Była to strategia wojny psychologicznej, która miała szybko pozbawić psychikę przeciwnika mechanizmów obronnych i wywołać u niego niepokonany gniew. Gdyby mi się udało, mogłem oczekiwać, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin morderca Brooke spróbuje zabić również mnie.

Wtorek, 23 lipca 2002

O dziewiątej rano zadzwoniłem do Payne Whitney i poprosiłem o połączenie z Laurą Mossberg. Po kilku minutach usłyszałem w słuchawce jej głos.

– Mówi Frank Clevenger – przedstawiłem się. – Potrzebuję pani pomocy.

– Naprawdę? – powiedziała z tą swoją terapeutyczną łagodnością w głosie.

– W związku ze sprawą Bishopa – wyjaśniłem od razu, żeby nie zabrała się do mnie.

– Myślałam, że sprawa jest zamknięta. Czytałam, że aresztowano ojca. Muszę przyznać, że byłam wstrząśnięta.

– Po prostu nie poznała się pani na nim.

– Natomiast pan tak. Nigdy pan nie uwierzył w winę Billy’ego. Zignorowałem komplement.

– Pozostał jeszcze jeden mały szczegół do wyjaśnienia, który nie daje mi spokoju.

– Jaki? Czy ma to coś wspólnego z dokumentacją, którą panu wysłałam?

– Tak. I zastanawiam się, czy mogłaby mi pani udzielić jeszcze jednej informacji dotyczącej rodziny Bishopów.

– Czego pan potrzebuje?

– Zależałoby mi na grupach krwi wszystkich członków rodziny, łącznie z dziećmi, czyli Julii, bliźniaków i chłopców.

– Nie powinno być z tym problemu. Panu Bishopowi zrobiono badania na chirurgii przy okazji wasektomii, jego żona ma kartę na oddziale położniczym, a bliźniakom sporządzono komplet badań po urodzeniu. Jestem pewna, że Billy’emu i Garretowi także zrobiono badanie w krwi w celu ustalenia grupy, zważywszy na to, że są adoptowanymi dziećmi.

– Znakomicie.

– Nie spytam, po co panu te dane – powiedziała, choć ton jej głosu mówił, że bardzo by chciała.

– Doceniam pani pomoc. Wątpię, by te dane coś zmieniły, ale gdyby tak się stało, z pewnością panią o tym poinformuję.

Roześmiała się, słysząc, jak poradziłem sobie z jej ciekawością.

– Zawsze z przyjemnością z panem porozmawiam.

Rozłączyłem się i poszedłem do dużego domu. Postanowiłem wziąć rodzinę Bishopów w psychologiczne imadło i zacząć je zaciskać.

Na szczęście wszyscy byli w kuchni, by tradycyjnie zjeść razem śniadanie.

– Cześć – powitał mnie Billy. Siedział naprzeciwko Garreta we wnęce przy stole. – Dobrze spałeś?

Garret skinął mi głową, a ja odwzajemniłem mu się tym samym.

Julia smażyła jajka. Nie odwróciła się.

Zerknąłem na Tess, która bawiła się teletubisiami, po czym podszedłem do

Julii. Była w obcisłych tenisowych spodenkach, pod którymi widać było zarys majtek. Klepnałem ją ostentacyjnie w pośladek, żeby chłopcy na pewno to zauważyli. Zanim zdążyła się ode mnie odsunąć, pocałowałem ją w szyję.

– Na Boga, smakujesz wspaniale – powiedziałem.

Odwróciła się. Na jej twarzy malowała się tłumiona złość.

Delikatnie dotknąłem jej policzka.

Jajka zaczęły skwierczeć. Julia odchrząknęła.

– Dobrze spałeś? – wycodziła.

– Doskonale. A ty?

– Też doskonale. – Zerknęła na Candace, która spuściła głowę i z powrotem zabrała się do krojenia szparagów, unikając mojego wzroku. Odniosłem wrażenie, że zanim wszedłem, matka z córką ucięły sobie pogawędkę.

Podszedłem do stołu. Billy przesunął się, żeby mi zrobić miejsce. Usiadłem.

– Co masz w planie na dzisiaj? – spytałem go.

– Nic takiego – odparł. – Miałem się spotkać z Jasonem. – Wzruszył ramionami. – Ale się nie spotkam.

– Chcę go namówić, żeby poszedł ze mną na ryby – rzekł Garret.

– Gdzie? – zapytałem. – Jeśli chcecie, podrzucę was.

– Nie trzeba – odpowiedział Garret. – Możemy połowić w strumieniu. Wielkich ryb tam nie ma, ale zawsze można się trochę zabawić.

Szturchnąłem Billy'ego w ramię. – Spróbuj.

Uśmiechnął się do mnie z przymusem. Mrugnąłem do niego, po czym wstałem i podszedłem do Julii. Tym razem zauważyła, że się zbliżam. Wyraz jej twarzy mówił, bym trzymał się od niej z daleka. Stałem o krok od niej. Uniosłem palec.

– Przepraszam – powiedziałem i zobaczyłem, że jej twarz łagodnieje. – Zapomnijmy o dokumentacji medycznej – szepnąłem. – Zapomnijmy o liście. Nie wracajmy już do tego. Co było, to było.

Popatrzyła mi w oczy, by sprawdzić, czy mówię szczerze. Niepewnie kiwnęła głową.

Podszedłem do niej i delikatnie chwyciłem jej dłoń. Nachyliłem się jej do ucha i szepnąłem:

– Spotkajmy się później u mnie.

Zerknęła w stronę stołu z widocznym skrępowaniem.

– Nie mogłem wczoraj zasnąć – szepnąłem do niej jeszcze ciszej. – Tak bardzo cię pragnąłem.

Zarumieniła się.

– Przestań – rzuciła, kuszaco przygryzając dolną wargę.

– Będę u siebie – powiedziałem, podnosząc głos do scenicznego szeptu.

Odstąpiłem od niej.

Candace posłała mi domyślny uśmiech.

– Przejdę się – oznajmiłem, patrząc na Billy'ego i Garreta. – Czy ktoś ma ochotę iść ze mną?

Billy wbił wzrok w talerz. Garret wstał.

– Ja bardzo chętnie – rzekł.

– Do zobaczenia później – powiedziałem do reszty i wraz z Garretem ruszyliśmy do drzwi.

Nie uszliśmy więcej niż dziesięć kroków, kiedy zauważyłem, że idzie za nami ochroniarz Garreta, Pete. Jego pojawienie się było niezwykle. Ostatnio nie przykładał się zbytnio do pracy i rzadko widziałem go razem z Garretem w okolicy domu.

– Nic nam nie będzie! – krzyknąłem do niego, pokazując, że może odejść.

Ruszyliśmy dróżką, która po łuku prowadziła do morza, a potem zawracała, tworząc prawie elipsę. Na jednym jej wierzchołku znajdował się dom Candace, a na drugim brzeg morza.

– Wygląda na to, że twoja mama czuje się już lepiej – odezwałem się.

– Tak jak ci powiedziałem. Sprawdzała cię.

– Myślałem o tym, co mi powiedziałaś.

– I co?

– Zastanawiam się, czy nie byłem sprawdzany podwójnie. Ta cała sprawa z Billym, z Sandersonami i martwym kotem też mogła być sprawdzianem. Żeby zobaczyć, czy stanę po jego stronie, po stronie całej rodziny.

– Możliwe.

– Toteż pomyślałem, że muszę na nowo zdefiniować rolę, jaką tu odgrywam.

– Co przez to rozumiesz?

– Doszedłem do wniosku, że powinniśmy tworzyć prawdziwą rodzinę – oświadczyłem, obserwując jego reakcję. – W ten sposób byłbym dla Billy'ego prawdziwym ojcem. Mógłby na mnie liczyć. Ty także.

Garret zatrzymał się i popatrzył na mnie. Od domu wciąż dzielił nas rzut kamieniem.

– Mam zamiar ożenić się z twoją matką – skłamałem, zastawiając pułapkę.

– No, no – sapnął Garret. Wyglądał na zbitego z tropu. – No, no – powtórzył.

– Co o tym myślisz? – zapytałem go.

– Wspaniale – odparł. Zabrzmiało to tak, jakby mówił szczerze.

– Wiem, że wszyscy będziemy musieli się oswoić z tą myślą. Jeszcze nawet nie rozmawiałem o tym z twoją matką. Nagle zrozumiałem, że to najlepsze wyjście. – Spojrzałem na ocean. Rozciągał się jak pomarszczony niebieskozielony koc pod słonecznym niebem. – Muszę ci powiedzieć, Garret, że jeszcze nigdy nikogo tak nie kochałem jak twojej matki. Kiedy jestem z nią, czuję, że niczego mi nie brakuje do szczęścia. Kiedy nie ma jej obok, myślę tylko o niej. – Znów popatrzyłem na niego. – Czy ty też kiedyś coś takiego czułeś?

– Nie wiem. Może.

– Czyli nie czułeś. Bo gdybyś czuł, wiedziałbyś to na pewno. To najpiękniejsze uczucie pod słońcem.

Kiwnął głową.

– Za dwa tygodnie wyjeżdżasz do Yale, prawda? – zapytałem. – Wierz mi, spotkasz tam na pewno wiele studentek, które zawrócą ci w głowie. – Mam nadzieję, że któraś z nich wzbudzi w tobie takie uczucia, jakie we mnie wzbudza twoja matka.

– Przekonamy się.

– Poza tym z jeszcze jednego powodu powinniśmy wziąć ślub. Wiesz, czuję się niezręcznie, że dzielę pokój z twoją matką, nie będąc jej mężem. Ona zresztą też.

Mimo siedemnastu lat Garret rozumiał, że dopuszczam go do spraw, których zwykle bronimy zacieklej niż okopów podczas wojny.

– To są wasze sprawy.

– Nie chcemy po prostu stawiać was w kłopotliwej sytuacji. – Odczekałem kilka sekund. – Myślę, że musimy to zrobić. Chcę ją poprosić, żeby poleciała ze mną do Vegas... może już jutro.

– Ona jeszcze nie ma rozwodu – zauważył Garret z krzywym uśmiechem.

– W Nevadzie nie dbają o szczegóły. Za jakiś czas wszystko w papierach będzie w porządku.

– Nie mogę... wyjść ze zdumienia.

– Na razie nie mów nic matce – poprosiłem go, ale nie wspomniałem, że ma trzymać to w tajemnicy przed Billym. Wiedziałem, że w ciągu następnych pięciu minut Garret wszystko mu opowie. Chciałem, żeby to zrobił.

– Chyba już wrócę – oświadczył Garret. – Muszę dojść do siebie po tej niezwyklej nowinie.

– Zobaczymy się później?

– Tak.

Popatrzyłem za nim, gdy ruszył w stronę domu. Kątem oka zauważyłem, że w oknie salonu stoi Julia. Obserwowała nas. Później poczułem na sobie jeszcze czyjś wzrok. Spojrzałem w górę i zauważyłem Billy’ego stojącego na balkonie na piętrze. Gdy zobaczył, że na niego patrzę, odwrócił się i schował do domu. Kiedy znów popatrzyłem na okno od salonu, Julii już w nim nie było.

Nie ruszałem się z miejsca, dopóki Garret nie zniknął w drzwiach frontowych. Gdy zamknął je za sobą, pomyślałem, jak silne psychoseksualne napięcie wywołałem w tym wyspiarskim ustroniu. Niemal widziałem, jak emocjonalne fajerwerki zaczynają sięgać nieskazitelnie czystych tafli szyb.

O trzynastej dwadzieścia z archiwum Cornell Medical Center zadzwoniła do mnie na komórkę doktor Mossberg. Dane, które zebrała, przeglądając mozolnie kartoteki Bishopów, potwierdziły moją teorię, że Darwin Bishop najprawdopodobniej nie zamordował Brooke. Wskazywały za to na kogoś innego – w istocie na osobę, którą podejrzewałem. Kiedy się rozłączyłem, ciężar nowiny sprawił, że kolana się pode mną ugięły. Musiałem głęboko odetchnąć i przełknąć ślinę, żeby nie zwymiotować.

Śmierć Brooke była apogeum mrocznego dramatu, w którym sam niechcący się znalazłem.

Mdłości mi jeszcze nie przeszły, gdy ktoś zapukał do drzwi domku. Zmusiłem się, żeby wstać, i ostrożnie je otworzyłem. Zobaczyłem Billy’ego.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha – stwierdził.

– Jestem po prostu głodny i to wszystko – odparłem.

Minął mnie i usiadł na kanapie.

– Garret powiedział mi o tobie i mamie.

Tak jak się spodziewałem.

– No i?

– Wyjeżdżasz się z nią pobrać? Jutro?

– Jeśli twoja matka powie „tak”. Jeszcze jej o to nie zapytałem. – Podeszedłem do kanapy i usiadłem na jej drugim końcu.

– Powie.

– Skąd wiesz?

– Nie potrafi powiedzieć „nie”

– Co przez to rozumiesz? – zapytałem.

– To, że nie wszyscy tutaj są głusi i ślepi – odparł, nachylając się do mnie.

– Słucham cię.

– Nie chcę ci łamać serca, ale nie jesteś pierwszym facetem, którego złowiła na haczyk. Jesteś którymś z kolei. – Urwał i zamrugał nerwowo. – Szybko jej się znudzisz. Rozumiesz?

Trzeba kuć żelazo póki gorące, pomyślałem.

– Poradzę sobie – stwierdziłem.

– Wszystko zniszczysz – oświadczył śmiertelnie poważnie. – Któregoś dnia jej odbije i cię zostawi i nigdy już nie będziemy mogli zamieszkać razem.

– Przesadzasz. Wszystko się ułoży. Ludzie się zmieniają.

Billy pochylił głowę i spojrział na mnie z ukosa.

– Co ty właściwie kombinujesz? – zapytał, przyglądając mi się badawczo. – Jaki jest prawdziwy powód, że chcesz się mnie pozbyć i wysłać do Riggs? Czy przez moją matkę tak ci, kurwa, odbiło, że chcesz wysłać Garreta do Yale, a mnie do tych czubków? – Wstał. – Nigdy nie zamierzałeś tam ze mną pojechać.

– Bardzo się mylisz.

– Nie mogę uwierzyć, że ci zaufałem – rzucił, kręcąc głową.

– Zawsze możesz mi ufać.

Wyszedł z domku.

Stanąłem w oknie i patrzyłem, jak odchodzi w stronę dużego domu. Potem podniosłem słuchawkę i wybrałem numer domowy Arta Fieldsa, szefa laboratorium kryminalnego policji stanowej w Bostonie.

Fields potwierdził, że wyciągnąłem poprawne wnioski na podstawie informacji o grupach krwi, które dostałem od Laury Mossberg. Oznaczało to, że istniał bezpośredni dowód łączący Brooke Bishop z zabójcą. Fields ostrzegł mnie jednak, że jest to wciąż dowód o charakterze poszlakowym, choć przyznał, że dość mocny.

Rozłączyłem się i zerknąłem na zegarek. Była trzynasta dwadzieścia dziewięć. Teraz pozostało mi już tylko poczekać na Julię.

Minęła druga, potem trzecia i czwarta. Zacząłem wątpić, czy mój plan rzeczywiście tak szybko przyniesie wyniki, jakich się spodziewałem. Jednak piętnaście po czwartej Julia w końcu zawołała do mnie, żebym ją wpuścił. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, jak stoi przede mną w prostej jasnożółtej plażowej sukience. Przez materiał prześwitywały sutki.

– Nie ma powrotu do przeszłości – oświadczyła. – Umowa stoi? Co było, to było?

– Stoi.

– Przysięgasz na śmierć i życie?

Wyszedłem za próg, chwyciłem ją w ramiona i pocałowałem. Gdy się do mnie tuliła, poczułem rosnące podniecenie.

– Wejdźmy do środka – zaproponowała.

Potrząsałem głową i przesunąłem ręce po jej udach, zadzierając sukienkę. Wsunąłem palce pod materiał. Nie miała majtek.

– Daj spokój – pisnęła, starając się wyrwać. – Nie róbmy tego na widoku.

Zabrałem ręce, ale pocałowałem ją jeszcze namiętniej.

– Zabierz mnie znowu w jakieś ustronne miejsce – poprosiłem. – Gdzieś daleko stąd. Mam dla ciebie niespodziankę.

Spojrzała na moje krocze.

– Chyba się domyślam.

– Wspomniałaś kiedyś o jakiejś swojej kryjówce.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze – odparła.

Poprowadziła mnie obok domu swojej matki, potem przez podwórze za domem, do ścieżki ciągnącej się w głąb gęstego zagajnika. Zaczarowanego lasu. Gdy przeszliśmy jakieś trzydzieści stóp, chwyciłem Julię i przycisnąłem do cienkiego pnia drzewa. Położyłem ręce na jej nogach i przesunąłem je do góry, pod sukienkę. Moje palce wędrowały po wewnętrznej stronie ud coraz wyżej, nie zatrzymując się, aż jeden z nich wślizgnął się głęboko w nią. Pochyliła się, żeby mnie pocałować, ale odsunąłem się. Zabrałem ręce i zadarta sukienka opadła. Odstąpiłem od niej.

– Nie tutaj. Chodźmy tam, dokąd mnie prowadziłaś.

Odwróciła ode mnie twarz. Przez chwilę wyglądała, jakby była zła. Potem jednak uśmiechnęła się figlarnie.

– Złap mnie! – zawołała i pobiegła ścieżką.

Ruszyłem za nią w pogoń. Biegła szybko. Musiałem pędzić z całych **sił**, aby nie stracić jej z oczu. Ale pomimo tupotu moich stóp i poszumu wiatru w uszach parę razy odniosłem wrażenie, że słyszę za sobą czyjeś kroki. Miałem nadzieję, że nie było to złudzenie. Jeśli wydarzenia rozwijały się zgodnie z moim planem, mieliśmy być z Julią śledzeni, a w kotle miało naprawdę zacząć wrzeć.

Byłem bliski złapania Julii, kiedy raptem las się skończył i wybiegliśmy

prosto na strumień. Woda z pluskiem płynęła po kamieniach w dolince między dwoma niewielkimi wzgórzami. W powietrzu unosił się zapach lawendy. Zatrzymałem się i popatrzyłem, jak Julia podbiega do brzegu strumyka i odwraca się, ciężko dysząc. Słońce przeświecające przez gałęzie drzew malowało jej ciało pasemkami światła.

Sięgnęła do szyi i rozwiązała wstążki przytrzymujące sukienkę, ściągnęła ją przez głowę i rzuciła na ziemię. Stała przede mną naga. Nieskazitelnie piękna. Ewa przed wygnaniem z raju. Grzesznie piękna.

Podszedłem do niej, czując, że jesteśmy obserwowani. Wiedziałem jednak, że na razie nic nam nie grozi. Podglądacz nigdy nie zaatakowałby mnie w obecności Julii. Nie mógł ryzykować zdemaskowania. Nadszedł jednak czas, żeby go rozpalić do białej gorączki.

Uklęknąłem przed Julią na jednym kolanie. Całowałem jej brzuch i wodziłem językiem po pępku, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że pomimo tego, co zrobiła, ta kobieta wciąż tak bardzo mnie podnieca. Uniosłem głowę i spojrzałem jej w oczy, które błyszczały jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Chcę, żebyś za mnie wyszła – powiedziałem, przesuwając język w dół jej łona.

– Frank – jęknęła, zamykając oczy. Wciągnęła głęboko powietrze i zadrżała, gdy mój język zawędrował jeszcze niżej.

Złapałem ją za nadgarstki. Czulem jej przyspieszone tętno. Wstałem.

– Wyjdź za mnie – powtórzyłem. Poglaskałem ją po policzku. Zrozumiałem teraz, że Julia jest uzależniona od trzech rzeczy: seksu, pieniędzy i przepychu. Zamierzałem podać jej koktajl złożony z tych trzech ingrediencji. – Jutro wynajmiemy samolot, polecimy do Vegas, weźmiemy ślub i spędzimy resztę tygodnia w Paryżu. Już zarezerwowałem apartament w Ritzu. Chcę spędzić z tobą życie.

Przesunęła palcami po moich wargach.

– Też bym tego chciała, tylko...

– Powiedz tylko „tak”.

Spojrzała mi w oczy. Minęło kilka sekund.

– Tak – szepnęła. A potem bez zbędnych słów uklęknęła przede mną i rozpięła mi dżinsy.

Środa, 24 lipca 2002

Było tuż po pierwszej. O północy zgasilem wszystkie światła w swoim domku. Jedynie blade światło księżyca ledwie prześwitywało przez listewki w żaluzjach.

Leżałem na łóżku w ubraniu, przykryty prześcieradłem, walcząc z sennością. Do kieszeni dzinsów wetknąłem swojego browninga.

Byłem pewny, że założyłem na haczyk odpowiednio dużą przynętę. Julia szykowała się, by wyjechać ze mną do Vegas. Zdobyłem nagrodę, jakiej pragnął dla siebie zabójca Brooke. Musiał dyszeć żądzą zemsty.

Domek miał tylne drzwi zamykane na haczyk. Zdjąłem go. Zostawiłem również otwarte na oścież dwa okna z tyłu domu – zaproszenie dla mordercy.

Wiedziałem, czyich odwiedzin mogę się spodziewać w środku nocy, lecz moja teoria opierała się na dowodach, które nie były bezdyskusyjne. Próba zabicia mnie mogłaby się stać takim niezbitym dowodem.

Z każdą minutą powieki robiły mi się coraz cięższe. Zeszłej nocy prawie nie zmrużyłem oka. W ogóle w ciągu kilku ostatnich tygodni ani razu dobrze się nie wyspałem. Wstałem, podszedłem do zlewu i spryskałem twarz zimną wodą. Niewiele to pomogło. Wróciłem do łóżka i raz po raz szczypałem się w udo, żeby nie zasnąć.

To również niewiele pomogło. Zapadłem w sen i ocknąłem się bliski paniki. Nie wiem, ile czasu upłynęło. Pięć minut, piętnaście, a może pięćdziesiąt. Serce waliło mi jak młotem, gdy przepatrywałem ciemny pokój. Nic nie zobaczyłem. Byłem sam, bezpieczny. Na razie.

Usiadłem i spuściłem nogi. Może wezmę prysznic, pomyślałem. Wstałem i ruszyłem do łazienki. Nagle jednak zamarłem, słysząc dochodzący z tyłu domu odgłos kroków.

Poklepałem się po kieszeni z browningiem i ruszyłem w stronę, z której dobiegły te dźwięki. Ktoś nadepnał na liście i gałęzie. Nasłuchiwałem jeszcze przez chwilę, ale odgłosy ucichły.

Stanąłem pod ścianą i ostrożnie uchyliłem zasłonkę w jednym z otwartych okien. Zerknąłem w mrok. Raptem zapało mi dech w piersiach, gdy uświadomiłem sobie, że ziszcza się mój najgorszy koszmar.

Zauważyłem Garreta, który przysiadł na najniższej gałęzi rozłożystego wiązu jakieś dziewięć stóp nad ziemią i piętnaście od drzwi domu. W bladej poświacie księżycy ledwie widać było jego muskularny tors i pętlę na szyi.

Wybiegłem na zewnątrz, przerażony, że powtarza się to, czego najbardziej żałowałem w swoim życiu. Tylko jeden z moich pacjentów popełnił samobójstwo – Billy Fisk, i to z jego powodu zająłem się sprawą Bishopa. Czyżbym miał być świadkiem zabójczych skutków mojej niekompetencji? Najwyraźniej wywarłem zbyt dużą presję na Garreta, która pchnęła go nie do morderstwa, ale samobójstwa.

Bo to, że on jest mordercą Brooke, zrozumiałem na widok jego szafki z książkami wypełnionej tomikami poezji Yeatsa. W swoim tajemniczym liście Julia zacytowała właśnie Yeatsa:

*Moje pokusy są stateczne. Gdy życie kresu już dobiega.**

W końcu zrozumiałem, że ten list nie był przeznaczony dla terapeutki ani dla żadnego znajomego Darwina, ale dla Garreta. Julia wzięła sobie przybranego syna za kochanka.

To on z zazdrości napadł na mnie przed szpitalem, wypowiadając linijkę z wiersza Yeatsa, gdy wbijał mi nóż w plecy:

*Cóż mogła więc poradzić, będąc tylko sobą.***

– Dobry wieczór – odezwał się Garret. Popatrzyłem na niego. Jego mięśnie klatki piersiowej drgały, gdy rytmicznie zaciskał i otwierał pięści. Dziwne.

* Przełożył Stanisław Barańczak.

** Przełożył Tadeusz Rybowski.

– Nie rób tego – powiedziałem.

– Tak bardzo jej pragniesz. Bierz ją.

– Zgódź się, żebym ci pomógł.

Roześmiał się makabrycznie, wyciągając szyję jak osaczone zwierzę. Potem spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Chciałeś, żeby tak się stało. Doprowadziłeś do tego.

Zrobiło mi się niedobrze. Czy to możliwe, że moja strategia podsycania napięcia seksualnego do tego stopnia, by mieszkańcy tego domu skoczyli sobie do gardeł, wynikała w istocie z nieświadomej chęci usunięcia ostatniego rywala? Darwin siedział w więzieniu oskarżony o zabójstwo. Garret wkrótce może być martwy. Czy moim celem było pozbycie się zarówno ojca, jak i syna?

– Twoja matka cię wykorzystwała, Garret – powiedziałem. – Manipulowała tobą. Podobnie jak mną, Northem Andersonem i Bóg wie iloma innymi mężczyznami. Teraz to widzę. Wiem, że nie jesteś wyłącznie odpowiedzialny za to, co się stało Brooke. I Tess.

Milczał.

– Chyba wiem, jak to było – podjąłem, starając się mówić spokojnie. – Kiedy twoja matka urodziła bliźniaczki, zerwała „szczególne stosunki”, jakie was łączyły. Miała kogoś innego do kochania. Brooke i Tess. A kiedy ona postanowi zerwać, zrywa. Chłodno. Brutalnie. Sprawiając ból.

– Billy nie zabił żadnego kota – rzekł Garret. – Powinieneś to wiedzieć. Zależy ci na nim. – Wystawił jedną nogę poza gałąź.

– Proszę.

– Sam tego chciałeś.

Spuściłem wzrok i pokręciłem głową, starając się znaleźć słowa otuchy dla Garreta.

– Żegnaj, Frank.

Spojrzałem w górę dokładnie w chwili, gdy Garret skoczył w dół. Zamknąłem oczy, myśląc o Billym Fisku i przygotowując się na odgłos pęknięcia rdzenia kręgowego, gdy ciało zawisnie na linie. Zamiast tego zwałem się z nóg, gdy niedoszły samobójca upadł na mnie całym ciężarem ciała. Głową uderzyłem o ziemię i leżałem ogłuszony. Nie do końca zagojona rana na plecach otworzyła się z przeszywającym bólem.

Garret kucnął obok mnie, uśmiechając się. W jednej ręce trzymał nóż, a w drugiej koniec liny.

– Nie był przywiązany – rzekł. – Powinieneś być to sprawdzić.

Sięgnąłem po broń, ale nim zdążyłem ją wyjąć, Garret rzucił się na mnie. Udało mi się jedynie unieść kolano i trafić go w brzuch, aż mu dech zaparło w piersiach.

Nóż upadł między nami.

Obaj sięgnęliśmy po niego, ale Garret był szybszy. Złapałem go za nadgarstek i przewróciłem na plecy. Prawie go przygwoździłem, kiedy uderzył mnie głową w podbródek. Puściłem jego rękę i wtedy dostałem łokciem w twarz. Zepchnął mnie z siebie.

Skoczył na mnie i zamachnął się nożem, celując w pierś. Udało mi się znowu złapać go za nadgarstek. Był silniejszy, niż myślałem. Klinga nieubłaganie się zbliżała.

– Nie nienawidzę tych, z którymi walczę – powiedział, jeszcze silniej napierając nożem. – To z Yeatsa, mój ulubiony fragment. – Wydał wargi. – Nie miałeś prawa wtrącać się w nasze sprawy. Gdybyś nas zostawił... – Cała jego złość skupiła się w ręce trzymającej nóż.

Szytych był już o stopę od mojej piersi. Zostało mi tylko jedno wyjście. Gdybym nagle przestał się bronić, Garret z rozpędu opadłby na mnie. Mógłbym odwrócić jego rękę z nożem tak, by się sam na niego nadział. Nie chciałem go zabijać i przerażała mnie myśl, że byłbym zwycięzcą w groteskowej edypowej walce, ale nie miałem wyboru.

Słabłem. Klingę dzieliło ode mnie nie więcej niż pół stopy. Musiałem działać. Wyteżyłem wszystkie siły i odepchnąłem rękę Garreta o kilka cali, ustawiając ją pod odpowiednim kątem. Spojrzałem mu w oczy, ćwicząc w myśli trwający ułamek sekundy manewr, który spowoduje, że mój przeciwnik własnym nożem, przetnie sobie aortę.

Już miałem przestać stawiać opór, kiedy usłyszałem głuchy odgłos. Garret runął na ziemię, jęcząc.

Spojrzałem do góry i zobaczyłem Billy'ego z kijem bejsbolowym w ręku. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie i gniew. Nie byłem pewien, czy w ogóle wie, co robi. Uniósł kij i mrużąc oczy ze złości, odwzajemnił moje spojrzenie. Pomyślałem, że chce mieć pewność, że nie wyślę go na żaden oddział psychiatryczny. Ale raptem przeniósł wzrok na Garreta, wziął głęboki wdech i cofnął się.

– Nie rób tego! – krzyknąłem. – To nie jego wina.

Billy zamarł z kijem nad głową.

Zauważyłem, że źrenice majak szpilki. Z kącika ust ciekła mu ślina. Był napompowany adrenaliną. To był ten Billy, którego bym zobaczył, gdybym był przy tym, jak włamywał się do obcego domu, podpalał rezydencję Bishopa lub dusił kota. To był ten Billy, który rzucił się na chuliganów dokuczających Jasonowi Sandersonowi. Znalazł się we władzy demonów.

– Nie jesteś zabójcą – powiedziałem do niego. – Rzuć kij.

Nie zareagował.

Nie wiedziałem, czy w ogóle mnie usłyszał. Wyciągnąłem z kieszeni browninga.

– Billy – rzekłem drżącym głosem. – Rzuć go. Natychmiast.

Wziął głęboki oddech i wygiął się do tyłu.

Odbezpieczyłem broń. Była gotowa do strzału. Tylko że ja nie byłem gotowy.

Nawet gdy Billy machnął ręką, nie mógłbym strzelić.

Kij przeleciał obok mnie i Garreta, odbił się parę razy od drzew i upadł na liście. Billy spojrzał mi prosto w oczy.

– Komuś trzeba zaufać – powiedział, a potem wyciągnął do mnie rękę.

Candace pocieszała Julię, która zanosila się tym razem prawdziwymi łzami, gdy policjanci wyprowadzali Garreta w kajdankach.

Policja zabrała ze sobą kilka dowodów, które znalazłem w szafie Garreta. Wśród nich album pełen zdjęć Julii. Zdjęcia nie sprawiały wrażenia pozowanych, mimo że Julia wyglądała na nich jak doskonała modelka. Widać było, że Garret zrobił je bez jej wiedzy. Niektóre wyglądały niewinnie: Julia spacerująca na terenie posiadłości na Nantucket, zatrzymująca taksówkę na Manhattanie, jeżdżąca konno. Inne były prowokacyjne: Julia opalająca się i kąpiąca w skąpym bikini, zdejmująca bluzkę, pod którą ma przezroczystą koszulkę, karmiąca piersią Brooke. Jeszcze inne miały wyraźnie erotyczny charakter: Julia śpiąca nago, przykryta tylko częściowo białym prześcieradłem. Sylwetka Julii za zaporowanymi drzwiami do kabiny prysznicowej. Julia w toplesie – zdjęcie zrobione przez okno apartamentu na Manhattanie. Julia w objęciach Northa Andersona. I ostatnie zdjęcie, które wciąż wzbudzało we mnie dreszcze i poczucie winy: Julia i ja, jak całujemy się w moim pokoju w Breakers.

Policjanci zabrali także stertę listów głęboko schowanych w szufladzie Garreta, pachnące perfumami Julii, napisane na takim samym papierze listowym jak ten, który znalazła Claire Buckley. Na kopertach było imię Garreta skreślone tym samym delikatnym charakterem pisma.

Wyjąłem jeden z nich ze środka sterty i przeczytałem. Dowiedziałem się z niego, jak otwarcie Julia romansowała z przybranym synem.

Drogi Garrecie!

Współczuję ci z powodu tego, co ci dzisiaj zrobił Darwin. To, że ci kazał wyjść z pokoju i spędzać tyle godzin na dworze, świadczy, że nie rozumie, iż masz wielki dar – talent poetycki. Mimo że wszyscy boimy się Darwina, powinieneś wiedzieć, że on się ciebie boi jeszcze bardziej, choć nigdy się do tego nie przyzna. Wyrastasz na mężczyznę, jakim on nigdy nie będzie: silnego, wrażliwego i inteligentnego. On to widzi. Ja też. Kobiety marzą, żeby spędzić życie z kimś

takim jak ty. Ja też kiedyś o tym marzyłam.

Najlepiej wyraża to twój ulubiony Yeats:

Ale byłem młody i głupi, a teraz oczy mam pełne łez

Julia 12 kwietnia 2001

We wszystkich listach dźwięczał ten sam ton: przygnębienia, rozpacz i pokusy.

Policjanci zabrali coś jeszcze. Parę czarnych wojskowych butów. Tych samych, które mignęły mi tej nocy, gdy padałem na ziemię przed szpitalem Mass General, ugodzony nożem w plecy. Na obcasie lewego były plamy niebieskiej farby. Jak się później okazało, farbą tą godzinę przed napaścią na mnie pomalowano przejście dla pieszych w pobliżu parkingu.

Dane o grupach krwi Bishopów, które wydobyła dla mnie z archiwum Laura Mossberg, potwierdzały moją teorię, że Garret i Julia byli kochankami i że Garret zamordował Brooke. Julia miała grupę krwi B Rh minus, a bliźniaki o Rh plus. Ojcem dzieci mógł być tylko mężczyzna z grupą krwi A Rh plus lub B Rh plus. Billy miał A Rh minus, a Garret B Rh plus.

Jestem pewien, że Garret nie spodziewał się, iż badania genetyczne potwierdzą później niezbicie, że Tess i Brooke Bishop są jego córkami. Ale Julia o tym wiedziała i dlatego postanowiła zakończyć ten romans. Odrzuciła miłość Garreta, ale zdecydowała się urodzić dzieci, których tak bardzo pragnęła.

Garret nie rozumiał, dlaczego Julia przestała go kochać, kiedy urodziła bliźniaczki, dlaczego woli macierzyństwo od seksu. Dręczony zazdrością i rozpaczliwie pragnący odzyskać miejsce, jakie zajmował w jej życiu, stał się przebiegłym, bezwzględny zabójcą.

Zamordowanie Brooke było proste. Wina miała spaść na Billy'ego. A kiedy podsłuchał, jak Julia i Darwin kłóca się o nortryptynę, wykorzystał zamieszanie spowodowane włamaniem Billy'ego, żeby otruć Tess. Uważając, żeby nie zostawić na fiolce odcisków placów, włożył do niej negatyw zdjęcia Northa i Julii, który wcześniej podsunął ojcu, by go dotknął i obejrzał. A potem podrzucił fiolkę mnie i Andersonowi.

Garret chciał, byśmy wiedzieli, że jego ojciec miał motyw, by zabić dzieci – patologiczną zazdrość i chęć zemsty na Julii za to, że spotykała się z Northern Andersonem. Sprokurował nawet dowód rzeczowy, by to uwiarygodnić. Ale główną rolę w jego planie odegrało wydarzenie, które nawet jego zaskoczyło.

Kiedy Darwin stracił nad sobą panowanie i pobił żonę – niewątpliwie rozwścieczony obłudą Julii, która oskarżyła go o zabójstwo i spowodowała, że sąd nałożył na niego zakaz zbliżania się do niej i do Tess, ale sama wciąż romansowała na boku – wszyscy mogli się przekonać, że jest zdolny do popełnienia morderstwa. W tej sytuacji Garret musiał jedynie złożyć zeznanie jako naoczny świadek zabójstwa Brooke, a potem uronić łzę, wysyłając tatusia do więzienia. Na resztę życia.

Garret nie przewidział jednak tego, że ja także zakocham się w Julii. Nie mógł tego znieść. Musiał coś z tym zrobić.

I zrobił: wbił mi nóż w plecy. Przypuszczalnie wierzył, że ja pierwszy mu go wbiłem.

Epilog

Sobota, 23 listopada 2002

Odwaga Lilly Cunningham polegała na tym, że w końcu zdecydowała się stawić czoło swoim emocjonalnym ranom, które zadał jej dziadek, uwodząc ją, gdy była dzieckiem, i wywołując w niej nienawiść do siebie samej i do niego. Dopóki nie znalazła w sobie tej odwagi, ów destrukcyjny potencjał kierowała przeciwko sobie, okaleczając własne ciało, ale nie robiąc krzywdy nikomu innemu.

Julia Bishop nie była tak odważna. Czuła się głęboko zraniona przez ojca, który ją poniżał i na każdym kroku dawał odczuć, że mają za nic, ale nie potrafiła stawić czoła tym uczuciom, a zamiast tego skryła się za swą urodą i czarującymi manierami, karmiąc się licznymi podbojami. Można to nazwać nałogiem. Seksualnym sadyzmem. Ale jakkolwiek byśmy to nazwali, jego skutkiem było to, że przekazała swój pęd do destrukcji Garretowi.

Garreta osądzono jak dorosłego i skazano na dożywocie. Po ogłoszeniu wyroku poprosił o jedno: żeby Julia go objęła. Zrobiła to. Teraz odwiedza go trzy razy w tygodniu w zakładzie karnym w Cedar Junction.

Nigdy nie odwiedziła natomiast w więzieniu Darwina Bishopa, w przeciwieństwie do mnie. Bishop dostał wyrok dziewięciu lat więzienia za próbę zabójstwa Julii w szpitalu Mass General. Możecie mu wierzyć lub nie (ja mu wierzę), ale twierdzi on, że naprawdę myślał, iż to Billy zabił Brooke, i chciał wykiwać wymiar sprawiedliwości, umieszczając syna w Payne Whitney.

Julia wciąż mieszka z matką na wyspie Martha's Vineyard. Kiedy jej romans z Garretem wyszedł na jaw, dobrowolnie zrzekła się praw rodzicielskich do Tess i oddała ją pod opiekę Wydziału Spraw Społecznych. Nie wysunięto przeciwko niej żadnych oskarżeń, choć Anderson, O'Donnell i ja byliśmy przekonani, że podejrzewała, iż mordercą jest Garret, ale nie pisnęła o tym słowa, by zachować swój romans w tajemnicy. Udowodnienie jej współudziału w przestępstwie graniczyłoby jednak z cudem. Nie było żadnego dowodu rzeczowego, który by o tym świadczył. Nawet prokurator okręgowy Harrigan nie miał ochoty podjąć się tej sprawy.

Claire Buckley awansowała na narzeczoną Darwina Bishopa. Czeką na niego w małym schludnym mieszkaniu w budynku Trump Pare – tylko ono

zostało z majątku byłego miliardera. Claire zarzeka się, że gdy jej narzeczony wyjdzie na wolność, dorobi się jeszcze większego bogactwa. Kto wie, może ma rację.

Trwało to trzy miesiące i kosztowało mnie wiele zachodu, ale w końcu Wydział Spraw Społecznych zgodził się, żeby Billy zamieszkał ze mną w Chelsea. Na stałe. Jestem teraz samotnym ojcem i właściwie podoba mi się ta rola. Zabity kot był co prawda podstępem Garreta, ale nie mam złudzeń, że Billy pozbedzie się wszystkich swoich blizn psychicznych. Pokładam jednak w nim duże nadzieje i modłę się, żebym mu pomógł zdobyć pewność siebie, z którą pójdzie w przyszłość, zamiast wracać do przeszłości.